

*Fascynująca opowieść. Scottoline po mistrzowsku żongluje emocjami.*  
Kristin Hannah

# LISA SCOTTOLINE

WRACAJMY  
DO DOMU



Prószyński i S-ka

LISA  
SCOTTOLINE  
WRACAJMY  
DO DOMU

Przełożyła  
Agnieszka Barbara Ciepłowska

Prószyński i S-ka

*Książkę tę z wyrazami ogromnej wdzięczności  
dedykuję Jen Enderlin, najmiłszej przyjaciółce  
i świetnemu wydawcy.*

*Lekarzu, ulecz samego siebie.*

*EWANGELIA ŚW. ŁUKASZA 4, 23*

*Zawsze trzymam się mojej starej maksymy: wykluczyć wszystko niemożliwe, a to, co zostanie, choćby nawet nieprawdopodobne, musi być prawdziwe.*

SHERLOCK HOLMES

W KORONIE Z BERYLÓW

SIR ARTHURA CONAN DOYLE'A

(PRZEŁOŻYŁ TADEUSZ EVERT)

# Rozdział 1

Jill zatrzymała się na schodach i nadstawiła uszu. Zdawało jej się, że z zewnątrz ktoś ją woła, jednak najwyraźniej i tym razem uległa złudzeniu. Pewnie zwodził ją szum deszczu albo lament wiatru w gałęziach drzew.

Mimo wszystko jeszcze chwilę nasłuchiwała z nadzieją.

– Kochanie? – Sam przystanął na podeście, dłoń położył na balustradzie. Obrzucił Jill zdziwionym spojrzeniem. Jego niebieskie oczy błysnęły za szklami okularów. – Co się stało? Zostawiłaś telefon?

– Nie, nie. Zdawało mi się, że coś usłyszałam.

Była po czterdziestce. Na tyle dojrzała, by mieć za sobą kawał życia, dość mądra, żeby płynące z tego wnioski zachowywać dla siebie.

– Co usłyszałaś? – pytał Sam cierpliwie.

Dochodziła północ, właśnie mieli się kłaść. Dom zatonął w ciemności, tylko żyrandol nad klatką schodową i nitki siwizny w gęstych włosach Sama połyskiwały bladym srebrem. Na szczycie schodów zjawił się Pulpet, trochę zapasiony golden retriever nie pierwszej młodości. Gdy schylił łeb, miękkie uszy opadły mu wzdłuż opuszczonego pyska.

– Pewnie się przesłyszałam.

Ruszyła w górę, lecz Pulpet przekrzywił łeb i szczeknął krótko, po czym zamerdał ogonem.

Stanąła więc, obróciła się do drzwi, znowu wyteżyła słuch.

– Jill! Jill!

– To Abby!

Tym razem nie miała wątpliwości. Wołanie rozbrzmiało w jej pamięci głośnym echem, trafiło prosto do serca. Zbiegła do holu, za nią pędem ruszył Pulpet, zarzucając na zakręcie ciężkim zadem.

– Jaka Abby? – zdziwił się Sam. – Córka twojego byłego?

– Tak!

Już była na progu, odciągnęła zasuwę, pstryknęła przełącznikiem światła na ganku i pchnęła drzwi.

Ani śladu Abby.

Bogiem a prawdą w smolistej ciemności poza gankiem nie było widać nic. Tutaj, na końcu przeczniczy nie zainstalowano latarni, deszcz skrywał przed oczami jaśniejsze sylwetki budynków i samochodów, zalewał podmiejską dzielnicę czernią bezwzględna.

Nagle z nicości wynurzył się czarny SUV z jednym reflektorem. Przejeżdżając, wyluskał z burzliwej nocy sylwetkę, którą Jill rozpoznałaby na końcu świata.

Abby!

Jednak Abby!

Stawiała kroki z widocznym trudem, chyba ranna?

– Sam, wezwij karetkę!

Jill wypadła prosto w strugi deszczu, w biegu starała się ocenić stan dziewczyny.

Czy to, nie daj Boże, tętniak? Lub może Abby została potrącona przez samochód, a kierowca zbiegł z miejsca wypadku? Raczej nie udar, na to była za młoda. I nie postrzał ani ugodzenie nożem, nie w tej spokojnej okolicy.

Pulpet wyprzedził ją, poszczekując nerwowo. Detektor ruchu u sąsiadów włączył lampę, na trawnik wskoczyła okrągła plama światła. Abby zachwiała się, zboczyła z chodnika. Torebka spadła jej z ramienia, uderzyła o ziemię. Dziewczyna pokonała jeszcze metr czy dwa, po czym osunęła się na trawę.

– Abby! – krzyknęła Jill.

W następnej sekundzie znalazła się przy niej, kucnęła, by obejrzeć ją z bliska, ocenić jej stan. Dziewczyna była przytomna, lecz szlochała tak gwałtownie, że z trudem łapała oddech. Jill obejrzała najpierw głowę, potem skrupulatnie całe ciało, szukając ran i skaleczeń. Nie znalazła. Na policzkach dziewczyny lży zostały ciemne smugi tuszu do rzęs, mokre włosy przyłgnęły do szyi, letnia sukienka oblepiła tułów, natomiast puls, ku zaskoczeniu Jill, okazał się regularny i mocny.

– Abby, co się stało?

– Przytul mnie... – Dziewczyna uniosła ręce. – Mocno, błagam...

Jill wzięła Abby w ramiona. Nie pierwszy raz przygarniała ją w ten sposób, nic więc dziwnego, że zalała ją fala wspomnień wyzwolonych z tajemnej kryjówki w głębi serca. W rozbłysku odsłaniającym przeszłość Jill zobaczyła scenę, gdy Abby przewróciła się w czasie jazdy na rolkach i skręciła nogę w kostce. A potem dzień, gdy dziewczyna dostała marną ocenę z testu, do którego się solidnie przygotowywała. Albo wówczas, gdy nie wybrano jej do reprezentacji drużyny piłki nożnej. Abby zawsze była wrażliwym dzieckiem, a teraz, chociaż już dorosła, zanosila się płaczem jak chyba nigdy dotąd.

– Abby, kochanie, o co chodzi? Powiedz, jakoś zaradzimy...

– Nie mogę... nie wiem... – załkała dziewczyna. – Koszmar...

Jill wyczuła w jej oddechu alkohol. Uświadomiła sobie, że nie widziała Abby od trzech lat, teraz dziewczyna skończyła dziewiętnaście – trudny wiek...

– Jill... – jęknęła Abby. – Tata... tata nie żyje.

– Co takiego?!

Były mąż Jill dopiero co przekroczył czterdziestkę i cieszył się doskonałym zdrowiem.

– Ktoś... Ktoś go zabił! – krzyknęła Abby wstrząsana szlochem. – Pomóż mi! Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił.

Jill przygarnęła rozdygotaną dziewczynę do serca. Niewiele rozumiała. Nie potrafiła sobie wyobrazić Williama jako ofiary morderstwa, a w zasadzie w ogóle w roli jakiegokolwiek ofiary.

W pierwszym odruchu zaniepokoiła się przede wszystkim o jego córki, Abby i Victorię, oraz własną, Megan. Będą zdruzgotane, również Megan, dla której był ojczymem, ponieważ innego taty nie miała, jej biologiczny ojciec umarł, zanim przyszła na świat.

– Kochanie, co robicie? – odezwał się Sam głośno, przekrzykując ulewę. – Chodźcie do domu!

Jill nie zauważyła, kiedy się przy nich zjawił.

– William został zamordowany – powiedziała głosem bez wyrazu.

– Słyszałem. Nie wzywam pogotowia, nie ma potrzeby, ona jest pijana.

Skrzywił się, mrużąc oczy przed jaskrawym światłem reflektora. Z włosów ściekała mu woda, koszulkę polo znaczyły wielkie mokre plamy.

– Wezmę ją pod ramię, ty z drugiej strony – zarządził. – Na „trzy”. Raz, dwa, trzy! Pociągnął Abby do góry.

– Możemy iść – oceniła Jill.

Zabrali z chodnika torebkę i na wpół prowadząc, na wpół niosąc Abby, ruszyli do domu przez nasiąknięty wodą trawnik. Pulpet nie odstępował ich na krok.

Jill próbowała uporządkować myśli. Długo tęskniła za Abby, lecz nie przypuszczała, że spotka się z nią w takich okolicznościach. No i nie wiedziała, jak ma powiedzieć Megan o losie Williama. A przy tym, choć z całego serca współczuła wszystkim trzem dziewczynkom, nie uroniła nad byłym mężem nawet jednej łzy. Nie bez powodu się z nim rozstała, a powód nie był błahy. Stanowczo.

Najwyraźniej nie tylko wybrańcy bogów umierają młodo.

## Rozdział 2

– Chodź, kochanie... – Jill podprowadziła Abby do kuchennej wyspy. – Siadaj tutaj, siadaj. – Przeniosła spojrzenie na Sama. – Przytrzymam ją, czy mógłbyś podać wodę i przynieść ręczniki?

– Tak, jasne.

Wysunął się spod ramienia dziewczyny i podszedł do zlewu. Pulpet nieprzerwanie krążył między nimi, trochę posapując, trochę machając ogonem, wyraźnie zdezorientowany.

– Nie dociera do mnie – wyjąkała Abby. – On naprawdę nie żyje. – Opadła ciężko na krzesło, ukryła twarz w dłoniach. – To straszne! – Jej ciałem wstrząsnął szloch. – Nie wiem, co robić... Nigdy więcej... już go nie zobaczę...

– Ciii, kochanie. Powolutku, spokojnie. – Jill też usiadła. Objęła zapłakaną Abby. Kochała tę dziewczynę, uświadomiła to sobie na nowo z całą mocą. – Współczuję ci – powiedziała.

– Kto to zrobił? – załkała Abby. – Dlaczego? Nic nie rozumiem... Nie wierzę! To nie może być prawda! – Rozszlochała się na dobre. – Już nigdy, nigdy nie będziemy rozmawiać... Tak nie wolno... To niesprawiedliwe... Niemożliwe... Nie wiem, co robić...

– Już dobrze, już dobrze... – Jill przytuliła dziewczynę mocniej, usiłowała ją rozgrzać własnym ciałem, znów poczuła się jej matką. Abby została półsierotą w wieku czterech lat, Jill matkowała jej przez osiem, wychowywała ją i jej starszą siostrę Victorię jak własne.

– Mieszkam w domu taty i chociaż... no, taty często nie było, to przecież zawsze mogłam do niego zadzwonić... o wszystko zapytać...

– Biedactwo.

Jill podniosła spojrzenie na Sama, który postawił na blacie szklankę wody.

– Radzisz sobie? – spytał cicho, z troską zaglądając jej w oczy.

– Tak – odparła dziarsko. – Dziękuję.

Mimo stanowczego zapewnienia w rzeczywistości z trudem powstrzymywała łzy. Udrękę sprawiało jej łkanie Abby niosące się echem w cichym domu.

– To dobrze. Przyniosę ręczniki.

Sam ścisnął ją za ramię i poszedł na piętro.

– I pilnował płacenia rachunków... i w ogóle zajmował się wszystkim w domu... A ja nie mam pojęcia... co się z tym wszystkim robi... i w ogóle... nie chcę być sama...

– Nie jesteś sama. Ja cię nie opuszczę – zapewniła ją Jill odruchowo i zaraz spontanicznie pojawiły się następne słowa, nieuniknione, jakby od zawsze czekały za kulisami na swoją kolej. – Kocham cię, skarbie, i będę cię kochała zawsze.

– Ja ciebie też kocham. – Abby podniosła na nią oczy pełne łez. Twarz miała zaczerwienioną od płaczu, na policzkach czarne ślady rozmazanego tuszu. – Bardzo cię kocham... jesteś dla mnie mamą... zawsze byłaś i zawsze będziesz.

– Racja, skarbie. Już nie płacz. Jakoś to ogarniemy.

– Nie rozumiem, dlaczego... dlaczego ciągle mnie kochasz. – Abby pokręciła głową, z jej oczu na nowo popłynęły łzy. – Dobrze wiem, że nie zasługuję... nawet na to, żeby w ogóle z tobą być.

– Co ty wygadujesz! Straszne bzdury. Nawet tak nie myśl.

– Taka jest prawda. Zachowywałam się okropnie... Ty do mnie wydzwaniałaś, a ja ani



razu nie oddzwoniłam... Chciałam, naprawdę, tylko że tata mi zabronił... Bałam się... Na pewno by się wściekł, gdyby się dowiedział... Dlatego nie dzwoniłam. – Rozszlochała się w głos. – Tak mi strasznie przykro... Przepraszam... Czuję się winna... Nie wiem, jak cię przeproszać... Nie mam gdzie się podziać... Jestem okropna...

– Uspokój się, kochanie – powiedziała Jill ze ściśniętym gardłem. Przytuliła Abby do piersi, ukołysała ją łagodnie. – Dobrze wiesz, że gdyby nic nam nie stało na drodze, nie straciłybyśmy kontaktu.

Starła się za wszelką cenę utrzymać więź z dziewczynkami, jednak William stanowczo zażądał, by się usunęła z ich życia, groził jej nawet zakazem sądowym. Zasięgnęła porady prawnej, niestety, uzyskała jedynie potwierdzenie, że nie ma żadnych praw do dziewcząt, co więcej, prawnik podkreślił z naciskiem, że gdyby złamała sądowy zakaz zbliżania się do córek byłego męża, dziewczynki musiałyby zeznawać przed sądem, a do tego nie chciała doprowadzić pod żadnym pozorem.

– Nie wiem... Naprawdę nie rozumiem, jak w ogóle możesz mnie kochać – wyjąkała Abby. – Minęły trzy lata!

– Prawdziwa miłość nie liczy lat. – Jill nie widziała dziewcząt od pamiętnej strasznej nocy, lecz ciągle zdawało się jej, jakby to było wczoraj.

– Wiem... wiem. To ja jestem wszystkiemu winna. Źle cię traktowałam... chociaż tak bardzo się starałam utrzymać z nami kontakt.

– Nie wolno ci się obwiniać. Rozwód zawsze jest trudny dla wszystkich, których dotyka. Nie zrobiłaś nic złego. – Poglądziła rozdygotaną dziewczynę po włosach.

William gotów był mścić się na Jill za rozstanie dosłownie na wszelkie sposoby, nawet krzywdząc przy tym własne córki, ale w tej chwili nie chciała myśleć o byłym mężu, teraz liczyła się wyłącznie Abby.

– Nie rozumiem – załkała dziewczyna – jakim cudem potrafisz mi wybaczyć. Jestem okropna... Ale i tak wiedziałam, że mogę ci zaufać, że nie będziesz się na mnie wściekała.

– Skarbie, oczywiście nie mam żadnych pretensji, cieszę się na twój widok, nawet gdy przynosisz smutne wieści. Pomogę ci, jak tylko będę umiała. Dobrze zrobiłaś, że do mnie... przysłaś. – O mało nie powiedziała „wróciłaś”.

– Dziękuję... – Abby wtuliła twarz w szyję Jill. – Jesteś kochana. Tęskniłam za tobą. Strasznie się za tobą tęskniłam. Przepraszam, że nie oddzwaniałam... Miałam nadzieję, że wiesz... Jesteś dla mnie ważna.

– Wiem, słoneczko. Ja też cię kocham. Dlatego w końcu przestałam dzwonić. Ale nie było dnia, żebym o was obu nie myślała.

– Ja też o tobie ciągle myślałam i... i bardzo chciałam się z tobą zobaczyć.

– Już, kochanie, już dobrze. – Jill serce ścisnęło się w piersi, a równocześnie wezbrała w niej lodowata wściekłość. Miała nadzieję, że William smaży się w piekle. Dziwnie się czuła, rozdarta między nienawiścią do byłego męża a miłością do jego córki. – Staraj się oddychać głęboko. Dam ci chusteczki, wytrzesz oczy.

– Dobrze...

Abby rozluźniła uścisk, Jill podała jej kilka chusteczek.

– Proszę. Wydmuchaj nos, odetchnij, wypij trochę wody.

– O rany, ale się spłakałam, pewnie okropnie wyglądam. Zawsze ryczę jak jakiś zasmarkaniec... – Otarła chusteczką mokre oczy, poczerniałe od tuszu policzki, wydmuchała nos. – Ohyda.

– Śmiało, nie oszczędzaj. – Jill wyciągnęła z opakowania kilka białych prostokątów miękkiej ligniny.

Dziewczyna ponownie wytarła twarz, jeszcze raz solidnie wyczyściła nos.

– Tak się rozkleiłam. Przepraszam.

– Nic nie szkodzi, nie przejmuj się. – Jill podsunęła jej całe pudełko.

Abby chlipnęła i przycisnęła do oczu następną chusteczkę, zatrzymując ostatnie łzy.

– Czuję się... jak ostatnia smarkuła.

– Kiedy człowiek płacze, zawsze jest bezradny jak dziecko. Wypij chociaż trochę wody.

Dziewczyna wzięła szklankę do ręki. Na jej paznokciach błyszczał ciemnofioletowy

lakier.

Pod troskliwym spojrzeniem Jill łąpczywie przełknęła kilka łyków. Oczy miała podkrążone i nabiegłe krwią, jakby się nie wysypiała. Ubrana była w cienką sukienkę nieodpowiednią do pogody, materiał oblepił jej ciało, kształtne, choć nieco za szczupłe. Z ciemnych włosów nadal ściekały krople deszczu.

– Chcesz więcej wody? – spytała Jill. Równocześnie przeniosła spojrzenie na Sama, który akurat wrócił do kuchni z ręcznikami.

– Przyniosłem.

– Dziękuję. – Jill wzięła od niego ręczniki, jeden położyła na wyspie, przy opróżnionej szklance.

– Za wodę już dziękuję – zdecydowała Abby.

– To teraz się wytrzyj. – Jill zarzuciła dziewczynie ręcznik na ramiona i energicznie rozmasowała jej plecy. – Lepiej?

– Dużo lepiej. – Abby gwałtownie zaczerpnęła powietrza, zamarła w bezruchu, po czym kichnęła głośno.

– Chusteczkę?

– Nie, nie, dziękuję, nie trzeba. – Powoli dochodziła do siebie. – O rany. – Usiadła prosto, kilka razy mrugnęła energicznie, pozbywając się resztek łez. Zanurzyła twarz w ręczniku, a gdy go opuściła, zostały na nim ślady po różu i błyszczyku. – Oj, przepraszam.

– Nic nie szkodzi.

Jill podała jej kolejny ręcznik. Abby zarzuciła go na włosy i zwinęła w turban.

– Nie mieści mi się w głowie, że tata naprawdę nie żyje. – Westchnęła ciężko. Dolna warga jej wyraźnie zadrżała.

– Tak mi przykro, kochanie.

– Przepraszam, że się upiłam. – Wolno pokręciła głową, jej piękne oczy, ciemnobrązowe jak żyzna ziemia, lśniły.

– Daj spokój. Widocznie tego potrzebowałaś.

– W każdym razie teraz już jestem trzeźwa. Z całą pewnością.

Jill pogładziła ją po ramieniu.

– Chcesz kawy? Rozgrzejesz się.

– Chętnie.

– Nadal pijesz czarną? – Obeszła wyspę, stanęła przed ekspresem.

– Tak. – Abby uśmiechnęła się lekko. – Taką samą jak ty. – Poprawiła turban.

Wyrosła na niekwestionowaną piękność. Miała wielkie oczy, zgrabny prosty nosek i jasną skórę, usta w kształcie łuku Kupidyna.

– No to już parzę. – Jill wyłuskała z miski saszetkę z kawą, wrzuciła ją do ekspresu, po czym kubek wyjęty z szafki wsunęła pod dyszę i wcisnęła przełącznik z napisem WRZĄTEK. – Zjadłabyś coś? – spytała.

– Jeśli to nie kłopot...

– Żaden. – Jill od razu poczuła się pewniej. Zawsze tak było: jeśli nie mogła czemuś natychmiast zaradzić, ciągnęło ją do kuchni. – Może maczanki? Wiesz, tosty francuskie?

– Moje ulubione. – Abby uśmiechnęła się blado, oczy jej rozbłyły. – Że też pamiętasz takie drobiazgi...

– Pamiętam, oczywiście – zapewniła ją Jill. Wyjęła z lodówki jajka, chleb i plastikową butelkę z mlekiem dwuprocentowym. – Niestety, dni białego pieczywa odeszły w przeszłość. Mam tylko pełnoziarniste.

– Nie ma sprawy. O rany, jak mi brakowało twojego gotowania.

Wyraźne oznaki, że Abby dochodzi do siebie, poprawiły Jill samopoczucie. Rozłożyła rzeczy wyjęte z lodówki na kuchennym blacie, z przyjemnością wciągnęła w nozdrza świeży aromat kawy, który zaczynał się rozchodzić z ekspresu. – Sam, napijesz się z nami kawy? A może masz ochotę na tosty francuskie?

– Nie, dziękuję.

Stał oparty o zlew, ramiona założył na piersi. U jego stóp siedział Pulpet. Mokre plamy na koszulce i szortach Sama zaczynały wysychać. Podobnie jak u Jill.

Abby westchnęła ciężko.

– Tata umarł cztery dni temu, we wtorek. Gliniarze powiedzieli, że to był atak serca, spowodowany zmieszanym alkoholem i lekami.

Jill zamrugła niepewnie.

– Powiedziałaś chyba, że został zamordowany?

– Tak uważam.

– Policja jest innego zdania?

– Właśnie. – Abby wyprostowała się, gotowa bronić swoich racji. – Ale się mylą, wiem to na pewno. Jesteś lekarzem, znasz tatę. Nie brał żadnych leków. Ktoś go zamordował, niech sobie policja mówi, co chce.

Jill wbiła jajka do miski. Rzeczywiście, William nie brał żadnych leków, z drugiej strony jednak, jak się okazało, w zasadzie nie znała prawdziwego Williama Skylera, który w rzeczywistości był manipulatorem i oszustem, zamydlił oczy jej, Megan i własnym córkom.

– Czyli policja twierdzi, że to nie było morderstwo.

– Ich zdaniem doszło do przypadkowego przedawkowania. Nazywają to koktajlem... czy jakoś tak.

– Właśnie tak. Chodzi o zmieszanie z alkoholem pewnych leków, które w połączeniu z nim mogą się okazać niebezpieczne. – Kawa była już gotowa, Jill postawiła parujący kubek przed Abby. – Jakie leki przyjmował?

– Nie przyjmował żadnych. – Abby ujęła kubek w obie ręce, żeby rozgrzać dłonie.

– Dzisiaj przyszły wyniki, w ciele taty wykryto różne leki, ale ja wiem, że on nic nie brał. Nigdy nie łykał żadnych lekarstw. Zresztą sprawdziłam w internecie; te, które u niego znaleźli, wcale nie były groźne. – Siorbnęła łyk kawy i pociągnęła nosem. – Gliny znalazły jakieś butelki z pigułkami w sypialni, ale ja ich tam wcześniej nie widziałam. A oni nawet nie szukali odcisków palców, tak jak widziałam nieraz w telewizji, więc przecież nie wiedzą, skąd się tam wzięły.

– Co to były za pigułki? – Jill roztrzepała jajka widelcem.

– Znaleźli trzy opakowania. Xanax, vicodin i jeszcze jedno... nie pamiętam. Tema...

– Temazepam?

– Aha! – Abby rozchmurzyła się odrobinę. – Wiedziałam, że będziesz znała tę nazwę.

– To powszechnie stosowane leki na uspokojenie i przeciwbólne.

Jill wsypała do jajek szczyptę wanilii, ciemne paproszki zawirowały na jasnym tle.

Rozbiła całość widelcem.

– Tata ich nie stosował. – Abby poprawiła się na stołku. Z niesforenego kosmyka, który umknął spod miękkiego turbanu, spadła przezroczysta kropelka. – I jeszcze jedno: w gabinecie znaleźli butelkę whisky, ale nie było szklanki. Wyobrażasz sobie, żeby tata pił z butelki? W życiu! Leki też musiał ktoś podłożyć. Ten, kto go zabił.

– A co na to Victoria?

Przyszedł czas, by sięgnąć po patelnię schnącą na suszarce. Jill postawiła ją na kuchence, zapaliła gaz, na środku położyła plaster masła.

– Jej zdaniem nie umiem się pogodzić ze śmiercią taty.

Tyle można się było domyślić. Victoria zawsze przedkładała umysł nad serce.

– Może ma rację? Naprawdę trudno sobie wyobrazić...

– Pewnie, że trudno. Ale Victoria się myli. Policja też. Znajdę dowody. – Abby spuściła wzrok na psa, który zamierzał ogonem, rozpryskując po kuchni drobne krople. Położyła dłoń na złotorudym łbie, przyglądała wilgotną sierść sterczącą jak włosy punka. – Stęskniłam się za tym psiskiem – westchnęła. – Pamiętasz, jak go brałyśmy?

– Jasne! – przytaknęła Jill.

I rzeczywiście, pamiętała doskonale. Dzień był chłodny, lecz słoneczny, po południu dotarły do psiego schroniska w hrabstwie Delaware. Wszystkie trzy dziewczynki piałły z zachwytu nad miotem puchatych złotych szceniąt. Abby przytuliła najtłuściejsze i od razu znalazła dla niego imię. Pulpet.

– Gdzie jest Megan? – spytała dziewczyna, poprawiając ręcznik.

– Nocuje u koleżanki. – Jill namoczyła kromkę chleba w jajkach.

– Aaa... Szkoda. Chętnie bym z nią pogadała. Za nią też się stęskniłam.

– Zostań na noc. Spotkacie się rano. Sam, co ty na to?

Raptem Jill uświadomiła sobie ze wstydem, że nie przedstawiła sobie nawzajem najważniejszych osób w jej życiu. Zapomniała o grzankach.

– Ojej, strasznie przepraszam, całkiem zapomniałam... Abby, to jest mój narzeczony, Sam Becker. Sam, Abby Skyler.

– Miło mi. – Sam uśmiechnął się do dziewczyny, jednak bez prawdziwej wesołości.

– Przyjmij moje najszczerze kondolencje z powodu śmierci ojca – powiedział ze współczuciem. – Oczywiście zapraszam cię, przenocuj u nas.

Abby wydawała się niezbyt przekonana, można było odnieść wrażenie, że się od Sama odsuwa. Mimo wszystko zdobyła się na uprzejmość.

– Mnie także miło cię poznać.

– No to w porządku – odezwała się Jill trochę niezręcznie.

Uświadomiła sobie, jakie to dziwne, że Abby i Sam poznali się dopiero teraz, do jakiego stopnia jej życie jest podzielone na odrębne etapy, i nie tylko za sprawą dwóch minionych małżeństw, lecz także trzeciego, aktualnie na etapie planowania. Williama poznała jako wdowa, Sam miał zostać jej trzecim mężem.

Abby nie spuszczała z niego wzroku.

– Sam – odezwała się w końcu. – Czy mi się wydaje, czy jakoś nadepnęłam ci na odcisk? Coś przeskrobałam? Masz mi coś za złe?

Jill zeszywniała. Poczula przykry zapach palonego masła i machinalnie zakręciła gaz.

– Nie, skądże – zapewnił Sam. – Zwyczajnie się o ciebie martwię. Prowadziłaś po alkoholu, a to niebezpieczne dla ciebie i dla innych.

Jill przeniosła na Abby zdumione spojrzenie.

– Prowadziłaś? Myślałam, że wysiadłaś z tego suva.

– Nie mam suwa. I zaparkowałam za rogiem. Znalazłam twój adres w sieci, ale nie mogłam trafić... – Spuściła wzrok na Pulpeta, który trącił ją wilgotnym nosem, bo przestała go drapać po łbie. – Przepraszam – powiedziała cicho. – To się już nie powtórzy.

– Trzymam cię za słowo, kochanie. – Jill nie miała serca robić jej wykładu akurat tego wieczoru. – Co piłaś?

– Trochę wódki z sokiem pomarańczowym.

– Alkohol wysokoprocentowy? – Jill była niemile zaskoczona. Wszystkie trzy dziewczynki pływały, sama je uczyła. Abby zawsze dbała o kondycję, w pływaniu odnosiła sukcesy, a wódki ze sportem nie da się pogodzić.

– Wiem, wiem, przepraszam. Jakoś tak... byłam zdenerwowana... – Dziewczyna pogładziła Pulpeta, który położył ciężki łeb na jej kolanach. – Za nim też się stęskniłam – powiedziała z czułym uśmiechem. – Bałam się, czy jeszcze żyje.

– Nie jest jeszcze taki znowu stary...

– Oj, ma swoje lata. W walentynki skończy dziesięć. – Solidnie wyklepała psa po bokach. Gdy się nad nim pochyliła, dekolt mokrej sukienki odsłonił kwiecisty tatuaż nad piersią.

– Naprawdę? – Jill starała się nie zatrzymywać wzroku na kontrowersyjnej ozdobie.

Na moment ogarnęła ją nostalgia. Abby zaczęła pić, dorosła do tatuażu, Pulpet zdążył się zestarzeć... Kiedy to się stało? Czas uciekał w zastraszającym tempie.

– A mówiłaś, że pamiętasz, jak go brałyśmy – zdziwiła się Abby. – To przecież było w walentynki. Dostałaś go w prezencie od taty.

– Rzeczywiście. – O tym zapomniała.

Pozwoliła wspomnieniom odejść w przeszłość, zbłądziła wzrokiem na Sama, który otarł papierowym ręcznikiem twarz, a potem zabrał się do wycierania okularów.

– Ładnie tutaj – stwierdziła Abby, rozglądając się po kuchni. – Od razu widać twoją rękę.

– Dziękuję.

Jill potoczyła wokół dumnym spojrzeniem. Wnętrze ciągle jeszcze nie było wykończone, mimo to w kuchni panowała ciepła, domowa atmosfera. Biel szafek została przełamana blatami w kolorze kości słoniowej poznaczonej miodowymi żyłkami. Ściany leciuteńko połyskiwały starym złotem, a całość punktował wiśniowy stół oraz najważniejszy element, wyspa, przy której się jadło, zaglądało do laptopa i odrabiało lekcje – prawdziwe Słońce ich rodzinnego Układu Słonecznego.

– Nie gniewaj się o tę wódkę – poprosiła Abby.

– Nie ma o czym mówić – ucięła Jill. Z jednej strony ciekawiło ją, gdzie dziewczyna kupiła mocny alkohol, ale z drugiej nie zamierzała jej nękać pytaniami. Uciekła do innego tematu. – Widziałam na Facebooku, że Victoria studiuje prawo w Seton Hall. Jak jej idzie?

Sam podniósł na nią wzrok i choć się nie odezwał, Jill łatwo zgadła, w czym rzecz. Zdziwił się, że oglądała profile dziewcząt na portalu społecznościowym. Nigdy mu o tym nie wspominała.

– Victoria uwielbia studiować prawo i nikogo to nie dziwi. Do śmierci taty radziła sobie rewelacyjnie. – Abby urwała na moment. – Sama wiesz, jaka ona jest. Pozbiera się.

– Z czasem obie weźmiecie się w garść, nie ma pośpiechu. Żałoba ma swoje prawa, musi potrwać. – Jill nie wątpiła, że Victoria skrywa rozpacz na dnie serca, podobnie jak to miała w zwyczaju Megan.

– Mieszka z koleżankami niedaleko uczelni. Ja dotąd mieszkałam z tatą w mieście, ale teraz nie wiem, co będzie.

– Dlaczego nie chodzisz do college'u, kochanie? Jesteś bystrą dziewczynką. – Jill

starala się mówić lekkim tonem, jednak Abby skuliła ramiona.

– Na razie pracuję jako kelnerka. Pewnie widziałaś, że zdałam na sztuki piękne, ale zerwałam z Santosem i jakoś tak się porobiło... Wrócę do szkoły, wiem, że powinnam, chcę się uczyć. – Znów jakby uszło z niej powietrze. Turban zsunął się na bok. – No, wszystko jedno. Miałam ci powiedzieć, że jutro jest uroczystość pożegnania taty. Już został skremowany. Victoria się wszystkim zajęła, ja nie mogłam... – Westchnęła ciężko. – Przyjdiesz? I Megan też by mogła?

– Zobaczmy. Muszę ją zapytać. Wiem, że będzie jej bardzo przykro z powodu śmierci twojego taty.

– Potem mogłybyśmy pojechać do domu, pokazałabym ci, o czym mówię. Też byś się przekonała, że tata został zamordowany.

Jill była wewnątrznie rozdarta.

– Na to nie mogę sobie pozwolić, kochanie. Szczególnie z Megan.

– Pokażę ci medyczne papiery taty. Nie przyjmował takich leków, nie ma o nich żadnej wzmianki. Na pewno pamiętasz, że zawsze pedantycznie zbierał wszystkie dokumenty związane ze swoim stanem zdrowia ze względu na cholesterol.

Jill wróciła do tostów, jednak nadal uważnie słuchała.

Rzeczywiście, musiała przyznać, William zawsze dbał o formę. Zaniedbywał wszystkich innych, także własne córki, jednak o siebie dbał.

– W życiu by nie przełknął żadnych takich pigułek. Nigdy by tego nie zrobił świadomie i z własnej woli. Dlatego uważam, że został zamordowany, a ty możesz mi pomóc zorientować się, w jaki sposób.

– Nie mogę. Jestem pediatrą, nie detektywem.

– Jesteś lekarzem. Sherlock Holmes też był lekarzem. Sama mi to powiedziałaś, pamiętasz? Przed sprawdzianem z angielskiego. I napisałam go śpiewająco. Dzięki tobie.

Jill się wzruszyła.

– Powiedziałam ci wtedy, że autor *Sherlocka Holmesa*, sir Arthur Conan Doyle, był cenionym lekarzem. A doktor Watson był równie istotnym bohaterem jak genialny detektyw.

– Aha, i powiedziałaś też, że rozwiązują zagadkę morderstwa, tak samo jak ty diagnozujesz chorobę. Proszę cię, potrzebuję twojej pomocy. Razem na pewno coś zdziałamy.

– Drogie panie, zostawię was. – Sam podszedł do Jill, musnął ustami jej policzek.

– Kocham cię. Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała. – Wyprostował się, odwrócił do Abby. – Dobrej nocy.

– Dobranoc. – Pomachała mu oszczędnym gestem. A ledwo wyszedł z kuchni, odezwała się konspiracyjnym szeptem: – Nie wydaje ci się, że on jest dla ciebie za stary?

– Ciicho! – Jill zobaczyła, jak Sam się ogląda na schodach. – Nie jest dla mnie za stary. – Abby wyraźnie jeszcze nie wytrzeźwiała. – Dokończ kawę.

## Rozdział 3

- Pewnie byś chciała wziąć prysznic, zanim się położysz?
- We dwie szły na górę, Abby nadal miała na głowie turban z ręcznika.
- Aha, chętnie. A potem opatulisz mnie i ułożysz do snu, jak za dawnych dobrych czasów.
- Świetna myśl. – Objęła dziewczynę za ramiona.
- Abby podniosła na nią wzrok przepelniony smutkiem.
- Po tobie tata już z nikim nie związał się na poważnie. Poznałyśmy kilka jego dziewczyn, ale żadna nie utrzymała się dłużej.
- To przykre. – Jill nie śpieszyła się z osobistymi komentarzami. Na półpiętrze skręciły w lewo, przeszły obok jej zdjęć z Megan. – Tędy. Mamy pokój gościnny z łazienką.
- Abby przystanęła na ostatnim stopniu.
- Jakie miłe te zdjęcia. Kto je robił? Zawodowy fotograf?
- Nie, Sam. Takie ma hobby.
- To jest najlepsze. To, gdzie jesteś tylko ty.
- Dziewczyna dłuższy czas przyglądała się portretowi. Zdjęcie przedstawiało roześmianą Jill gdzieś na wybrzeżu New Jersey, z włosami skręconymi od wilgoci wiszącej w powietrzu. Sam starał się ją rozluźnić, udał, że aparat upadł mu w piasek, stąd ten śmiech. Jill uwielbiała to zdjęcie, bo kochała fotografa.
- Ach... byłam wtedy młodsza.
- Teraz też nie jesteś stara. A z takimi włosami wyglądasz nieziemsko seksownie. Powinnaś zawsze nosić rozpuszczone.
- Dajże spokój. Nie mam czasu na pielęgnowanie włosów, a poza wszystkim innym to nie jest fryzura odpowiednia dla lekarza.
- Pamiętasz, jak byłam mała, byłyśmy takie podobne do siebie, że ludzie brali nas za matkę i córkę. Zobacz, masz prosty nos, ja taki sam. – Abby wycelowała w podobiznę Jill umalowanym paznokciem. – Mamy oczy o takim samym kształcie i prawie w tym samym odcieniu brązu, tylko ty masz minimalnie jaśniejsze. No, włosy faktycznie się różnią, u mnie brakuje tego rudawego połysku, ale uśmiech mamy identyczny. Moim zdaniem uśmiech to nasz największy atut.
- Jill zdobyła się na uśmiech, lecz nie mogła zignorować melancholii w głosie Abby.
- Wiesz, że zaglądałam do ciebie na Facebooku? Twój tata nalegał, żebym do ciebie nie pisała ani nie dodawała postów na twoim profilu, więc tego nie robiłam, jednak czytałam twoje wpisy na bieżąco.
- Domyśliłam się, jasne – odparła Abby z rozmarzonym uśmiechem.
- Wiem o kocie Korniszonie, o wypadku samochodowym i wiem, ile smutku ci przysporzyło zerwanie z chłopakiem. – Nie dodała, że chłopak wydał jej się typem dość prymitywnym.
- Uwielbiam Korniszona – przyznała Abby trochę weselej.
- I nic dziwnego. Nie ma na świecie słodszych kociaka.
- Widziałaś to zdjęcie, na którym był w koszu z rzeczami do prania?
- Oczywiście! Uwielbiam rude koty. Są najpiękniejsze.
- Co fakt, to fakt. Tata kazał nam usunąć cię z przyjaciół i Victoria go posłuchała, ale

ja nie. Tylko zmieniłam ustawienia na prywatne, żeby o niczym nie wiedział. Teraz mi głupio nawet mówić o tym...

Jill uściśniła dziewczynę serdecznie.

– Czas pod prysznic.

– Jasne.

Razem poszły do pokoju gościnnego. Gdy Jill włączyła światło, zamrugało i zgasło.

Wnętrze pogrążyło się w ciemnościach.

– Do licha! Przyniosę nową żarówkę. I pościel. Ostatnio spał tutaj Steven, syn Sama. Mieszka w Austin, pracuje tam jako architekt.

– A Sam mieszka tutaj z tobą i z Megan?

– Tak. Kupiłam ten dom po rozwodzie. Sam miał mieszkanie w Filadelfii, sprzedał je i zamieszkaliśmy razem.

– Kiedy zamierzacie się pobrać?

– Latem, w czerwcu. – Nie wiedzieć czemu, mówiąc o szczegółach, poczuła się zakłopotana.

Abby uśmiechnęła się drżąc.

– W ten sposób Steven zostanie twoim pasierbem? I stoimy w progu pokoju pasierba?

Wnętrze rozjaśniło na moment poszarpane światło błyskawicy. Abby podskoczyła.

– Może bym się przespała w pokoju Megan? Skoro i tak jej nie ma...

– Jasne. – Jill była pewna, że w tych okolicznościach Megan nie miałyby nic przeciwko temu. – Chodźmy.

– Cudownie. – Abby poszła za Jill korytarzem, Pulpet trzymał się między nimi, cały rozdygotany ze strachu. – Widzę, że nadal boi się piorunów.

– Masz dobrą pamięć, kochanie. – Jill weszła do pokoju córki, zapaliła światło.

– Jesteśmy na miejscu.

– Ale tu cudnie!

Abby stanęła w progu i powoli ogarnęła spojrzeniem przestronne wnętrze, gdzie przyciągało wzrok białe łóżko z baldachimem, przykryte narzutą w różowy wzór. Na wprost drzwi znajdowało się okno wykuszowe, a w utworzonej przez nie wnęce – miękkie siedzisko. Wystroju dopełniał komplet mebli dębowych: biurko i półki na książki. Na tablicy nad biurkiem wisiało wiele dyplomów za osiągnięcia pływackie, fotografii drużyny, a także kadrów ze szkolnego przedstawienia teatralnego, błyszczących fotografii Michaela Phelpsa, zdjęć filadelfijskiej drużyny baseballowej Phillies oraz fotek aktorów ze *Zmierzchu* powycinanych z gazet.

– Łazienka jest po prawej – odpowiedziała Jill, jednak całkiem niepotrzebnie, bo Abby już do niej szła. Za nią dreptał Pulpet.

– Megan zawsze była schludna.

– I nadal jest – przyznała Jill.

Zatrzymała się w progu łazienki, w przeciwieństwie do psa, który umościł się na dywaniku. Wskazała półkę obok prysznicza, gdzie pysznił się rząd modnych kosmetyków do pielęgnacji włosów.

– Nie zapomnij pozamykać.

– Wciąż nas straszy widmo soku pomarańczowego. – Abby uśmiechnęła się odrobinę niepewnie.

– Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek zapomniała tę scenę. Na dobrą sprawę była zabawna, ale jednak.

Któregoś razu wyjęła z lodówki butelkę ze świeżo wyciśniętym sokiem



pomarańczowym, potrząsnęła nią energicznie i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że Abby nie dokręciła nakrętki. W efekcie ściany kuchni na jakiś czas zmieniły kolor oraz fakturę.

- Kap się już, zaraz przyniosę ręczniki.
- Dzięki.

Abby niespodziewanie cmoknęła ją w policzek. Jill zamarła w bezruchu, rozdarta między zaskakującymi odczuciami. Dobrze było znowu móc zaopiekować się tą kochaną niesforną dziewczyną, a z drugiej strony jakież to dziwne uczucie po latach... Poszła do bielizniarki, wyjęła z niej ręczniki i w drodze powrotnej zajrzała do Sama.

– Nie kładziesz się jeszcze? – spytała, wchodząc do jego gabinetu, niewielkiego pokoju o ścianach zastawionych regałami z wydawnictwami medycznymi oraz nagrodami za odczyty i wykłady. Sam uczył w szkole medycznej w Penn, a przy tym prowadził badania nad cukrzycą.

– Czekam na ciebie. – Siedział przy swoim ukochanym starym biurku pod oknem, czytał coś w internecie. Na jego ustach pojawił się zatroskany uśmiech. – Co z tą małą?

- W porządku. Miło mi, że byłeś dla niej taki serdeczny.

Po uwadze Abby przyjrzała mu się na nowo. W okularach odbijała się biała strona z drobnymi rządami przypisów u dołu, za szklami w szylkretowej oprawie lśniły niebieskie oczy zdradzające niepospolitą inteligencję i poczucie humoru. Był zaledwie osiem lat od niej starszy, kurze łapki w kącikach oczu, siwe nitki we włosach i zmarszczki wyrzeźbione pogodnym uśmiechem dodawały mu uroku. Miała szczęście, że los skrzyżował ich ścieżki.

- To nic szczególnego.
- Jest wyraźnie rozstrojona. Normalnie zachowuje się inaczej.
- Trudno się dziwić. – Sam zdjął okulary. Odłożył je na blat, na którym były tylko laptop i iPhone. – Współczuję ci z powodu śmierci Williama.

– Właściwie jego śmierć martwi mnie głównie ze względu na dziewczęta. – Obejrzała się przez ramię, czy aby na pewno gość jej nie słyszy. – A i Megan nie przejdzie przez to łatwo, bo swego czasu znalazła się w niezbyt szczęśliwej sytuacji... Pokochała Williama całym sercem, tymczasem on po rozwodzie nie odbierał jej telefonów i nie odpowiadał na SMS-y. Wycierpiała swoje. Teraz już nawet nie będzie miała możliwości zapytać go, dlaczego ją ignorował, nigdy tego nie zrozumie.

– Pomożemy jej, jak tylko zdołamy. Zrobię wszystko, żeby jej ułatwić przejście przez żalobę. – Umilkł na moment. – Na jutro jestem umówiony z Lee, przylatuje z Cleveland. Jeżeli chcesz iść na tę ceremonię żałobną, przełożę spotkanie.

Jill była szczerze wzruszona.

- Zdaje mi się, że on tu przylatuje specjalnie do ciebie?
- To prawda, lecz na pewno zrozumie okoliczności.
- Nie przekładaj spotkania. Bardzo ci dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby. Jeżeli Megan będzie chciała pójść, wybierzemy się razem. W przeciwnym razie nie idę.

Sam ściągnął brwi.

- Na pewno?
- Tak.
- Dobrze. Aha... Obiecaj mi, proszę, że nie dasz się wciągnąć w tę całą historię z morderstwem. To przecież absurd, oboje wiemy, że w internecie roi się od idiotyzmów na temat zabójczych leków.

– Nie dam się wciągnąć, masz moje słowo. Gliny są ekspertami, ja nie. – Pocałowała Sama. – Śmigam do łazienki.

- Przyjdź niedługo się położyć, już późno.

– Zaraz wrócę.

Przeszła do pokoju Megan. Drzwi łazienki zastała zamknięte, spod nich wydobywała się para. Zapukała.

– Przyniosłam ręczniki.

– A, w końcu obyło się bez nich. – Abby stanęła w progu, ubrana w jedną z koszul nocnych Megan, uszytą z flaneli w czerwone pasy. – Tę sobie wzięłam. Kiedyś była moja, pamiętasz?

– Oczywiście.

– Teraz jest jeszcze lepsza niż dawniej, miękciejsza. Niesamowite, że Megan ciągle jej używa.

– Rzadko sypia w czymś innym.

Megan zakochała się w tej konkretnej koszuli nocnej beznadziejnie, a nie sposób było kupić identycznej i w końcu Abby podarowała jej własną. Zapakowała elegancko i wręczyła jako prezent gwiazdkowy. Megan była uszczęśliwiona.

– Lecę z nóg. – Abby weszła do pokoju, klaszcząc o podłogę gołymi stopami.

Wdrapała się na łóżko i wsunęła pod kołdrę. – Bosko! – westchnęła.

Pulpet ułożył się obok, wyciągnął przednie łapy.

Jill odruchowo otuliła dziewczynę. Matka zawsze jest matką.

– Pamiętam, jak spałyście z Megan w jednym łóżku, chociaż ledwo się mieściłyście.

– Tak było. – Abby się uśmiechnęła. Jej oddech pachniał miętową pastą do zębów.

– Było super. Gadałyśmy szeptem, żebyście nas nie słyszeli. Pulpet też się pakował do łóżka, szczególnie gdy padało. – Rozzochrała sierść na psim grzbiecie. – Na pewno Megan też chętnie by wróciła do tamtych czasów.

– Na pewno. – Jill usiadła na brzegu łóżka, odgarnęła z czoła dziewczyny mokre pasma. Jeden z kosmyków zalśnił elektrycznym błękitem. – Chcesz wytrzeć włosy?

– Nie, dziękuję, nie trzeba, same wyschną. – Abby zamilkła na moment. – Mogłabyś mi powiedzieć, co zaszło między tobą a tatą? Znam jego wersję, ale chciałabym wiedzieć, jak to widzisz. Dlaczego się rozwiedliście?

Jill zeszywniała lekko. Coś zakłuło ją w piersiach.

– O tym porozmawiamy innym razem – ucięła stanowczo. Gdyby powiedziała dziewczynie prawdę, William wyszedłby na drania, a z doświadczenia wiedziała, że dzieci postrzegające rodziców w negatywnym kontekście na siebie także patrzą nieprzychylnie.

– Z pewnością nie dzisiaj. – Poglądziła ją po włosach. – Niebieskie pasemko...

– Mhm. Fajne, nie?

– Fajne. Ale tatuaż to już całkiem inna sprawa. – Ściągnęła brwi z udawaną surowością. – Żadnych więcej tatuży, bardzo proszę. Co prawda nie mam już nad tobą władzy rodzicielskiej, ale posłuchaj głosu rozsądku.

– Zawsze będziesz moją mamą.

– Przykro mi, że zostałam bez ojca, kochanie. Gdybym tylko mogła, chętnie bym ci oszczędziła takich przejść.

– Okropnie wyglądał taki nieruchomy... Bo wiesz, to ja go znalazłam.

– Współczuję...

– Wróciłam do domu i w pewnej chwili zorientowałam się, że kot bez przerwy miauczy, chociaż normalnie właściwie się nie odzywa. Na górze był włączony telewizor, a tata leżał na łóżku. Jego twarz wyglądała dziwnie, była taka... rozlana.

Jill bez trudu wyobraziła sobie, jak traumatycznym przeżyciem dla osoby w wieku Abby był widok nieboszczyka. Ona sama, chociaż w czasie studiów medycznych kroila zwłoki, nigdy

do tego nie przywykła. Długie miesiące minęły, zanim uwolniła się od szokujących obrazów, a i tak nie od wszystkich. Niektóre utkwily jej w pamięci na zawsze.

– Miał otwarte usta... – podjęła Abby – jakoś tak dziwnie, wargi mu zwisały...  
– Nie udało jej się stłumić szlochu. – I oczy... otwarte... nieruchome, jakby zimne... I taki niewidzący wzrok...

Jill przytuliła ją mocniej. Doskonale знаła martwe spojrzenie trupa i świetnie zdawała sobie sprawę z tego, że czym innym jest nieruchome spojrzenie obcego człowieka leżącego sztywno na stole sekcyjnym, a czymś zupełnie innym niewidzące, martwe oczy ukochanej osoby. To drugie uczucie także znała. Zdarzyło się kiedyś, że w pogodnym nastroju na lekcji anatomii definiowała położenie nerwu trójdzielnego w policzku, a niedługo później, zaraz po powrocie do domu, stanęła nad innym ciałem... To drugie należało do człowieka, którego kochała całym sercem.

– Wołałam go – mówiła dalej Abby – chwyciłam za głowę, chciałam, żeby na mnie spojrział... Ale on nic już nie widział. Nic.

Jill była w podobnej sytuacji wtedy, gdy znalazła Graya, swojego pierwszego męża, martwego na podłodze w kuchni. Usiłowała go ratować, robiła sztuczne oddychanie i masaż serca, bez skutku. Tętniak mózgu wygrał. Tydzień później dowiedziała się, że jest w ciąży.

– Chwyciłam go za ramiona i potrząsnęłam... – mówiła dalej Abby. – Wtedy szczęka mu jakoś tak dziwnie opadła... i głowa zwisała na plecach... Jakby miał szyję z gumy, jakby mu zniknęły kości...

Łzy zapiekły Jill pod powiekami, odżyły wspomnienia, wróciły emocje z tamtej chwili, gdy znalazła Graya – szok, rozpacz, poczucie oderwania od rzeczywistości. Straszne. I cóż za ironia losu: łzy cisnęły jej się do oczu na wspomnienie śmierci pierwszego męża, gdy Abby oplakiwała śmierć jej drugiego męża, swego ojca...

– Jill, proszę, pomóż mi znaleźć mordercę. Sama nie dam rady.

– Kochanie, teraz nie czas na takie rozmowy.

– Tak cię proszę... Przynajmniej się nad tym zastanów, dobrze? Bardzo proszę.

– Dobrze, zastanowię się. A teraz oddychaj równo i głęboko.

Kołysała ją w ramionach, aż dziewczynę w końcu uspiła. Potem ostrożnie podniosła się z łóżka, otuliła Abby kołdrą i wyłączyła światło.

Pogrążając się w ciemnościach.

## Rozdział 4

Jill odpowiadała na listy elektroniczne od pacjentów. Pracowała w łóżku, ciepły laptop ustawiła na poduszce położonej na kolanach – ot, prowizoryczne biurko. Sam już spał, odwrócony do niej plecami, Pulpet drzemał w nogach, ciszę mąciło jedynie pochrapywanie w duecie człowieka i psa. Jill była zmęczona i chętnie także przytuliłaby się do poduszki, jednak wiedziała, że nie zaśnie, póki nie odpowie na pytania, które pacjenci zadali jeszcze przed weekendem.

„Ile kropli w łyżeczce?”.

„Czy podać jeszcze raz, jeżeli z wymiotuje?”.

„W końcu zżółkło, to chyba dobrze?”.

I tak dalej.

Odpowiedziała sumiennie na wszystkie, chociaż myśli ciągle jej uciekały w stronę Abby, Victorii, Megan i Williama. Zalewały ją wspomnienia z początku ich znajomości, z pierwszego dnia, z chwil, gdy wszystko się dopiero zaczynało: słoneczny blask na piaszczystej plaży w New Jersey, deski surfingowe, błękitne fale. Spotykała się z Williamem już od jakiegoś czasu, poznała go przy okazji pracy w zespole pediatrycznym. Grupa składała się z samych kobiet. William, przystojny dostawca farmaceutyków, zaglądał do nich co piątek. Wszystkie o nim plotkowały, a niektóre, jak na przykład Jill, skrycie się w nim podkochiwały, bo żadna, mimo stopni naukowych, nie miała odporności na jego wdzięk. Nawet szefowa biura, szczęśliwa mężatka, wywiesiła napis w damskiej toalecie: DZIĘKI CI BOŻE ZA WILLIAMA. Oczarował je wszystkie ten smagły przystojniak o szerokim, szczerym uśmiechu, spokojny i pewny siebie, mało tego – wdowiec z dwiema córeczkami.

Wyrwały się do niego serca wszystkich kobiet z pediatrii, każda chciała go pocieszać, tulić, przynosić mu ulgę w bólu, a czego nie wiedziały, tego się domyślały, luki w informacjach zapełniała wyobraźnia, wyposażając go we wszelkie zalety, jakie chciały w nim widzieć, oraz dostrzegając u niego własne uczucia zrodzone z fantazji. Wkrótce zaczął zwracać szczególną uwagę na Jill, jedyną samotną lekarkę i wdowę w tym gronie. Zaczynał rozmowę o córkach, zadawał celne pytania, uważnie słuchał odpowiedzi i tak to się rozwijało, aż z czasem rozmowy dotyczące zaopatrzenia w leki zaczęły się przeradzać w spotkania coraz bardziej przypominające wyjścia na randki. Jill staranniej robiła makijaż, wyobrażając sobie przy tym, jak to ona, samotna wdowa, oraz on, wdowiec, spotykają się, by po raz ostatni dać szansę miłości – historia rodem z anonsów ślubnych z niedzielnego „New York Timesa” – i tak, zanim postanowili, że ich córki powinny się poznać, zanim doszło do tego spotkania na plaży, była zakochana po uszy.

W wytworze fantazji.

William odgrywał swoją rolę perfekcyjnie. Jill z zachwytem przyglądała się, jak świetnie radzi sobie z Abby i Victorią, które wdrapywały mu się na ramiona, by skakać w spienione bałwany, jak nurkuje z dziećmi pod największe fale. Bawił się z nimi całkiem inaczej niż Jill z Megan, bo one kąpały się ostrożnie, zawsze pamiętając o fali wstecznej. Megan długi czas obserwowała Williama i jego córki z pewnej odległości. W efekcie, gdy William obrócił się do niej z uśmiechem, gdy śmiałym ruchem głowy odrzucił mokre włosy z czoła, gdy pochylił się, wąski w biodrach, szeroki w barach, i wyciągnął do niej muskularne ramię z dużą siłą

dłonią i smukłymi palcami, nieśmiało stworzonko bez ojca gotowe było pójść za nim na koniec świata.

– Chodź, nie ugryzę!

Jill patrzyła zauroczona, jak jej córka ochoczo wpada w ramiona tej egzotycznej istoty zwanej mężczyzną, po czym wszyscy razem hasali na falach.

Megan szybko przekonała się do Williama, on przyjął na siebie rolę jej ojca, a co do Jill – cóż, w naturalny sposób została matką dla osieroconej Abby, która nieomal natychmiast przyłgnęła do niej niczym ośmiornica. Victoria potrzebowała więcej czasu, by zaakceptować obcą kobietę, zawsze była bliżej ojca niż siostra i obawiała się rywalki, natomiast tamtego dnia na plaży bez najmniejszej rezerwy przyjęła Megan jako siostrę niestanowiącą konkurencji.

We wspomnieniach Jill widziała ich wszystkich w morzu, jakby obserwowała scenę z brzegu. Głowy wystające z wody, z odwróconymi twarzami, dokładnie tak jak zobaczyła ich tego dnia jej matka, Conchetta. Jill zawsze była z matką serdecznie zaprzyjaźniona, wtedy, na tamten urlop też, jak zwykle, pojechały we trzy z Megan. Conchetta przychodziła na plażę, gdy już minął największy skwar, siadała na plastikowym ażurowym leżaku pod parasolem w żółte pasy i czytała książkę.

Tamtego dnia zaszła pewna zmiana. Conchetta siedziała w tym samym miejscu co zwykle, ale nie otworzyła książki. Miała ściągnięte brwi, guzłowatą dłonią ocieniła oczy, a jej twarz, zwykle rozjaśniona ciepłym uśmiechem, zastygła w wyrazie ponurej czujności.

– On mi się nie podoba – powiedziała wtedy.

Zdumiewające. Jak mogła nie polubić Williama? Przecież Williama lubili wszyscy, a do tego matka darzyła sympatią cały świat, więc taki stan rzeczy był nienaturalny. Jill musiała spytać dlaczego.

– Nie ufam mu. I ty mu nie ufaj. On nie jest dla ciebie. Skrzywdzi cię.

Dzisiaj Jill wiedziała, że matka miała rację. Że wtedy, obserwując ich w morzu, widziała, co się dzieje naprawdę, a nie projekcję fantazji, skutek doskonałego aktorstwa, które omamiły Jill i inne kobiety. I faktycznie, William wykorzystał ją bez litości, była dla niego pierwszą naiwną, a nie żoną. Całe szczęście w tym wszystkim, że gdy prawda wyszła na jaw, Conchetta już nie żyła, bo bezwzględna rzeczywistość złamałaby jej serce.

Jill otarła łzy i nie namyślając się długo, otworzyła w laptopie stronę ze zdjęciami. Przeszła do starszych folderów. Kliknęła i na monitorze wykwitło zdjęcie Abby, które sama zrobiła jej na schodach przed wejściem do domu... do zupełnie innego domu, w innym mieście, dawno temu. Abby miała świeżo założony stały aparat ortodontyczny i w przeciwieństwie do innych dzieci znosiła to bardzo dzielnie, dumna z czerwonych ligatur, wybranych na cześć ulubionej drużyny baseballowej. Miała wtedy trzynaście lat, a więc była w tym samym wieku co Megan teraz, na etapie „chłopczycy”. Włosy niedbale splotła w warkocz, ubrana była w sweter klubu pływackiego, białe litery ułożone w półkole tworzyły nazwę drużyny Strafford Stokers.

To właśnie Jill zachęciła ją do wstąpienia do szkolnej drużyny pływackiej i z wielką przyjemnością uczyła ją pływać, a Abby chłonęła jej uwagi niczym gąbka, spragniona matki jak kania dżdżu. Victoria tymczasem chodziła własnymi ścieżkami, zbliżała się do macochy bardzo wolno, pozwalając Jill na budowanie więzi w czasie wypełnionych milczeniem wypraw samochodem do galerii handlowej, niezdatnych gratulacji po szkolnych występach, w trakcie krótkich spotkań. Jill zachowała wszystkie kartki z życzeniami od dziewcząt, co do jednej, a najbardziej lubiła tę z okazji Dnia Matki, wspólną od obu, otrzymaną po ślubie z Williamem. Wręczyła ją Victoria, jak najbardziej, a że kartka była ozdobiona różową koronką, każdy by

zgadł, że ona ją wybierała. Jill otworzyła kartkę i przeczytała jedno, jedyne zdanie zapisane pismem Victorii. Zapadło jej w pamięć na całe życie.

„Stało się. Oficjalnie jesteś naszą mamą”.

Była w tej beczce miodu łyżka dziegciu, bo sukces wymagał ogromnej pracy, a potem strata okazała się wyjątkowo bolesna. Rana ciągle jeszcze się nie zagoiła, czas jakoś nie dawał sobie z nią rady. Jill doskonale zdawała sobie sprawę, że nie ma w naturze więzi silniejszej niż ta, która łączy matkę z dzieckiem, a ona w dalszym ciągu czuła się matką obu córek Williama. Szła przez życie wystarczająco długo, by wiedzieć, że rozpad rodziny nigdy nie przebiega gładko, w ludzkich sercach zostają zadry. Czasami, jak tej nocy, miewała wrażenie, że rozdrapuje ledwo zabliznione rany.

Wcisnęła klawisz i przeszła do następnego zdjęcia, na którym Megan robiła minę do obiektywu. Miała wtedy osiem lat, akurat zaprzyjaźniła się z Abby na śmierć i życie. Mogły bez trudu uchodzić za siostry, bo obie miały wielkie brązowe oczy oraz ciemnoblond włosy. Megan wtedy nosiła warkocz upięty w koronę.

Jak powiedzieć córce o śmierci Williama? W chwili, gdy się poznali, mała dopiero co skończyła rok, a w czasie rozwodu miała lat dziesięć. William nigdy nie był szczególnie zainteresowany opieką nad dziećmi, nie poświęcał im wiele uwagi, zadając kłam aurze, jaką roztoczył tamtego dnia na plaży. Mimo wszystko był, istniał, choć bardziej jako wizerunek ojca niż ojciec rzeczywiście. Dziecku czasami tyle wystarcza. Jill pamiętała rodzinne wycieczki: jedną na farmę po dynie, inną do wesołego miasteczka, gdzie przejechali się kolejką górską, wrzeszcząc wniebogłosy. Ich wyprawy sprawiały wrażenie rodzinnej rozrywki, lecz nie trzeba było przyglądać się im pod mikroskopem, by dostrzec przykrą prawidłowość. Jill zajmowała się dziewczynkami, gdy tymczasem William chodził własnymi ścieżkami: a to musiał porozmawiać przez telefon, a to nie miał ochoty stać w długiej kolejce po frytki. Jeśli już zostawał z rodziną, był nieobecny duchem.

Jill włączyła pokaz slajdów. Obrazy następowały płynnie jeden po drugim. Megan, Abby, Victoria i William. Seria zawodów pływackich, deser w fast foodzie, świnki morskie. Po rozwodzie skończyły się zdjęcia pięciorga w komplecie, zaczęły fotografie tylko dwóch osób, matki z córką; okaleczona rodzina. Nie była to zmiana łatwa, ale potem Jill poznała Sama, który okazał się niezawodny we wszystkich dziedzinach życia, w których William zawiódł, i z czasem ruszyli w życie we troje, a Megan miała zyskać drugiego ojczyma w miejsce pierwszego, mającego jej zastąpić ojca, którego nie dane było jej poznać.

Zdjęcie córki z Samem i Stevenem, który stanowił wierną kopię ojca z okresu młodości. Wysoki, smukły i, jak się okazało, mądry. Oczywiście nie zastąpił Jill Abby i Victorii, bo nikt nie mógł ich zastąpić, nic nie mogło wypełnić pozostałej po nich pustki, zaleczyć ran. Nie trzeba ukończyć studiów medycznych, by wiedzieć, że ludzkie ciało w rzeczywistości wcale nie jest mocniejsze w miejscu dawnych uszkodzeń. A każdą bliznę świetnie widać, wystarczy się przyjrzeć.

– Kochanie?

Jill drgnęła, podniosła wzrok.

To Sam się przecknął. Zmrużył oczy w świetle lampy. Brwi miał ściągnięte, na nosie dwa różowe wgłębienia od okularów.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak, tak, jak najbardziej.

Wyłączyła laptop.

– Dlaczego nie śpisz? – spytał. Zatrzymał na niej spojrzenie oczu niebieskich i spokojnych jak morze bez fal. Naprawdę obchodziła go odpowiedź. – Martwi cię śmierć

Williama? Obawiasz się o Megan?

– Ech, w sumie jedno i drugie, ale przede wszystkim po prostu myślałam o swoim życiu.

– I co wymyśliłaś?

– Dotarło do mnie, że zebrałam całkiem solidną porcję doświadczeń. – Nie wiedzieć czemu poczuła się zakłopotana. – Mam co wspominać.

– Mnie nie przelicytujesz. Dłużej chodzę po tej ziemi.

– Niby tak, ale w moim życiu jednak więcej się działo. Dwa małżeństwa, dwie pasierbice... Straszna kołomyja. Czy to z mojej winy?

– Dajże spokój. – Sam się uśmiechnął. – Takie jest życie. I co, nad tym tak rozmyślasz? Pół biedy, bo przestraszyłem się, że szukasz w sieci informacji o temazepamie.

Cóż, przeszło jej to przez myśl.

– Współczuję Abby serdecznie – powiedziała.

– Wiem.

– Poza wszystkim innym, to rzeczywiście dziwne. Kwestia leków. Niepodobne do Williama.

– Nie wiesz, co się z nim działo przez ostatnich kilka lat.

– To prawda.

– A skoro znaleźli leki w toksykologii, to znaczy, że je brał. – Sam uniósł brew.

– Niekoniecznie. Mógł je przyjąć na przykład rozpuszczone w drinku. Temazepam jest w kapsułkach.

– Twoim zdaniem ktoś mu rozpuścił leki w drinku? To chyba mało prawdopodobne.

Przecież by się zorientował po smaku. – Sam przeczesał włosy palcami. – Jeśli naprawdę chcesz pomóc małej, zadzwonię do Sandy. Jest mi winna przysługę, a to przecież najlepszy psychoterapeuta w okolicy.

– Chętnie skorzystam – stwierdziła Jill z wdzięcznością. – Przemyślałam też sprawę uroczystości żałobnej i doszłam do wniosku, że trzeba pójść. Abby znalazła ciało, przeżyła traumę, nie chcę, żeby jutro była sama.

Sam pokiwał głową z namysłem.

– A co z Megan?

– Na pewno też będzie chciała iść.

– Skąd wiesz?

– Tak sądzę.

Więcej na ten temat nie powiedziała.

– Nie wiem, czy powinnaś jej pozwolić. Ma dopiero trzynaście lat, czy jest gotowa na takie doświadczenie?

– Powinnyśmy tam być.

– Skoro powinniście i chcecie, to musicie. – Sam się poddał.

Jill pogładziła go po ramieniu.

– Chyba nie czujesz się ignorowany? Abby na pewno uznała, że słabo się znacie...

– Jasne, całkiem zrozumiałe. – Sam poprawił poduszkę. – Zrobisz, co zechcesz, mnie akurat nic do tego.

Jill schyliła się i pocałowała go delikatnie.

– Późno już – stwierdził Sam. – Czas spać.

– Najwyższy – zgodziła się.

Odłożyła laptop na stolik nocny, gdzie zostało niewiele miejsca obok stertki książek, ulubionego kremu i kolczyków – złote koła nachodziły na siebie jak diagram Venna

w podręczniku do matematyki. Jeszcze nie tak dawno pomagała wszystkim trzem dziewczynkom... zwłaszcza Abby potrzebowała wsparcia w przedmiotach ścisłych. Jill siadała z nią przy kuchennym stole i razem przedzierały się przez matematyczne zawiłości, a tuż obok na blacie, w zasięgu ręki, leżało największe opakowanie M&M'sów. „W życiu nie zrozumieję geometrii!” – piekliła się mała.

Pod koniec gimnazjum obie serdecznie znienawidziły M&M'sy.

- Będę grzeczny – powiedział Sam.
- Co? – Wyrwana z myśli nie zrozumiała.
- Zaufaj mi.
- Ufam. – Uśmiechnęła się i zgasiła lampę.

Na sekundę przed tym, gdy światło zgasło, Pulpet uniósł łeb, ostatni błysk odbił się w jego lekko zamglonych ślepiach. Jill uświadomiła sobie, że pies jest w jej życiu dłużej niż Sam. Nie wyobrażała sobie, jak to będzie, gdy kiedyś go zabraknie. Wyciągnęła rękę, poklepała go po okrągłym zadzie.

- Zabierzmy Pulpeta na ślub – odezwała się cicho.
- Nie ma sprawy. To ty miałaś wątpliwości.
- Zmieniłam zdanie. Nawet jeśli będzie zaczepiał gości, trudno. Jakoś dadzą sobie radę.

W końcu jest właściwie członkiem rodziny.

– Postanowione. – Sam podciągnął koldrę pod brodę. – Może być moim pierwszym drużbą. Ma lepszą prezencję niż Mort.

- Dajże spokój. Mort jest uroczy.

Wsunęła się pod koldrę. Gładka tkanina objęła jej nogi chłodem.

– To prawda, jednak nie udało mu się dorosnąć. W przeciwieństwie do mnie, bo ja od razu urodziłem się dorosły.

Jill uśmiechnęła się do siebie. Między innymi właśnie to uwielbiała u Sama. Zawsze czuła się przy nim swobodnie, od samego początku, a poznali się na randce w ciemno zorganizowanej przez pewnego wspólnego znajomego, endokrynologa, który uznał, że Jill ze swoim zamiłowaniem do książek będzie doskonałą partią dla doktora medycyny. Jak się okazało, słusznie. Jedynie w towarzystwie Graya czuła się równie dobrze, tak samo swobodnie.

Przekręciła się na drugi bok, położyła głowę na ramieniu Sama. Pod policzkiem miała teraz miękką bawełnę jego T-shirta, wyblakłe wspomnienie czasów uniwersyteckich w Pensylwanii.

- W porządku? – Przytulił ją i pocałował w czoło.
- W porządku – przytaknęła i zasłuchała się w rytm jego serca.

Od czasu śmierci Graya słuchała serca całkiem inaczej: nie poszczególnych uderzeń, ale ciszy pomiędzy nimi, subtelnych szmerów, które mogły wyznaczać granicę między życiem a śmiercią. Nie miała pojęcia, czy robi to, ponieważ jest lekarzem, czy raczej dlatego, że los uczynił ją wdową. Może z obu powodów.

- Wszystko będzie dobrze – powiedział Sam, jakby czytał jej w myślach.
- Skąd wiesz? Jakie masz dowody?
- Pytasz poważnie?
- Oczywiście. Przecież jesteś naukowcem. Pokazuj mi fakty, a nie przekonanie.
- Dobrze, jak sobie życzysz. Przedstawię ci dowód, a jest on obecny tu i teraz.

Zaczekaj minutę, zaraz się przekonasz.

Jill uniosła brwi pytająco i skupiła się na czekaniu. Po chwili rzeczywiście dostała dowód.

Byli szczęśliwi. Darzyli siebie nawzajem dojrzałą, szczerą miłością zrodzoną



z wzajemnego szacunku. Sam był jej najlepszym przyjacielem, a ona jego serdeczną towarzyszką, oboje mieli fantastyczne dzieci i wiele innych powodów do radości.

W przestronnej, cichej sypialni ciemność spowijała ich czarnym aksamitem. Łagodny wietrzyk kojący świat po burzy igrał z firanką, alarm przeciwłamaniowy był włączony, a na parterze pomrukiwała zmywarka. Mieszkali przy ładnej, obsadzonej dębami ulicy na przedmieściach Filadelfii, podobnych do wszystkich przedmieść na całym świecie.

Sam przytulił ją czule.

- I jak dowód?
- Wspaniały. Ja ciebie też Kocham.
- Tak już zostanie na zawsze.
- Bardzo dobrze – odparła Jill.
- Pora spać – westchnął Sam.

Po chwili jego uścisk zelżał. Jeszcze moment i Sam odwrócił się na drugi bok, a Jill, pograżona w myślach, starannie otuliła się kołdrą. „Na zawsze”. Wierzyła w te słowa, gdy mając lat dwadzieścia kilka, słyszała je od Graya, który mówił szczerze, uwierzyła w nie po trzydziestce, gdy wypowiadał je William, notoryczny kłamca. Teraz wiedziała, że nie ma w życiu żadnej gwarancji i „na zawsze” może trwać bardzo krótko. Na przykład zaledwie do jutra.

Zamknęła oczy, zawieszona w czasie między przeszłością i teraźniejszością, pomiędzy dwoma światami: obywatel jednego, Sam, spał u jej boku, przybysz z drugiego, Abby, po drugiej stronie korytarza. Jeszcze niedawno sądziła, że obie pasierbice nieodwołalnie zostały w przeszłości jako element zamkniętego rozdziału życia, który tylko czasem wylaniał się niczym cień. Teraz miała nieodparte wrażenie, że przeszłość nakłada się na teraźniejszość, trochę jak półprzezroczysta kalka techniczna w dawnych podręcznikach anatomii. Najwyraźniej Abby i Victoria nie zniknęły z jej życia na dobre, raczej przyczaiły się niczym duchy w rodzinnym archiwum, czekając na ponowne odkrycie. Do dzisiaj.

A trzecie małżeństwo... Nie stać jej było na kolejną porażkę, Megan też nie. Wobec tego walczyła za nie obie, za ideę „na zawsze”. Bardzo pragnęła stałego związku. Koniecznie z Samem. Był ostatnią miłością jej życia.

Posłuszna impulsowi zsunęła z siebie T-shirt i bieliznę, przekręciła się na bok i przytuliła do pleców ukochanego mężczyzny. Objęła go w pasie, nosem trąciła w kark, pocałowała tuż pod uchem, gdzie została kępka szorstkich włosów, które umknęły przed ostrzem maszynki do golenia.

- Kochanie? – tchnęła najcichszym szeptem.

Sam nie potrzebował słów, by na jej pytanie odpowiedzieć. Drgnął we śnie i zaraz się obudził, przekręcił na plecy, sięgając po swoją wybraną, ukochaną kobietę, a ona jednocześnie przesunęła się na niego i pocałowała go w usta. Nadal smakował pastą do zębów, już miał przyśpieszony oddech. Nie trzeba go było namawiać, żeby się pozbył ubrania, w następnej chwili oboje byli nadzy, skóra dotykała skóry, nie dzieliło ich nic. Zostały dwa zestrojone ludzkie ciała, pierwotne i naturalne, bez okularów, stetoskopów, identyfikatorów. Zniknęły role odgrywane dla reszty świata, straciły ważność jak dekoracje po ostatnim przedstawieniu. Jill nie była w tej chwili ani matką, ani lekarzem, ani panią domu, tylko sobą, po prostu kobietą. Jego kobietą.

Wystarczało to za wszystkie role świata.

## Rozdział 5

– Mamo! – rozległ się gorączkowy szept. – Mamo! Abby jest u nas! Mamo, co się stało?

Jill otworzyła oczy i ze zdziwieniem zobaczyła Megan. Córka z rozpędu jeszcze raz potrząsnęła ją za ramię. Musiało być bardzo wcześnie, bo w sypialni nadal panował półmrok. Dziewczynka miała na sobie żółtą bluzę z kapturem, którą zwykle wkładała, idąc na trening. Włosy ściągnęła w koński ogon, suche końce odstawały na wszystkie strony, sztywne od chloru.

– Mamo, słyszysz? Abby jest u nas. Śpi w moim pokoju. Wiesz o tym?

– Wiem, kochanie, wiem. – Jill podparła się na łokciu.

Zegarek wskazywał piątą piętnaście, miała jeszcze dwie godziny snu przed pobudką do pracy.

– Co się stało, że tak wcześnie wróciłaś? – spytała córkę zaniepokojona. – Masz trening?

– Tak. Muszę wziąć rzeczy z pokoju, ale tam śpi Abby. Co się dzieje? Nic nie rozumiem!

– Trudno się dziwić. Zaraz ci wszystko wytłumaczę. – Usiadła na łóżku z ponurą świadomością, że będzie musiała powiedzieć córce o śmierci byłego ojczyma.

– No właśnie. Skąd Abby tutaj? I to w moim pokoju? Mama Courtney przyjedzie po mnie za dwadzieścia minut, ale jak ja mam tam wejść, skoro Abby śpi? W moim łóżku... i w mojej koszuli nocnej. Nic nie rozumiem.

– Uspokój się, słonko.

Chociaż rozmawiały szeptem, Sam otworzył oczy, a Pulpet już stał na łóżku, wywijając ogonem tak zamasyście, że cały zad chodził mu na boki.

– Cześć – odezwała się Megan do Sama. – Wiesz, że w moim pokoju śpi Abby? Poznaliście się? Jest w mojej koszuli nocnej.

– Tak, poznaliśmy się – odpowiedział Sam ze smutnym uśmiechem, doskonale zdając sobie sprawę, że nieubłaganie zbliża się moment rozmowy o śmierci Williama.

– Usiądź, córeczko – zarządziła Jill, poklepując kołdrę obok psa. – Musimy zamienić parę słów.

– Co się stało? Skąd ona się tu wzięła? – Megan usiadła, pogłaskała Pulpeta, odłożyła na kołdrę telefon, z którym się nie rozstawała. – Mamo, zaczynam się bać. Abby jest chora? Co jej się stało?

– Nic jej nie dolega, kochanie, natomiast mam złe wieści na temat Williama. – Nie było wyjścia, musiała zadać córce cios w serce. Macierzyństwo nie jest dla słabych. Objęła Megan za ramiona. – Przykro mi to mówić, lecz Abby przyszła tu wczoraj właśnie po to, by nam powiedzieć, że William umarł. Przed czterema dniami.

Megan zasłoniła usta dłonią, spomiędzy jej warg wydarł się stłumiony krzyk. Oczy jej zwilgotniały.

– Współczuję ci, kochanie. – Jill przytuliła córkę.

Megan z trudem powstrzymywała łzy.

– Niemożliwe – szepnęła. – To straszne.

– Tak mi przykro.

– Może to nieprawda? Jesteś pewna?  
– Tak.  
– Nie wierzę.  
– Mnie też trudno było uwierzyć. – Jill przytuliła córkę mocniej, pogładziła ją po włosach. W nozdrza uderzyły ją dziewczęce zapachy oliwki waniliowej i truskawkowej odżywki do włosów. – Miał zawał – dodała. – Nie zachował ostrożności przy przyjmowaniu leków.

Megan podniosła wzrok. Ściągnęła brwi.

- Jakich leków? Na alergię?
- Nie. Zmieszał leki z alkoholem.
- Wypił drinka i przez to umarł? – upewniła się Megan drżącym głosem.
- W pewnym sensie... tak.
- To w ogóle możliwe?
- Tak, kochanie.

Jill celowo nie wspomniała o podejrzeniach Abby. W tej chwili nie miały żadnego znaczenia, a Megan i tak była zdruzgotana.

Pulpet usiadł i położył ciężki łeb na nodze dziewczynki. Najwyraźniej i on wyczuł nastrój przygnębienia.

– Mamo, ale... ja nie czaję.

Gwara nastolatków nawet w najczarniejszej chwili.

Zaświergotał telefon komórkowy, sygnalizując nadejście wiadomości tekstowej, ale Megan, cała w nerwach, nie zareagowała.

– Córeczko, powinnam chyba zadzwonić do trenera, uprzedzić go, że nie przyjdiesz na trening.

– Nie dzwoń. – Megan wytarła oczy, jednak łzy natychmiast pojawiły się w nich na nowo. – Jestem kapitanem zespołu, muszę iść. Trener na mnie liczy. I wszyscy inni też. Mamy w ten weekend kwalifikacje do rozgrywek stanowych, pamiętasz?

– Z pewnością zrozumie...

– Nie, nie, nie dzwoń – sprzeciwiła się dziewczynka stanowczo, choć głos jej drżał.

– I tak mamy fart, że możemy korzystać z basenu college'u... Właśnie dlatego jest trening. Dzisiaj ćwiczymy deble. Nasz rok, mamo.

Jill widziała na twarzy córki zniecierpliwienie. Megan miała tak napięty plan dnia, że nie sposób było wyrwać z niego chwilę, by się spokojnie wypłakać.

– Kochanie, wiem, że to bardzo ważne, ale może jednak powinnaś dzisiaj zostać w domu?

– Ty musisz iść do pracy, a ja mam swoje sprawy. Nie mogę zawalić startu. Wszyscy na mnie liczą.

– Sytuacja jest naprawdę wyjątkowa, trener z pewnością cię usprawiedliwi...

Jill przerwała, bo nagle uświadomiła sobie, że rozmowa zbacza na niewłaściwe tory. Zaczynały roztrząsać kwestie treningu, a nie uczucia córki. Sam najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku, bo usiadł i dotknął ramienia Megan.

– Współczuję ci, króliczku. Nielatwo sobie poradzić z takimi smutnymi zdarzeniami.

– To naprawdę okropnie dziwne – zgodziła się Megan. – I straszne, i ja całkiem nie czaję. Nie powinnam się tak przejmować, w końcu tyle czasu go nie widziałam...

– Masz prawo się przejmować – powiedział cicho Sam, gładząc ją po ramieniu.

– Oczywiście – poparła go Jill. – Masz prawo się przejmować i na pewno jest ci smutno.

Na kołdrę kapnęła słona kropla. Megan zwiesiła głowę.

– Chociaż to trochę dziwne. Nawet nie chciał się ze mną widywać. Nie odpisywał na e-maile, no i w końcu był dla mnie tylko ojczymem. – Ugryzła się w język, rzuciła Samowi przepraszające spojrzenie. – Nie chodziło mi o to...

– Wiem, wiem. – Sam się uśmiechnął. – Daj spokój. Trudno to... wycząć, jak to wamawiacie. Rzeczywiście, nie wiadomo, jak się zachować.

Megan przeniosła spojrzenie na Jill.

– A co z Abby? Umarł jej tata. Teraz już w ogóle nie ma rodziców... Jest sierotą, tak?

– To prawda – potwierdziła Jill, wzruszona, że córka w tak trudnej chwili pamięta o innych. Uścisnęła ją raz jeszcze. – Zaprosiła nas na uroczystość żałobną dziś po południu. Pójdziemy, jeśli będziesz się czuła na siłach. Zdamy po treningu, bo ceremonia jest o trzeciej.

– Tak, pójdę, pójdziemy. – Megan przeniosła niepewne spojrzenie z Jill na Sama i z powrotem. – Tak? Mogę iść? To nie będzie dziwne?

Jill pogładziła ją po twarzy.

– Możesz iść. Z całą pewnością.

– Ja też tak uważam – przyłączył się Sam. – Nie wybiorę się z wami, bo mam ważne spotkanie, a Jill powiedziała, że dacie sobie radę we dwie, ale gdybym jednak okazał się potrzebny, umówię się jakoś inaczej i pójdziemy razem...

– Nie, nie trzeba. Mama ma rację. – Megan spojrzała na Jill. – Skoro ty pójdiesz, to dajcie radę. – Zamilkła na chwilę. – Chcesz iść? To znaczy... wiem, że już nie kochasz Williama... no i od rozwodu jesteś na niego zła...

– To nie ma teraz żadnego znaczenia. Oczywiście, że chcę pójść i chcę być z tobą.

– Właściwie to nie bardzo wiem, dlaczego chcę tam iść. – Megan zasłoniła wargami aparat ortodontyczny. – Jakoś wydaje mi się, że powinnam. Żeby okazać szacunek w obliczu śmierci, tak mówiła babcia, pamiętasz?

Conchetta zmarła przed pięciu laty, a Jill tęskniła za nią ciągle tak samo.

– Babcia byłaby z ciebie dumna.

Megan pociągnęła nosem.

– Przepraszam za to o ojczymie – zwróciła się do Sama. – Głupio mi się chlapnęło. Ciebie kocham, chociaż jesteś moim ojczymem... O rany, wiesz, o co mi chodzi, tak?

– Wiem. I ja ciebie też kocham. – Zamknął obie swoje kobiety w niedźwiedzim uścisku. – Całym sercem. I nic tego nie zmieni.

Jill łzy napłynęły do oczu. Nie mogła sobie wymarzyć lepszego ojczyma dla Megan. Spokój Sama był cudownym antidotum na ich dynamiczne żeńskie układy, a jak wiadomo, między matką a córką bywa różnie. Poza tym odrabiał z Megan lekcje, woził ją na treningi, jeżeli Jill akurat nie mogła, nawet wprowadzał ją w tajniki fotografii.

Nagle zadzwonił telefon Megan, rozległy się donośne tony nowego utworu Lady Gagi, a ekran rozjarzył się zdjęciem Courtney, najlepszej przyjaciółki dziewczynki.

– Mamo, mogę odebrać? Miała dać mi znać, jak wyjadą z domu.

– Oczywiście.

– Pójdę do waszej łazienki, muszę się naszykować. – Chwyciła telefon, wdusiła przycisk i ruszyła do łazienki. – Court – zabrzmiało jeszcze w sypialni – chcesz usłyszeć coś odjechanego?

Trzasnęły drzwi łazienki. Pulpet ułożył się na powrót do snu, a Jill popatrzyła na Sama.

– Zdaje się, że przyjęła to nie najgorzej?

- Na to wygląda. Świetnie, że obgada sprawę z przyjaciółką.  
Jill coś zakłuło w sercu.
- Bardzo to przeżywa, ale nie chce po sobie okazać.
- Poradzi sobie na swój sposób. Niech pogada z Courtney i z koleżankami z drużyny... przecież tak to się robi między dziewczętami? Gadu, gadu, gadu?
- Czy jest coś złego w tym, że tęsknię za czasami, kiedy to ze mną obgadywała ważne... wszystkie sprawy?
- Nie. Wyrosła z tego i tyle. Miałem podobnie ze Stevenem, ale oczywiście wiem, że między matką i córką to nie to samo. Jesteście z sobą bliżej, niż my byliśmy. To z powodu zamięłowania do butów.
- Jill uśmiechnęła się mimowolnie. Sam chciał ją pocieszyć i najwyraźniej mu się udało.
- Na plus trzeba jej zapisać, że zdecydowała się iść na ceremonię. Dorasta dziewczyna.
- Nagle uświadomiła sobie, że w łazience zapadła cisza. Megan skończyła rozmawiać przez telefon. Podniosła się. – Rozłączyła się już?
- Zza drzwi dobiegł dźwięk, który natychmiast rozpoznała. Stłumiony szloch.
- Do dziewczynki dotarło, że William umarł. Rozplakała się na dobre.
- Mamo? – zawołała po chwili. Głos miała zdławiony i niewyraźny. – Mamusiu, przyjdź.
- Idę, kochanie! – zawołała Jill już w połowie drogi.

## Rozdział 6

Jill i Megan szybko i cicho krzątały się w sypialni dziewczynki, zbierając rzeczy potrzebne na trening. Abby w dalszym ciągu spała. Megan była rozstrojona i wyraźnie strapiona, jeszcze nie do końca się uspokoiła, a Jill najchętniej by ją zamknęła w objęciach i tuliła bez końca, tymczasem jednak musiała robić, co należało.

– Jadłaś coś? – szepnęła. – Może dam ci śniadanie, jakiś batonik zbożowy z jogurtem?

– Nie, mam, dzięki, bo się spóźnię. – Megan szperała w szufladzie. – Gdzie moje nowe spodnie od dresu?

Powoli robiło się jaśniej, nie trzeba było zapalać światła.

– Jeszcze brudne. Wypiorę dzisiaj.

– Aha. – Dziewczynka wyciągnęła z szuflady stare dresy, wepchnęła je do worka i poszła do łazienki. – O rany... – wyrwało jej się.

Jill stanęła w progu i zobaczyła powód jej reakcji: drzwi od prysznicza niedomknięte, przewrócona butelka z szamponem, sterta mokrych rzeczy na podłodze.

– Przepraszam, kochanie...

– Dobra, nie ma sprawy. Na pewno nie miała do tego głowy... – Megan wzięła szampon i odżywkę, wrzuciła do worka. – O-o... – powiedziała, unosząc wzrok. – Chyba się obudziła.

Jill obejrzała się przez ramię.

Rzeczywiście, Abby siedziała na łóżku. Odgarnęła włosy z twarzy.

Megan upuściła worek i ze szlochaniem rzuciła się jej w ramiona.

– Abby, tak mi przykro!

Objęły się i przytuliły jak dwie połówki tego samego, złamanego serca.

Jill przyglądała się tej scenie ze smutkiem, lecz jednocześnie szczęśliwa. Cieszył ją widok obu dziewcząt razem, przywoływał wspomnienia wielu innych wspólnych chwil, jednak stanowczo by wolała, żeby się spotkały przy innej okazji. Czego to one razem nie przeżyły... Gdy Megan nie dostała roli w *Annie*, Abby wyprawiła jej na pocieszenie przyjęcie w szlafrokach, kupiła wielkie opakowanie lodów waniliowych i zrobiła mieszankę różnych wykonan przeboju *I Will Survive*. A innym razem, kiedy złośliwa koleżanka nabijała się z Abby z powodu marnego wyniku z testu ogólnego, Megan zaprosiła ją do kafejki, a za słodki poczęstunek, też lody, jakżeby inaczej, zapłaciła z własnych pieniędzy, które zarobiła jako opiekunka do dzieci. „Lody są dobre na wszystko”, mawiała Megan i obie śmiały się przy tym do rozpuku. Tak było dawniej.

Jill słyszała w głosie Abby wyraźne drzenie.

– Wiem, że ty też go kochałaś.

– To straszne. Nie mogę uwierzyć...

– Ja też ledwo wierzę. – Abby wypuściła Megan z objęć, otarła oczy. – Bez przerwy sobie powtarzam, że to się nie mogło zdarzyć, że to po prostu niemożliwe.

– Okropność. Współczuję ci. – Megan wyglądała na przybitą, ale widać też było, że stara się wziąć w garść. – Nawet nie wiem, co powiedzieć.

– Kocham cię. – Abby pociągnęła nosem. – Mam dzisiaj oczy blisko pęcherza...

– Ja ciebie też kocham. – Megan zadrżała dolna warga, jakby dziewczynka nie

wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. – Tobie jest gorzej, w końcu to twój tata.

– No tak. Na szczęście twoja mama jest cudowna... – Abby zdusiła szloch.

– I pożyczylam sobie twoją koszulę nocną, widzisz? Tę, co dawniej była moja.

– Aha. – Megan spróbowała się uśmiechnąć. – Ciągle w niej śpię. Zrobiła się miękciejsza.

– Prawda. – Abby też skrzywiła usta w niezdarnym uśmiechu. – Ślicznie wyglądasz. Jesteś taka szczupła... Już nie można cię nazywać „Mega”...

– No tak, to już nie pasuje.

– Masz aparat ortodontyczny. Myślałam, że nie potrzebujesz.

– Aha. Ale zęby mi się zaczęły wysuwać. Koszmar, poważnie. – Megan odruchowo dotknęła ust. – Jeszcze dwa lata, dno, wodorosty i sześć metrów mułu. Muszę lecieć, mam trening.

– Śmigaj, mała. Rany, jak ja nienawidziłam tych porannych treningów. – Abby potarła czoło. Wydawała się dziwnie blada nawet w szarawym świetle poranka. – Rany, ale parszywie się czuję... głowa mi pęka.

W progu stanął Sam ubrany w szlafrok.

– Witam panie – rzucił dziarsko, lecz zaraz spoważniał. – Planuję na śniadanie placki z bananami. Czy ktoś ma ochotę? Abby, to moja specjalność...

– Placki, rany... ohyda... Niedobrze mi...

Abby zgięła się wpół i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, zwymiotowała na łóżko.

Megan odskoczyła od niej. Sam wyraźnie pobladł. Tylko Jill wykazała się refleksem.

Złapała kosz na śmieci i podsunęła dziewczynie.

Nie zdążyła. Tym razem cuchnący strumień wylądował na kołdrze.

– Rany, przepraszam...

– Chodź do łazienki.

Jill odstawiła kosz, wzięła Abby pod ramię, pomogła jej zwlec się z łóżka i pociągnęła do łazienki. Prawie zdążyły. Tym razem ucierpiała koszula nocna i podłoga razem z wilgotnymi ręcznikami. W końcu Abby opadła na kolana przy sedesie, Jill podtrzymała jej włosy.

– Mamo, ja znikam, bo się spóźnię! – zawołała Megan z sypialni. – Abby, wybacz, muszę lecieć.

– Zaczekaj chwilę! – krzyknęła Jill. – Chcę się z tobą pożegnać!

– Mamo, już jestem spóźniona! Courtney czeka na dole. Zobaczymy się później!

Kocham cię!

– O nie... – Abby znowu zwymiotowała.

Nie można jej było zostawić.

– Ja ciebie też kocham! Nie przeforsuj się! Zadzwoń, kiedy po ciebie przyjechać!

– Zadzwoń – przekazał Sam, co oznaczało, że Megan wyszła definitywnie.

– Proszę cię, zamknij drzwi – wydusiła Abby między kaszlnięciami. – Wstyd mi jak nie wiem co...

– Nie przejmuj się, otrzyj usta. – Jill podała dziewczynie kawałek papieru toaletowego i zatrzasnęła drzwi. – Spokojnie, powoli, bez gwałtownych ruchów.

– Dziękuję – wydukała Abby niewyraźnie. – Przepraszam...

– Nie wstawaj za szybko. Nie śpiesz się. Bo wiesz, jeszcze nie wszystko zabrudziłaś. Abby uśmiechnęła się niewyraźnie, wrzuciła papier do muszli klozetowej.

– Skończyłam.

– No dobrze. Wobec tego wstajemy powolutku. – Jill pomogła jej się podnieść, spuściła

wodę, posadziła nieszczęsną dziewczynę na sedesie. – Posiedź chwilę spokojnie, aż ci się przestanie kręcić w głowie.

– Dzięki. – Abby usiadła posłusznie, oparła głowę na rękach. – Koszula pewnie do wyrzucenia... Strasznie przepraszam. Możesz mi pomóc ją zdjąć? Potwornie cuchnie.

– Podnieś ręce. – Jill ściągnęła z dziewczyny koszulę nocną, rzuciła obok brudnych ręczników i podała jej szlafrok. – Włóż, bo zmarzniesz.

– Normalnie nie piję... Od razu widać. W przeciwnym razie bym się nie pochorowała.

– Trudno się sprzeczać. – Jill fachowym spojrzeniem oceniła stan Abby, prostując się ostrożnie. – Umyj się, ja zaraz wrócę.

– Dobrze.

W sypialni Sam właśnie zwijał kołdrę.

– Co z Megan? – spytała Jill. – Płakała jeszcze?

– Nic jej nie będzie – odpowiedział Sam nie wprost. – Uściskałem ją na do widzenia.

– Zastanowił się przez moment. – Tę kołdrę to chyba trzeba będzie wyrzucić?

– Niekoniecznie. Megan ją uwielbia, a nie wiem, czy można jeszcze kupić taką samą. Zaniosę ją do pralni, może da się odratować. Odbiorę w drodze powrotnej...

– Ja to załatwię. Aha, przy okazji: Sandy odpisała, że wciśnie Abby w przyszłym tygodniu, kiedy nam będzie pasowało.

– Jill! – rozległo się z łazienki. – Pomocy!

– To super, wielkie dzięki – rzuciła Jill przez ramię, biegnąc na ratunek.



## Rozdział 7

– Jak się masz, piękności ty moje? – Jill uśmiechnęła się do ślicznego rocznego chłopczyka, Rahula Choudhury’ego.

Należało go zbadać.

Przez całe przedpołudnie radziła w kolejnych przypadkach kataru, gorączki oraz infekcji zatok, myślami stale błędząc wokół Abby i Megan. Mówi się, że matka jest szczęśliwa szczęściem swojego dziecka, najwyraźniej tyczyło się to również macochy, a także byłej macochy.

– Kochany z niego bobas – powiedziała matka małego, Padma, poprawiając na stole do badania swoje ruchliwe dziecko w miękkiej pieluszce.

Była piękną kobietą, skorą do uśmiechu, ubraną w niebieski bawełniany sweterek i luźne spodnie. Jill zwykle wyglądała podobnie, lecz dzisiaj ze względu na uroczystość żałobną miała na sobie ciemny kostium z dżerseju. Jak większość pediatrów nie nosiła białego fartucha, który dzieciom często kojarzył się z zastrzykami.

– Rahulu, dzień dobry! Dzień dobry, słonko!

Zakręciła stetoskopem, a chłopiec skupił na nim spojrzenie tak intensywnie, że aż zrobił lekkiego zęza pod firanką rzęs, dla których niejedna kobieta dałaby się posiekać na kawałki. Gdy chwycił słuchawkę, pociągnęła w swoją stronę i z satysfakcją stwierdziła, że mały jest ciekawski i silny.

– Pięknie! Wygrałeś! Dużo ćwiczysz?

Padma uśmiechnęła się, słysząc słowa pediatry.

– Strasznie nie lubię, kiedy choruje. Nie mam czasu na chore dziecko.

– Wiem, wiem, nie trzeba mi tego tłumaczyć – westchnęła Jill, myśląc o Megan, która nie miała czasu się wypłakać. Połaskotała chłopczyka, a on zaśmiał się, puszczając bańki ze śliny. – Jak łatwo jest rozśmieszyć dziecko... Powinam była zostać komikiem dziecięcym.

– Wszyscy moi synowie są twoimi wielbicielami. Roy uwielbia, kiedy go pytasz, czy tym razem zabrał z sobą serce.

– I dobrze. – Jill nie zdradzała rodzicom, że dowcipkowanie stanowiło istotną część badania. Przede wszystkim starała się zyskać uwagę pacjenta, w ten sposób sprawdzała jego stan. Jeden z profesorów określał takie działanie mianem *Gestalt* albo zyskaniem szerszego obrazu, a jej szerszy obraz dotyczący Rahula nie wyglądał najlepiej. – Dawno zachorował?

– W czwartek. Znowu infekcja ucha. Pociągał się za ucho prawie całą noc, wiem na pewno, bo mało spałam, rozmawiałam przez telefon z mamą. Ona jest w Bombaju, zapadła na zdrowiu.

– Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że szybko dojdzie do siebie. Ty i tak masz co robić... – Jill przeczytała informacje od pielęgniarki, która sprawdzała stan chłopczyka. Wszystko w normie poza temperaturą, prawie trzydzieści dziewięć stopni. Między trzydzieści sześć a trzydzieści osiem była do przyjęcia, ale u niego zawędrowała już zbyt wysoko. – Od dawna ma gorączkę?

– Dostał dziś rano. Nawet miałam dać mu amoksyliny, bo przede mną tydzień, kiedy nie będę wiedziała, w co najpierw ręce włożyć... Szykują się dwie wycieczki, jedna u Roya, druga u Deviego.

– No, pięknie. Masz xanax?

Padma zaśmiała się głośno, a Jill uświadomiła sobie, że bezwiednie zażartowała, myśląc o Williamie. Rzeczywiście, dziwne... on i leki, których się nie kupi bez recepty? Teraz jednak nie miała czasu myśleć o tamtych sprawach. Podsunęła chłopcu palec, dzięki czemu odzyskała stetoskop i mogła osłuchać malca. Płuca czyste. Zajrzała do uszu, znalazła ropną wydzielinę za wyraźnie uwypuklonym bębenkiem.

– Co u Dave’a? – spytała. Mąż Padmy służył w Afganistanie.  
– W porządku. Przesyła pozdrowienia i podziękowania za książki. Czytają wszyscy.  
– Przynajmniej tyle mogłam zrobić. – Zajrzała chłopcu do noska, buzi i gardła, wszędzie znalazła zaczerwienienie, podrażnienie, śluz i inne ślady infekcji górnych dróg oddechowych. – W porównaniu z tobą jestem leniwcem.

– Czasami faktycznie miewam dosyć, ale normalnie nie narzekam.  
– W razie potrzeby zawsze możesz mi się wyzalić. Napisz albo zadzwoń, pamiętaj, nie jesteś sama.

– Dziękuję. – Padma się uśmiechnęła, ale Jill i tak wiedziała, że nie skorzysta z propozycji.

– A co u starszych chłopców? – Wymacała dłonią węzły chłonne Rahula, podżuchwowe i przyuszne. Te drugie okazały się nieco powiększone, co także wskazywało na infekcję górnych dróg oddechowych i zapalenie ucha.

– W szkole radzą sobie bardzo dobrze obaj, dostaną brązowe pasy.  
– O, to wspaniale!  
– Tylko tęsknią za ojcem.  
– Na pewno im niełatwo. – Jill znów pomyślała o Abby i Victorii, o tym, jak bardzo dziewczętom brakuje Williama. Trzeba będzie jak najszybciej zaprowadzić Abby na terapię, żeby zaczęła sobie radzić z żalobą, zamiast gadać o morderstwie. – Biedactwa.  
– Teraz jest trochę łatwiej, odkąd możemy wysyłać e-maile i rozmawiać przez Skype’a.  
– To świetnie.

Położyła chłopczyka i delikatnie zbadła mu brzuch: wątrobę, śledzionę, trzustkę. Organy wewnętrzne także okazały się lekko powiększone, co znowu wskazywało na walkę ciała z infekcją. Tyle że z jakiegoś powodu Rahul zbyt często tę walkę przegrywał. Piąty raz w tym roku miał zapalenie ucha, w międzyczasie jeszcze zapalenie płuc, co musiało martwić.

– Ile lat ma Megan? – Padma przykryła głowę synka zaokrągloną dłonią. – Jest już w gimnazjum?

– Tak. Tak to już jest z dziećmi, jeśli człowiek je karmi, to rosną. Prawda, przystojniaku?

Rahul uśmiechnął się w odpowiedzi, a uśmiech miał mokry od śliny, co dowodziło, że nie jest odwodniony. Żeby się upewnić, Jill uszczypnęła go lekko w ramię. Skóra szybko się rozprostowała.

– Dzielny malec! – pochwaliła go. – Wcale nie płacze.  
– Jest trzeci. Uczą się jeden od drugiego.

Jill pogładziła chłopca po jedwabistym policzku. Kolor skóry niby właściwy. Hinduscy przodkowie obdarzyli go cerą rozpromienioną słonecznym blaskiem, ale ona miała praktykę, widziała dzieci wszelkich ras i podejrzewała zaczerwienienie od gorączki.

– Nie wydaje ci się, że ma wypieki?  
– Zawsze tak wygląda, jak ma zapalenie ucha – odparła Padma lekko. – Powiedz, masz już suknię ślubną?

– Rozważam włożenie fartucha lekarskiego. W końcu też biały, nie?  
– Dobre sobie! Nie wykręcaj się, powiedz. Dla mnie pogadać o babskich sprawach to

wyjątkowa przyjemność. Kocham swoich chłopców, ale czasem brakuje mi jakiejś falbanki w zasięgu wzroku.

– No dobrze, przyznam się. Mam całkiem ładny kostium. – Jill zbadała węzły pachowe, one też okazały się większe niż normalnie. – Megan jest fanką programu *Kochamy sukienki*, a ja wolę spodnie, więc najwyraźniej nie sprawdzam się jako matka.

– Znam to uczucie. Nic się nie da na to poradzić.

– Cóż. – Zajrzała w pieluszkę, suchą i czystą. – Jak dorosną, pojmą ogrom swego szczęścia, tylko że my już tego nie doczekamy.

Pozostało jeszcze obejrzeć dokładnie skórę Rahula. Na prawym ramieniu dostrzegła niewielkie przebarwienie.

– Roy miewa katar sienny. A Dave albo ty?

– Mnie też czasem dokucza. Dlaczego pytasz?

– Spójrz. – Jill pokazała matce plamkę. – To egzema.

– Naprawdę? – Padma ściągnęła brwi. – Myślałam, że to wysypka, może od trującego bluszczu. Mały bawił się wczoraj na podwórku, kiedy wrywałam chwasty.

– Takie zmiany u dzieci nie są niczym niezwykłym i nie stanowią powodu do zmartwienia. Natomiast trzeba pamiętać, że astmę, alergię i egzemę nazywamy alergiczną triadą. Często są przypadłościami rodzinnymi, lecz bywa, że dotyczą jednego dziecka.

– Tak, w mojej rodzinie się to zdarzało.

– Pokaż no się w całej okazałości, mój młody panie. – Jill przyjrzała się skórze na piersiach Rahula, na jego nogach, szyi i plecach, gdzie łopatki tworzyły drobne pagórki, jakby miały z nich wykiełkować anielskie skrzydła. Nie znalazła innych przebarwień. – Ma apetyt?

– Nie powiem, żeby wilczy, ale je.

– Pije?

– Jak najbardziej.

– Sypia spokojnie? Mówiłaś, że pociąga za ucho.

– Tak. Zdarza mu się. Nocą.

– Biedactwo... – Jill podniosła wzrok na Padmę. – Moim zdaniem masz rację, to kolejna infekcja ucha. Trochę za często mu się to zdarza jak na dziecko, które nie chodzi do żłobka. Ale ma starszych braci, więc na pewno łapie każde przeziębienie, które oni przyniosą ze szkoły.

Padma zastanawiała się chwilę.

– Może dreny by pomogły? Mój brat kiedyś miał, kuzynowi też się bardzo poprawiło...

– Nie, to nie dla Rahula. Dawniej robiło się to częściej w przypadkach problemów z rozwojem mowy, ale tutaj nie ma tego kłopotu. Możesz go już ubrać.

Usiadła przy komputerze, wstukała swoje hasło w programie Epic, otworzyła plik Rahula i wpisała uwagi. Medycyna Rodzinna Pembey dysponowała systemem Elektronicznej Dokumentacji Medycznej, rejestrem danych niezbędnych do oceny stanu pacjenta, ale Jill wolała po dokładnym badaniu dorzucać tam komentarze. Lubiła stanąć twarzą w twarz z matką i z dzieckiem, a nie siadać przy klawiszach.

– Czyli drenów nie będzie? – upewniła się Padma.

– Na razie nie ma potrzeby. Jeszcze tylko sprawdzę drobiazg w jego karcie...

– Przyjrzała się siatce centylowej chłopca. Do szóstego miesiąca życia linia pięła się aż miło. Zaczął od trzydziestego centyla, bardzo przyzwoicie. Teraz jednak mieścił się zaledwie w granicach piętego, co oznaczało, że tempo rozwoju znacznie spadło. Innymi słowy, zły prognostyk.

- Czyli co? Amoksylicyna?
- Tak. Minął miesiąc, odkąd ją brał ostatnio, więc możemy dać. I tylenol.

Zamknęła plik, zostawiając na monitorze ekran czekający na hasło następnego lekarza. Na potrzeby ubezpieczenia zakwalifikowała przypadek jako infekcję górnych dróg oddechowych, jednak nie potrafiła ocenić, dlaczego tak często dochodzi do nawrotów. Wśród lekarzy znane jest powiedzenie, że słysząc tętent koni, nie należy wypatrywać zebry, ale ona wiedziała swoje. Zebry też istniały, a w pediatrii zdarzały się dość często.

– Przyjdź na kontrolę w przyszłym tygodniu, w środę – poprosiła, wstając. – Wiem, że jesteś zajęta, ale chciałabym go mieć na oku.

– Dobrze.

– I jeszcze zanim wyjdiesz, wstąp do laboratorium na badanie krwi. – Nie zamierzała mówić o swoich podejrzeniach, bo nie chciała niepokoić Padmy. Istniało ryzyko, że Rahul ma problem autoimmunologiczny, na przykład białaczkę albo chłoniaka, lecz na razie nie były to podejrzenia potwierdzone. – To na końcu korytarza. Potrwa dosłownie chwilę.

– Po co mu pobierać krew? – W ciemnych oczach Padmy błysnął niepokój. – Przy zapaleniu ucha?

– Chcę się dowiedzieć, skąd te nawroty. Badanie krwi da mi kompletny obraz tego, co się dzieje w jego układzie odpornościowym, będę wiedziała, z jakim typem infekcji walczy jego ciało. – Nie dodała, że badania krwi powiedzą jej także, ile i jakiego typu białych komórek krwi produkuje organizm Rahula oraz dadzą pojęcie o limfocytach, neutrofilach i monocytach, co powinno pozwolić na wyeliminowanie możliwości najpoważniejszych zagrożeń. – Zajrzyj tam na minutkę, Selena uwinie się w mgnieniu oka.

– Dobrze. Skoro uważasz, że to naprawdę konieczne. – Padma wsunęła kosmyk ciemnych włosów pod gumkę ściągającą krótki kucyk.

– Tak. Zadzwoń, jak będę miała wyniki, prawdopodobnie we wtorek. Gdyby mu się pogorszyło, koniecznie daj znać. – Jill wydrukowała receptę na antybiotyk, podpisała ją i podała Padmie. – Na dzisiaj to wszystko.

– Dziękuję.

Padma zabrała małą kurtkę dzinsową Rahula.

Jill położyła jej dłoń na ramieniu.

– Pamiętaj, w razie czego dzwoń. Koniecznie.

– Dobrze. I jeszcze raz dziękuję.

– Przekaż pozdrowienia wszystkim swoim chłopakom. – Pogładziła Rahula po buzi.

– Do widzenia, słodkości ty moje.

Żwawym krokiem wyszła z gabinetu, w locie spoglądając na zegarek. Medycyna Rodzinna Pembey przyjmowała pacjentów do godziny trzynastej, a ta minęła przed kwadransem, co oznaczało, że Jill jak zwykle przeciągnęła godziny pracy. Potrzebowała czasu dla pacjentów, lecz na tym tle ciągle powstawały konflikty z kierowniczką, Sheryl Ewing. Dzisiaj Jill miała nadzieję umknąć, nie wpadając na Sheryl, bo kolejny wykład, zwłaszcza tuż przed uroczystością pogrzebową, był jej całkowicie zbędny.

Myślała o Williamie, a gniew rozpałał się w jej piersi jak ogień na rozżarzonej węglu, którego wcale nie trzeba rozdmuchiwać. Czuła się hipokrytką, idąc pożegnać byłego męża, bo w gorszych chwilach, co tu dużo mówić, życzyła mu śmierci. A gdyby chciała być naprawdę szczerą, musiałaby przyznać, że nie byłaby wcale zdziwiona, gdyby się zniemacka okazało, iż jednak faktycznie ktoś go zamordował.

Ponieważ zdarzały się momenty, gdy chętnie sama by to zrobiła.

## Rozdział 8

Jill jechała drogą numer 202 na wschód, w stronę Filadelfii. Obok siedziała chmurna Megan, milcząca, ze wzrokiem wbitym w krajobraz za oknem. Nawet jej telefon się nie odzywał, trudno ocenić: ściszony czy wyłączony. Deszcz bębnił w szyby. Minęły minicentrum handlowe, gdzie swego czasu mieścił się między innymi sklep z artykułami elektrycznymi. Teraz została po nim niewykorzystana powierzchnia. Słychać było deszcz, miarowy odgłos pracujących wycieraczek i cichy szum opon toczących się po asfalcie.

– Ślicznie wyglądasz, kochanie – zauważyła Jill.

Megan w prostej czarnej sukience, którą normalnie wkładała na występy chóru, wydawała się starsza. Do niej włożyła pantofle na niewysokim obcasie. Włosy, ciągle jeszcze wilgotne po prysznicu, ściągnęła czarnymi aksamitnymi gumkami.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do matki, lecz twarz miała spiętą. – Chyba dziwna sprawa taka uroczystość żałobna, nie?

– Może trochę.

– Będzie otwarta trumna, jak z babcią?

– Nie. – Jill ze smutkiem wspomniała czuwanie przy trumnie matki w domu pogrzebowym. – I pamiętaj, że to nie jest msza, tylko ceremonia pożegnalna, chociaż w kościele. Po prostu w historycznym budynku, w nastrojowym otoczeniu.

– William nie chodził do kościoła.

– Ja nic o tym nie wiem. Niekiedy takie uroczystości organizuje się w kościele, mimo że zmarły nie był wierzący.

– Będzie coś później, tak jak u babci? Pójdziemy gdzieś do restauracji?

Jill uświadomiła sobie, że Abby nie wspomniała o stypie.

– Nie wiem.

– Kto jeszcze będzie oprócz Abby i Victorii?

– Przypuszczam, że przyjaciele Williama, może ktoś z pracy?

– Gdzie pracował?

– Tego też nie wiem.

Megan pokręciła głową.

– Nic już o nim nie wiemy. Chociaż był moim tatą.

Rzeczywiście. Dziwne uczucie, stać się byłym rodzicem, a teraz, okazuje się, równie dziwaczna jest rola byłego dziecka.

– Całkiem jakby zapomniał, że byliśmy rodziną – ciągnęła Megan. – Jakbyśmy wcale się nie poznali, jakbyśmy byli całkiem nieważne, nie miały dla niego żadnego znaczenia.

– Na pewno nie zapomniał o tobie, kochanie.

Jill zacisnęła dłonie na kierownicy. Nie pierwszy raz toczyły taką rozmowę. Ostatnio żal trochę przycichł, teraz odezwał się ze zdwojoną siłą.

– Właśnie że zapomniał. Nie odpowiadał na moje e-maile ani na SMS-y, w ogóle na żaden nie odpowiedział. Nie zadzwonił do mnie ani razu, nawet wtedy, kiedy zostałam przyjęta do National Honor Society. – Mówiła tonem rzeczowym, pozbawionym emocji. – Ty starałaś się utrzymywać kontakt z Abby i Victorią, a on wcale nie próbował się ze mną skontaktować. Ani nie reagował, kiedy ja próbowałam.

– To nie znaczy, że o tobie nie pamiętał.

- Właśnie że tak.
- Niekoniecznie – obstawała przy swoim Jill.

Bardzo jej zależało na pocieszeniu córki, chociaż w głębi duszy miała pewność, że nigdy nie wybaczy byłemu mężowi ignorowania Megan. Jeśli miałyby wskazać jeden powód, dla którego szczerze zniechęciła Williama, wybrałyby właśnie ten.

- Tak? To dlaczego nie odpowiadał na e-maile?

Niełatwo było znaleźć sensowną odpowiedź.

– Może nie dawał sobie rady z żalem. Swoim albo twoim. Teraz już się tego nie dowiemy, ale jednego jestem pewna: ciebie nie sposób zapomnieć. Nie dość, że jesteś mądra, to jeszcze i śliczna. – Poglądziła córkę po nodze.

Znowu zapanowała cisza. Megan patrzyła przez okno, kołysała się lekko zgodnie z ruchem samochodu.

– O, ślepek – odezwała się w pewnej chwili. – Pamiętasz, jak grałyśmy z Abby i Victorią w ślepiki?

– Pamiętam. – Oczywiście, Jill świetnie pamiętała. Ślepek to samochód z tylko jednym świecącym reflektorem. Kto pierwszy dostrzegł taki, dostawał punkt. – Ale nie widzę żadnego ślepika.

- Spójrz w lusterko. Jedzie drugi za nami.

Rzeczywiście, jako drugi jechał czarny SUV z uszkodzonym reflektorem.

Raptem stanęła jej przed oczami scena z poprzedniego wieczoru – przed domem, gdy Abby ślaniała się, idąc chodnikiem, z ciemności wyłowił ją strumień światła z jednego reflektora czarnego suwa. Ze ślepika. Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia. Na świecie roilo się od czarnych klasycznych samochodów sportowo-użytkowych, z reflektorami i bez reflektorów. Dlatego Jill jeździła białym Volvo.

- Jak uważasz, Abby i Victoria myślą o nas, kiedy grają w ślepiki?

– Na pewno.

Pamiętała, że auto z zeszłego wieczoru miało prostokątną kratkę na chłodnicy... ale przecież chyba wszystkie SUVy mają takie? A na pewno większość. To zresztą w ogóle na dobrą sprawę prostokątne pudła na kółkach.

- Chyba że już w ogóle nie grają w ślepiki – powiedziała Megan. – Mogły wyrosnąć.

– Ale nie musiały.

– Mnie się wydaje, że Abby myśli o nas bardzo często, a Victoria rzadziej. Abby nas bardziej pokochała. – Megan spojrzała na matkę, w oczach miała troskę. – Victoria nie za bardzo chce kochać, wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem.

– Victoria kocha za słabo, a Abby za mocno. Zabawne.

Jill spojrzała na córkę z podziwem.

– Dobrze powiedziane.

– A co lepsze?

– Najlepsza jest równowaga. Trzeba pozwolić sobie na miłość. Dobrze jest kochać.

Tylko trzeba mądrze wybierać ludzi do kochania. Takich, którzy na Ciebie zasługują.

– Doskonale zdawała sobie sprawę, że uderza w górnołotne tony, ale też miała ku temu powody: drogo zapłaciła za doświadczenie, które teraz przemawiało jej przez usta. – Człowiek popełnia błędy, lecz nie ma w tym nic złego.

– Tak?

– Oczywiście. Mylić się jest rzeczą ludzką.

– Chodzi ci o to, że w końcu zawsze można wziąć rozwód?

Jill odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

– Tak. Mówię o rozwodzie – przyznała ze smutkiem. – Nie jest to najlepsze wyjście, jednak czasem konieczne.

– Tylko że ja nie rozwiodłam się z Williamem – stwierdziła Megan, znowu tym tonem pozbawionym emocji. – Z nikim się nie rozwodziłam. Ani z nim, ani z Abby, ani z Victorią. Dzieci nie mają wyboru.

Jill czuła się winna.

– Masz rację, kochanie. Bardzo mi przykro.

– Nie mam do ciebie żalu. Po prostu mówię.

– Mimo wszystko naprawdę mi przykro, że skończyło się, jak się skończyło.

– Nie ma sprawy.

Megan sięgnęła po telefon, który obwieścił przyjęcie wiadomości.

– Nie zapomnij go wyłączyć w kościele.

– Nie zapomnę.

Dziewczynka przeczytała tekst, na jej ustach zaigrał uśmiech.

– Od Courtney?

– Nie. – I po chwili: – Od chłopaka.

– Naprawdę? – Jill się rozpromieniła. Chętnie skorzystała z okazji do zmiany tematu.

– Dowiem się czegoś więcej?

– Mmm... Jest bardzo miły. – Megan uśmiechnęła się szerzej. – Trenuje w innym klubie, w Szerszeniach. Prawie nikt nie pływa szybciej niż on stylem dowolnym.

– To świetnie. Jak się nazywa?

– Jake Tilson.

– Czy zaczęłaś już wypisywać w zeszytach „Megan Tilson”?

– Mamo, weź, przestań! – Dziewczynka zaśmiała się głośno.

O to chodziło.

– Jak wygląda?

– Ma jasne kręcone włosy i niebieskie oczy. Jest dosyć niski, ale to nieważne. Ważne, że jest naprawdę bardzo miły. I ładny.

– Każdy trzynastolatek jest miły i ładny.

– Oj, mamo, ale on jest niesamowity. Normalnie niezziemski. Boski. Ma taki kaloryfer... mówię ci. I gra na gitarze, na prawdziwej, nie na konsoli.

– Jak się poznaliście?

– Wcześniej widywałam go na różnych zawodach, ale zagadaliśmy dopiero na imprezie u Courtney. On się zna z obozu pływackiego z jej bratem. No i po tej imprezie przyjął mnie do przyjaciół na fejsie i piszemy do siebie.

Jill była zachwycona. Megan bardzo potrzebowała radości w życiu.

– Proszę, proszę, więc tak wygląda nowoczesny romans.

– I wiesz, co jeszcze?

– Co jeszcze?

– Całowaliśmy się! – Megan zasłoniła usta dłońmi i zachichotała.

– Fantastycznie. I jak było? Fajnie?

Wiadomość miała ogromną wagę, ponieważ Jake był pierwszym chłopakiem Megan. Jill rozpiętała szczęście, ale odezwała się też nutka nostalgii. To już pierwszy pocałunek... Chociaż sądząc po opowieściach, jakie słyszała od mam innych pływaczek, Megan i tak wchodziła w tę dziedzinę życia wolniej niż koleżanki. I bardzo dobrze.

– Nie. – Dziewczynka odsunęła ręce od zaczerwienionej twarzy. – Bałam się i nie

wiedziała, jak to zrobić, a w dodatku on też ma aparat. Normalnie Iron Man do kwadratu.

- Bez przesady.
- Poważnie! Nic nie poradzę. Nie umiem się całować.
- Chcesz dobrą radę?
- Maaamo, no weeeż. Przecież to nie zawał, nie możesz mnie nauczyć, co robić.
- Wszystkiego można się nauczyć. Powiem ci jedno: nie rób dzióbka.
- Ale jesteś! – zachichotała dziewczynka. – Weź się ze mnie nie nabijaj.
- Wcale się nie nabijam. Całuję nie najgorzej. Wprawiam się od dawna. Całowałam się z setkami chłopców. Z tysiącami.

Z ogromną przyjemnością słuchała śmiechu córki.

- Nie mogę! – wykrztusiła Megan. – Normalnie ohyda!
- Nieprawda. Nie ma nic złego w tym, że się kogoś lubi i z nim całuje. Trzeba tylko pamiętać, żeby nie stracić głowy.

– Nie bój żaby – prychnęła dziewczynka. – Nie zostanę nastoletnią mamusią.  
– Wiem, kochanie, po prostu trzeba zachować zdrowy rozsądek. – Jill doskonale wiedziała, że każda nastolatka może zostać matką. Całkiem jak te z serialu telewizyjnego, najzwyczajniejsze dziewczyny pod słońcem.

– Maaamo, ale ty głupio myślisz.

– Aha. Kto z kim przestaje...

Megan raz jeszcze parsknęła śmiechem, po czym wróciła do wstukiwania wiadomości, a Jill przycisnęła mocniej gaz, nie odrywając oczu od drogi. Ruch gęstniał, wkrótce podobnie jak większość aut wjechała na drogę ekspresową Schuylkill. Zerknęła na ślepika – nadal jechał w tę samą stronę, za białym pikapem, za daleko, żeby powiedzieć o nim coś konkretnego. Gdy dotarły do zjazdu na West River Drive, ślepiak zniknął wśród innych pojazdów. Nareszcie przestało padać, chwilę później zaparkowała na krytym parkingu i wyłączyła silnik.

– Nie zostawiaj mnie samej – przypomniała jej Megan.

– Dobrze, kochanie, pamiętam.

Uśmiechnęła się z niejakim wysiłkiem i zapomniała o czarnym suwie.



## Rozdział 9

Dotarły do kościoła akurat na czas, weszły do wnętrza pod łukowato sklepionym portykiem. Kilkunastu dobrze ubranych ludzi, rozmawiających przyciszonymi głosami, właśnie zaczęło zajmować miejsca siedzące. Jill nie rozpoznawała nikogo, co nie było dziwne, skoro po rozwodzie ich nieliczni wspólni przyjaciele zrezygnowali ze znajomości z Williamem. Kątem oka spostrzegła zapłakaną Abby, która przyjmowała kondolencje od gości, przy niej stał proboszcz ubrany w czerwono-białe szaty.

– Biedna Abby – powiedziała cicho.

– No, strasznie biedna – odpowiedziała Megan szeptem. – Taka smutna. Okropnie mi jej szkoda.

– Ja też jej współczuję.

Jill serce się ścisnęło na widok byłej pasierbicy, zdruzgotanej i pogrążonej w żałobie. Dziewczyna miała na sobie zwiewną czarną sukienkę, na twarzy mocny makijaż.

A gdzie Victoria?

– Meg – odezwała się do córki – widzisz może Victorię?

– Tak. Zobaczysz ją, jak się przesunie ta starsza pani. Wygląda dużo lepiej niż Abby. O, patrz, jaka śliczna. Zrobiła pasemka.

Jill wyciągnęła szyję. Rzeczywiście, pasemka. Miodowe. Victoria ubrana była w czarną bawełnianą sukienkę, w uszach miała perłowe łożki, a włosy ułożyła w ozdobny kok odsłaniający wysokie kości policzkowe, twarz miała bardziej pociągłą niż dawniej. Lekki, perfekcyjnie wykonany makijaż podkreślał orzechową barwę oczu. Dziewczyna stała prosto, z jej oszczędnych gestów emanowała gracia, znać było dojrzałe opanowanie, choć ta młoda kobieta skończyła dopiero dwadzieścia trzy lata.

Jill ogarnęły mieszane uczucia: załamała ją fala miłości, zrodzona z tęsknoty, zasmuciła nostalgia na widok dziewczyny, która tak ślicznie wyrosła, lecz równocześnie wezbrał w niej żal za straconymi latami, gdy nie utrzymywały z sobą kontaktu, a także ogromne współczucie.

– O, a to jej chłopak – szepnęła Megan.

Obok Victorii stał przystojny młody człowiek w ciemnym garniturze i okularach w metalowych oprawkach.

– Skąd wiesz, że akurat chłopak?

– Ciągle go widzę na fejsie u Abby.

Jill nie była zaskoczona faktem, że Megan również zaglądała na profil Abby.

– Chodź, usiądziemy. Niedługo zacznie się ceremonia.

– Mamo! Abby nas zobaczyła. Idzie tu! – Megan zeszywniała. – Co mam powiedzieć? Już powiedziałam, że mi przykro.

– Powiedz jej, co czujesz.

Abby szła w ich stronę, ocierając łzy z oczu. Jill uderzyło wtedy, że nikt inny nie płakał, właściwie nikt nie wydawał się szczególnie przygnębiony. Wcale jej to nie zdziwiło. William miał wielu znajomych, natomiast ani jednego prawdziwego przyjaciela, co stanowiło bardzo wyraźny znak ostrzegawczy, jak czerwona flaga, jeden z wielu, które kompletnie zignorowała. Miłość jest ślepa, a na dodatek robi z człowieka daltonistę.

– Nie wiem, co powiedzieć! – denerwowała się Megan.

– Możesz powtórzyć, że bardzo jej współczujesz.

– No ale konkretnie? „Współczuję ci”? Czy raczej... „Przyjmij moje kondolencje”?  
Jakoś tak?

– „Współczuję ci” w zupełności wystarczy, kochanie.

W tej samej chwili Abby znalazła się przy nich i od razu zamknęła Megan w serdecznym uścisku.

– Strasznie ci współczuję, naprawdę – powiedziała Megan.

– Wiem, mała, wiem.

Oczy Abby znów zalśniły od łez. Przytuliła dziewczynkę mocno i zaraz puściła. Odwróciła się do Jill i wpadła jej w ramiona.

– Dziękuję, że przyszłyście.

– Och, kochanie... – Jill najchętniej oddałaby Abby własną siłę.

– Dopiero dzisiaj naprawdę odczułam jego śmierć. Wszystko tu takie oficjalne... I ci ludzie... nikogo nie znam!

– Tak mi przykro, słońce moje...

W tej samej chwili dostrzegła, że Victoria ruszyła w ich stronę gniewnym krokiem i z twarzą wykrzywioną wściekłością.

– Co ty tu robisz?! – krzyknęła z daleka. Szybko znalazła się tuż przy dawnej macosze.

– Nikt cię nie zapraszał. To prywatna uroczystość.

Jill skamieniała.

– Przepraszam... – wykrztusiła. – Sądziłam...

– Ja ją zaprosiłam – wtrąciła Abby.

– Oszalałaś?! – Victoria cisnęła w siostrę jednym słowem jak pociskiem, po czym z furią napadła na Jill. – Jak śmiesz?! Co za bezczelność! Wstyd! Po tym, co zrobiłaś tacie, jak skrzywdziłaś nas wszystkich...!

Megan zasłoniła usta rękami, ale nie zdołała stłumić szłochu. Uczestnicy ceremonii odwracali się do nich jeden po drugim, proboszcz obserwował scenę z otwartymi ustami.

– Uspokój się. – Jill nigdy nie widziała Victorii w takim stanie, tak rozwścieczonej, szczególnie na nią. Przecież były z sobą blisko, przecież się kochały. – Posłuchaj...

– O nie! To ty mnie posłuchaj! – Dziewczyna poczerwieniała od gniewu. – Nie kochałaś taty i nas też nie kochałaś. Odciełaś się od nas, wyrzuciłaś nas ze swojego życia...

– Jak to? – zdumiała się Jill. – Nic podobnego.

Twarz ją piekła, w ustach zaschło. Nie zamierzała narzucać się tam, gdzie nie była mile widziana, a przede wszystkim nie chciała być kością niezgody między dziewczętami.

Zgromadzeni zaczęli szeptać, proboszcz ujął Victorię pod ramię, lecz ona oswobodziła się gwałtownie.

– Teraz moja kolej. Teraz ja ciebie wyrzucę! Wynoś się!!!

Kategorycznym gestem wskazała drzwi, lecz zrobiła to za późno, bo Jill już zdążyła się obrócić, chwycić Megan za rękę i ruszyć w stronę wyjścia. Zostawiły po sobie tylko echo stukotu obcasów.

Jill sądziła, że gorzej być nie może, jednak się myliła.

– Czekaście! – krzyknęła za nimi Abby i także ruszyła do drzwi.

Jill przystanąła, natomiast Megan puściła jej dłoń i biegła dalej.

– Megan!

Dziewczynka nie słuchała, już pchnęła przeszkłone drzwi i wypadła na kościelny dziedziniec. Wobec czego Jill też pobiegła. Zaraz ją dogoniła, nieszczęśliwą, zapłakaną, całą mokrą od deszczu.

– Mamusiu, co ja zrobiłam? Co zrobiłam złego?

– Nic, kochanie. – Przygarnęła córkę do piersi.  
Z kościoła wypadła Abby. Na policzkach miała czarne ścieżki rozmazanego tuszu.  
– Przepraszam!  
Megan cofnęła się przestraszona.  
– Nie wiem, jak was przepraszać! – rozszlochała się Abby.  
– Co się właściwie stało?  
– To moja wina, zawałam sprawę. Nie powiedziałam jej, że przyjedziecie. Ale nie przyszło mi do głowy, że zachowa się jak wariatka! I to przy wszystkich... – Zdusiła szloch, zadygotała.  
Megan stała z boku, ocierając oczy. Jill najchętniej by się rozdwoiła.  
– Tata nam powiedział – odezwała się w końcu Abby – że go zdradzałaś i dlatego zażądałaś rozwodu. Bo wybrałaś innego.  
– Że co?! – wyrwało się Megan.  
– To nieprawda – zaprzeczyła Jill. – Abby, wróć do środka. Nie czas teraz ani miejsce...  
– Kłamał? – Abby po raz kolejny otarła oczy. Tym razem rozsmarowała tusz po twarzy.  
– Myślę, że kłamał. Przecież go nie zdradzałaś, prawda?  
– Moja mama nigdy by nie zrobiła czegoś takiego! – krzyknęła Megan. – Tylko przez niego płakała, ciągle płakała nocami, wszystko słyszałam! Pewnie to on ją zdradzał!  
– Na pewno nie! – oburzyła się Abby.  
– Na pewno tak!!! – wrzasnęła Megan głośniej. Żyły na jej szyi pulsowały gwałtownie.  
– Dość tego – ucięła Jill. – Przestańcie się kłócić. – Sama była wzburzona, ale ktoś musiał zapanować nad sytuacją. – Abby, musimy iść. Wróć do środka, bo całkiem przemokniesz. Trzymaj się. Do widzenia.  
– Zaczekaj! – Abby chwyciła ją za ramię. – Przyjdź potem do domu, dobrze? Tak jak się umawialiśmy, tak jak cię prosiłam. Przyjdź, proszę. Wiem na pewno, że ktoś zamordował tatę, muszę się dowiedzieć kto.  
– Przykro mi, Abby, nie przyjdę.  
Jill wyswobodziła się z uścisku łagodnie, lecz zdecydowanie.  
– Mamo, William został zamordowany? – spytała Megan z oczyma jak spodki.  
– Nie – odparła Jill stanowczo. Wzięła córkę za rękę. Przez szybki w drzwiach zobaczyła zbliżającą się Victorię. – Idziemy.  
– Tak, Megan – odezwała się jeszcze Abby. – Ktoś go zabił.  
Victoria akurat otworzyła drzwi, tuż za nią podążał proboszcz.  
– Ktoś go zabił – powtórzyła Abby. – Jill, potrzebuję twojej pomocy.  
Jill pociągnęła za sobą chlipiącą Megan. Victoria i proboszcz wyszli na dziedziniec.  
– Proszę cię! – zawołała Abby. – Pomóż mi!  
Jill jednak nie zwolniła kroku. Uciekała z jedną szlochającą córką od drugiej, też zapłakanej.

## Rozdział 10

Usiadły w spokojnej restauracyjce niedaleko kościoła. Megan wreszcie przestała płakać, ale chociaż obmyła twarz, oczy nadal miała podpuchnięte i zaczerwienione. Co więcej, skaleczyła sobie dolną wargę o aparat ortodontyczny.

- Boli cię, kochanie? – martwiła się Jill.
- Nie bardzo. Mamo... – Drobną ranka była dla dziewczynki najmniej ważna.
- Victoria strasznie się zdenerwowała, chyba lepiej było nie przychodzić.
- Nie ma tu naszej winy. Victoria się nas nie spodziewała, zaskoczyłyśmy ją, to wszystko. A że ma kłopot z trzymaniem nerwów na wodzy, to w tej sytuacji nie może dziwić.
- O co chodziło z tym morderstwem? Abby mówi, że jej tata został zamordowany.
- Myli się. – Jill wolno pokręciła głową. – W rozpaczy ludzie mówią różne rzeczy.

Abby na razie nie myśli klarownie. Obu im przejdzie.

Megan pociągnęła nosem.

- I na pewno go nie zdradzałaś.
- Oczywiście, że nie.
- Wiem. Bo jesteś uczciwa. – Megan uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Nigdy nie pozwalasz mi się za siebie podpisać, nawet na usprawiedliwieniu nieobecności. – Zamilkła na moment, zawiesiła wzrok na uśmiechu matki. – A czy on ciebie zdradzał?

Jill w duchu westchnęła ciężko.

Od sąsiedniego stolika podniosła się dwójka turystów. Zrobiło się trochę zamieszania.

- To chyba nie jest temat na teraz, kochanie.
- Mamo, nie przesadzaj, nie jestem dzieckiem.
- Widzisz, w zasadzie to po prostu nie twoja sprawa. Nic ci do tego. Ani tobie, ani Abby, ani Victorii. W ogóle nie powinno to obchodzić nikogo prócz mnie. – Była zdecydowana obstawać przy swoim. Megan i tak już dostała zbyt dużą dawkę emocji jak na jeden dzień.
- Musiałam się z nim rozwieść, więc się rozwiodłam i dobrze się stało.
- Mamo, powiedz. Proszę. – Dziewczynka nachyliła się nad stołem. – William powiedział swoim córkom. Nie miał wątpliwości, że powinny wiedzieć.

- William je okłamał.
- Proszę, zaufaj mi. Powiedz, jak było.
- To nie jest kwestia zaufania... – Jill zastanowiła się nad swoją decyzją. – Wolałabym wykorzystać ten dzień, dzień pogrzebu Williama i w ogóle jego śmierć, by zamknąć ten rozdział. Definitywnie.

- Nie powinniśmy iść w przyszłość, póki nie zrozumiemy przeszłości.
- Coś takiego? – zdumiała się Jill w duchu. Megan wyraźnie nabierała polotu.
- Sama mi to powiedziałaś – wyjaśniła dziewczynka, widząc zaskoczenie matki.
- W zeszłym tygodniu. Jak mi pomagałaś w równaniach. Powiedziałaś, że nie można przejść do następnego etapu, póki się nie zrozumie poprzedniego. – Przekrzywiła głowę. – Powiedz mi, co się stało. Dlaczego się rozwiedliście.
- Chwileczkę. – Jill dostrzegła kelnerkę idącą w ich stronę.
- Sałatka dla pań – oznajmiła kelnerka, stawiając przed nimi talerze.

Nad stolikiem zawisła gęsta woń sosu balsamicznego. Obie podziękowały, po chwili znów zostały same.

– Kochanie... Szczerze mówiąc, nie wiem, czy mnie zdradzał, i nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia.

– Niemożliwe – zaprzeczyła Megan z płonącymi oczami. – Niemożliwe!

– Nie dramatyzujmy – wyhamowała ją Jill. Układ między matką a córką z definicji był konfliktogenny, a jeśli dodać do niego jeszcze zmarłego byłego męża, komplikacje przybierały rozmiary katastrofalne.

– O co poszło?

– Jakiś czas byliśmy szczęśliwi, ale dość szybko dały o sobie znać kłopoty. Nie od razu je zauważyłam. Ignorowałam dość czytelne sygnały... To trochę jak z chorobą, kiedy człowiek bagatelizuje objawy, bo nie chce zmieniać pierwotnej diagnozy. Klasyczny efekt potwierdzenia.

Megan pokiwała głową, przyzwyczajona do analogii medycznych.

– Oczywiście pamiętasz Williama dość dobrze – mówiła dalej Jill. – Co ci zostało w pamięci? Jaki był dla ciebie?

– Miły. Zabawny. Towarzyski. Lubił robić coś fajnego. Na przykład wtedy, kiedy kupił nadmuchiwany zamek. Albo trampolinę.

– Albo czerwony kabriolet. Pamiętasz? William zabrał was na przejażdżkę.

– A tak. To był mustang. – Megan uśmiechnęła się szerzej.

Jill zwątpiła na moment, czy dobrze robi, przywołując szczęśliwe chwile. Mimo wszystko jednak potrzebny był jej kontrast.

– Jak na pewno zdajesz sobie sprawę, ktoś musiał za to płacić. William zarabiał, owszem, jednak mniej niż ja i znacznie mniej, niż wymagał jego wymarzony styl życia. Chciał kupować trampoliny, samochody i tysiące innych rzeczy... wszystko, na co by mu tylko przyszła ochota.

Megan ściągnęła brwi.

– Co w tym złego?

– Niby nic, ale zaczął zaciągać długi, chciał nawet wziąć pożyczkę pod zastaw domu. Ja nie mam zbyt szerokiego gestu, a małżeństwo powinno pewne sprawy uzgadniać. – Szalenie trudno było wyjaśnić przyczyny rozwodu nastolatce z głową pełną romantycznych mrzonek.

– Chciał ciągle coraz więcej pieniędzy, więc próbował inwestować. Najpierw w świeżo powstającą spółkę biotechnologiczną. Zgodziłam się i pokryłam koszty jego udziałów. Potem w niewielką firmę ubezpieczeniową. O niczym innym nie myślał.

– Czyli poszło o pieniądze?

– Nie tylko, ale pieniądze też mają znaczenie.

– Mamo, on się starał realizować swoje marzenia.

Dziewczynka, jak zwykle, stanęła po stronie Williama. Zawsze go broniła, dlatego podobne rozmowy prowadziły donikąd.

– Niezupełnie. To nie jest realizacja marzeń, jak... jak w programie *American Idol*. Trzeba mierzyć siły na zamiary.

– Czyli nie stać go było na zrealizowanie marzeń.

– W pewnym sensie, chociaż... Trzeba odróżniać marzenia, dążenie do jakiegoś celu od zwykłej, pospolitej chciwości.

Megan pytająco uniosła brwi.

– Po jakimś czasie dostrzegłam pewien wzorec – podjęła Jill. – I zorientowałam się wreszcie, że jego żądania nigdy się nie skończą, że on nigdy nie będzie miał dość. Gdybym nie zareagowała, gdybym się nie sprzeciwiła, doprowadziłby nas do bankructwa.

– I to wszystko? – zdziwiła się Megan. – O to poszło?

Jill ścisnęło się serce.

– Któregoś dnia zażądał ode mnie kolejnej sporej sumy pieniędzy na następną ryzykowną inwestycję.

– Ile chciał?

– Trzysta dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

– Rany!

Oczy Megan zapłonęły, ale Jill wiedziała, że córka w rzeczywistości nie ma pojęcia o wartości takiej sumy. Potrafiła ocenić, czy konkretny model smartfona jest drogi, ale jeszcze nie miała okazji nauczyć się myślenia o finansach w większej skali.

– Odmówiłam.

Nie wspomniała, że chciał od niej pieniędzy należących do Megan. Jej spadku, kwoty, którą rodzice Graya po jego śmierci zdeponowali dla wnuczki w ramach niewielkiego funduszu powierniczego. Gray nie miał ubezpieczenia na życie, wtedy jeszcze oboje byli za młodzi, żeby myśleć o śmierci. Za młodzi, żeby umierać. A mimo to...

– Skoro nie dałam mu gotówki – podjęła – naciskał, żebyśmy zaciągnęli kredyt, ale na to również się nie zgodziłam. Wtedy zrobił coś, co przeważało szalę.

– Co?

Może faktycznie już czas, żeby Megan się dowiedziała?

– Pamiętasz, jak zaczął przychodzić po mnie do pracy? Razem z tobą. Bawiłaś się w poczekalni, potem szliśmy razem na kolację.

– Pamiętam, fajnie było.

– Sądziłam, że przychodzi tam z mojego powodu, niestety, było inaczej. Okazało się, że William okrada pracowników. I przychodził jako taką.

Megan zacisnęła wargi. Spięła się.

– Podbierał niewielkie sumy pieniędzy oraz próbki leków – mówiła dalej Jill. – Nie od razu się zorientowaliśmy, bo nie rozmawialiśmy o tym, uważaliśmy to za nieistotne drobiazgi, a praca wечно gonila. Podkradał też recepty.

– Po co mu były recepty?

– Kradł czyste blankiety. Można je sprzedawać, kupując ci, którzy chcą nielegalnie dostawać leki dostępne wyłącznie na zalecenie lekarza.

– Nie wiedziałam.

– Tak to już jest. Za jeden blankiet można dostać jakieś pięćdziesiąt dolarów. Zwykle kupują je ludzie uzależnieni od leków przeciwbólowych, jak oxycontin czy vicodin. Nawet gdy już się zorientowaliśmy, że ktoś kradnie, do głowy nikomu nie przyszło, by posądzać Williama.

Megan milczała. Najwyraźniej współczuła Williamowi. Jill straciła pewność siebie. Może lepiej było nadal milczeć? Postanowiła nie wspominać o pieniądzach, jakie William wyciągał jej z portmonetki, ani o sztuczce z kartą do bankomatu: bladym świtem, zanim ktokolwiek w domu otworzył oczy, wychodził na moment, do najbliższego bankomatu i wypłacał niewielkie sumy. Nie zdawała sobie z tego sprawy, aż było za późno.

– Nie wiem... – zawahała się. – Co jeszcze chcesz usłyszeć? – Poglądziła córkę po dłoni.

– Skąd wiesz, że to on kradł? – spytała Megan. – Przecież nigdy nie wiadomo.

Jill spuściła głowę.

– Złapaliśmy go na gorącym uczynku.

– Jak to?

– Zastawiliśmy pułapkę. W piwnicy, gdzie przechowywaliśmy czyste recepty. Nawet zainstalowaliśmy kamerę, sama to wymyśliłam. Nie przyszło mi do głowy, że złodziejem okaże się mój mąż.

Megan odłożyła widelec. Straciła apetyt.

– To było straszne – ciągnęła Jill. – Narobił mi wstydu, a co gorsza, mógł zrujnować mnie i wszystkich lekarzy z naszego zespołu. Moich kolegów i koleżanki, moich przyjaciół. Mogliśmy wszyscy stracić licencje.

– Nie poszedł do więzienia?

– Nie. – Jill była i smutna, i wzruszona, że Megan w dalszym ciągu współczuje Williamowi. – Ze względu na mnie nikt nie zgłosił sprawy policji, ale musiałam spłacić to, co ukradł, co do grosza. No i musiałam stamtąd odejść. A po tym, jak w środowisku zaczęły krążyć plotki, miałam dużo szczęścia, że w ogóle znalazłam zatrudnienie. Dlatego teraz lecę w Medycynie Rodzinnej Pembey. Tylko oni zaoferowali mi pracę.

Megan w zamyśleniu popatrzyła na sufit.

– Myślisz, że cię zdradzał?

– Nie wiem i niewiele mnie to obchodzi.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Jill nie zamierzała wyjaśniać, że oszustwa, jakich William się wobec niej dopuścił, były gorsze niż zdrada. Kłamstwem było całe ich wspólne życie. Nie wiedziała, co się dzieje pod jej własnym dachem, dosłownie pod nosem.

– Chcę być z mężczyzną, któremu mogę wierzyć i ufać – powiedziała. – Jakiś czas byłam samotna. Potem poznałam Sama. I to koniec historii. Albo może początek.

Megan przekrzywiła głowę, układała sobie nowe wątki.

– Mnie się wydaje, że William miał swoje marzenia, tylko inne niż twoje.

– Dobra, możemy się zgodzić, że w tym się nie zgadzamy.

Najwyższy czas skończyć tę rozmowę, choćby po to, by oszczędzić Megan dalszych atrakcji. Kwestie, o których nie powinna mówić, a które miała już na końcu języka, szczerza prawda, sedno rzeczy: że w jej przekonaniu William nigdy jej nie kochał, ożenił się z nią dla pieniędzy oraz po to, by zapewnić matkę córkom. Gdyby jednak to powiedziała, Megan niechybnie doszłaby do wniosku, że jej także William nie kochał, że jedynie udawał sympatię i ciepłe uczucia, że ją także wykorzystał. A tego byłoby już zbyt wiele jak na jeden raz, na jeden dzień, jedną rozmowę, mimo całej niezaprzeczalnej nastoletniej mądrości uczennicy gimnazjum. Dziewczynka miała dopiero trzynaście lat, psychicznie była jeszcze dzieckiem.

– Mamo... – odezwała się Megan – a o czym ty marzysz?

Jill chętnie wykorzystała okazję do zmiany tematu. Niewiele brakowało, a z ulgi roześmiałyby się głośno.

– Moim marzeniem jesteś ty.

– Maaamooo! Poważnie pytam.

– Poważnie odpowiadam. Chciałam mieć piękną córeczkę, taką jak ty.

– Niespodziewanie łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugowała szybko. – Nie śmiałam marzyć, że będę tak szczęśliwa. Nie wiem, jak do tego doszło.

– Ale co wymarzyłaś dla siebie? No na przykład... co robisz z pasją, co jest dla ciebie najważniejsze?

– Poza tobą?

– Tak. – Megan przewróciła oczami.

– Kochanie, któregoś dnia zrozumiesz, że dla matki najważniejsze na świecie są dzieci.

I nie ma w tym nic złego. Za mało się o tym mówi. Widzę to codziennie w pracy, widzę matki zdolne dokonać każdego wyczynu, byle pomóc dziecku wyzdrowieć, widzę to w pełnych strachu e-mailach, słyszę w telefonach, mam dowody we wszystkim, co matki robią dla swoich

dzieci. – Na moment wróciła myślami do Padmy i jej trzech synów. A także do własnej matki. – Kobiety poświęcają dzieciom każdy dzień, każdą chwilę życia i robią to z miłością. Bez pytań, bez oczekiwania wzajemności. To jest pasja.

Megan nadal nie wyglądała na przekonaną.

– No dobrze, a zanim się urodziłam? Co robiłaś przedtem? Miałaś wtedy jakieś marzenia?

Jill się zamyśliła.

– Cóż... chyba mogę powiedzieć, że moim marzeniem było pomaganie dzieciom.

Dlatego zostałam pediatrą. A teraz jestem zawodową mamą.

– Aha! Tylko się nie rozpędzaj.

– Dobrze, dobrze. – Jill uśmiechnęła się do córki, szczęśliwa, że wróciły na spokojne wody. – To teraz ty mi powiedz, co jest dla ciebie ważne. Co lubisz robić?

Megan zmarszczyła czoło.

– Właściwie nie wiem. To źle?

– Nie, skądże. Jesteś jeszcze bardzo młoda. Z czasem się dowiesz. Z pasją jest jak z miłością, bo to jedna z postaci miłości. Może będziesz chciała pływać, a może zostaniesz weterynarzem. Jesteś dobra na scenie, więc może zostaniesz aktorką albo piosenkarką? Życie pokaże. Trzeba tylko pamiętać, co jest najważniejsze. Nie pieniądze, lecz miłość.

– Zapamiętam. – Megan westchnęła. – To co zrobisz z Abby?

– Nie rozumiem. – Jill znowu musiała się szybko przestawić.

– Może ona ma rację i William naprawdę został zamordowany?

– Niemożliwe. Policja stwierdziła, że zgon nastąpił w wyniku połączenia leków z alkoholem, a nie morderstwa. William popił leki whisky, a taka mieszanka może mieć fatalne skutki.

– Pamiętam, że czasem pijał whisky, nawet pozwolił mi spróbować. Ble, ale to było ohydne. – Megan zmarszczyła nos. – Ale nie wiedziałam, że brał jakieś lekarstwa. Jakie to były?

– Znalezione leki przeciwbólowe i uspokajające.

– Łykał je, kiedy byliście małżeństwem?

– Nie. To znaczy, nic nie wiedziałam o tym, żeby brał jakieś leki, jednak przecież kradł próbki i recepty. Kiedy doszło do konfrontacji, twierdził, że je sprzedał, więc nie przypuszczałam, by mógł sam coś zażywać. Najwyraźniej kolejny raz się pomyliłam.

– Czy te leki, które teraz połknął, były takie same jak tamte, które kradł?

– Nie. Kradł lekarstwa na ADHD, takie jak ritalin. – Nie musiała wyjaśniać córce sprawy dokładniej, bo Megan wiedziała wszystko o skandalu, jaki rok wcześniej miał miejsce w pewnym liceum. Skończył się aresztowaniem dzieci sprzedających ritalin jako suplement pomagający w nauce.

– Jeżeli się połknie takie lekarstwa z alkoholem, to można dostać zawału serca?

– Tak. – Jill dziobnęła sałatę widelcem. – Tak, istnieje taka możliwość i policja nie ma wątpliwości.

Megan patrzyła w swój talerz z nietkniętym daniem. Borykała się z jakąś myślą.

– Kochanie – odezwała się Jill. – Abby mówi o morderstwie, bo nie może się pogodzić ze śmiercią ojca. To jej metoda zaprzeczania faktom. Policja nie widzi w tym przypadku nic podejrzanego, Victoria się z tym zgadza.

Megan podniosła wzrok, znowu miała mokre oczy.

– Ale i tak bym chciała, żebyś pomogła Abby. Na pewno wtedy by zrozumiała.

– Daj spokój, ona po prostu nie wie, co mówi.



- No to pomóż jej to zrozumieć. Już jej nie kochasz?
- Kocham.
- Ona ciebie też kocha. Zawsze cię kochała. Traktowała cię jak prawdziwą mamę.

Powiedziała mi kiedyś, że tak naprawdę to swojej mamy w ogóle nie pamięta.

Jill już nie wiedziała, co powiedzieć. Pierwsza żona Williama zginęła w wypadku samochodowym, gdy Abby miała zaledwie cztery latka. Także należała do osób zamożnych, ale Jill nie chciała podążać tym tokiem myślenia. Ta konkretna rozmowa miała dotyczyć przede wszystkim Megan.

- Czy to ci przeszkadzało?

– Nie, wcale! Człowiek lubi, jak ktoś, kogo lubi, lubi kogoś innego, kogo lubi. – Córka uśmiechnęła się łobuzersko. – No wiesz, na przykład jak ludzie mówią, że Pulpet jest słodki. Uwielbiam to. A nie znoszę tych, co powtarzają, że jest stary i gruby. Abby jest kochana. A poza tym sama wiesz, co się dzieje, jak już coś sobie wbije do głowy. Właściwie jest jak Pulpet ze skarpetką. Nie popuści. – Zamilkła na chwilę. – Mamo, ona nas potrzebuje. Jesteśmy rodziną.

- Tak? – Jill była jednocześnie wzruszona i zaskoczona.
- No tak. Przecież nie można kogoś z rodziny wyrzucić.

Jill uśmiechnęła się ponownie. Mimo upływu lat ciągle czuła się matką Abby, a teraz usłyszała, że jej rodzona córka także wlicza przybraną siostrę do rodziny.

- Mamo... powiedziałaś, że twoją pasją jest pomaganie dzieciom, tak?
- Tak.
- No to musisz pomóc Abby. Ona w dodatku jest nasza.

## Rozdział 11

W domu Jill zmieniła ubranie, po czym zabrała się do ścielenia łóżka Megan. Dom był pusty i robił wrażenie opuszczonego. Córkę zostawiła u Courtney, gdzie dziewczynki miały przed wieczornym treningiem popracować nad jakimś projektem z angielskiego, a Sam nadal był z Lee gdzieś w mieście. Kręciła się po domu, robiąc pranie i załatwiając tysiąc innych drobnych prac, które nigdy nie mają końca; jednocześnie starała się wyrzucić z myśli ceremonię żałobną i jej pokłosie. Bez skutku.

„Dlaczego się rozwiedliście?”

Znów zakłuło ją w sercu. Zdążyła się stęsknić za Megan. Za wcześniej na puste gniazdo, jednak nie trzeba być pediatrą, by wiedzieć, że dzieci wylatują z gniazd, zanim nauczą się fruwać. Upchnęła róg prześcieradła pod materacem. Nigdy jej nie wychodziło składanie prześcieradła na rogach materaca. Pracowała w sześciu szpitalach, a nie umiała po szpitalnemu pościelić łóżka. Nawet w szpitalach już mało kto potrafił dobrze złożyć prześcieradło na rogu materaca. Co za ironia losu.

Podniosła wzrok na psa. Pulpet położył łeb na wyciągniętych przednich łapach, pysk oparł na swojej ulubionej wypchanej skarpetce.

„Jest jak Pulpet ze skarpetką. Nie popuści”.

Sięgnęła po świeżą poszwę na kołdrę, starą jak sam świat, wyjętą przed chwilą z bielizniarki. Zwykle udawało jej się powlec kołdrę dopiero za drugim, niekiedy nawet za trzecim razem. Nienawidziła tej czynności. Woląла zmieniać baseny, niż powlekać kołdrę.

Drrryń!

Komórka. Wyłowiła ją z kieszeni, zerknęła na numer. Filadelfijski.

– Słucham.

– Przepraszam cię za to zajście na ceremonii – odezwała się Abby. Głos miała ciężki od smutku.

Jill odłożyła poszwę i kołdrę. Współczuła dziewczynie całym sercem.

– Jak się trzymasz, kochanie? Jak było na uroczystości?

– Trzymam się. Jakoś poszło. – Abby pociągnęła nosem. – Cieszę się, że nie zmieniłaś numeru telefonu. Nadal masz mnie w szybkim wybieraniu?

– Zmieniłam aparat... – Jill poczuła ukłucie winy. – Ustawienia fabryczne... Gdzie jesteś, kochanie?

– W domu.

– Sama?

– Nie, nie jestem sama, przecież mam Korniszona.

Jill usiadła na łóżku.

Abby nie powinna być sama, zwłaszcza teraz, po ceremonii pogrzebowej. Na dodatek w domu, w którym mieszkała z Williamem.

– Jill, przepraszam cię za to, co powiedziałam. Tak naprawdę wiem, że nigdy nie zdradziłaś taty. Po prostu... on tak mówił i Victoria też w to uwierzyła, a ja nie chciałam myśleć, że on kłamie. To znaczy... rozumiesz, mam tylko jego. Miałam.

– Nic nie szkodzi, nie przejmuj się, kochanie. Urządziłyście stypę?

– Tak, ale ja nie zostałam. Victoria się na mnie wściekła. Na pewno jeszcze nie wyszła z restauracji. Zresztą jest z przyjaciółmi i z Brianem.

– Co to za Brian?  
– Nazywa się Brian Pendle. Widziałas go na uroczystości. Taki wysoki, przystojny, w okularach.

Oczywiście.

– Megan mówi, że to jej chłopak.

– Niezupełnie. Brian ma dziewczynę, która studiuje w Paryżu, ale Victoria nad nim pracuje. Wiesz, jaka ona jest. Im bardziej nieosiągalny facet, tym chętniej się przy nim kręci. On jest prawnikiem z Nowego Jorku, więc oczywiście wpadła po uszy.

Jill wołała nie zgłębiać tematu.

– Jadłś coś?

– Jeszcze nie. Zamówię sobie. Niedaleko mamy rewelacyjną chińszczyznę. Jak kiedyś nie zadzwoniłam, oni zadzwonili do mnie i zapytali, czy czegoś nie potrzebuję. To było tego dnia, kiedy umarł tata.

Jill zadrżała.

– A co u was? – zapytała Abby.

– Nikogo nie ma. Kręcę się po domu... Właśnie zmieniłam pościel na łóżku Megan.

– Ach... Strasznie przepraszam. Megan zniechęciła mnie do końca życia.

– Nic podobnego. Megan cię kocha. Ja też.

Jakiś czas trwała cisza.

– Nie przeszkadza mi, że jestem teraz sama – odezwała się w końcu Abby. – Mam Korniszona, więc wszystko gra. Postanowiłam zostać w tym domu. Victoria mówi, że nie mogę, ale to nieprawda, po prostu chce sprzedać dom. A ja nie chcę. Chcę tu zostać.

– Jeszcze za wcześnie na takie decyzje, kochanie. Nie śpiesz się, masz czas.

– Niezupełnie. Victoria już wzięła prawnika. Łatwo nie będzie.

Jill przygarbiła się bezwiednie.

– Cóż... Może ma rację? Utrzymanie domu kosztuje. Trzeba co miesiąc spłacać hipotekę...

– Nie trzeba. Dom jest splecony.

– Niemożliwe.

Z Samem mieli spłacać dom jeszcze przez kilkadziesiąt lat, chociaż oboje nieźle zarabiali.

– Tak mi tata powiedział.

– Mimo wszystko będziesz musiała się z czegoś utrzymać. Zarobisz na życie jako kelnerka?

– Rzuciłam tę pracę.

– Jak to? – Jill bardzo się pilnowała, by zadać pytanie odpowiednim, lekkim tonem.

Z pewnością nie krytyki Abby potrzebowała w tym konkretnym dniu. – Dlaczego?

– Chcę się dowiedzieć, kto zabił tatę. I dowiem się, niezależnie od tego, czy mi pomożesz.

Jill wołała puścić ostatnią uwagę mimo uszu.

– Z czego będziesz żyła? – spytała. – Czy twój tata był ubezpieczony?

– Tak. Victoria mówi, że miał polisę na milion dolarów, a my dwie jesteśmy beneficjentkami. Poza tym odłożyłam trzy tysiące, więc mam z czego żyć.

Z jednej strony – bardzo dobrze. Z drugiej... dziwnie. Sama parę ładnych lat temu nakłoniła Williama do wykupienia polisy, lecz na znacznie mniejszą sumę. Milion dolarów? Sporo.

– Chciałabym – odezwała się Abby – żebyś mi pomogła ogarnąć finanse domowe. Nie

bardzo wiem, co i jak z rachunkami i w ogóle ze wszystkimi płatnościami.

Pojawiła się okazja do załatwienia sprawy.

– Dobrze, pomogę ci, ale i ty dla mnie coś zrobisz. Chcę, żebyś odwiedziła psychologa, bardzo miłą kobietę.

– Psychologa... – jęknęła Abby. – Miło, że nie proponujesz mi psychiatry.

– Kochanie, masz za sobą ciężkie przejścia, ogromną stratę, jesteś w okresie żałoby.

Nie ma nic uwłaczającego w terapii. Wiem, co mówię, bo skorzystałam z takiej pomocy po śmierci pierwszego męża. Proszę cię tylko, żebyś spróbowała. Możesz się umówić na dowolny termin w tym tygodniu.

– Dobrze – zgodziła się Abby po chwili.

– Jesteś mądra, kochanie. – Jill odetchnęła z ulgą.

– Może byś przyjechała? Powiedziałas, że jesteś sama. Zamówimy sobie chińszczyznę.

– Teraz?

– Czemu nie?

Właściwie rzeczywiście – czemu nie? Odpowiedziała na wszystkie listy od pacjentów, oddzwoniła, do kogo trzeba było, zrobiła pranie. Miała zamiar popływać, ale to akurat mogła przełożyć na później.

– Zawsze możesz na mnie liczyć. Chętnie przyjadę.

Nie wiedziała, na co się decyduje.

## Rozdział 12

Zanim dotarła do Filadelfii, zrobiło się prawie ciemno. Z niemalym zdumieniem stwierdziła, że William zamieszkał w jednej z najlepszych dzielnic, w najbardziej prestiżowej części Society Hill. Jego dom okazał się efektowną bryłą z betonu i szkła.

Weszła po schodach i zadzwoniła do drzwi, stale walcząc z chęcią przecierania oczu ze zdumienia.

W progu stanęła Abby, nadal w tej samej zwiewnej sukience co w kościele. Od razu wpadła Jill w ramiona.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że przyjechałaś!  
– Trochę może mam. Też się cieszę, że cię widzę. – Jill ogarnęła gestem nowoczesny budynek. – Naprawdę to jest twój dom? Niesamowity.  
– Rozumiesz teraz, dlaczego chcę tu zostać. Wejdz.

Minęły przedpokój urządzone wyłącznie w bieli i znalazły się w salonie o ścianach ze szkła. Przed domowym centrum rozrywki z najnowocześniejszym telewizorem na poczesnym miejscu ustawiono skórzany komplet wypoczynkowy w tonacji beżu.

– Abby, gdzie twój tata pracował? – spytała Jill oszołomiona. – Chyba już nie dla firm farmaceutycznych?

– Nie, nie. Prowadził własny interes. Razem z kolegą, Neilem, zajmowali się inwestycjami. – Uśmiechnęła się z dumą. – Tata ma mercedesa, a Victorii kupił bmw, żeby mogła do nas przyjeżdżać jak najczęściej. Ja dostałam starego datsuna, widziałas moje auto, takie sobie wybrałam.

– Jesteś pewna, że chcesz tu mieszkać sama?  
– Nic nowego. Tata ciągle wyjeżdżał, często nawet na cztery dni w tygodniu.  
– Po co tyle jeździł, skoro już nie był akwizytorem?  
– W interesach. – Dziewczyna wruszyła ramionami. – Bez przerwy gdzieś coś załatwiał, w Nowym Jorku i w innych miastach. Ale nie znam szczegółów, bo sama wiesz, jaki był. Swoje sprawy zatrzymywał dla siebie.  
– Czyli mieszkałaś właściwie sama.  
– Nie do końca. Santos był ze mną. Mój chłopak, mówiłam ci. Pomagał mi w różnych sprawach. Jest starszy ode mnie.

Nietrudno się było domyślić. Widziała go na Facebooku. Niechlujny typ, faktycznie wyraźnie starszy od Abby.

– Ile ma lat?  
– Trzydzieści.  
Jill zdołała ukryć niepokój. Abby była bardzo wrażliwa, zwłaszcza teraz łatwo byłoby ją zranić.

– Kochanie, czy ty tu będziesz bezpieczna?  
– Jasne. Jest alarm przeciw włamaniom. No i rewolwer taty.  
– William kupił rewolwer? – powtórzyła Jill z niedowierzaniem. Tego się nie spodziewała. W ich wspólnym domu nie było broni... a w każdym razie ona nic o tym nie wiedziała. Ale William o wielu rzeczach jej nie mówił. – Ciągle mam wątpliwości – podjęła.  
– Sama, w takim wielkim domu...  
– Dlaczego wszyscy mi mówią, że czegoś mi nie wolno albo nie powinnam? Nawet ty.

– Abby spojrzała na Jill błagalnym wzrokiem. – Nigdy taka nie byłaś. Zawsze mi mówiłaś, ty jedna, jedyna, że mogę robić, co tylko zechcę.

– Nie mówię, że nie powinnaś, tylko nie bardzo rozumiem, dlaczego miałabyś chcieć.

– A dlaczego nie? I chcę się dowiedzieć, kto zabił tatę.

Jill udawała, że nie słyszy ostatniego zdania.

– No dobrze. Pokaż mi, gdzie tata trzymał rachunki i inne dokumenty.

– Na górze, w gabinecie. To prawdziwy męski azyl, zobaczysz. Chodź.

– Poprowadziła Jill do przeszklonej klatki schodowej, weszły na pierwsze piętro i znalazły się w zalanym światłem korytarzu. – Tu jest moja sypialnia – powiedziała Abby, otwierając drzwi. – A tu Victorii, ale sypia w niej tylko Korniszon. Właściwie raczej wyleguje się za dnia.

– A gdzie Korniszon jest teraz?

– Na wszelki wypadek zniknął. Zawsze się chowa przed obcymi.

Jill zajrzała do sypialni Abby i na moment zaniemówiła. Była to replika pokoju, który dziewczyna swego czasu dzieliła z Megan, urządzonego w sposób tradycyjny, z niebieskim dywanem na podłodze, pościelą w niezapominajki i błękitnymi zasłonami.

– Wiem, że to wariactwo, ale chciałam się czuć jak w domu, żeby nie tęsknić.

– Podziało? – spytała Jill ze współczuciem.

– W sumie mniej więcej.

Jak widać, Abby także zapłaciła wiele za rozwód Jill z Williamem. Utratą rodziny i domu, a żadnego z nich nie mogła zastąpić pusta szklana bryła.

– Tu jest gabinet taty.

Weszły do mrocznego pokoju, urządzonego wyraźnie dla mężczyzny. Na podłodze leżał dywan o ciemnym wzorze, do skórzanej czarnej sofy i fotela dołączono lakierowane stoliki, obrazu dopełniało gładkie, połyskliwe biurko z drzewa orzechowego oraz fotel od Hermana Millera.

– Tutaj zajmował się rachunkami... teraz ja muszę się tego nauczyć. W szafce są stare papiery.

– Wydaje mi się, że znam prostszą metodę. – Jill podeszła do laptopa. – Gdy byliśmy małżeństwem, używaliśmy do prowadzenia domowych rachunków programu Quicken. Mogę zajrzeć?

– Jasne.

Jill usiadła za biurkiem i stuknęła w spację. Niechętnie wchodziła w sprawy byłego męża. Ekran monitora rozjarzył się wakacyjnym zdjęciem szeroko uśmiechniętych Williama, Abby i Victorii. Podniosła wzrok na Abby, niepewna, jak dziewczyna zniesie ten widok.

– Możemy to załatwić kiedy indziej – zaproponowała.

– Nie, dlaczego? Śmiało, szukaj. Ja sprawdzałam pocztę, ale nie znalazłam żadnych pogróżek od psychopatycznych byłych dziewczyn ani w ogóle nic podejrzanego. – Abby wskazała jeden ze stolików. – Tam policja znalazła butelkę whisky. Glenfiddich. Bez szklanki. Jeżeli zabójca taty był tu, na górze, to przed wyjściem zabrał obie szklanki.

Jill udawała, że nie słyszy.

Przejrzała listę programów, znalazła Quicken i kliknęła ikonę wydatków domowych, co przeniosło ją do wirtualnego rejestru rachunków.

– Są. Tutaj znajdziemy comiesięczne wydatki i będziemy mogły ułożyć budżet. Bułka z masłem. A gdzie te stare rachunki, mówiłaś? Może się jednak przydadzą.

– Tutaj. – Abby podeszła do szafki na akta, wysunęła górną szufladę. – Same rachunki. Przeglądałam je, ale do niczego nie doszłam.

Jill przerzuciła wkładki z dokumentami. Zaczynały się od „AT&T Mobility”, a kończyły na „Verizon”. Jedną z nich oznaczono „Ważne”, tę wyjęła i otworzyła. Na samym wierzchu znajdował się akt własności domu wystawiony na Williama.

– Widzę, że dom jest na twojego tatę, trzeba będzie zmienić akt własności. Co jest w następnej szufladzie?

– Pozostałe są puste. Victoria zabrała wszystkie dokumenty do prawnika. – Abby zamknęła górną szufladę, otworzyła drugą w kolejności, faktycznie całkiem pustą. – Były w nich wyciągi bankowe i różne inne papiery finansowe.

– Rozumiem. – Jill zastanawiała się chwilę. – Może byś pomieszkała kilka dni z nami? Weźmiemy laptop i rachunki, poukładamy wszystko należycie...

– Chętnie! – Abby się rozpromieniła, zaraz jednak przygasła znowu. – Nie chcesz zajrzeć do sypialni taty? Tam go znalazłam... Chodź, proszę. – Wskazała sąsiednie drzwi. – Nie otwierałam od wyjścia policji.

Jill westchnęła ciężko.

– Po co ci to, kochanie?

– Potrzebuję twojej pomocy. Bardzo. Nikt inny mi nie pomoże.

– Słońce, ja się na tym nie znam. Skoro tak bardzo chcesz prowadzić śledztwo, pewnie lepiej byłoby wynająć prywatnego detektywa. Mogę zapłacić za jego pracę. Co ty na to?

Abby pokręciła głową.

– Bez sensu. Przecież obcemu nie będzie zależało na odkryciu prawdy bardziej niż mnie. Ech... Nie jesteś zwyczajnie ciekawa, czy został zamordowany? Przecież kiedyś go kochałaś... tak?

– Tak, oczywiście, tylko...

– Jill, proszę cię. – Abby wzięła ją za rękę. – Tak bardzo cię proszę. Chcę po prostu zrozumieć, co się stało. Moje życie nagle wywróciło się do góry nogami, a ja nie mam pojęcia dlaczego. Zajrzyj do sypialni i powiedz mi, czy widzisz coś podejrzanego.

„Musisz pomóc Abby. Ona w dodatku jest nasza”, przypomniała sobie Jill słowa Megan i ponownie westchnęła. Zawsze trudno jej było odmówić prośbie którejś z dziewczynek.

– Dobrze. Ale tylko zerknę.

– Dziękuję!

Abby pomknęła do drzwi. Jill ruszyła za nią znacznie wolniej.

Sypialnia Williama okazała się wnętrzem przestronnym i nowoczesnie urządzonej, o trzech ścianach białych i jednej granatowej. Na podłodze leżał wschodni dywan, też z przewagą koloru granatowego. Zagłówek łóżka, stolik nocny oraz komodę wykonano, podobnie jak meble w gabinecie, z drzewa orzechowego. Na komodzie stała oprawiona fotografia Williama z dziewczynkami. Wszyscy troje mieli na sobie białe koszulki. On znajdował się pośrodku, na twarzy miał chępliwy uśmiech, spod kruczoczarnej rozwichrzonej grzywki lśniły ciemne oczy.

– No dobrze. Nie widzę tu nic podejrzanego. Możemy już iść?

– Czekaj, sekundkę. – Abby powiodła dookoła uważnym spojrzeniem. – Wiem, że nie ma śladów walki, nic nie zginęło ani nie zostało przestawione, ale moim zdaniem to akurat nie ma znaczenia.

– Więc o co chodzi? – Jill bardzo się starała, by pytanie nie sugerowało, że stara się dziewczynę ugłaskać.

– Sądzę, że był w gabinecie razem z mordercą, wypili po drinku, potem przyszli tutaj i... umarł. Tu go znalazłam, po lewej stronie łóżka, bliżej drzwi gabinetu. – Miała całkiem suche oczy. – Nie widziałam żadnych śladów walki, siniaków ani zadrapań.

– Rozumiem.  
Granatowa pościel leżała w nieładzie, po lewej stronie widniała duża plama uryny.  
– Zaraz ci wytłumaczę, dlaczego tak myślę. Miał na sobie dżinsy i białą koszulę od garnituru, jakby zamierzał gdzieś wyjść albo się z kimś spotkać. Pamiętasz? Zawsze zmieniał spodnie, ale nie koszulę.  
– Tak, pamiętam.  
– Gdyby miał zamiar już nie wychodzić, na pewno włożyłby jakiś T-shirt albo inny swobodny ciuch. Nie włożył. Nie przebrał się. Został w białej koszuli. Czyli był z kimś umówiony. – Abby podeszła do nocnego stolika, na którym leżały dwa pióra, jakiś magazyn motoryzacyjny i ładowarka do telefonu. – Tutaj były trzy buteleczki z lekami i telefon komórkowy. Policja wszystko zabrała, ale nieważne. I tak wiem, że to nie były jego leki. Podrzucił je morderca. Zobacz. – Z kieszeni sukienki wyjęła żółtą karteczkę samoprzylepną.  
– Zapisałam nazwisko i numer licencji lekarza. To nie jest nasz lekarz rodzinny i nie odbiera telefonów.

Jill wzięła karteczkę z ręki dziewczyny i przeczytała zapiski.

*Leki taty:*

*vicodin, 5 mg raz dziennie*

*xanax, 10 mg raz dziennie*

*temezepam, 10 mg raz dziennie*

*dr Raj Patel lic. nr 9483636*

*tel. (215) 555-2923*

*wszystkie recepty wykupione 12 IV*

*w aptece przy Broad Street 120 N*

*tel. (215) 555-9373*

Jill dłuższy czas milczała zamyślona.

– Takie leki mógł przepisać psychiatra. Jeśli twój tata chodził do specjalisty, nie musiałyście o tym wiedzieć.

Abby prychnęła pogardliwie.

– E tam! Na pewno by nam powiedział. Szukałam tego lekarza, wrzuciłam go w Google, ale nie do pojęcia, ilu jest doktorów o tym imieniu i nazwisku. Poszłam też do tej apteki i pokazałam farmaceutkom fotografię taty. Żadna go nie widziała. – Porozumiewawczo uniosła brew. – Wyobrazasz sobie, żeby jakakolwiek kobieta po tygodniu nie pamiętała taty?

– Mimo wszystko to jest możliwe. – Jill wołała nie drażnić tematu. Sama usiłowała zapomnieć o tym człowieku przez kilka lat, tyle że miała mnóstwo związanych z nim złych wspomnień. Podała kartkę dziewczynie.

– Zatrzymaj, mam drugą.

Wobec tego Jill wetknęła żółtą karteczkę do torebki.

– Powiedziałaś, że William miał broń. Gdzie ją trzymał?

– Tutaj. – Abby otworzyła szufladę nocnego stolika, odsłaniając czarny rewolwer.

– Naładowany.

Jill nie próbowała go dotknąć.

– Widzę, że jeżeli ktoś próbowałby go zabić, to William miałby się czym bronić.

Dlaczego tego nie zrobił?



- Bo był odurzony. Nie widział, co się dzieje. A kiedy się zorientował, było za późno.
- Mógł przynajmniej wdusić przycisk alarmowy.

Panel alarmu był na ścianie tuż przy łóżku. Wiedziała, gdzie go szukać, bo mieli taki sam we wspólnym domu, a został zainstalowany z inicjatywy Williama.

- Jeśli był odurzony, to nie mógł.
- Panuje tu idealny porządek. Wcale się nie bronił? Przecież był silnym mężczyzną.
- Może się bronił, ale zabójca potem posprzątał? Skoro nie zdjęto odcisków palców, skąd można wiedzieć? – Abby mówiła głośniejszym głosem, z większą pewnością siebie. – Nikt nie wezwał ekipy kryminalnej, bo policjanci ocenili, że nie ma śladów zbrodni. Dlatego muszę prowadzić śledztwo sama. Bez względu na to, czy mi pomożesz. Dowiem się prawdy, obojętne, ile będzie to trwało i co będę musiała zrobić.

– Dlaczego ktoś miałby chcieć jego śmierci? – spytała Jill. – Nie ma śladów kradzieży. Spójrz. – Podeszła do komody, gdzie w otwartej lakierowanej szkatułce na obciążonej aksamitem palecie wisiały zegarki. Przypomniała sobie, że William zawsze trzymał gotówkę w szufladzie ze skarpetkami, więc otworzyła najwyższą szufladę i rzeczywiście, pod zwiniętymi skarpetkami odkryła garść zmiętych dwudziestek. – Nietrudno byłoby znaleźć te pieniądze, wystarczy otworzyć szufladę. Nie został okradziony nawet po śmierci. Gdzie był portfel?

– W tylnej kieszeni spodni. Policja go zabrała. – Abby ściągnęła brwi. – Może nie chodziło o pieniądze. Może to była sprawa osobista.

- Miał jakichś wrogów?
- Nie. Wszyscy go lubili. Neil nazywał go burmistrzem. Tato miał mnóstwo przyjaciół. Jakoś nie widać było tego mnóstwa przyjaciół na ceremonii pogrzebowej, nie mówiąc o tym, że nikt z tych, którzy przyszli, nie uronił ani jednej łzy.

- Kim jest Neil?
- Nazywa się Neil Straub, był partnerem w interesach taty.
- Aha. Dogadywali się bez kłopotu?
- Ależ tak! Neil w życiu by taty nie skrzywdził.
- Gdzie mieszka?
- W Nowym Jorku, lecz często podróżował z tatą.
- No dobrze. Chodźmy już.

Dość długo zwlekały, a co gorsza, Abby zaczynała się denerwować.

- Zaraz, jeszcze jedno. – Przeszła do łazienki, otworzyła lustrzaną szafkę. – Tutaj ma crestor. Widzisz? Tu trzyma leki, nie na stoliku nocnym. Mało tego. Tato zawsze realizował recepty w tej samej aptece. Wiesz, z sieci CVS. Żartował z farmaceutkami, wszystkie go uwielbiały. Kolejny dowód, że mam rację. – Jej uwagę przyciągnął odległy dźwięk jakiejś hip-hopowej melodii. – Sekundę, to mój telefon, zostawiłam go na dole. Powinam odebrać.
- Ruszyła do drzwi. – Zaraz wrócę.

- Ja też idę.
- Nie, nie, zaczekaj. – Dziewczyna wypadła z pokoju, zostawiając Jill przy łóżku Williama.

Mieli łóżko o stelażu z brązu. Zdarzyło się kiedyś takie niedzielne popołudnie... dawno temu, byli wtedy młodym małżeństwem, jeszcze szczęśliwi... Gdy tylko zamknęły się drzwiczki samochodu za ostatnią córką przekazaną pod opiekę przyjaciół... spojrzeli po sobie i uświadomili sobie, że mają dom dla siebie. Cud!

- Czy myślisz o tym co ja? – zapytał William z szerokim uśmiechem.
- Tak. Zakupy mogą poczekać.

William docisnął gaz i pognali do domu, wypadli z samochodu jak rakiety, wbiegli do budynku, nie zatrzymując się nawet po to, żeby wypuścić Pulpeta, i pocwałowali prosto do tego łóżka o stelażu z brązu.

- Narobimy hałasu! – wrzeszczał William na cały głos...
- No i tak. – Abby pojawiła się w sypialni znowu zapłakana.
- Jill wróciła na ziemię. Objęła dziewczynę, uścisnęła.
- Co się stało, kochanie?
- Victoria dzwoniła. Zabroniła mi jechać do ciebie. Mówi, że opowiadam się po niewłaściwej stronie... jakoś tak... Wszystko jedno.
- Tutaj nie ma żadnych stron, w każdym razie dla mnie.
- Abby otarła oczy.
- Wiem, wiem. Ale nie chcę jej jeszcze bardziej denerwować. Ona też teraz nie ma łatwo, a poza tym ma rację, zachowałam się niezbyt rozsądnie.
- Rozumiem. – Swego czasu Jill hamowała zapędy Victorii, która miała wyraźną tendencję do dominowania nad młodszą siostrą. Kiedy to było? – Niczym się nie przejmuj, kochanie. Rób, co uważasz za stosowne.
- Dzisiaj przenocuję tutaj. Weźmiesz laptop, tak? I tę całą resztę? Naprawdę chcę tutaj zostać, chcę tu mieszkać niezależnie od tego, co sądzi Victoria.
- Dobrze. – Nie chciała zostawiać Abby samej, lecz nie miała wyboru. – Co masz w lodówce, kochanie?
- Wodę w butelkach. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – I pełnotłuste mleko dla Korniszona.
- Może zajrzę do sklepu, przywiozę ci coś do jedzenia? Przynajmniej będziesz miała płatki na śniadanie. Nadal uwielbiasz te z truskawkami?
- Niesamowite, że pamiętasz takie drobiazgi. – Abby uśmiechnęła się szerzej.
- Kochana z ciebie mama.

Godzinę później Jill ponownie siedziała w samochodzie i w deszczu wracała do domu. Zdążyła w tym czasie zrobić zakupy dla Abby i dla siebie. Ruch na drodze był dość gęsty, więc nie jechała zbyt szybko, a momentami nawet grzęzła w korkach. Wykorzystywała ten czas na oddzwanianie i e-mailowanie z odpowiedziami dla pacjentów. Nie było żadnej informacji od Padmy, więc nie wiedziała, co się dzieje z Rahulem, pozostawało mieć nadzieję, że chłopcu się poprawia, jednak dopiero wyniki badań krwi pozwolą ocenić jego stan.

Niecierpliwiła się za kierownicą, miała mętlik w głowie. Tyle się ostatnio wydarzyło, że nie nadążała za rozwojem wypadków.

„Wyobrażasz sobie, żeby jakakolwiek kobieta po tygodniu nie pamiętała taty?”

Ciągle jej się błąkało w myślach to pytanie. Rzeczywiście, policja nie zwracała uwagi na takie szczegóły. Trzeba było znać Williama, by sobie uświadomić, że to faktycznie podejrzane.

Docisnęła trochę gaz, po chwili znów przyhamowała. Światło reflektorów wyłowilo z mroku odbłaskowe litery: BROAD STREET – 1 KM.

Miała świeżo w pamięci informację, że William zrealizował recepty w aptece przy Broad Street. Czy powinna do niej zajrzeć i o niego zapytać? Ciekawiła ją kwestia recept, a Broad Street miała po drodze...

„Jesteś lekarzem. Sherlock Holmes też był lekarzem?”

Sama uczyła Abby, że wszystkie procesy dedukcji są do siebie podobne, mają na celu dotarcie do prawdy. Diagnozując pacjenta, zawsze eliminowała możliwości słabo wsparte danymi, a trzymała się tych, które odpowiadały faktom, i sprawdzała tak długo, aż osiągnęła

cel, dotarła do sedna, odkryła prawdę. Aż zrozumiała, co się rzeczywiście dzieje. Właśnie dlatego zleciła badania krwi Rahula. Jeżeli wyniki nie wykażą szczególnych odchyleń, a taką miała nadzieję, będzie można odrzucić obawy o najgroźniejsze schorzenia.

Wlokła się wśród rzędów samochodów, pogrążona w myślach. Gdyby zajrzała do apteki i oceniła, że w historii z receptami nie ma nic podejrzanego, mogłaby się na dobre pożegnać z koncepcją morderstwa. Tak. Warto spróbować. Sięgnęła do torebki i wymacała w niej żółtą karteczkę samoprzylepną.

## Rozdział 13

W ulewnym deszczu jechała Broad Street na północ. Bulwar dzielił miasto na dwie części, po obu jego stronach roило się od punktów wymiany czeków na gotówkę, gęsto przeplatanych pustymi frontonami sklepów i placami, na których sprzedawano używane samochody. Większość latarni nie działała, więc kolejne przecznice pogrążone były w ciemności. Jill nie pojmowała, dlaczego William miałby realizować recepty akurat w tej okolicy. Po jakimś czasie zobaczyła przed sobą neon APTEKA, więc zaczęła się rozglądać za miejscem parkingowym. Zaraz dostrzegła jedno, wcisnęła hamulec i odruchowo spojrzała w lusterko wsteczne. Coś zastanawiającego przykuło jej uwagę.

„O, ślepek. Spójrz w lusterko. Jedźcie drugi za nami”.

Zamrugła z niedowierzaniem. Tak, znowu jechał za nią ślepek. Nie bezpośrednio, tylko jako drugi. Sprawdziła ponownie, tym razem w bocznym lusterku. To samo. Ślepek, bezwzględnie. Widziała wyraźnie mimo kropli deszczu na szkle. Czarny SUV z ciemnym lewym reflektorem i taką samą kwadratową kratką chłodnicy. Czy to aby na pewno przypadek? Nie wiedzieć czemu zaschło jej w ustach.

Wcisnęła gaz, minęła aptekę i skręciła w którąś przecznicę, w ulicę wąską i jeszcze ciemniejszą niż Broad Street, z szeregiem ceglanych domów. Miała mnóstwo miejsca na parkowanie. Zatrzymała się na poboczu, wyłączyła silnik, a razem z nim wszystkie światła i zsunęła się na siedzeniu.

Czy SUV także skręci w tę przecznicę?

Serce waliło jej jak młotem, była wystraszona, a jednocześnie czuła się trochę głupio. Czekala, nie odrywając oczu od bocznego lusterka. Minęło kilka chwil i... pojawił się ślepek. Przejechał szybko. Gdy ją mijał, zsunęła się jeszcze niżej, po czym szybko wystawiła głowę nad linię drzwiczek. Kierowcy nie zobaczyła, ale dojrzała na tablicy rejestracyjnej pierwszą literę – T.

Była zdecydowana nie wyciągać pochopnych wniosków. Nie istniał żaden powód, by ktokolwiek chciał ją śledzić, a poza tym czy ten kierowca jest aż tak głupi, że jeździ za kimś wozem o charakterystycznych światłach?

Po chwili jednak doszła do innej konkluzji. Rzecz wcale nie była taka znowu abstrakcyjna. Kierowca mógł nie wiedzieć, że mu jedno światło w samochodzie nie działa, a skoro wcześniej śledził Abby, nie byłoby nic dziwnego w tym, że teraz postanowił sprawdzić zamiary Jill.

Uruchomiła silnik i minawszy kilka przecznic, zawróciła na Broad Street, do apteki. Zaparkowała, włączyła alarm, wzięła torebkę i zanim wysiadła, uważnie rozejrzała się dookoła. Na szczęście podejrzanego wozu nie było w zasięgu wzroku. Pędem przemknęła do apteki, wbrew zdrowemu rozsądkowi jednak nieźle wystraszona.

Wpadła do jasno oświetlonego wnętrza, dość obskurnego, gdzie panował chłód i prawie nie było klientów. Podłoga wydawała się zgrzytać pod stopami. Jill kątem oka dostrzegła swoje odbicie w monitorze ochrony. Poszła od razu na sam koniec, gdzie przy ladzie stała młoda blondynka z płaczącym dzieckiem na rękach. Małeństwo zawinięte było w tetrową pieluszkę. Za ladą dyżurował nie farmaceuta, ale młody sprzedawca o włosach ociekających od żelu i bladej cerze, której stanowczo nie służyło światło jarzeniówek.

– Chciałabym rozmawiać z farmaceutką – powiedziała młoda matka.

– Nie ma jej, poszła do domu.  
– A pan mi pomoże? – Chociaż tuliła i kołysała dziecko, płacz nie ustawał. – Mój synek ząbkuje, ciotka powiedziała, żeby mu natrzeć dżiąsła brandy, i nie pomogło.  
– Musi pani iść do lekarza. Ja nie wiem, co robić.  
– Nie mamy lekarza. Byłam z nim na ostrym dyżurze, ale tam straszny tłum. Przecież na pewno pan się na tym zna.

– Nie. Jestem tylko sprzedawcą. Bardzo mi przykro.

Jill była rozdarta. Nie powinna się wtrącać. Dziecko nie należało do jej pacjentów, a rola dobrego samarytanina nie należała do najwłaściwszych. Ale czy lekarz może patrzeć beczynnie na nieszczęście matki i dziecka? Tego nie potrafiła, nawet pamiętając, że system opieki zdrowotnej toleruje takie sytuacje.

– Proszę pani, jestem pediatrą.

– Pani jest lekarzem? – Blondynka się rozpromieniła, a w jej niebieskich oczach błysnęła iskierka nadziei. – Nie dał mi spać całą noc, bez przerwy płacze, nie umiem go uspokoić – przyznała, pocierając kark w miejscu, gdzie widniało wytatuowane zawilą czcionką jej imię.

– Proszę mi pokazać jego rączkę.

Już wcześniej dostrzegła na dłoni dziecka wiele mówiącą wysypkę. Nie musiała nawet brać go na ręce, bo w czasie płaczu szeroko otwierało buzię. Od razu widać było język cały w pęcherzach.

– Rozumiem, że niewiele dzisiaj spał, a jak z jedzeniem?

– Prawie nie jadł.

– Na pewno ma gorączkę.

– Wczoraj w nocy miał ponad trzydzieści osiem, teraz też jest gorący.

– Moczy pieluszki? Nie ma problemu z siusianiem?

– Moczy, bez przerwy. Ciągle zmieniam, żeby nie leżał w mokrych.

– To dobrze. Rozumiem, że pije dużo, więc nie musimy się obawiać odwodnienia.

Sprawa jest prosta. To nie ząbkowanie, tylko wirus. Tak zwany zespół dłoni stóp i ust. Dość powszechna choroba wieku dziecięcego, wywoływana przez wirus coxsackie.

– Coxa... co? – Młoda kobieta ściągnęła brwi.

– Wirus, jak to wirus, mały wyzdrowieje za siedem do dziesięciu dni. Brandy proszę więcej nie stosować. Można dawać lód do ssania, to pomaga na pęcherze, no i przyda się tylenol. Ile synek ma? Jakież osiem miesięcy?

– Tak, dokładnie osiem.

– Ile waży? – Tego nie dało się ocenić na oko.

– Dziewięć kilo.

– Proszę mu podawać tylenol dla niemowląt. Do buteleczki jest dołączona pipeta  
– jedna dawka to tyle, ile się w niej mieści.

– Nie wystarczy mi kasy. – Dziewczyna spuściła wzrok.

– Zapłacę za jedno opakowanie, dobrze? – Jill gładkim ruchem wsunęła dłoń do torebki, wyjęła z niej portmonetkę i podała sprzedawcy banknot dziesięciodolarowy.

– Proszę.

– Jak dla mnie, wszystko w porządku – stwierdził chłopak ze wzruszeniem ramion.

– Dziękuję. – Młoda kobieta uśmiechnęła się do Jill. – Jestem pani bardzo wdzięczna.

– Proszę bardzo. Niech się pani nie martwi o synka, wyzdrowieje. Proszę o niego dbać.

– Jeszcze raz dziękuję. – Blondynka pogładziła dziecko po główce i ruszyła do wyjścia.

– Muszę zajrzeć do rejestru recept – zwróciła się Jill do sprzedawcy.

Obrzucił ją szelmowskim spojrzeniem.

– Mówi pani, że jest pediatrą?

– Tak. Proszę mi pokazać rejestr.

Położyła na ladzie dwudziestkę, chłopak zgarnął ją nie wiedząc kiedy i podsunął Jill czerwony skoroszyt.

– Proszę uprzejmie.

– Dziękuję.

Przekartkowała rejestr, zwolniła przy dwunastym dniu miesiąca. Uważnie czytała każdy wpis, szukając znajomego nazwiska i podpisu. Na pierwszej stronie nie znalazła, na kolejnej zobaczyła od razu. William Skyler. Obok nazwiska wklejono trzy znaczki recept, wszystkie leki zostały wykupione trzy minuty po północy. Podpis klienta był tak niewyraźny, że nie potrafiła ocenić, czy został podrobiony. William miał bardziej pochylone pismo, ale w pośpiechu mógł się podpisać niechlujnie.

– I co? – zainteresował się sprzedawca.

– Widziałam, wchodząc, że macie państwo monitoring. Nic dziwnego, w końcu większość aptek zabezpiecza się w ten sposób.

– Aha...?

– Muszę zobaczyć nagranie. Płacę pięćdziesiąt.

– Fantastycznie. Widzimy się w alejce jedenastej, obok napojów. Tam są drzwi na zaplecze.

– Dobrze.

Obróciła się w prawo, weszła w alejkę numer jedenaście, szybko dotarła do celu i kilka chwil czekała na sprzedawcę pod drzwiami. Pięć minut później dała mu obiecaną sumę i razem z nim znalazła się w ciasnym pokoiku zastawionym stosami pudeł. Sprzęt video stał na półce z surowej sklejki, na nim ustawiono niewielki monitor. Sprzedawca wycelował pilotem w magnetowid i na ekranie pojawili się ludzie. Poruszali się odwrotnie niż w rzeczywistości. Twarze były małe, lecz widoczne, więc Jill miała nadzieję, że zobaczy Williama osobiście wykupującego leki na receptę, powie o tym Abby i w ten sposób zakończy tę niedorzeczną przygodę.

– Dalej? – zapytał sprzedawca.

– Tak. Do dwunastego.

– Ma pani szczęście, szanowna pani doktor. Po tygodniu kasujemy.

Jill obserwowała ludzi chodzących do tyłu przyśpieszonym krokiem. Cyfry na zegarze nagrania przeskakiwały za szybko, by je odczytać. W końcu nagranie zwolniło, zegar wskazał drugą, potem pierwszą nad ranem. Za ladą stała atrakcyjna kobieta.

– Czy to farmaceutka? – spytała Jill.

– Nie, to Trisha. Nie mamy nocnego dyżuru farmaceuty. Kawalek dalej jest apteka sieci CVS, u nich jest farmaceuta przez całą dobę. Dobra, to będzie gdzieś tutaj. – Wcisnął klawisz na pilocie. – O tego pani chodzi?

Obraz znieruchomiał. Jill, mrużąc oczy, przyjrzała się ziarnistemu zdjęciu.

Czy to był William?

Twarz miał zasłoniętą przez okulary przeciwsłoneczne, a do tego naciągnął na czoło czarną czapkę baseballową z daszkiem. Nawet włosów nie było widać. Ubrany był w najzwyczajszą wiatrówkę, widać było jedynie, że jest wysoki i szeroki w barach. Jak William, rzeczywiście, oraz jak pięć milionów innych mężczyzn.

– Nie wiem, czy to ten. – Pokręciła głową z dezaprobatą. – Jak możecie sprzedawać

leki recepturowe człowiekowi, który wyraźnie się maskuje? Przecież na pierwszy rzut oka widać, że to przebranie.

- Pani sobie nie wyobraża, kto tu do nas przychodzi. Ten to jeszcze pikuś. Poważnie.
- Może pan przesunąć nagranie powoli do przodu i do tyłu?
- Nie ma sprawy.

Mężczyzna w czarnej czapce podszedł do lady, po czym w zwolnionym tempie się od niej oddalił. Wyglądało na to, że nie rozmawiał ze sprzedawczynią dłużej, niż musiał, głowę cały czas miał spuszczoną. Nie tak zachowywał się William. I nic dziwnego, że Trisha go nie zapamiętała i nie przypominała sobie, gdy Abby o niego wypytywała.

Jill przyszła do głowy jeszcze jedna myśl. Jeżeli William chciał mieć te konkretne leki, mógł przecież dostać je w postaci próbek. Znał chyba wszystkich reprezentantów firm farmaceutycznych w okolicy. Wobec czego może ten mężczyzna w czapce rzeczywiście nie był Williamem? Może był to mężczyzna, który prowadził czarnego suwa z rejestracją zaczynającą się na literę T i nie wiedział, że mu nie świeci lewy reflektor?

Przyjrzała się monitorowi, rozważając trzecią możliwość.

Taką mianowicie, że mężczyzna widoczny na filmie to rzeczywiście William, który z jakiejś przyczyny uznał za stosowne się przebrać.

– O-o... – Sprzedawca wskazał okienko w drzwiach. – Ktoś przyszedł. Muszę wracać za ladę.

– Jeszcze sekundę. – Jill wyjęła z torebki blackberry i zrobiła zdjęcie postaci widocznej na ekranie. – Dzięki.

– Nie ma sprawy. – Sprzedawca uśmiechnął się od ucha do ucha. – Zapraszamy ponownie.

## Rozdział 14

Jill zatrzasnęła za sobą drzwi wejściowe, zostawiła kluczyki na tacy i z dwiema torbami pełnymi zakupów ruszyła w stronę kuchni. Pulpet powitał ją kilkoma szczenięciami, po czym z zaciekawieniem obwąchał pakunki. W domu panowały cisza i bezruch, chociaż Sam na pewno wrócił, skoro na podjeździe stał bordowy lexus.

– Kochanie? – zawołała niegłośnie.

Po chwili z salonu wyłonił się jej ukochany mężczyzna, bosy, rozczochrany oraz nie do końca przytomny. Potarł oczy i obdarzył ją zmęczonym uśmiechem. W ulubionym T-shircie i workowatych dzinsach wyglądał na uosobienie człowieka całkowicie zrelaksowanego. Trzymaną w dłoni książkę wetknął pod pachę i wziął od Jill zakupy. Pocałował ją lekko w usta.

– Co u ciebie, kochanie?

– W porządku.

– Abby się trzyma?

– Jakoś. – Postanowiła rozważyć, kiedy mu opowiedzieć o aptece. – A co u ciebie?

– Nadganiem lektury. Masz pozdrowienia od Lee, kołdrę wyprałem, więc Megan może spać spokojnie. – Przeszli do kuchni.

Po drodze Jill zostawiła torebkę na krześle.

– Dziękuję. Bardzo to było obrzydliwe?

– Bez przesady. Wiesz, że w pralniach samoobsługowych wstawiają teraz gry wideo?

Popatrzyłem sobie, jak pewien dziesięciolatek uratował świat. – Odstawił torby na wyspę.

– Aha, zanim zapomnę. Dzwoniła Katie. Powiedziała, że zostawiła ci wiadomość na komórce.

– Tak? – Nie słyszała dzwonka telefonu. Katie Feehan była jej serdeczną przyjaciółką, mieszkała po sąsiedzku, miała męża Paula i trzech synów. – Coś pilnego?

– Potrzebuje od ciebie jakiegoś przepisu kulinarnego. Na jedzenie dla dzieci.

Jill uśmiechnęła się w duchu. Katie była znacznie lepszą przyjaciółką niż kucharką.

– Są jeszcze zakupy w samochodzie? – zapytał Sam.

– Nie, tylko pudełko z laptopem i paroma dokumentami.

– Co to za dokumenty? Czyj laptop?

– Williama. Pomogę Abby zorganizować budżet domowy. Zamierza mieszkać sama.

– Wolno jej. – Sam wzruszył ramionami. – Tylko co z pieniędzmi?

– Ma więcej niż my. Wygląda na to, że William w końcu jednak zbił fortunę.

– Poszperała w torbach, znalazła śmietanę i wstawiła ją do lodówki. – Aha, i zgodziła się spotkać z terapeutką.

– Świetnie. – Sam uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony. – Zadzwoń do Sandy, niech się umawiają. A gdzie Megan?

– U Courtney, odrabiają angielski. – Warzywa w torebkach powędrowały w ślad za śmietaną. – Coś mi się zdaje, że trochę przesadza.

– Trudno ją winić, że nie jest zachwycona Abby po zeszłej nocy.

– Z powodu kołdry? Przecież Abby nic tu nie zawiniła. Pochorowała się i tyle.

– Niezupełnie, ale nie tylko o to chodzi. W pewnym sensie naruszyła prywatność Megan, a poza wszystkim innym zajmuje czas tobie.

Jill popatrzyła na niego ze szczerym zdumieniem.



– Trochę jednak przesadzasz, musisz przyznać. Byłam sama, więc do niej zajrzałam. Chciałam ją zabrać do domu na kilka dni. Nawet się zgodziła, ale zabroniła jej Victoria.

– Nie rozumiem. Chciałaś ją do nas wprowadzić?

– Tak, na jakiś czas, żeby spokojnie doszła do siebie. Pomogłabym jej ustalić budżet, a równocześnie spędziłaby trochę czasu z Megan.

– Przecież pracuje.

– Rzuciła pracę.

– Nie jestem przekonany, czy powinnaś ją tu zapraszać. Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?

– Oczywiście, a dlaczego nie?

– Czyli sama postanowiłaś? Klamka zapadła? – Oczy mu błysnęły. – Moje zdanie się nie liczy? I Megan też nie ma nic do powiedzenia?

Jill nie widziała problemu.

– Megan na pewno byłaby zadowolona.

– Mam wątpliwości.

– A ja nie. Powiedziała mi, że Abby jest dla niej członkiem rodziny.

– Megan może nie rozumieć ewentualnych implikacji takiego stwierdzenia w przyszłości. A co ze mną? Moją rodziną Abby nie jest z pewnością. Nie znam jej wcale. Steven nawet jej na oczy nie widział.

Jill ścisnęło się serce. Nie sposób było nie przyznać Samowi racji, z drugiej strony nie mogła się z nim zgodzić.

– Abby jest fantastyczną dziewczyną. Daj jej szansę się wykazać.

– Nie zabijesz mnie za szczerość?

– Mów. – Nie wiedziała, że otwiera puszkę Pandory.

– Ty widzisz w Abby dziewczynkę, którą wychowywałaś, a nie pannicę, którą ja poznałem. Ta wczorajsza prowadziła po alkoholu, była nieuprzejma, zajęła pokój Megan. Czy taką Abby pamiętasz z dawnych lat?

Jill poczuła się urażona w imieniu Abby.

– Nie wolno osądzać człowieka na podstawie jednego dnia, pewnie najgorszego w życiu. Ona właśnie straciła ojca.

– A czy nie jest bardziej prawdopodobne, że się jednak zmieniła? Dorastała bez ciebie, w ogóle bez matki, a to z pewnością nic dobrego.

Rzeczywiście. Tym razem ogarnęły ją wątpliwości.

– Nie ma w tym jej winy. Moim zdaniem naprawdę przesadzasz. Rozmawiałeś z nią może kwadrans.

– Mimo wszystko. W przeciwieństwie do ciebie mnie stać na obiektywną ocenę. Ty ją kochasz.

– Czyli nie chcesz, żeby z nami zamieszkała na kilka dni? – spytała Jill niebotycznie zdumiona.

– Moim zdaniem powinnaś traktować tę znajomość znacznie ostrożniej i zdecydowanie zwolnić kroku. Nie tworzyć tak bliskiej więzi między Abby i tobą, a już na pewno między tą dziewczyną a Megan. Masz we krwi automatyczny odruch udzielania pomocy i robisz to doskonale. Gdyby Abby została ciężko ranna, natychmiast pobieglabyś tamować krwawienie.

– Mówił spokojnym tonem, nie uciekał wzrokiem. – Właśnie dzięki takim odruchom jesteś wspaniałą matką i doskonałym lekarzem. Teraz jednak masz do czynienia z konfliktem interesów i musisz starannie ważyć swoje reakcje.

Nie mogła się z nim zgodzić.

– Wyolbrzymiasz problem. Co złego może się stać Megan, jeśli Abby z nami zamieszka?

– Megan już dawno przywykła do mieszkania i życia bez Abby, chociaż długo to trwało. Doskonale pamiętam ten czas. A ty?

– Ja też.

Megan rzeczywiście była trochę zagubiona po rozwodzie matki, bardziej płacziwa i drażliwa. Nic dziwnego. Straciła oparcie w rodzinie, ziemia usunęła jej się spod stóp.

– Ale przecież nie chodziło wyłącznie o Abby – dodała po chwili.

– Tak czy inaczej wprowadzasz Abby na nowo w życie Megan. Tyle że ono już nie jest takie jak wtedy. Abby jest inną osobą, podobnie twoja córka. Nie odbudują układu sprzed waszego rozwodu. – Oparł się na połyskliwym blacie, rzucił na wyspę mroczny cień.

– W gruncie rzeczy, jeśli chcesz znać moje zdanie, Megan jest silniejsza, natomiast Abby słabsza.

– Nie rozumiem. – Jill z trudem hamowała irytację. Przeszkadzała jej jak kamyk w bucie. – Abby potrzebuje teraz pomocy. Dlaczego nie mielibyśmy jej pomóc? Jest bardzo wrażliwa, boję się o nią. Czy możemy jej pomóc na początku tej nowej drogi?

Sam odezwał się dopiero po chwili.

– Jak długi jest ten początek? – spytał.

– Nie wiem.

– Skąd wobec tego wiesz, że to w ogóle jest droga? – Przeczesał włosy palcami. – Nie rozumiem, do czego to wszystko prowadzi, czy w ogóle jest jakiś koniec, jakiś cel. Moim zdaniem ta dziewczyna będzie potrzebowała pomocy dłuższy czas. I to pomocy wszelkiej maści: terapii, miłości, rodziny, domu. Wszystkiego. Dosłownie wszystkiego. Ona jest głęboką studnią potrzeb. Studnią bez dna. – Przekrzywił głowę. – A jak zakończysz udzielanie jej pomocy, kochanie? Kiedy? Przecież sama wiesz, że z czasem będzie coraz trudniej. Bierzesz się za bary z problemem, który ciebie nie dotyczy. Jak w tym wszystkim znajdziemy się my dwoje? A Megan? Ona będzie wychodziła do szkoły, a my będziemy zostawali w domu z Abby? Nie mam siły na dziecko z problemami. To nie ten etap życia.

Jill zebrała się w sobie.

– Wolnego. Do tego jeszcze nie doszliśmy.

– Ale musimy również ten aspekt wziąć pod uwagę. Znasz mnie, kochanie, jestem naukowcem. Doskonale wiem, że skutki dzisiejszych decyzji będą odczuwalne jeszcze po wielu latach. A w zasadzie będą odczuwalne właśnie po latach. Każde zobowiązanie, każde działanie jest długoterminowe. Takie jest życie.

Jill słyszała to wcześniej. Wtedy Sam rozmawiał z Megan.

– Co wobec tego proponujesz? – spytała zniecierpliwiona.

– Proponuję, żebyś nie wchodziła na tę drogę pod wpływem impulsu. Często działasz odruchowo. Jeśli napotykasz problem, starasz się go zlikwidować od razu. Nie czekasz, działasz.

– Nie dlatego, że jestem lekarzem, ale ponieważ jestem matką. Tak robią matki. Są praktyczne.

– Powinnaś jednak pamiętać, czyją matką jesteś. Nie wchodź natychmiast w rolę matki Abby.

– Kiedyś nią byłam.

– Ale już nie jesteś.

– Naprawdę? – Serce jej się ścisnęło. – Co to znaczy: być matką... albo macochą? Co to jest rodzina? Czy może przestać istnieć? Przecież miłość nie zanika w momencie, gdy kończą

się relacje określone prawem.

– Nie. Natomiast kończą się obowiązki. I odpowiedzialność.

Spróbowała z innej strony.

– Dobrze. Popatrzmy na to inaczej. Twój syn, Steven, zostanie moim pasierbem.

Kocham go, to naprawdę wspinały młody człowiek. Wyobraźmy sobie teraz, że... odstukać w niemalowane, coś ci się przydarzy i w efekcie wyjdę ponownie za mąż. Założmy, że potem Steven wpadłby w jakieś kłopoty... ze zdrowiem, z prawem, z pieniędzmi, wszystko jedno. Czy powinnam odwrócić się do niego plecami, jeżeli mój nowy mąż sobie tego zażyczy?

– Steven skończył trzydziestkę, nie ma czasu się podrapać i mieszka w Teksasie. Nie potrzebuje nas wcale, rzadko nas odwiedza.

– Może się jednak zdarzyć, że będzie nas potrzebował. W tym wypadku mnie.

– Nie możesz być na każde jego zawołanie zawsze i wszędzie.

– Miłość nie zna granic.

– To prawda. Ale czas płynie bezlitośnie. Kończą się pieniądze. Możliwości. Energia.

– Tak, wiem, zgoda, tylko... czy w takim świecie chcesz żyć? – Jakoś nie mogła go naprowadzić na właściwy wątek. – Przecież chciałbyś, żeby w razie potrzeby zajęła się Stevenem?

– Nie. I nie zmienię zdania. – Na moment zacisnął wargi w płaską linię.

– Z pewnością bym zrozumiał twój mąż, gdyby miał podobny do mojego punkt widzenia, co nie oznacza, że tego chcę. Kocham ciebie i Megan także, natomiast nie kocham twojej zagubionej byłej pasierbicy i nie chcę mieć pod opieką jeszcze jednego dziecka. Robię się za stary na wychowywanie dzieci.

Jill słuchała coraz bardziej zdruzgotana jego stanowczością. Oczywiście zgadywała, do czego zmierza ich rozmowa, i wcale jej się to nie podobało. Jeżeli nadal będzie chciała włączyć Abby do rodziny, będzie musiała o nią walczyć. Co gorsza, będzie musiała walczyć z Samem.

– Jestem od ciebie starszy. Widzę cel swojej drogi. Steven już opuścił gniazdo, Megan zrobi to lada chwila. Zanim się obejrzyysz, pójdzie do college'u. – Nachylił się ku Jill. – Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zostaniemy we dwoje, ty i ja. Kiedy skończy się kupowanie suszarek do włosów i chodzenie na spotkania klubu pływackiego.

– A ja mam całkiem przeciwne oczekiwania – stwierdziła Jill z ciężkim sercem.

– Będzie mi smutno, gdy Megan wyjedzie. Już czuję smutek, bo jak dla mnie zbyt szybko rośnie i dojrzewa. Ja wcale nie chcę rezygnować z wychowywania dzieci.

– Przywykniesz, zobaczysz. Będziesz szczęśliwa.

– Nigdy dotąd nie mówiłeś o tych sprawach takim tonem.

– Nie było potrzeby.

– Nie jesteś szczęśliwy?

– Dlaczego? Wręcz przeciwnie. I chcę, żeby tak zostało. Było nam bardzo dobrze, aż tu nagle pojawiła się Abby. Do wczorajszego wieczoru było idealnie. – Uśmiechnął się, wyciągnął rękę, by pogłodzić Jill po ramieniu, ale ona cofnęła się bezwiednie.

Bardzo by się jej przydała druga opinia.

– Wiesz co, nie jestem zmęczona, więc skoczę jeszcze do Katie, sprawdzę, czy nadal mnie potrzebuje.

– Naprawdę? – Sam wydawał się rozczarowany, wydał dolną wargę.

– Zdecydowanie. Skoro wzięła się do gotowania...

– Słusznie. – Udało mu się uśmiechnąć. – Może wzniecić pożar na całą okolicę.

– Właśnie. – Jill wzięła torebkę, cmoknęła Sama w policzek i wyszła z kuchni.

- Powinam wrócić za jakąś godzinę.
  - Dobrze. Prowadź ostrożnie! – zawołał za nią.
  - Kocham cię! – krzyknęła jeszcze Jill.

Dopiero przy drzwiach wyjściowych uświadomiła sobie, że nie powiedziała Samowi

o apteczkę i ślepiku.

Może to i lepiej.

## Rozdział 15

– Wybacz, nie słyszałam telefonu.

Jill weszła za Katie do kuchni, gdzie panował niewyobrażalny bałagan. Gruby drewniany blat pokrywała warstwa mąki, z talerza uciekał kopczyk tartych ziemniaków, obok ciągnął się rząd skorupki od jajek, dalej zostały resztki siekanej cebuli, a w misce z hartowanego szkła stało rzadkie ciasto. Pachniało jakąś smakowitą potrawą.

– Mmm! Co tu się dzieje?

– Paul zabrał chłopców na kolację, potem wybiorą się do księgarni. – Katie szybkim krokiem wróciła do kuchenki, blond koński ogon podskakiwał jej za plecami. Podobnie jak Jill miała na sobie bawełnianą bluzkę i spodnie tuż za kolana – typowy mundurek matki z przedmieścia. Podniosła słusznych rozmiarów szpatułkę. – Miałam ochotę zabić smarkacza.

– Którego? – spytała Jill śmiertelnie poważnym tonem, choć doskonale wiedziała, że Katie żartuje.

Przyjaźniły się od czasów studenckich. Katie została nauczycielką, a następnie matką trzech synów. Najstarszy jeszcze nie skończył dwunastu lat. Zawsze powtarzała, że życie ratują jej dwie rzeczy: poczucie humoru i ościęć do popędzania bydła.

– W poniedziałek jest w szkole Dzień Międzynarodowy, a Robbie powiedział mi o tym przed godziną, chociaż wie, że jutro na cały dzień wyjeżdżamy. – Przewróciła wielkimi niebieskimi oczami.

Była prześliczna, nie musiała się malować, żeby zachwycać. Miała czarujący uśmiech, twarz obsypaną piegami i wdzięcznie zadarty nos.

– Przeprowadzamy teściową – podjęła – na osiedle dla emerytów. Jak ją znam, potrzebne będzie pospolite ruszenie.

– O rany...

Jill odłożyła torebkę i podeszła do kuchenki. Biło od niej przyjemne ciepło, dzięki niemu poczuła, że wreszcie taje po rozmowie z Samem. Taka przyjaciółka jak Katie to prawdziwy skarb. Jak zareaguje na wiadomość o śmierci Williama?

– Chcesz coś do picia? Wody? Kawę? Margaritę? Śmiało, bierz, co chcesz.

– Nie, dzięki. – Jill uważnie rozejrzała się po kuchni. – Co w końcu robisz? Pachnie bosko.

– Irlandzkie placki ziemniaczane.

– Ambitna jesteś.

– Kretynka jestem! – Katie przewróciła placek na patelni. – Mały ma przynieść do szkoły jakąś typową potrawę charakterystyczną dla jego rodziny i na dodatek ma być przyrządzona w domu, więc supermarket odpada.

– Aj!...

– Chyba na głowę upadłam. Powinnam raczej powiedzieć głośno i wyraźnie, że nie każda mamusia potrafi gotować. A poza tym czy im się wydaje, że żyjemy w dziewiętnastym wieku? Co mi każą robić następnym razem? Strzechę ze słomy? Rany! A najgorsze, że jak sama uczyłam, dawałam dzieciakom... ich mamom takie same zadania. Los się na mnie zemścił.

Jill słuchała z uśmiechem.

– Jak ci pomóc?

– Po prostu dotrzyмай mi towarzystwa. Cieszę się, że cię widzę. Zadzwoiłam do ciebie z nadzieją, że mi polecisz któryś ze swoich wspaniałych rodowych przepisów, ale potem znalazłam własny stary rodzinny przepis... w internecie.

– Ile musisz tego usmażyć?

– Do licha i ciut-ciut. – Katie odwróciła kolejny placek. – W klasie jest dwadzieścioro troje dzieci, niektóre pewnie zjedzą po dwa, co daje trzydzieści trzy. Plus nauczycielka, dyrektorka i sekretarka... pięćdziesiąt. Nie mogę nikogo pominąć. Szkoła podstawowa to republika bananowa, tyle że bez limuzyn.

– Byłoby dobrze – podrzuciła Jill z niewzruszonym wyrazem twarzy – uwzględnić także pracowników administracyjnych. Ja zawsze tak robiłam. Normalnie nikt ich nie widzi. Będą ci wdzięczni do grobowej deski.

– Wiem, wiem... Tęgie głowy.

– No dobrze, jednak ci pomogę.

– Nie ma sprawy. – Katie machnęła szpatułką w stronę jednej z dolnych szafek.

– Weź drugą patelnię. Będzie szło dwa razy szybciej.

– Do roboty. – Jill wydobyla żeliwną patelnię, ustawiła ją na palniku i sięgnęła po masło. – Musisz smażyć dłużej – rzuciła przez ramię.

– To dla ośmiolatków. Oni jadają kredki.

– Zafundujesz im salmonellę.

– Trudno, jest ryzyko, jest zabawa. – Katie przewróciła kolejny placek. – Cieszę się, że przyszłaś. Mów, co w wielkim świecie.

– Przytrzymaj się czegoś, żebyś nie padła. – Jill pilnowała rosnącej złocistej plamy masła na patelni. – William nie żyje.

– Co takiego?! – wykrztusiła Katie. Podniosła na przyjaciółkę zdumione spojrzenie.

– William? Twój były mąż? Nabijasz się ze mnie?

– Nie, mówię całkiem poważnie.

– Alleluja! – Katie uśmiechnęła się szeroko. – Czy umierał długo i boleśnie? Błagam, opowiedz mi o jego mękach przedśmiertnych.

Jill była rozdarta na dwoje.

– Słuchaj, przyznaję, nie mam ochoty po nim płakać. Mimo wszystko jednak...

– Tańczymy! Kochana, tańczymy! – Katie odłożyła szpatułkę i zatańczyła radośnie, energicznie potrząsając biodrami. – I buziak! Jestem Irlandką! Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Międzynarodowego! Człowiek nie czuje, jak mu się rymuje! – Przyhamowała.

– Coś takiego, jednak los odplaca pięknym za nadobne! Hej, będziemy mogły wdeptać w ziemię jego ciało?

– Został skremowany.

– Zrobił to na złość, oczywiście. – Katie zdegowana zmarszczyła nos.

– Dostyc tego dobrego. Zachowuj się. Byle jak, ale się zachowuj. – Jill uśmiechnęła się mimowolnie. – W szczegółach wygląda to tak: wczoraj wieczorem przyszła do nas Abby i powiedziała, że jej zdaniem ojciec został zamordowany.

– Abby w twoim domu? – upewniła się Katie zdumiona. Szybko spoważniała.

– Kochana dziewczyna. Dobrze, że się w końcu spotkałyście. Co u niej? Opowiadaj.

– Wszystko ci powiem, tylko przewróć placek, bo ci się pali. – Jill dorzuciła trochę masła na swoją patelnię. – Bardzo mi szkoda dziewcząt.

– Fakt, zgoda, to smutne, ale tylko dlatego, że one cierpią. – Katie opuściła wzrok.

– Mimo wszystko lepiej im będzie bez niego, chociaż na razie jeszcze tego nie wiedzą. Przecież on miał je obie za siódmym zakrętem! Narcyz jeden, oszust, złodziej, kłamca,

farbowany lis i zdrajca!

– Zdrada nie została dowiedziona. – Jill sięgnęła do drugiej patelni i przewróciła jeden z placków Katie. – A poza tym nie mówi się źle o zmarłych.

– O Williamie Skylerze nie mówi się inaczej niż źle. – Katie pokręciła głową zdegustowana. – Wybacz, Jill, ale mało brakowało, a byłby cię doprowadził do ruiny, po rozwodzie nie pozwalał dziewczynkom widywać się z tobą i w ogóle zachowywał się jak ostatnia świnia. Ukarał przez to ciebie, ale i dzieci, a to już wyższy poziom wredoty. Wykorzystał je, zrobił z nich pionki w swojej grze, byle dopieć tobie. Nie mówiąc już o tym, że odepchnął Megan. Tego mu nigdy nie wybaczę.

Jill miała w ustach dziwnie gorzki smak.

– Tak czy inaczej, już go nie ma. Chcesz usłyszeć, co się stało, czy nie?

– Tak, chcę – odpowiedziała Katie spokojnie. – Opowiadaj.

Smażyły placki, a Jill mówiła o spotkaniu z Abby, o podejrzeniach, o wizycie w aptece. Katie zadawała pytania, Jill starała się na nie odpowiadać jak najrzetelniej i sześćdziesiąt dwa placki później historia dobiegła końca.

– Chcesz zobaczyć zdjęcie z apteki?

Katie kiwnęła głową.

Jill wyjęła z torebki telefon, znalazła fotografię i pokazała ją przyjaciółce.

– Jak myślisz? To on?

– Strasznie małe, niewiele widać. Prześlij mi je na e-maila. – Przeszła do laptopa stojącego na blacie, tuż obok siekanej cebuli. Gdy Jill przesłała zdjęcie, odebrała pocztę, zapisała zdjęcie w pamięci komputera i powiększyła je na cały ekran.

Dłuższą chwilę stały we dwie ramię przy ramieniu i wpatrywały się w obraz na monitorze. W końcu odezwała się Katie:

– Może to on, a może nie. Nie wiem.

– Ja też nie. Jeśli się przebrał...

– A po co miałyby się przebierać?

– Nie wiem. – Jill chwilę szperała w torebce. – Czekaj, sprawdzę coś w sieci.

– Co?

– Tego lekarza od recept. – Znalazła karteczkę z notatkami Abby, weszła do internetu, otworzyła Google, wstukała w wyszukiwarce „licencje medyczne Pensylwania” i przeszła do wybranej strony. – Znam numer licencji, więc będę miała adres.

– Jakim cudem?

– Każdy może sprawdzić online ważność licencji dowolnego lekarza.

– Nie wiedziałam.

– Mało kto o tym wie. Na szczęście Abby też nie ma o tym pojęcia.

Wyszukała stronę Departamentu Stanu Pensylwania, wpisała „medycyna”, a następnie nazwisko i numer licencji lekarza z zapisków Abby. Musiała dodać jeszcze lokalizację, więc wybrała Filadelfię i kliknęła „szukaj”. Po chwili na ekranie ukazał się jeden wiersz tekstu.

Dr Raj Patel, lic. nr 9483636, DEA 393484, zmarł 03.09.09.

– Ten lekarz nie żyje, więc przynajmniej w jednej sprawie Abby miała rację: recepty są fałszywe.

– Ale numer...

- W dodatku ten człowiek zmarł już dawno, więc na pewno nie zdarzyło się tak, że wypisał recepty, po czym raptem zszedł z tego świata.
- Jesteś pewna, że to ten lekarz?
- Jestem pewna. Nie ma innej możliwości. Każdy lekarz otrzymuje od Administracji Legalnego Obrotu Lekarstwami jedyny, niepowtarzalny numer licencji. – Jill wolno pokręciła głową. Oznaczało to, że nie mogła odłożyć sprawy ad kosz. Przynajmniej jeszcze nie teraz.
- Jeżeli na zdjęciu jest William, najwyraźniej wrócił do starych obyczajów i realizował kradzione recepty. Z drugiej strony nie rozumiem, po co miałby je realizować osobiście, jeżeli nie były leki dla niego.
- A mnie ciekawi, skąd miał recepty doktora Patela.
- Ukradł albo wygrzebał je ze śmieci. – Kompletnie zagubiona przyglądała się powiększonemu zdjęciu mężczyzny w czarnej czapce. – To nie ma sensu. William wiedział o lekach dość dużo, by nie mieszać ich z alkoholem.
- Był ubezpieczony?
- A, owszem. Na milion dolarów. Beneficjentkami są dziewczynki.
- Jesteśmy więcej wariaci po śmierci niż za życia – westchnęła Katie.
- Swoją drogą, dziwne... – zastanowiła się Jill. – Tak mi przyszło do głowy: może celowo połknął leki i popił je alkoholem? Może faktycznie popełnił samobójstwo? Tyle że firmy ubezpieczeniowe zwykle nie wypłacają odszkodowania w przypadku samobójstwa. Jeśli założyć, że chciał wypłaty ubezpieczenia, mogło mu zależeć, by jego śmierć wyglądała na przypadkową... Może to wszystko jedno wielkie przedstawienie?
- Tylko po co? – Katie zmrużyła oczy. – Miał pieniądze, więc nie potrzebował środków z ubezpieczenia... Chyba że nie miał pieniędzy, tylko ściemniał.
- Słusznie. Mogło tak być. Ale tego się nie dowiem. Victoria wyniosła do prawnika wszystkie dokumenty finansowe. Ewentualnie wyłapię jakieś szczegóły w Quickenie.
- Na pewno. Pod warunkiem że płacił rachunki online.
- Nie robił tego. Przynajmniej kiedy byliśmy małżeństwem. Mówił, że nie ufa systemowi.
- Przyganiał kociół garnkowi... – prychnęła Katie. – Wszystko jedno. Jakoś nie widzę, żeby miał popełnić samobójstwo ze względu na pieniądze. Byłby to akt wysoce altruistyczny. Obie zamilkły na dłuższy czas. Jill skubnęła placek ze stertki nieudanych.
- Zastanawiam się – powiedziała w końcu – czy nie powinnam zadzwonić do glin. Opowiedzieć im o Patelu i sfalszowanych receptach. Mogliby sprawdzić wideo ochrony.
- Nie widzę powodu, dla którego miałabyś nie zadzwonić, ale... czemu mieliby się przejmować twoimi informacjami? Nadal nie masz żadnych dowodów, że został zamordowany, a im obojętne, czy popełnił samobójstwo.
- Towarzystwo ubezpieczeniowe będzie zainteresowane. – Wyraziwszy głośno tę myśl, Jill zastanowiła się nad konsekwencjami. – Tyle że jeśli faktycznie popełnił samobójstwo, a ja wsadzę kij w mrowisko, może się to skończyć tym, że dziewczęta nie zobaczą złamanego grosza.
- Racja. – Katie przekrzywiła głowę i przyjrzała się przyjaciółce z namysłem.
- Mam jedno pytanie. Mogę? – Odczekała na milczące przyzwolenie. – Co cię to wszystko obchodzi?
- Jill odpowiedziała uśmiechem, ale Katie tym razem nie żartowała.
- Jaka to dla ciebie różnica, dlaczego albo jak William zszedł z tego świata?
- naciskała.
- Powiedziałam ci już: Abby uważa, że to było morderstwo.



- Ja pytam o ciebie.
- Mnie jest w zasadzie wszystko jedno. Po prostu... badam sprawę.
- A wygląda, jakby ci nie było wszystko jedno. Wcale a wcale. Pojechałaś do apteki, sprawdziłaś lekarza, jego licencję w sieci...

Jill uświadomiła sobie, że przyjaciółka ma rację. Katie miała wiele zalet i szczerą nie była wśród nich ostatnią.

– Dobrze wobec tego, słusznie. W rzeczywistości zajmuję się tym ze względu na Abby. Ona jest przekonana, że jej ojciec został zamordowany, i chce się dowiedzieć, kto to zrobił. Poza tym... odezwała się do mnie po takim długim czasie, poprosiła mnie o pomoc.

- Sama sobie dopiero teraz uświadomiła rzeczywiste przyczyny własnego działania.
- Obchodzi mnie ta sprawa, bo dotyczy Abby, a ja mogę jej pomóc. Dziewczyna musi poukładać sobie życie i nie dokona tego, dopóki powód śmierci jej ojca stoi pod znakiem zapytania.

Katie wzruszyła ramionami.

- Okej.
- Tak po prostu? – Jill się uśmiechnęła.
- Świetna mowa.
- Dobrze, że pogadałyśmy. Uważasz, że popełniam błąd, pomagając Abby?
- Nie zamierzam cię odsądzać od czci i wiary, bo rozumiem, dlaczego to robisz, i wiem, że inaczej nie możesz.

- Sam tego nie rozumie.
- Nie zna Abby i nie jest matką.
- Jest ojcem.

– To nie to samo. Wybacz brak poprawności politycznej, ale taka jest prawda. – Katie zjadła kawałek przypalonego placka. – Paul jest fantastycznym ojcem, lecz to on wyszedł z dziećmi, gdy ja zostałam ratować sytuację, i gwarantuję ci, że w czasie gdy chłopcy będą wybierali książki, on zatonie w lekturze czasopism komputerowych. Nie będzie z nimi, nie pokaże im, co może ich zainteresować, i nie będzie się martwił, że mu się gdzieś zawieruszą, jeśli ich straci z oczu. Mężczyźni są po prostu inni niż kobiety, nie mają w zwyczaju się troszczyć ani martwić. My jednak wiemy, że na potomstwo trzeba uważać.

– Fakt – przyznała Jill. Zdarzało jej się natrafić podczas dyżuru na dziecko z okiem uszkodzonym przez pocisk z broni paintballowej albo z ręką rozciętą nożem dla wędkarza.

– Szczerze powiedziawszy, martwię się głównie o swoją chrześnicę – powiedziała Katie miłym głosem. – Słyszę od ciebie o Abby, o tym, że poniosła ogromną stratę, ale przecież Megan też straciła ojca, na dodatek śmierć Williama zdarzyła się w fatalnym momencie, mała i tak ma dosyć atrakcji związanych z twoim ślubem. A teraz jeszcze Abby do kompletu. Nawet jeśli Megan jest przeszczęśliwa, że odzyska przyszywaną siostrę, to i tak musi sobie poradzić z kolejną zmianą. Sporo się dzieje w jej życiu, a to przecież jeszcze dziecko.

- Masz rację. – Jill poczuła wyrzuty sumienia. – Umarł król, niech żyje król.
- No właśnie.
- Chyba rzeczywiście przy okazji Abby Megan zeszła na drugi plan.
- To całkiem zrozumiałe. Jak mawia moja matka, najwięcej czasu poświęcasz temu dziecku, które najbardziej cię potrzebuje.
- A jeśli wszystkie potrzebują mnie najbardziej?
- Czas na margaritę.
- Sam nie może się doczekać, kiedy wreszcie przestanie zajmować się dziećmi

- stwierdziła Jill z niewesołym uśmiechem.
  - Pięknie! – parsknęła Katie. – A matka nigdy nie przestaje się zajmować dziećmi. Jak ostatnio sprawdzałam, macierzyństwo nie miało daty końca ważności, sama widziałam.
  - Ech, ty mądralo! – Jill zaśmiała się głośno. – Skąd ty masz takie pomysły?
  - To ty lubisz mawiać: kto z kim przestaje... – Katie popatrzyła na przyjaciółkę znacząco. – Nie piszę się tylko na te zabawy ze ślepikiem. Po pierwsze primo, nie przepadam za takimi różnymi grammi podróżnymi.
  - A tak na poważnie: twoim zdaniem ten czarny SUV mnie śledził? Mnie albo Abby?
  - E tam, popadasz w paranoję. Nie zawracaj sobie tym głowy.
  - A jeżeli kierowcą jest mężczyzna w czarnej czapce?
  - Facet w czarnej czapce miał najgorsze przebranie pod słońcem. Jeżeli ktoś taki miałby kogokolwiek śledzić, w dodatku w aucie bez jednego światła, to jest też najgorszym śledzącym na świecie. – Skrzywiła się zabawnie. – Właściwie, jeśli się nad tym chwilę zastanowić, to mógł być ten sam gość, ale co z niego za gość? Raczej ostatnia pierdoła.
  - Jeżeli zabił Williama, nie taka znowu pierdoła.
  - Trudno się sprzeczać – przyznała Katie gładko. – Jeżeli zabił Williama, zasłużył na medal.

## Rozdział 16

Jill zaparkowała na ciemnym podjeździe i wyłączyła silnik. W drodze do domu nie widziała ani jednego ślepika i zaczynała skłaniać się ku przekonaniu, że Katie miała rację co do paranoi. Wsiadła z auta, odetchnęła chłodnym nocnym powietrzem, wilgotnym od deszczu, zatrzasnęła drzwiczki i popatrzyła na koniec ulicy, gdzie nie tak dawno widziała czarnego suva.

Musiała się chwilę zastanowić.

Po raz pierwszy zobaczyła suva przed domem Bakerów, ale oni przecież nie mieli takiego samochodu. Nie myśląc, co robi, przeszła pod ich ogrodzenie. W oknach domu zbudowanego w stylu holenderskim jarzyły się światła, a przez zasłony w salonie mrugał telewizor, więc śmiało podeszła do drzwi i głośno zapukała. Po chwili w progu stanęła Janet Baker, miła starsza pani o twarzy jak księżyc w pełni.

– Dobry wieczór – odezwała się Jill – przepraszam, że przeszkadzam...

– Nie przeszkadzasz – przywitała ją sąsiadka z uśmiechem. – Co tam u ciebie, kochanieńka?

– Chciałam zapytać, czy wczoraj wieczorem, w czasie burzy, był u was ktoś, kto jeździ czarnym suvem. Widziałam taki samochód przed waszym domem.

– Nie, nie... – Janet ściągnęła brwi i pokręciła głową. – Nie mieliśmy wczoraj żadnych gości. Byliśmy w domu sami.

– A nie wiesz może, czy był ktoś u DiLoriosów albo u Jacksonów?

– Nie mam pojęcia, kochanieńka.

– Rozumiem, dziękuję. Jeszcze raz przepraszam za zawracanie głowy. Dobrej nocy.

Zeszła ze schodów pogrążona w myślach. Szybko wywnioskowała, że kwestia samochodu nie ma większego znaczenia. Wróciła pod swój dom, zabrała z auta karton z laptopem oraz dokumentami Williama, zatrzasnęła drzwiczki na dobre i skierowała się do wejścia, zonglując torebką i pudłem, by wyciągnąć klucze, i oczywiście akurat wtedy odezwała się komórka. Sygnał zapowiedział Megan.

– Jasna żeż...

Weszła do domu przy akompaniamencie jednego z przebojów Lady Gagi, odstawiła pudło na stolik przy wejściu i dopiero wtedy sięgnęła po telefon. Wyjmując go, wdusiła przycisk umożliwiający odebranie rozmowy.

– Cześć, słoneczko, jeszcze nie jesteś w domu?

– Nie, zostałam u Courtney. Mogę u niej przenocować?

– Znowu?

Przysiadła na krześle. Od razu znalazł się przy niej Pulpet i merdając radośnie ogonem, trącił nosem karton, w którym na papierowym talerzu zawiniętym w folię spożywczą znajdowały się placki.

– Wiem, że długo u niej siedzę, ale jeszcze nie skończyliśmy tego projektu z angielskiego.

– A co to właściwie za projekt? – W tle Jill słyszała telewizor.

– Przerabiamy *Romea i Julię* i mamy się nauczyć odgrywać scenę, więc musimy ćwiczyć we dwie, ja jestem Julią.

– Ile wam to jeszcze zajmie?

– Nie wiem, mam...! – odparła Megan z ostentacyjnym zniecierpliwieniem.  
Jill nie drażyła tematu.

– To może wróc, jak skończycie? Przywiozę cię, wystarczy, że zadzwonisz.  
– Dlaczego nie mogę zostać? Rodzice Courtney są w domu.  
– Stęskniłam się za tobą, kochanie. Masz za sobą sporo przejść, troszkę się o ciebie martwię.

– Nic mi nie jest – sapnęła Megan.  
W tle dał się słyszeć niewyraźny głos Courtney.  
Jill postanowiła spróbować z innej strony, chociaż dni, kiedy można było przekupić Megan smakołykami, dawno odeszły w przeszłość. Pizza i bajgle przestały odgrywać rolę karty przetargowej.

– Mam świeże placki ziemniaczane... Zaraz, chwileczkę, czy ty przypadkiem nie masz jutro zawodów?  
– Tak, mam, ale wyśpię się porządnie, obiecuję.  
– Dobrze wobec tego, możesz zostać u Courtney, tylko niech ci to nie wejdzie w nawyk.

– Dzięki. Mama Courtney zawiezie nas na basen. Podrzucisz mi worek ze strojem? Będzie mi potrzebny na dwunastą. Aha, i jeszcze jedno. Zamówiłaś mi tę książkę do opracowania?  
Kompletnie zapomniała.  
– Jeszcze nie, ale zaraz ją kupię. Na kiedy ci potrzebna?  
– Na poniedziałek. Courtney wszystko kupuje w sieci, w dodatku sama, z iPhone'a.

Dlaczego ja nie mogę?  
– Bo nie masz iPhone'a.  
– Zabawne jak nie wiem co.  
Jill uśmiechnęła się do siebie.  
– Kupię ci tę książkę, kochanie.  
– Dzięki. Muszę kończyć. Buziaki, musiu, pa!  
– Do jutra, kochanie, śpij dobrze, moja maleńka.

Rozłączyła się, odłożyła aparat na stół i pogłaskała Pulpeta po kosmatym łbie. Ogon, rzecz jasna, natychmiast poszedł w ruch.

Dziwne, że Sam nie przyszedł się przywitać. Swoją drogą, winna mu była przeprosiny.  
Wstała, przeszła do salonu i tam go znalazła. Spał na kanapie. Na piersiach miał otwartą książkę, a okulary zsunięte na czoło tak wysoko, że między motylkami utrzymującymi je na nosie teraz sterczała kępka szpakowatych włosów. Z włączonego telewizora dobiegały przyciszone dźwięki.

Niespodziewanie Jill ujrzała oczyma wyobraźni scenę odmalowaną przez Abby: martwy William leżący w łóżku przed włączonym odbiornikiem telewizyjnym.  
„To nie były jego leki. Podrzucił je morderca”.  
Zadrżała bezwiednie.

Przeszła do kuchni. Tam obdarowała Pulpeta kawałkiem placka, a resztę wstawiła do lodówki. Wróciła do holu, zabrała stamtąd karton z laptopem i dokumentami Williama, zaniósła wszystko do kuchni, postawiła na wyspie i zaczęła przeglądać zawartość pudła.

Na wierzchu leżała żółta teczka oznaczona naklejką z napisem „Inf. medyczne”.  
W środku Jill znalazła wyniki badań krwi Williama, wszystkie w granicach normy. Odnotowano, że pacjent przyjmuje regularnie crestor, dziesięć miligramów, oraz Co Q 10, suplement diety powszechnie stosowany w razie podwyższonego poziomu cholesterolu. Nie

było żadnej wzmianki na temat leków recepturowych, z czego należało wnioskować, że albo takich nie przyjmował, albo skłamał w wywiadzie.

Poza żółtą teczką w kartonie były tylko stare rachunki, więc dość szybko zamknęła pudło i podłączyła laptop do gniazdka zamontowanego pod blatem wyspy. Spędziła przy komputerze godzinę i nie znalazła w nim niczego szczególnego. Była tam korespondencja elektroniczna z kolegami od golfa, z Abby i Victorią, z Neilem Straubem oraz kilkoma kobietami, posty na różnych blogach, artykuły, linki do YouTube, w kalendarzu zaznaczono planowane spotkania przy golfie i umówione kolacje. Najistotniejsze w tym wszystkim wydawały się e-maile, głównie ze względu na to, czego w nich brakowało. Nie było mianowicie ani słowa na temat jakichkolwiek inwestycji, które mogłyby zapewnić wpływy środków na opłacenie domu, utrzymanie odpowiedniego poziomu życia oraz na potrzeby dziewcząt. Przeszła do programu Quicken i przejrzała umieszczone tam wpisy; okazały się równie mało znaczące. William jednak nie nabrał zwyczaju opłacania rachunków online, toteż nie sposób było zorientować się w jego kontaktach bankowych. Zaledwie dwadzieścia minut zajęło Jill sporządzenie arkusza kosztów dla Abby. Wydatki na dom okazały się najzwyczajniejsze pod słońcem, wręcz sztamkowe, a nie było żadnych innych plików związanych z finansami. Skończywszy z obowiązkami, Jill wróciła do plików programowych, jednak i tam nie odkryła żadnych niespodzianek, ponieważ w komputerze znajdowało się prawie wyłącznie oprogramowanie dostarczane standardowo przy sprzedaży sprzętu.

Przyjrzała się laptopowi w zamyśleniu. Był zadziwiająco anonimowy, bezpłciowy, pusty. Jak gdyby ktoś specjalnie pilnował, by nie zostawić żadnych śladów. Zajrzała do folderu usuniętych e-maili. Pusty. Ktoś wyczyścił skrzynkę. Albo sam William, albo ktoś inny.

Spróbowała inaczej.

Gdyby uwierzyć w teorię Abby i przyjąć, że William jednak padł ofiarą morderstwa, musiałby go zabić ktoś dobrze mu znany, a nawet bliski, ponieważ nie pozostawił śladów walki ani włamania. Wobec tego należałoby określić, kto był mu bliski.

Kliknęła na ikonę „Mój komputer”, weszła w listę programów i znalazła folder „Moje zdjęcia”. Po otwarciu folderu zobaczyła trzy ikony. Najstarsza miała datę zaledwie sprzed roku. „Londyn z dziewczynkami”, „Weekend po maturze Victorii”, „Neil na Pebble Beach”. Kliknęła na tę ostatnią ikonę, ciekawa, czy mężczyzną w czarnej czapce mógłby być Neil. Folder zawierał zdjęcia Williama i Neila podczas gry w golfa. Ten drugi miał na głowie białą czapkę z daszkiem, ozdobioną charakterystycznym napisem firmy Callaway, a na nosie ciemne okulary, podobne do tych, za jakimi ukrył się mężczyzna w aptece. Za sprawą czapki i okularów nie widać było rysów jego twarzy, mimo wszystko jednak dało się dostrzec szeroki uśmiech zwycięzcy, wzrok przyciągała także kwadratowa dolna szczęka. Neil był wysoki i dobrze zbudowany, pod tym względem podobny do Williama. Jill przerzuciła kolejne fotografie, niestety, wszystkie zrobiono na polu golfowym i wszędzie twarz Neila zasłaniały okulary przeciwsłoneczne, chociaż William osłaniał oczy zaledwie na kilku zdjęciach. Wybrała jedno ze zbliżeń, na którym widnieli obaj, i skopiowała na pulpit, żeby je potem wydrukować.

Przeszła do wyszukiwarki i wpisała w Google „Neil Straub”. Nie uzyskała żadnych wyników. Sprawdziła nazwisko także na Facebooku i tam go znalazła, jednak profil był dostępny wyłącznie dla przyjaciół i nie zawierał zdjęcia. Zalogowała się na stronie [www.whitepages.com](http://www.whitepages.com), by poszukać adresu. Przerzuciło ją do Nowego Jorku, ale dokładnych danych nie uzyskała, najwyraźniej nie był na tej stronie zapisany. Neil Straub bardzo zdecydowanie chronił swoją prywatność, ciekawe, jakie miał ku temu powody.

Zadzwoiła komórka. Na wyświetlaczu pokazał się numer, którego Jill nie знаła.

Dochodziła godzina dwudziesta trzecia, to mógł być pacjent.

- Słucham.
- Tu Victoria. Chcę rozmawiać z Abby.
- Victoria... – powtórzyła Jill, wstrząśnięta tonem głosu dzwoniącej.

Rozpoznałaby ten głos na końcu świata, wyluskałaby go nieomylnie z chóru wielu innych, tak jak sercem wychwytywała go na wielu szkolnych koncertach. Dziewczyna śpiewała silnym, czystym altem, dźwięczącym pewną nutą, zawsze idealnym i doskonale ustawionym, świetnie podkreślającym efektowne, wysokie dźwięki sopranów ze szkolnego chóru gimnazjum w Stafford. Miała głos na tyle charakterystyczny, że dyrygent już w pierwszej klasie powierzył jej partię solową, co okazało się niemałą próbą sił dla młodej, zamkniętej w sobie dziewczyny. Tamtego pamiętnego wieczoru Victoria zadzwoniła do Jill zza kulis, stremowana do nieprzytomności, na skraju paniki.

- Nie dam rady! Zapomnę tekst! Nie mogę śpiewać sama!
- Kochanie, uspokój się, na pewno dasz radę. Możesz mi wierzyć. Przecież doskonale cię znam, wiem, jak śpiewasz.

Odebrała telefon, siedząc na widowni w towarzystwie Abby i Megan. Był to kolejny koncert, na który William „nie dał rady” przyjść, bo „pracował do późna”.

- Gdzie siedzicie? Tam gdzie zawsze?
- Tak, w pierwszym rzędzie po lewej, więc będziemy dokładnie przed tobą. Nie myśl o niczym, kochanie, tylko śpiewaj. Śpiewaj całym sercem. Wszyscy chcą słyszeć twój piękny głos. Jesteś wspaniała, śpiewasz cudownie. My o tym wiemy, a teraz dowiedzą się inni.

Po koncercie Victoria przybiegła do Jill z oczami błyszczącymi dumą i szczęściem. Z daleka wyciągnęła do niej ramiona.

- Dla ciebie śpiewałam, wiesz? Specjalnie dla ciebie.
- Teraz Victoria odezwała się lodowatym tonem:

- Daj mi porozmawiać z Abby.

Jill zadrżała.

– Victorio, przede wszystkim chciałabym złożyć ci kondolencje. Poza tym, musisz wiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu sceny, do jakiej doszło przed ceremonią. Zdaję sobie sprawę, że przeżywasz teraz trudne chwile, więc na pewno bym nie przyszła, gdybym tylko podejrzewała...

- Darujmy to sobie. Muszę porozmawiać z Abby. Wiem, że dzisiaj byłaś z nią w domu, i wiem, że teraz jest u ciebie. Daj ją do telefonu.

– Nie ma jej tutaj. Nie przyjechała ze mną. – Starła się mówić spokojnym tonem, żeby nie wznosić między nimi muru. – Tak zdecydowała po rozmowie z tobą.

Z trudem akceptowała fakt, że młoda kobieta, którą swego czasu traktowała jak córkę, zachowywała się teraz jak obca i na dodatek przykra osoba.

- Nie do wytrzymania... Chcę pomówić z siostrą. Przestań mnie okłamywać.

– Nie kłamie, kochanie. – Czułe słowo wymknęło jej się odruchowo. – Nigdy cię nie okłamywałam.

– Żadne „kochanie”, bardzo proszę! – zaoponowała Victoria. – Takie podchody działają może na Abby, ale na mnie nie mają żadnego wpływu. Chcę z nią porozmawiać.

– Przysięgam, że jej tu nie ma. – Jill poczuła niepokój. – Kiedy się widziałyście ostatnio?

- To nie twoja sprawa. Pewnie zwyczajnie poszła do pracy, tylko nie odbiera telefonu.
- Nie poszła do pracy, bo ją rzuciła.
- Rzuciła? A ty skąd o tym wiesz?

– Sama mi powiedziała. Jak sądzisz, mogła się wybrać na randkę? To chyba dość prawdopodobne? Kiedy wczoraj do mnie przyszła, była po alkoholu.

– Nie do wiary! – zadrwiła Victoria.

– Czy wiesz, z kim była? Z Santosem? Zeszli się?

– A o Santosie skąd wiesz? Widzę, że nie tracisz czasu. Jill, mam do ciebie prośbę. Weź odrobinę na wstrzymanie. Dopiero co zmarł mój ojciec. Bądź tak łaskawa i odczekaj przyzwyczajenie chociaż parę chwil, zanim zaczniesz na nowo wkręcać się w moją rodzinę, dobrze?

Jill nie chciała sprzeczeki. Dostyc już złego się stało przez samo to, że się tak bardzo z Victorią od siebie oddaliły.

– Masz numer telefonu Santosa?

– Nie. Santos wrócił do Brazylii. A Abby mogła pójść z kimkolwiek. Tak jak to ma w zwyczaju. Bez przerwy gdzieś ją nosi, lubi imprezować.

– Poszłaby na prywatkę w dzień pogrzebu ojca? – zdziwiła się Jill. – Zresztą kiedy się żegnałyśmy, nie odniosłam wrażenia, że miała ochotę się gdzieś wybrać. Dzwoniłaś do jakichś jej przyjaciół?

– Nie znam jej przyjaciół. Nawet na ceremonii nikt się nie pokazał.

– Pojedziesz do domu sprawdzić, co się z nią dzieje?

– Nie. Nie jestem jej matką. A co więcej, uwaga, uwaga, ty też nią nie jesteś.

Do widzenia.

– Czeka! Proszę cię, zadzwoń do mnie, kiedy się odezwie... Albo ją poproś, żeby do mnie zadzwoniła.

– A co ci zależy?

– Zależy. Victorio, zależy mi na was obu. Bardzo cię proszę, zadzwoń...

Victoria zakończyła połączenie i tak Jill została z aparatem w ręku, z głuchą linią. Wcisnęła czerwoną słuchawkę. Przewinęła listę kontaktów, znalazła numer Abby i wduśliła przycisk z zieloną słuchawką. Ciągły sygnał powtarzał się w nieskończoność, po czym odezwała się poczta głosowa: „Za dobrze się bawię, żeby z tobą gadać! Zostaw info!”.

Na koniec zabrzmiał brzęczyk, więc po nim Jill zostawiła wiadomość.

– Abby, martwię się o ciebie, kochanie. Proszę, zadzwoń do mnie, daj mi znać, co się z tobą dzieje. Victoria cię szuka. Dzwoń bez względu na porę. Kocham cię.

Rozłączyła się, zmartwiona nie na żarty. Dziwne, że Abby w ogóle wyszła z domu. Nie istniał ku temu żaden pilny powód, a na prywatkę raczej nie starczyłoby jej siły, no i zapewne nie miała nastroju.

Jej myśli uciekły w inną stronę. Ślepek. Mężczyzna w czarnej czapce z daszkiem. Nagranie z monitoringu w aptece. Wyczyszczony laptop. Raptem uświadomiła sobie, jakie to byłoby całkiem niedorzeczne, gdyby William został zamordowany. I wtedy przyszło jej do głowy coś jeszcze. Jeżeli William rzeczywiście padł ofiarą morderstwa, Abby mogła także znajdować się w niebezpieczeństwie. Przecież mieszkała z nim pod jednym dachem, w tym samym domu. Mogła widzieć zabójcę, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, mogła przypadkiem usłyszeć coś podejrzanego, a jeśli nawet nie, morderca mógł być o tym przekonany i to całkiem wystarczyło. Innymi słowy, konszachty Williama mogły się okazać groźne dla Abby.

Skurczyła się ze strachu. Nie zniosłaby, gdyby cokolwiek złego przydarzyło się Abby.

Nie.

Podерwała się na równe nogi i pobiegła do salonu.

– Sam! – krzyknęła od progu.

## Rozdział 17

Siedziała w fotelu naprzeciwko Sama. Powiedziała mu ciurkiem o wszystkim: o nagraniu z monitoringu apteki, o podrobionych receptach i czarnym suwie. Pulpet spał na swoim posłaniu uwalony na boku, tylne łapy podrygiwały mu do taktu jakiegoś psiego snu. Telewizor z wyłączonym dźwiękiem migotał obrazami nocnego talk-show.

Zdążyła się trochę uspokoić, bo Sam słuchał uważnie i cierpliwie. Siedział na kanapie, z przedramionami opartymi na udach, nieco wychylony do przodu, z troską patrząc znad okularów.

– Co myślisz o tym wszystkim? – spytała na koniec.

– Jest o czym myśleć – przyznał Sam i charakterystycznym ruchem przeczesał włosy palcami. – Rzeczywiście, to i owo wydaje się dziwne, zwłaszcza recepty wypisane przez niezującego lekarza.

W szklance wody na niskim dębowym stoliku topił się lód.

– Prawda? – Jill poczuła się pewniej, choć nadal bardzo martwiła się o Abby.

– Ponieważ William już kradł puste blankiety, należy się spodziewać, że to on sfalszował recepty.

– Po co miałby się przebierać?

– Na wypadek gdyby ktoś się zorientował, że druki są sfalszowane. By uniknąć oskarżenia.

– Słusznie. O tym nie pomyślałam. – Jill potarła twarz obiema dłońmi. – Bez przerwy zamartwiam się o Abby. Gdzie ona mogła się podziać?

– Wszędzie. – Sam wyraźnie nabrał rezerwy. Zdjął okulary.

– A jeśli jest w niebezpieczeństwie? Jeżeli wpadła w kłopoty?

– Mocno wątpię. – Zerknął na zegarek. – Jest pierwsza. Oboje wiemy, że ta dziewczyna lubi zaszaleć.

– Wieczorem nie miała szampańskiego nastroju. Była pogrążona w żałobie.

– No dobrze, nie będę się sprzeczał.

– Szkoda, że nie mieszka bliżej, zajrzałabym do niej... – Bardzo starała się opanować rosnący niepokój. – Nie wiadomo, co mogło się jej przydarzyć, nawet w domu. Mogła wypić za dużo i spaść ze schodów. Jest całkiem sama. Nikt się nią nie interesuje.

– Ma siostrę.

– Victoria ma do niej tylko pretensje.

Sam uniósł brew.

– Może nie bez przyczyny?

– Daj spokój, nikt nie zasługuje na takie traktowanie.

– Przeciwnie, ludzie, którzy prowadzą po alkoholu, z pewnością zasługują na surową ocenę.

– Ona nie potrzebuje nagany, tylko pomocy.

– Mam dosyć. – Sam uniósł obie ręce w geście poddania. – Pomagamy jej. Kropka.

Czy możemy teraz, dla odmiany, porozmawiać o tobie? Martwi mnie ten czarny suv, który za tobą jeździ. Może niepotrzebnie się niepokoję, ale wolałbym, żebyś zadbała o swoje bezpieczeństwo.

– W jaki sposób na przykład?



– Chciałbym, żebyś trzymała się od tego wszystkiego z daleka. Kto wie, w co William się wpakował? – Ściągnął brwi. – Moim zdaniem stanowczo nie powinnaś się w te sprawy angażować.

– Nic w tym kierunku nie zrobiłam. Samo się działo...

Przekrzywił głowę i przyjrzał się Jill spod oka.

– Apteka nie zadziałała się sama.

– Nie oczekiwałam takich skutków tego wypadu.

– Rozumiem. Ale teraz już wyhamuj. Opowiedz policji, co odkryłaś, niech oni się tym zajmą. – Pokręcił głową. – Nie chcę, żeby ci się stała krzywda. Tobie albo Megan.

– W życiu nie naraziłabym córki na niebezpieczeństwo.

– Możliwe, że już to zrobiłaś. Tak się obawiałaś o bezpieczeństwo Abby, że nie zadbałaś o swoje i Megan. Przecież sama twierdzisz, że ten podejrzany suv stał na naszej ulicy.

– Jakoś tego nie skojarzyłam. – Miała mętlik w głowie. – Nie wiadomo, czy to było to samo auto.

– Nie wiadomo. Ale po co ryzykować? Naprawdę chcesz ściągnąć kłopoty na nas wszystkich? I dlaczego? Przecież tropienie przestępców to sprawa policji, nie nasza. – Wolno pokręcił głową. – Jak to się stało, że zniemacka zostałam wciągnięty w sprawy twojego byłego męża? I co ty masz z tym wszystkim wspólnego?

– Tu nie chodzi o niego, kochanie, tylko o Abby.

– Tak uważasz? Wszystko kręci się dookoła niego. Szperasz w jego laptopie, czytasz jego korespondencję, starasz się znaleźć jego partnera w interesach. Jeszcze wczoraj twój były mąż dla ciebie nie istniał, a po śmierci nagle zawładnął twoim życiem.

– Nie mów tak. – Wyraźnie widziała, że jest urażony, zraniony, nawet zazdrosny, co było do niego całkiem niepodobne. – Nie oddam Abby bez walki.

– Ona nie jest twoja.

– Tak się tylko mówi.

Westchnął ciężko.

Znaleźli się w impasie.

Jill powiodła wzrokiem po salonie z kanapą w sympatyczną czerwoną kratę, z lampami otulającymi wnętrza ciepłym blaskiem. Wybierała sprzęty do tego domu już po rozwodzie z Williamem, meblowała wnętrza mniejsze niż poprzednie, te, gdzie mieszkała z Williamem i trójką dzieci. Gdy wprowadził się do niej Sam, dodała tylko szynę na zdjęcia i półki na jego kolekcję pierwszych wydań książkowych. Nad charakterem tego pokoju natomiast pracowali razem. Udało im się stworzyć wspólny dom i zgodną rodzinę, zgodną przynajmniej do teraz. Teraz w salonie, w pokoju dla rodziny, nie było już rodzinnej atmosfery. Jill miała świadomość, że będą musieli wypracować kompromis.

Spojrzała Samowi prosto w oczy.

– W kwestii policji masz całkowitą rację. Jutro zadzwonię i opowiem im o sfalszowanych receptach i o suwie.

– Dzięki Bogu. – Sam podniósł się z niejakim trudem i wyciągnął do niej rękę.

– Chodźmy spać. Abby pewnie się znajdzie rano.

– Szczerze mówiąc, i tak nie zasnę. Nie uspokoję się, póki się nie upewnię, że wszyscy są bezpieczni i w domu.

– Ona ma już inny dom, kochanie. – Sam opuścił rękę.

Jill postanowiła raz a dobrze wyjaśnić sprawę.

– Wiem, ale to tylko kwestia umowna, chyba się ze mną zgodzisz?

– Nie.

– Naprawdę? – Zupełnie go nie rozumiała. – A jeżeli coś jej się stało? Jeśli jest ranna? Albo zaginęła? To nie zmienia twojego punktu widzenia?

– Nie – odparł Sam stanowczo. – Nie przyszło ci do głowy, że jej zniknięcie jest próbą ściągnięcia twojej uwagi? W najlepszym razie nieświadomą? Zaistniałaś na nowo w jej życiu i ona jest tym zachwycona. Kocha cię. Słyszałaś, sama to powiedziała wczoraj wieczorem.

– Ja ją też kocham. To prawdziwe, szczere uczucie, nie manipulacja.

– Mówisz o sobie, a z jej strony? – Sam przechylił głowę. – Czy zadbała o ciebie, zapraszając cię na ceremonię pożegnalną, a nie uprzedzając o tym siostry? Na pewno mogła się domyślić, że dojdzie do przykrew sceny.

– Nie przewidziała aż takiej wybuchowej reakcji.

– Dajże spokój. Moim zdaniem dziewczyna robi wszystko, żeby cię przy sobie uwiązać, odciągnąć twoją uwagę ode mnie i od Megan.

– Od ciebie? A to niby dlaczego?

– A to dlatego, że zająłem przy tobie miejsce jej ojca. Wczoraj wieczorem nie kryła wobec mnie wrogości.

– Była nietrzeźwa. Przecież wcale cię nie zna.

– Dostyc tego dobrego, ja już nie mam siły. Idę do łóżka. Ty też?

– Nie, jeszcze nie będę się kładła. – Jill była rozdarta na dwoje. – Właściwie nawet nie jestem zmęczona, nie dam rady zasnąć.

Bardzo chętnie włączyłaby Abby na nowo do swojej rodziny. Ta dziewczyna została wycięta z jej serca jak wzorek z płachty ciasta, zostawiając po sobie puste miejsce.

– Wobec tego jeszcze jedno, kochanie – odezwał się Sam. – Zapytaj siebie, czy przypadkiem nie angażujesz się w sprawy Abby dlatego, że Megan się od ciebie odsuwa.

– Tak sądzisz?

– To nie ma znaczenia. Najważniejsze, żebyś zadała sobie to pytanie. – Wsparł dłonie na biodrach. – Nie musisz mi odpowiadać, odpowiedź jest ważna dla ciebie. Może bardzo ci potrzebne dziecko, o które możesz się troszczyć, które możesz prowadzić przez życie, wychowywać. Ponieważ Megan rośnie, dojrzewa i wyrasta z tej roli, coraz mniej cię potrzebuje. Zgodnie z naturalnym biegiem wypadków. Może chcesz ją kimś zastąpić.

Jill otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zaraz je zamknęła. Miała absolutną pewność, że Sam się myli, jednak skoro taką przyjął roboczą hipotezę, nie miała szans przekonać go do czegokolwiek innego. W każdym razie nie dzisiaj.

– Tak czy inaczej – podjął Sam – kocham cię niezmiennie. Dobrej nocy. – Pochylił się nad nią, oparł dłonie na podłokietnikach fotela i beznamiętnie cmoknął w usta. Gdy się wyprostował, nie patrzył jej w oczy, a twarz miał zatroskaną. – Wypuszczę psa.

– Ja to zrobię, idź już.

– Dzięki. – Rzucił jej zmęczony uśmiech i ruszył na górę.

– Ja ciebie też kocham – powiedziała Jill, słuchając cichnących kroków.

Nie podobał jej się chłód w jego oczach. Nigdy wcześniej takiego Sama nie widziała. Coś się między nimi zmieniło, oddalili się od siebie, jakby na dwóch krach dryfowali w przeciwne strony po lodowatym oceanie.

„Bardzo cię kocham... jesteś dla mnie mamą... zawsze byłaś i zawsze będziesz”.

Wstała i przeszła do kuchni.

## Rozdział 18

Najpierw uruchomiła ekspres do kawy. Wrzuciła do niego torebkę z ciemnym proszkiem, podstawiła kubek pod dyszę i wdusiła przycisk. Nie mogła się pozbyć uczucia, że Abby ma kłopoty. Martwiło ją, że dziewczyna pije. Może straciła przytomność w jakimś klubie? Albo w którejś bocznej uliczce nie wiadomo gdzie?

Wzięła do ręki telefon, sprawdziła wiadomości, jednak Abby ani nie oddzwoniła, ani nie napisała. Wobec tego zadzwoniła do niej ponownie i zostawiła kolejną wiadomość, mniej więcej takiej samej treści jak poprzednia. Następnie, pchnięta impulsem, zadzwoniła do Szpitala Uniwersyteckiego stanu Pensylwania, znajdującego się w Filadelfii, uzyskała połączenie do pogotowia i wypytała o Abby Skyler lub N.N. o wyglądzie Abby. Nikogo takiego nie mieli. Tymczasem zaparzyła się kawa. Jill wypiła łyk i zadzwoniła do szpitala w Temple, potem do Szpitala Uniwersyteckiego imienia Hahnemanna w Filadelfii – nikt podobny do Abby nie trafił na żaden z tamtejszych oddziałów, wliczając pogotowie.

Usiadła z kawą przy swoim laptopie i poruszyła myszą. Dla Abby na razie nie mogła zrobić nic więcej, musiała uzbroić się w cierpliwość. Przez chwilę wpatrywała się w monitor, przytłoczona wagą słów Sama, zastanawiając się, czy rzeczywiście nie zaniedbuje Megan. Katie powiedziała coś podobnego, prawie to samo. Możliwe, że oboje mieli rację. Musiała się upewnić, że poświęca własnej córce dość czasu i energii... podobnie jak bywało w czasach, gdy pełniła rolę matki trójki dzieci.

Miała kupić dla Megan tę książkę o Lincolnie. Weszła na stronę ulubionej księgarni internetowej, wpisała w okienku wyszukiwania tytuł *Duch Lincolna*. Po kilku sekundach ukazała się szukana pozycja i Jill już miała kliknąć „Do koszyka”, kiedy uświadomiła sobie, że powinna najpierw się dowiedzieć, czy przesyłka dotrze na czas. Przejrzała formularz zamówienia, zmieniła preferowane warunki dostawy i sprawdziła adres kupującego. Wtedy przysła jej do głowy pewna myśl.

Na liście znajdowały się adresy osób jej bliskich, również tych, które już należały do przeszłości. Nigdy nie kasowała wpisanych adresów, więc został ten do matki i do dawnego mieszkania Sama... Może William też zostawiał takie informacje online? Kiedyś robił zakupy w sieci, wysyłał drobiazgi lekarzom, pielęgniarkom i recepcjonistkom, bardzo zręcznie sobie tych ludzi urabiał. Nawet znała jego hasło, ale i tak go nie potrzebowała. Przecież miała jego laptop.

Niewiele myśląc, obudziła z drzemki drugi komputer i połączyła się z odpowiednią stroną. Przed jej oczami zamigotała strona zachęcająca do kupna nowo wydanych książek i zamawiania planowanych nowości, a na samej górze, w miejscu przeznaczonym na logowanie, pojawił się napis: „Witaj, William!”. Przeszła do zakładki „Moje konto”, gdzie znajdowały się wszystkie ustawienia, między innymi adresy. Adresem podstawowym okazał się ten na Acorn Street w Filadelfii. Kliknęła w „Zarządzanie adresami” i na ekranie ukazała się lista mniej więcej dwudziestu innych.

Poprawiła się na siedzeniu. William wyczyścił laptop, jednak zapomniał o wykasowaniu informacji przechowywanych online. Drugi na liście widniał adres mieszkania w Filadelfii, dokąd przeprowadził się z dziewczynkami po rozwodzie, następny był ich dawny wspólny dom, potem kilka gabinetów lekarskich z nazwiskami administratorów i w końcu kilka kobiet mieszkających w okolicy Filadelfii, czyli pewnie jego przyjaciółki. Poza lekarzami

i administratorami znajdował się na liście tylko jeden mężczyzna, właśnie ten, którego miała nadzieję znaleźć: Neil Straub, zamieszkały na Jedenastej Zachodniej, na Manhattanie.

Zadzwoiła do informacji w Nowym Jorku i posłuszna wskazówkom podsuwanym przez automat zażądała numeru telefonu konkretnego abonenta, jednak uzyskała tylko informację, że taka osoba nie jest na tej liście uwzględniona. Wcisnęła zero, by połączyć się z operatorem, dotarła do kontrolera, który wróciwszy na linię po jakimś czasie, przekazał jej niemiłe wieści.

– Przykro mi, nie możemy podać tego numeru.

Rozłączyła się, coraz mocniej przekonana, że Neil i William coś knuli. O Neilu więcej na razie dowiedzieć się nie mogła, ale byli przecież inni z listy adresów. Może od nich uzyska jakieś istotne informacje, może nakierują ją na jakiś ślad. Istniała możliwość, że dostrzeże jakieś powiązanie z Abby, a jeśli nawet nie, to przynajmniej zajmie się czymś sensownym, zanim weźmie się na nowo do obdzwaniania szpitali.

Wydrukowała listę adresów i zabrała się do pracy.

## Rozdział 19

Obudziła się z głową na blacie wyspy. Promień słońca zawisł nad zlewem, w kuchni było jasno i cicho. Zegar na ścianie wskazywał szóstą piętnaście. Od razu pomyślała o Abby. Podniosła blackberry, sprawdziła wiadomości, lecz nie znalazła nic od Abby ani od Victorii. Nie dzwonił też nikt spośród pacjentów, wliczając w to Padmę, ale i tak dopiero dobre wyniki badania krwi Rahula mogły ją rzeczywiście uspokoić.

Pulpet podniósł się, przeciągnął, wysuwając do przodu przednie łapy, parę razy niezobowiązująco machnął ogonem i ruszył do tylnego wyjścia, po drodze ocierając się łbem o jej udo. Podrapała go za uchem, przewinęła w telefonie spis połączeń, znalazła numer Abby i wcisnęła klawisz połączenia. Jednocześnie wstała i poszła za psem. Długi sygnał dzwięczał i dzwięczał bez końca. Zdążyła odciągnąć zasuwkę, wypuścić Pulpeta i sama wyjść na zewnątrz. Niedzielny ranek był krystaliczny i cichy, bo nie nastąpiła jeszcze pora na kosiarki oraz dmuchawy do liści.

Podwórce mieli wielkie, zostało pięknie zaprojektowane, łącznie z basenem, wysokim żywopłotem chroniącym prywatność oraz grupą dębów błotnych w najdalszej części po lewej, gdzie rozpościerało się królestwo Pulpeta.

Stała w plamie słońca, jeszcze pełna nadziei, że Abby odbierze telefon. Niestety, w końcu odezwał się głos dziewczyny nagrany na automatycznej sekretarce, więc zostawiła kolejną wiadomość i się rozłączyła. Następnie przewinęła listę połączeń, wybrała stanowy numer alarmowy i po raz nie wiadomo który spytała o Abby. Nadal nic. Zadzwoiła do Temple i do Hahnemanna, też bez skutku.

Spojrzała na zegar na wyświetlaczu. Szósta trzydzieści pięć. Wiele by dała, żeby móc jechać do Abby, do jej domu, sprawdzić, co się z nią dzieje. Musiałaby jednak wyjechać bardzo niedługo, żeby zdążyć z powrotem na zawody Megan.

Znalazła numer Victorii, zadzwoniła.

- Jill?! – Victoria najwyraźniej została wyrwana ze snu. – Po jakie licho dzwonisz do mnie o tej porze?
- Bardzo cię przepraszam, ale nie mam znaku życia od Abby. Odezwała się do ciebie?
- Nie. Jeszcze spałam. Obudziłaś mnie.
- Naprawdę bardzo mi przykro. Nie oddzwoniła ani nie przysłała żadnej wiadomości, więc chcę do niej zajrzeć, ale nie mam kluczy. Może u któregoś sąsiada jest komplet?
- Zaraz, chwileczkę, czy tobie się coś nie poprzestawiało? Oprzytomniej, kobieto. Pilnuj swojego nosa, uprzejmie cię proszę.
- Jill spodziewała się takiej reakcji.
- Boję się, czy nie spadła ze schodów – tłumaczyła pojednawczym tonem.
- Obawiam się, czy w ogóle może podejść do drzwi...
- Nie spadła. Nie jest zramolałą staruszką. Jasna cholera...!
- A jeżeli piła wczoraj wieczorem? Mogła się przewrócić i zadławić własnymi wymiocinami. To się zdarza. Naprawdę. Ludzie umierają z takich powodów.
- Mówiłaś, że wczoraj nie miała ochoty na imprezowanie – rzuciła Victoria drwiąco.
- Jill ugryzła się w język.
- Mogłam się pomylić – powiedziała po chwili. – Masz klucze?
- Mam.

– Pojedziesz do niej? – spytała. Gdyby trzeba było jechać najpierw do Victorii w centralnej części stanu New Jersey, a dopiero potem do Abby, w żaden sposób nie zdążyłaby na zawody Megan.

– Dlaczego miałabym tam jechać?

– Bo kochasz siostrę.

– Pewnie! – odparowała Victoria. – Kocham ją na tyle mocno, żeby jej nie włączyć w życie z butami.

Do niczego to nie prowadziło, trzeba było spróbować inaczej.

– Victorio, sądzę, że poprzedniej nocy ktoś ją śledził. Czarnym suwem z rejestracją zaczynającą się od litery T. Czy coś ci to mówi? Czy Abby spotyka się z kimś, kto jeździ takim samochodem?

– Nie – burknęła Victoria. – Skąd wiesz, że ją ktoś śledził?

– Nie mam pewności, ale wóz jest charakterystyczny, ma uszkodzony jeden reflektor.

Zauważyłam go, bo przypomniła mi się gra w ślepiki.

– Nie wierzę własnym uszom. Uważasz, że jakiś szalony ślepek jeździ za Abby?

Naprawdę? I w efekcie ty wysledziłaś jego?

Jill już nie wiedziała, jak ją przekonać.

– I jeszcze jedno... – Chwyciła się ostatniej szansy. – Leki znalezione w sypialni twojego ojca zostały wykupione na recepty wypisane przez lekarza, który od dłuższego czasu nie żyje. Zostały sfalszowane.

– Mówisz mi, że tata podrobił recepty?

– Albo on, albo ktoś, kto chciał...

– On by nigdy nie zrobił czegoś podobnego. Zwariowałaś kompletnie? O czym my w ogóle rozmawiamy?! Przestań wreszcie wtykać nos w nie swoje sprawy.

Jill bardzo chciała dostać klucze.

– Victorio, nie o wszystkim wiesz i kiedy się spotkamy, mogę ci wiele wyjaśnić.

Zdarzyło się już kiedyś...

– Dosyć! – warknęła Victoria. – Ani słowa więcej. Obudziłaś mnie bladym świtem w niedzielę, żeby oczernić mojego ojca? Co się z tobą dzieje?! Jesteś nienormalna!

– Proszę cię, przywieź klucze. Błagam cię przez wzgląd na Abby.

– Jej nic nie dolega, to ty jesteś chora!

Victoria przerwała połączenie, Jill także się rozłączyła.

Pulpet podbiegł do niej, machając radośnie ogonem, a kiedy się schyliła, by pogłaskać psa, kątem oka zobaczyła Sama. Miał na sobie ulubiony T-shirt, szorty do biegania i był na bosaka. Podszedł, przytulił ją serdecznie.

– Zdaje się, że nie poszło najlepiej? – spytał niewesoło.

Uświadomiła sobie, że nie jest już tak spięty jak w nocy. Nastrój wyraźnie mu się poprawił, zachowywali się prawie normalnie.

– Pocałowałabym cię, ale nie myłam zębów.

– Trudno, całuj.

Wspięła się na palce i cmoknęła go w usta.

– Czuć mnie wczorajszą kawą?

– Hm... Raczej żoną.

– Kochany jesteś – stwierdziła z uśmiechem, ale myślami już zdążyła wrócić do swego zmartwienia. – Czy możemy porozmawiać o Abby?

– Tak. – Sam uśmiechnął się krzywo.

– Nie oddzwoniła, nie napisała, w dalszym ciągu nie odbiera telefonu. Chcę sprawdzić,

co się z nią dzieje. Megan ma dzisiaj zawody, mama Courtney ją zawiezie. Impreza zaczyna się w południe, więc powinnam zdążyć, jak myślisz? Megan pływać będzie około pierwszej.

– Racja. Jadę z tobą.

– Nie trzeba, naprawdę. Poradzę sobie.

– Chciałbym w to wierzyć. – Sam spochmurniał. – Przespałem się z tą sprawą, a że noc przynosi radę, doszedłem do pewnych wniosków. Chociaż nadal nie uważam, żeby twój były został zamordowany, martwi mnie ten suv.

– Będę uważać. W niedzielę rano zobaczę go z odległości kilometra, nie ma ruchu.

Lepiej byłoby, żebyś dostarczył Megan worek ze strojem. Gdybym się spóźniła, zostałyby bez kostiumu.

– Podrzucimy go po drodze.

– I obudzimy całą rodzinę Courtney? Ich pies ujada jak wariat, pamiętasz?

– No to zostawimy worek w szkole.

– O tej porze będzie jeszcze zamknięta, zresztą, u kogo chcesz go zostawić? Nikt w tamtej szkole nie zna Megan. – Ścisnęła go za przedramię. – Jesteś najwspanialszy pod słońcem, ale naprawdę lepiej będzie, jeśli zostaniesz. A ja w razie najmniejszych kłopotów będę wzywać policję.

Sam przygryzł wargę.

– Zadzwońisz na policję tak czy inaczej, prawda?

– Tak, tak. Tak. Zaraz jak tylko sprawdzę, co z Abby. – Jeszcze raz uściśnęła Sama i na odchodne poklepała Pulpeta. – Zaraz spakuję worek dla Megan.

– Ja spakuję, nie ma problemu. A ty uważaj w mieście, dobrze? Bardzo cię proszę.

Jeśli tylko zobaczysz czarnego suva, wzywaj policję, a potem dzwoń do mnie. Aha, a jak dotrzesz na miejsce, to też do mnie zadzwoń.

– Dobrze.

– Zaraz. A co zrobisz, jeśli Abby nie otworzy drzwi?

– Będę się dobijać tak długo, aż otworzy, a przedtem sprawdzę, czy samochód jest pod domem.

– Nie masz kluczy?

– Nie, ale sądzę, że może mieć któryś z sąsiadów. Dawniej zostawialiśmy sąsiadom komplet kluczy na wszelki wypadek.

– Przez „my” rozumiesz siebie i Williama? – Sam ściągnął brwi, ale na jego ustach igrał uśmiech.

– Tak. Wybacz, ostatnio ciągle o nim mówię.

– Ale do ślubu przestaniesz?

– Przysięgam – obiecała solennie i poszła się zbierać.

## Rozdział 20

Wjechała do miasta. Przez całą drogę nie widziała czarnego suwa. Skręciła w dojazdówkę do Society Hill i w mgnieniu oka dotarła do celu. Znalazła wolne miejsce parkingowe na Acorn Street, wyłączyła silnik i jeszcze z samochodu wysłała do Sama SMS z informacją, że cała i zdrowa dotarła na miejsce. Na ziemi kładły się promienie słońca przesiane przez rosnące wzdłuż ulicy drzewa, w zasięgu wzroku nie było jeszcze żywej duszy, nawet turystów.

Przeszła prosto do domu Williama, wbiegła po schodach i wcisnęła dzwonek. Dzwonił, dzwonił i dzwonił, ale bez żadnego skutku. Zastukała do drzwi, raz, potem drugi i trzeci, mocno, knykciami.

– Abby! – zawołała. – To ja, Jill! – Słysząc ją było pewnie w całym kwartale.  
– Otwórz!

Odczekała chwilę, po czym znów zastukała i zawołała Abby, nadal bez rezultatu.

Usiłowała zajrzeć do wnętrza przez okno, niestety, znajdowało się za wysoko. W domu nie paliły się żadne światła, więc dalej nie wiedziała, czy Abby tam jest. Zeszła z frontowych schodów i ruszyła ulicą, aż napotkała lukę między ogrodzeniami. Mieszkała kiedyś w takiej okolicy, wiedziała, że na tyłach domów zwykle biegnie wąska uliczka.

Owszem, tu również taka była. Jill skręciła w prawo i pośpieszyła z powrotem w stronę domu Williama. Wkrótce dotarła do zatoczki parkingowej. Przy każdym domu znajdowały się dwa miejsca postojowe, a przy domu Williama oba okazały się zajęte. Na jednym stał czarny sedan, mercedes, zapewne auto Williama, na drugim, tuż za nim, pomarańczowy datsun, własność Abby.

Niedobrze. Mogło to oznaczać, że Abby nie otwiera, chociaż jest w domu. Leży nieprzytomna? Nie może się ruszyć? A może jednak wyszła, na przykład z kimś, kto ją podwiózł?

Jill podeszła do jej samochodu, zajrzała przez boczną szybę do środka. Siedzenie pasażera zaśmiecały zmięte papierki po gumie do żucia, wały się tam też pusta butelka po wodzie i szczotka do włosów.

Pod wpływem impulsu postanowiła zajrzeć także do samochodu Williama. Zgodnie z przewidywaniami wewnątrz okazało się nieskazitelne.

Bezradnie rozejrzała się dookoła. Nagle znów nabrała nadziei. Tylne wejście! Drzwi pomalowane na granatowo. Obeszła samochody, zrobiła dosłownie kilkanaście kroków po chodniku na tyłach domu i zatrzymała się przed drzwiami oznaczonymi numerem trzysta osiemdziesiąt dwa. Obok stał pojemnik na odpady do recyklingu, dalej galwanizowany kontener na śmieci.

Zadudniła w drzwi.

– Abby! – zawołała. – Abby!

– Hola! Co pani wyprawia? – odezwał się za nią surowy głos.

Mężczyzna w dresie i z gazetą zatkniętą pod ramię mierzył ją groźnym spojrzeniem zza okularów o dzielonych szklach.

– Dzień dobry. Nazywam się Jill Farrow, szukam Abby. Czy pan jest jej sąsiadem?

– Mieszkam tutaj – odparł mężczyzna nieufnie, lecz znacznie łagodniejszym tonem.

– Abby to ta młoda kobieta, która tutaj mieszka?



– Tak. A to jej samochód. – Jill wskazała datsuna. – Abby jest w domu, ale nie otwiera. Martwię się o nią, we wtorek straciła ojca.

– Nie wiedziałem... Proszę przyjąć kondolencje. Nazywam się Ernie Berg.

– Miło mi. – Jill podeszła do mężczyzny, podała mu rękę. – Gdzie pan mieszka?

– Dwa domy dalej.

– Widział pan Abby jakoś ostatnio?

– Ostatnio nie. Ładna z niej dziewczyna i na dodatek miła. Zawsze grzecznie się wita. Traktuje ją pani jak córkę... Przeszedłem już na emeryturę, więc dużo czasu spędzam w domu i zwykle widzę, co się dzieje na ulicy. Jestem też w Straży Sąsiedzkiej.

Oto wyczekiwany uśmiech losu!

– A Williama, jej ojca, też pan widywał? Zmarł niedawno.

– Wiem, o kim pani mówi, ale on rzadko tu bywał. Którejś nocy, chyba na początku tego tygodnia, zrobił się tu straszny zamęt, przyjechała policja, był nawet ekspert medycyny sądowej... Pewnie to było wtedy. Młody był z niego człowiek. Na co zmarł?

– Źle zareagował na leki.

– Fatalnie. Prawie go nie znałem, ale wiem, że był młody. Szkoda człowieka. Nawet go namawiałem, żeby też wstąpił do Straży Sąsiedzkiej, lecz odmówił, powiedział, że dużo podróżuje.

Jill zanotowała te fakty w pamięci.

– Zna pan sąsiadów z naprzeciwka? Przyszło mi do głowy, że może ktoś przechowuje klucze od tego domu.

– A, nie, co to, to na pewno nie. Naprzeciwko mieszkają Wilsonowie i Eraskosowie. Wilsonowie pojechali na narty, a Eraskosowie z synem na zawody. Chłopak gra w koszykówkę. I dobrze gra!

Z Jill uszło całe powietrze.

– Obawiam się, że Abby stała się krzywdą. Że się przewróciła albo ucierpiała w jakiś inny sposób. Od śmierci ojca mieszka sama.

– Też bym się martwił – przyznał Ernie Berg. – Większość poważnych wypadków przydarza się w domu. Przydałoby się chyba zawiadomić policję. Doradzamy, żeby nie dzwonić pod numer alarmowy, jeśli nie mamy do czynienia ze sprawą nagłą, bo niedaleko jest komisariat, dosłownie kilka przecznic.

– Czyli sądzi pan, że powinnam pojechać?

– A ileż pani ma córek?

O mało nie odpowiedziała: „Trzy”, zanim uświadomiła sobie, że było to pytanie retoryczne.

## Rozdział 21

W pośpiechu dotarła do komisariatu, który mieścił się w podniszczonym niewysokim budynku o pożółkłych ścianach. Przywoził na myśl prostokątny tort z supermarketu. Przed nim stał niebieski znak z napisem w stylu art déco:

### KOMISARIAT POLICJI

#### OKRĘG SZÓSTY

Na przylegającym do komendy parkingu stało kilka białych wozów z żółto-niebieskim pasem, symbolem filadelfijskiej policji. Na zewnątrz nie było nikogo, więc Jill śpiesznie weszła do środka przez stalowe drzwi z dużymi taflami szkła zamglonymi od smug odcisków dłoni.

Znalazła się w korytarzu wyłożonym tanimi płytkami, zakończonym posępnymi stalowymi drzwiami, najwyraźniej zamkniętymi na cztery spusty. Po prawej stronie wisiał na ścianie automat telefoniczny, a po lewej obwieszczenie o wprowadzeniu godziny policyjnej. Za nim widniało podnoszone okienko o niebieskich framugach. Podeszła do niego i za szybą ujrzała prostokątny pokój, ledwo mieszczący stłoczone na środku cztery biurka z pomalowanego na szaro metalu. Przy każdym stało czarne krzesło obrotowe. Dwa były zajęte: jedno przez kobietę, drugie przez mężczyznę. Kobieta spojrzała na Jill, podniosła się i podeszła do okienka.

– Dzień dobry. Nazywam się Mendina – powiedziała. – W czym mogę pomóc?

Identyfikator informował, że ma na imię Veronica, a niebieska bluza mundurowa doskonale harmonizowała z jej błękitnymi oczami. Gęstą ciemną grzywkę policjantka miała podpiętą za pomocą zwykłej wsuwki.

– Dzień dobry. Nazywam się Jill Farrow. Przyszłam tu, bo martwię się o swoją byłą pasierbicę. Jeżeli jest w domu, to nie wiedzieć czemu nie otwiera, ale obawiam się, czy nie zaginęła. Niepokoję się, że mogła jej się stać jakaś krzywda. Nazywa się Abby Skyler i mieszka przy Acorn Street. Jej samochód stoi przed tylnym wejściem.

– Ile lat ma osoba poszukiwana?

– Dziewiętnaście.

– Kiedy ją ostatnio widziano?

– Wczoraj około siódmej wieczorem. Nie odbiera telefonów ode mnie ani od siostry.

Dopiero co straciła ojca, jest przekonana, że został zamordowany.

Policjantce zabłyśły oczy.

– Uważa, że padł ofiarą morderstwa? Czyli ten przypadek został rozpoznany jako morderstwo?

– Nie, ale ona mimo wszystko jest tego pewna. – Jill uświadomiła sobie coś jeszcze.

– Czy ktoś od państwa był na miejscu zdarzenia? Zmarły nazywał się William Skyler.

– Nie, pojechali tam detektywi z Centrali Dochodzeniowej, z Dwudziestej Pierwszej Ulicy. Czyli mówi pani – podsumowała funkcjonariuszka – że dziewczyna mogła zginąć, ale

nie ma od niej wiadomości dopiero od wczorajszego wieczoru. Czy ma zwyczaj spędzać noce poza domem?

– Nie wiem, ja z nią nie mieszkam. Tyle że jestem matką, więc się o nią martwię.

Policjantka sięgnęła gdzieś pod okno i położyła na parapecie jakiś formularz, przypadkiem odsłaniając przy tym czarnego glocka na biodrze. Na drugim biodrze miała przytroczone radio ze sterzącą sztywną anteną.

– Proszę mi przypomnieć, jak brzmi nazwisko pani córki. Chciałabym także zobaczyć jakiś dowód tożsamości.

– Ona nie jest moją córką.

– Zdawało mi się, że tak właśnie pani powiedziała.

– Niezupełnie. Była moją pasierbicą. – Jill po chwili szperania w torebce wyjęła prawo jazdy. – Kiedyś byłam jej macochą. Dziewczyna została teraz całkiem sama, straciła także ojca.

Policjantka przyjrzała się uważnie dokumentowi tożsamości.

– Czy jest pani jej prawną opiekunką, pani doktor?

– Nie.

– Wobec tego proszę mi jeszcze raz wyjaśnić, jakie stosunki łączą panią z tą osobą.

Oddała prawo jazdy, ale nie podsunęła Jill formularza do wypełnienia.

– Byłam jej macochą. Żoną jej ojca, a on we wtorek zmarł.

– Wobec tego nie może pani wypełnić formularza zgłoszenia zaginięcia. Bardzo mi przykro. – Schowała kartkę z powrotem pod okienko.

– Jakie to ma znaczenie, kto zgłasza zaginięcie? – zdziwiła się Jill. – Liczy się tylko fakt, że dziewczyna mogła zginąć albo jest w niebezpieczeństwie. – Wyjęła z torebki zdjęcie znalezione w laptopie Williama, wydrukowane tuż przed wyjściem z domu. Na fotografii widnieli we troje, William z córkami. – Proszę spojrzeć, Abby to ta z długimi włosami.

Mendina przyjrzała się zdjęciu uważnie.

– A ta druga osoba? Ta wysoka?

– To jej siostra, Victoria. Czy ona mogłaby zgłosić zaginięcie?

– Jeszcze nie. Mówi pani, że zaginiona ma skończone osiemnaście lat. Jest pełnoletnia. Człowiek, który chce pobyć sam, nie łamie prawa. Na razie wchodzi w grę tylko jedna noc.

– Bardzo chciałabym, żebyście sprawdzili, co się dzieje w domu. Od śmierci ojca dziewczyna nie może się pozbierać, chyba zaczęła nadużywać alkoholu.

– Naprawdę mi przykro, ale nie zdołam pani pomóc. Mamy ograniczone możliwości, nie możemy ścigać każdej dziesiętnastolatki, która wypila kilka piw.

Mimo wszystko zamyśliła się, przygryzła wargę. W jej oczach Jill dostrzegła współczucie. Kuła żelazo, póki gorące.

– Abby właśnie została sierotą. To ciężkie przejście, niezależnie od wieku. Czy pani ma dzieci? Bardzo panią proszę, niech pani tam zajrzy.

Funkcjonariuszka pokręciła głową na boki.

– Proszę zaczekać. Porozmawiam z oficerem dyżurnym.

– Bardzo pani dziękuję. Jestem ogromnie wdzięczna.

Jill odprowadziła wzrokiem funkcjonariuszkę, która szybko zniknęła jej z oczu, a po chwili ukazała się ponownie. Towarzyszył jej przysadzisty Afroamerykanin w białej koszuli. Na nosie miał okulary w drucianych oprawkach, na twarzy wyraz pełen powagi. Razem z policjantką zbliżył się do okienka i to on teraz prowadził rozmowę.

– Sierżant Destin – przedstawił się. – Już pani mówię, co możemy zrobić. Wyślę tam patrol, upewnią się, czy wszystko jest w porządku.

– Dziękuję. – Jill odetchnęła z ulgą.

– Nie może pani wypełnić dokumentów, ale my możemy sprawdzić, czy w domu nic złego się nie dzieje. Możemy także porozmawiać z sąsiadami, sprawdzić, czy ktoś ją widział, żeby pani przestała się zamartwiać. Jak rozumiem, pani z nią nie mieszka?

– Nie.

– A czy ma pani klucze od domu? Bo włamywać się nie będziemy.

Fatalnie, bo Jill właśnie na to liczyła.

– Mogę zdobyć klucze. Miałabym je za jakąś godzinę.

– Dobrze, w takim razie spotkamy się na miejscu. Jaki jest numer domu?

– Trzysta osiemdziesiąt dwa.

– Rozumiem. – Sierżant Destin spojrzął na zegarek. – Proszę na nas czekać w domu pod tym adresem.

– Bardzo dziękuję. Do widzenia.

Jill ruszyła do wyjścia, w drodze wyjęła z torebki telefon, odszukała numer Victorii.

Sygnał zabrzmiał dwukrotnie.

– Victorio? Mówi Jill.

– Niech zgadnę. Jesteście z Abby w twoim domu. Czy ma już u ciebie własną sypialnię?

– Nie znalazłam Abby. – Jill szybkim krokiem szła do samochodu zaparkowanego przed wietnamską restauracją w budynku sąsiadującym z komisariatem. – Przyjedź, proszę, do domu ojca. Zabierz klucze. Policja wejdzie do środka i...

– Policja?! Jak to, policja?

– Wejdą do domu, sprawdzą, czy...

– Jill, co ty robisz? Jakim prawem się wtrącasz?!

– Victorio, bardzo cię proszę, nie rzucaj mi kłód pod nogi. Boję się o Abby, boję się, że coś jej się stało. Datsun stoi przy tylnym wyjściu, więc ona prawdopodobnie jest w domu, a mimo to nie otwiera. Wystarczy, że przywieziesz klucze. Bardzo cię o to proszę.

– Akurat nie mogę. Muszę się uczyć.

– Nie ma innego wyjścia. – Jill ledwo powściągała gniew. – Wiem, że kochasz siostrę, więc proszę cię, przyjedź. – Wsiadła do samochodu.

– Tobie nic do tego, czy kocham, czy nie kocham. Każda z nas ma swoje życie, a ja nie jestem jej niańką.

– Jeżeli nie przyjedziesz z kluczami, policja będzie musiała się włamać. – Cóż znaczyło jedno niewinne kłamstewko, jeśli mogło ocalić Abby życie. – Musisz je przywieźć jak najszybciej.

– Szlag by to trafił! Jeszcze tylko tego mi trzeba... Jakbym miała za dużo wolnego czasu! – Victoria się rozłączyła.

Jill także wyłączyła telefon, wetknęła kluczyk w stacyjkę. Zamruczał silnik, deska rozdzielcza rozjarzyła się zegarami. Na cyfrowym czasomierzu widniała ósma zero trzy.

Jeszcze czas, ale trzeba się śpieszyć.

Wcisnęła gaz, wyjechała na Vine Street i skierowała się z powrotem na Society Hill.

## Rozdział 22

Czekała przed domem Williama na Victorię, gdy pojawiła się policjantka, Mendina, w towarzystwie krępego mężczyzny, także w mundurze. Szli od drzwi do drzwi, wypytyując o Abby. Dzielnica budziła się powoli, kilka par, biegacze na porannej gimnastyce i coraz liczniejsi turyści z ciekawością zerkali na przedstawicieli władzy oraz dwa policyjne samochody.

W pewnej chwili w przecznicy skręciło białe bmw, a gdy zbliżyło się do domu Williama, Jill dostrzegła na siedzeniu pasażera Victorię. Za kierownicą siedział jej przyjaciel, Brian. Samochód zatrzymał się, blokując jeden kierunek ruchu, Victoria wysiadła, a Jill ruszyła w jej stronę szybkim krokiem. Dziewczyna musiała się błyskawicznie zebrać w domu, mimo to wyglądała prześlicznie: miała na sobie biały sweter i obcisłe dżinsy, na nogach baleriny. Jasne włosy ściągnęła z tyłu sztykretową klamrą, dyskretnym makijażem podkreśliła urodę lśniących oczu.

– Co się dzieje, do jasnej cholery? – zapytała wściekle. – Co to za cyrk?

– Przepraszam, że oderwałam cię od nauki. – Jill udało się odezwać spokojnym tonem.

Ciągle miała nadzieję na porozumienie. – Daj klucze policjantom, będą mogli wejść...

– Mowij nie ma! – Victoria powiesiła torbę na ramieniu i pomaszerowała do mundurowych.

Jill podążyła za nią.

– Victorio, naprawdę bardzo mi przykro...

– Powiedziałam ci już: jeżeli Abby sobie tego życzy, możesz włączyć w jej życie z butami. Ale ode mnie trzymaj się z daleka. A teraz się do mnie nie odzywaj.

W tej sytuacji Jill na wszelki wypadek rzeczywiście zamilkła. Funkcjonariuszka Mendina akurat zeszła ze stopni kolejnego domu i wsunęła do tylnej kieszeni spodni podłużny biały notatnik. Poprawiła czapkę z daszkiem, idąc do nich żwawym krokiem.

– Doktor Farrow! – zawołała z daleka. – W tym tygodniu – odezwała się, podchodząc bliżej – nikt tej dziewczyny nie widział. Nie działo się też nic podejrzanego. Poza dniem, gdy zmarł jej ojciec, stale panował spokój. Ma pani klucze?

– Już są. – Jill wskazała Victorię. – To jest...

– Zechcesz mi wybaczyć – syknęła Victoria. – Potrafię się przedstawić sama. Dzień dobry – zwróciła się do policjantki. – Nazywam się Victoria Skyler, jestem siostrą Abby. Studiuję prawo i protestuję. Nie wolno wam włamywać się do domu mojego ojca.

– Jedną chwileczkę. – Mendina uniosła dłoń. – Proszę przyjąć kondolencje. Obawiam się, że źle pani interpretuje nasze plany oparte na procedurach. Nie zamierzamy się nigdzie włamywać. Nie robimy tego, jeśli nie ma sytuacji alarmowej spowodowanej przestępstwem lub koniecznością ingerencji medycznej.

– Tak myślałam. – Victoria odwróciła się do Jill. – Powiedziałaś mi, że się włamię.

Jill zaschło w ustach.

– Przepraszam, musiałam cię jakoś przekonać do przywiezienia kluczy.

– Innymi słowy, okłamałaś mnie. Niedobrze mi się robi na twój widok. Nie dalej jak wczoraj zapewniałaś mi, że nie kłamiesz. Czy może mi się zdawało? I coś ci się wymyknęło jakby „kochanie”? Cudownie.

Jill piekły policzki, nie wiedziała, gdzie podziać oczy. Źle się stało, teraz trudno

przewidzieć, czy Victoria kiedykolwiek jeszcze jej zaufa.

- Zachowałam się skandalicznie. Ale zrobiłam to, bo martwię się o Abby.
- Nic jej nie jest. Znam ją znacznie lepiej niż ty, swoje wiem! Odwal się wreszcie!
- Drogie panie! – przerwała im Mendina stanowczym tonem. – Jeżeli chcecie, byśmy

sprawdzili dom, sprawdzimy. Jeśli nie, to nie. Musicie się zdecydować. Słucham: wchodzimy?

- Nie – powiedziała Victoria.
- Tak! – oznajmiła równocześnie Jill.

Mendina przeniosła wzrok z jednej na drugą.

– Przyjechaliśmy tutaj, wypytaliśmy sąsiadów, więc może już doprowadzimy sprawę do końca. Da mi pani klucze, panno Skyler?

Victoria przez chwilę milczała niezdecydowana.

- Niech będzie – powiedziała w końcu.

Otworzyła wypchaną po brzegi słusznych rozmiarów torebkę i spośród tysiąca drobiazgów, takich jak cienie do oczu, szczotka do włosów czy epipen, pomarańczowy wstrzykiwacz antyalergiczny, wydobyla klucze od domu.

Widok strzykawki przypomniał Jill pewien wiosenny dzień, gdy dziewczynki były jeszcze małe. Wybrali się wtedy na piknik do Valley Forge, a Victorię w którymś momencie użądliła pszczoła. Zanim Jill na dobre uświadomiła sobie, co się stało, mała zdążyła wyjąć lek z kieszeni i zrobić sobie zastrzyk, a wszystko to ze spokojem i chirurgiczną precyzją.

- Świetnie! – pochwaliła ją wtedy Jill. – Może będziesz pracowała na pogotowiu?
- Będę panią doktor, tak jak ty – odpowiedziała dziewczynka z powagą.

Victoria podała klucze policjantce.

– Panie zaczekają na zewnątrz – zarządziła Mendina. Wyjęła z kieszeni fotografię otrzymaną w komisariacie i oddała Jill. – Za pamięci.

- Dziękuję.

Policjantka ruszyła do domu Williama, przed którym czekał jej kolega.

– Skąd masz to zdjęcie? – zdumiała się Victoria. – Przecież było robione już bez ciebie.

– Proszę, weź. Uznałam, że może się przydać, nie zamierzam go wykorzystywać w żadnym niewłaściwym celu. A skąd mam? Z laptopa twojego taty.

Nie miała ochoty na kłótnie, sprzeczki, przepychanki słowne, zwłaszcza teraz, gdy dwoje przedstawicieli władzy wchodziło na stopnie prowadzące do domu Williama. Sama nie wiedząc kiedy, zrobiła kilka kroków w tamtą stronę, spięta i zdenerwowana, przestraszona domysłami, co mogą tam znaleźć.

- A jego laptop skąd masz? – Victoria deptała jej po piętach.
- Abby mi pożyczyła. Prosiła, żebym jej pomogła ustalić budżet domowy.

Policjanci już otwierali drzwi frontowe.

– Nie miała prawa ci go dawać, a ty nie miałas prawa go wziąć. To własność mojego ojca.

– Nie robię nic złego, nie mam złych intencji, zwyczajnie jej pomagam. – Jill zatrzymała się przed domem. Serce miała w gardle. Dwoje policjantów weszło do budynku, a ona najchętniej pognałaby za nimi.

– Bardzo uprzejmie proszę, żebyś przestała pomagać mojej siostrze, której nie widziałas od paru lat. Nie jesteś już naszą matką.

Jill zakłuło w sercu, ale powstrzymała się od komentarza. Zerknęła na dom. Drzwi pozostały uchylone, policjanci zniknęli gdzieś w środku.

- Victorio, doskonale wiesz, że to Abby zwróciła się do mnie, nie odwrotnie.

– Oczywiście, jakżeby inaczej! Kochana Abby jest mistrzynią dramatu, tylko w ten sposób potrafi ściągnąć na siebie uwagę. Nie umie nic zrobić, jak należy. Nie potrafi wziąć odpowiedzialności za własne życie i jest kompletnie nieogarnięta, a to głównie przez ciebie.

Jill nie dała się sprowokować. Zresztą zajmowały ją domysły, co się dzieje w domu Williama. Przed budynkiem zaczęli się gromadzić gapie.

– Może wobec tego wreszcie zdołam naprawić zło, które jej wyrządziłam.

– Ociupinkę za późno się obudziłaś. – Victoria pokręciła głową z politowaniem.

– Teraz ona tobą manipuluje, a ty w niczym się nie orientujesz. Nie widzisz, że tańczysz, jak ona ci zagra.

– To nie do końca prawda. – Jill stanęła na palcach, by zajrzeć przez okno, ale i tym razem jej się to nie udało. – Twoja siostra naprawdę może tam być i potrzebować pomocy.

– Wolne żarty. Zniknęła raptem na jedną noc. Albo odsypia, albo jeszcze nie wróciła. Jeszcze nie załapałaś, co z niej wyrosło? Rozrywkowa lalunia! Faceci takie uwielbiają.

– Victoria podeszła krok bliżej. – Całe to gadanie o tatusiu, o morderstwie, o tajemnicy i strachu... wszystko tylko po to, żeby zyskać twoją uwagę, wzbudzić w tobie litość. Taty nikt nie zamordował. Mnie wcale nie zaskakuje, że umarł, tak jak umarł. Harował bez chwili przerwy i brał leki, więc czemu się dziwić? Ja też łykam pastylki, nie ma w tym nic szczególnego.

– Nikt nie mówi, że jest. – Jill doskonale zdawała sobie sprawę, że Victoria czuje się krytykowana, a po pierwsze, nikt tego nie lubi, i po drugie, akurat ona była co najmniej równie wrażliwa na słowa krytyki jak Abby, jeśli nie bardziej. Różniły się jedynie tym, że starsza z sióstr była skryta i nie okazywała nic po sobie, jeśli działo jej się krzywda. Jill spojrzała jej prosto w oczy. – Tylko nie rozumiem, dlaczego tak się złościś.

Victoria poczerwieniała na twarzy.

– Jestem wściekła, ponieważ razem z Abby zmieniacie śmierć mojego ojca w tragifarsę. A w rzeczywistości chodzi wyłącznie o moją ukochaną młodszą siostrzyczkę. Żałuj, że nie widziałas, co się działo na ceremonii żałobnej. Po tym, jak odstawiła efektowną scenę z bieganiem za tobą, wszyscy mężczyźni w kościele zbiegli się, chętni ją pocieszać.

Jill zignorowała wyraźną zazdrość w głosie Victorii. Myślami wróciła do niedawnej smutnej uroczystości.

– Neil także? A może potem z nim rozmawiałaś?

– Nie znam Neila, a po uroczystości był taki sam chaos jak w trakcie. Poza tym niewiele widziałam przez te wasze cyrki. Ani jego, ani połowy moich znajomych i przyjaciół.

– Victoria złapała się za głowę wymanikiurowanymi dłońmi. – Całkiem niepotrzebnie robisz zamieszanie. To tylko pogarsza sprawę. A i tak nie jest nam lekko. Szkodzisz mnie, sobie, szkodzisz Abby. Nie jesteśmy już twoimi córkami, nie masz obowiązku się nami opiekować, nie masz prawa nas nachodzić. Wracaj do swojej rodziny. Zostaw nas w spokoju. I to już! Po prostu idź stąd. Odejdź.

Jill poczuła się, jakby ją ktoś spoliczkował.

– Rozumiem, co mówisz, rozumiem powody twojego zachowania i serdecznie ci współczuję, ale nie, tym razem nie zrezygnuję, nie poddam się, nie odejdę. Muszę się upewnić, że Abby jest cała i zdrowa. Że wszystko z nią w porządku.

– Nie jest w porządku i nie będzie. Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim się na nas wypięłaś. – Głos dziewczyny się zmienił, obok wściekłości zabrzmiał w nim ból.

Dopiero w tej chwili do Jill dotarło, że Victoria też czuje się zdradzona, tak samo jak ona przez Williama.

– Nigdy się na was nie wypięłam. Zapamiętaj to raz na zawsze. Nigdy. Robiłam, co mogłam, bardzo chciałam się z wami widywać, bywać z wami jak najczęściej, ale wasz ojciec

zabronił mi...

– Dostyc! Przestań wreszcie! Możesz przynajmniej tatę zostawić w spokoju? Litości, kobieto, przecież on nie żyje!

Jill stała jak słup soli. Miała wrażenie, że głowa jej pęknie na dwoje. Od tej kłótni z Victorią, od strachu o Abby... Popatrzyła na dom.

Dlaczego to sprawdzanie tak długo trwa?

Tłum gapiów gęstniał.

Podjęła decyzję. Ruszyła po schodach prowadzących do domu Williama. Nie mogła czekać dłużej ani minuty. Musi tam wejść, koniec, kropka.

– Dokąd to?! – krzyknęła za nią Victoria. – Nie wchodź! Kazali czekać tutaj!

Jill była na ostatnim stopniu, gdy pojawił się przyjaciel Victorii, który akurat zdążył zaparkować samochód.

– Brian! – zawołała do niego dziewczyna. – Ta kobieta jest nienormalna! Chyba mnie szlag przez nią trafi!

Jill wpadła do środka.



## Rozdział 23

Powiodła wzrokiem po salonie i na szczęście od razu zyskała pewność, że Abby nie spadła ze schodów. Wnętrze wyglądało całkiem zwyczajnie, tak samo jak poprzedniego wieczoru. Słyszała policjantów obchodzących piętro, śmiali się i żartowali, ich głosy niesły się echem w przestronnym domu.

Wreszcie odetchnęła z ulgą. Gdyby wykryli jakiegokolwiek zagrożenie, nie byłoby żartów i śmiechu. Natomiast, niestety, nie słyszała Abby. Samochód dziewczyny stał pod domem, a ona zniknęła.

Co się działo poprzedniego wieczoru? Jill podrzuciła jej zakupy i od razu się pożegnały. Co dalej?

Prześlizgnęła się do kuchni, dużego pomieszczenia otoczonego szarymi połyskliwymi szafkami przykrytymi blatem z czarnego marmuru. Przez okno wychodzące na parking wpadały promienie słońca. Było tak czysto, jakby nikt z tej kuchni nie korzystał.

Czy Abby w końcu zamówiła chińszczyznę na kolację? Jill otworzyła kosz na śmieci z klapą podnoszoną przez nadeptanie pedała. Uwolniła ze środka zapach perfumowanego worka na śmieci. Poza workiem nic tam nie było. Żadnych resztek jedzenia ani opakowań.

Obróciła się i otworzyła lodówkę. Nic z niej nie ubyło. Zostało wszystko, co przywiozła: losoś, wędlina w plasterkach, nawet jogurt z borówkami. Nikt nic nie rozpakował, nikt niczego nie ruszył, nikt nic nie zjadł. Co sugerowało, że Abby wyszła z domu przed kolacją.

Jill zamknęła lodówkę i zajrzała do zmywarki. Nic. Nawet jednego brudnego kubka.

Na podłodze zobaczyła dwie miski, jedną z trójkątnymi kawałkami kocij karmy, w drugiej bielilo się mleko.

No dobrze, a gdzie jest kot?

„Zawsze się chowa przed obcymi”.

Podeszła do miski. Powierzchnia mleka zdążyła zgęstnieć, a na krawędzi pozostał żółknący pierścień tłuszczu. Druga miseczka, ta z jedzeniem, także była pełna.

W salonie rozległy się kroki – to Victoria z Brianem weszli do domu. Policjanci wracali z piętra.

Wyszła z kuchni.

– Coś ty tam robiła? – zapytała Victoria z marszem na czole.

Stojący obok Brian wyraźnie wspierał ją swoją obecnością. Miał na sobie wykrochmaloną śnieżnobiałą koszulę oraz wyprasowane dżinsy, a na nogach mokasyny od Gucciego, jednym słowem – prawnik z Manhattanu podczas weekendu.

Mendina obrzuciła całą trójkę spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

– Miały panie tu nie wchodzić. Prosiłam, żeby panie czekały na zewnątrz, dla własnego bezpieczeństwa.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę – powiedziała Jill. – Przepraszam. Co państwo znaleźli?

– Pani Skyler nie ma w domu, nie zauważyliśmy też nic, co by kazało się o nią martwić.

– Czy nocowała w domu? Jej sypialnia to ta z niebieskim łóżkiem.

– Łóżko jest pościelone, nikt w nim nie spał.

– Może jakaś wyjęta walizka, cokolwiek, co by sugerowało...

- Nic. Wszystko wygląda całkiem zwyczajnie.
- Czy widzieli państwo na górze kota?
- Nie. W tym domu jest kot?
- Tak, tylko chowa się przed obcymi.
- Wobec tego właśnie się schował. – Funkcjonariuszka wyjęła podłużny notes

i długopis. – Zgodnie z punktem 48a regulaminu jesteśmy zobowiązani pozostawić w widocznym miejscu zawiadomienie. Jest to informacja, że byliśmy tutaj, więc pani Abby Skyler po powrocie do domu zorientuje się w sytuacji. To wszystko, co możemy zrobić.

– Nie rozumiem tylko... To bardzo dziwne... Wygląda na to, że w końcu jednak wczoraj nic nie zjadła, chociaż mówiła, że jest głodna. Powtórzyła mi to, gdy wychodziłam. Nie bez powodu zrobiłam jej zakupy.

Victoria przewróciła oczami.

– No nie... – mruknęła pod nosem.

Policjantka przekrzywiła głowę.

– Pani doktor – odezwała się ze współczuciem – moja córka niedawno skończyła dwadzieścia jeden lat. Nie gotuje. W dzisiejszych czasach mało kto gotuje. Powiem pani jak matka matce: niech się pani nie martwi. Młodzi tak mają. Jak wróci, to będzie, i już.

Jill bardzo chciała jej wierzyć.

– Zgodziłabym się z tym, gdyby nie zastanawiające okoliczności związane ze śmiercią jej ojca.

Policjantka lekko wzruszyła ramionami.

– Jeżeli ma pani pytania na ten temat, przekażę je do centrali. Skoro zostali wezwani detektywi, zrobili swoje. My z Okręgu Szóstego jesteśmy pod ich jurysdykcją, to oni zdecydowali, że w zgonie pana Skylera nie ma nic podejrzanego.

– Czy orientuje się pani, którzy konkretnie detektywi zajmowali się tą sprawą?

– Nie. – Policjantka zapisała coś w notesie. – Na pewno wziął ją ten, kto odebrał zgłoszenie od córki. Tak to się zwykle odbywa.

Jill przeniosła spojrzenie na Victorię, oczekując potwierdzenia, ale dziewczyna miała w oczach żądzę mordu i najwyraźniej nie zamierzała rozmawiać z byłą macochą.

– Może pani zapytać w centrali – podpowiedziała Mendina. Wydarła kartkę z notesu, położyła ją na stoliku do kawy i oddała klucze Victorii. – Dziękujemy za współpracę. Nie zauważyliśmy tutaj nic podejrzanego. Chciałabym też powiedzieć, że ma pani dużo szczęścia, mając wśród znajomych osobę taką jak doktor Farrow, która nie jest obojętna i troszczy się o was obie.

– Dziękuję. – Victoria wrzuciła klucze do swojej wyładowanej torby.

Jill pochwyciła spojrzenie policjantki.

– Bardzo pani dziękuję za pomoc – powiedziała.

– Nie ma za co.

Policjanci opuścili dom. Wtedy Victoria odwróciła się do Jill.

– Wyjdź! – rozkazała jej z wściekłością. – Wynoś się. I trzymaj się z daleka ode mnie i od Abby.

Jill z niełatwym trudem wzięła się w garść.

– Przykro mi, że naraziłam cię na kłopoty. Mimo wszystko jednak pamiętaj, że zrobiłam to z troski o Abby. Drugi raz zrobiłabym to samo, dla ciebie także.

– To nie będzie potrzebne. – Victoria nienawistnie zmrużyła oczy. – Co teraz?

Pójdiesz do centrali detektywistycznej? Będziesz prowadziła śledztwo w sprawie domniemanego zabójstwa mojego ojca? Kupujesz tę nedorzeczną bajeczkę Abby?

– Rzeczywiście, rozejrzę się i sprawdzę, czego się dowiem. Nie zamierzam prowadzić dochodzenia w sprawie zabójstwa, tylko szukam twojej siostry. Bądź tak miła i zadzwoń do mnie, jeśli się do ciebie odezwie. Do widzenia.

Jill ruszyła do drzwi, ale Brian złapał ją za ramię.

– Chwileczkę. Nazywam się Brian Pendle. Trudno mi uwierzyć, że się w ogóle spotkaliśmy.

Uwolniła ramię z jego uścisku, nie bez trudu.

– Nazywam się Jill...

– Doskonale wiem, z kim mam do czynienia. Pozwoli pani sobie wyjaśnić, doktor Farrow, pewne istotne fakty. Victoria przeszła przez piekło od czasu śmierci ojca. Musi radzić sobie z żałobą i z wybrykami siostry, a jednocześnie z wymaganiami uczelni prawniczej. Trudno mi określić pobudki pani działania, zamierzenia albo plany, jednak stanowczo odradzam ingerowanie w cudze życie.

Jill poczuła się dotknięta.

– Moje pobudki działania, zamierzenia i plany są związane wyłącznie z chęcią niesienia pomocy Abby.

– Niezależnie od pani poglądu na sprawy dotyczące tej rodziny, pani one nie dotyczą. Jestem prawnikiem. Informuję panią, że jeśli nadal będzie pani niepokoiła Victorię telefonami o niestosownej porze lub zawłaszczając jakiekolwiek fragmenty majątku jej ojca, wniosę przeciwko pani skargę i żądanie ustanowienia zakazu zbliżania się do obu sióstr.

Jill chętnie by odpowiedziała nadętemu bufonowi we właściwym tonie, lecz ugryzła się w język.

– Żegnam – rzuciła tylko, idąc do drzwi.

Nie bała się zakazów. Bała się tylko o Abby.

Jeszcze żaden prawnik nie powstrzymał matki.

## Rozdział 24

– Nazywam się Jill Farrow. Potrzebuję pomocy – powiedziała, stając przy biurku dla interesantów, za którym siedział uprzejmy policjant. Nigdy dotąd nie była w siedzibie prawdziwego biura dochodzeniowego, w rzeczywistości wewnątrz to wyglądało znacznie mniej efektownie niż na filmach z kablówki. Dwóch detektywów pracowało przy starych komputerach ustawionych na też niemłodych szarych biurkach, zawałonych teczkami i luźnymi kartkami papieru. Słońce z trudem przedzierało się przez brudne szyby w oknach, ledwo oświetlając regał złożony z niedopasowanych szafek na dokumenty oraz korkową tablicę najeżoną przypinanymi w nieładzie podobiznami osób poszukiwanych, okólnikami, zgniecionymi karykaturami i starymi kuponami zakładów sportowych.

– Witam, jestem detektyw Pitkowski. – Policjant wyciągnął do Jill dłoń wielkości bochna chleba. – Co mogę dla pani zrobić?

Był po pięćdziesiątce, zupełnie łysy, miał wyjątkowo guzowatą czaszkę, a na czubku wydatnego nosa okulary w metalowej oprawce. Na jego biurku leżała niedokończona kanapka ze smażonym jajkiem i kielbasą na gorąco, unosił się z niej zapach gotowanej wędliny.

– Chodzi mi o moją byłą pasierbicę, Abby Skyler. Ma dziewiętnaście lat. Zeszłej nocy nie wróciła do domu. Martwię się o nią, bo jej zniknięcie może być związane ze śmiercią jej ojca, Williama Skylera, który w zeszły wtorek zmarł w domu przy Acorn Street.

– Skyler? A, tak, znam tę sprawę. – Detektyw Pitkowski pokiwał głową i pchnął okulary w górę. – Ustaliliśmy, że to nie było zabójstwo.

– Abby ma na ten temat inne zdanie. Czy pan zajmował się tą sprawą?

– Nie. Proszę mi powiedzieć... pani jest...?

– Byłą żoną zmarłego.

– Pani chyba żartuje! – Detektyw Pitkowski zaśmiał się rubasznie, aż mu się tłusty brzuch zatrząsł jak galareta, naciągając dziurki od guzików koszuli. – Gdybym ja kopnął w kalendarz, moja była żona wyprawiłaby huczny bal.

Koszula z krótkimi rękawami zwieńczona była pasiastym krawatem spiętym starą szkolną spinką.

Jill uśmiechnęła się z przymusem.

– Jestem jak najdalsza od żartów. Szukam Abby. Mogłabym porozmawiać z detektywem, który został wezwany do zbadania przyczyn śmierci jej ojca? Czy pan wie, kto to był?

– Detektyw Reed. Dzisiaj go nie ma. Zresztą i tak nie mógłby z panią rozmawiać o tej sprawie, bo nie jest pani najbliższą rodziną zmarłego.

– Ale byłam.

– Już pani nie jest. Przykro mi bardzo.

Zbił ją z tropu, lecz tylko na moment.

– Kłopot w tym, że Abby wczoraj wieczorem zniknęła bez śladu. Nikt nie wie, gdzie jej szukać, a miała wątpliwości co do przyczyny śmierci ojca. Dlatego martwię się, że mogło jej się przydarzyć coś złego.

– Na przykład? – spytał detektyw Pitkowski, przekrzywiając łysą głowę.

– W najgorszym razie... mogła stracić życie. – Zadrżała na samą myśl o takiej ewentualności. – Uważała, że kwestia silnych leków przeciwbólowych, które spowodowały

śmierć jej ojca, jest mocno podejrzana. Okazało się, że faktycznie zostały wykupione za pomocą sfałszowanych recept, a mężczyzna, który je zrealizował, był wyraźnie przebrany.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę. – Detektyw Pitkowski uniósł dłoń, zatrzymując potok słów.
- Pozwoli pani, że o coś zapytam. Skąd pani to wie?
- Pojechałam do apteki i sprawdziłam. To nie wszystko. Mam powody podejrzewać, że Abby była ostatnio śledzona przez kogoś jeżdżącego czarnym suvem. Być może ta sama osoba śledziła również mnie. Tablica rejestracyjna tego wozu zaczyna się na literę T.

Detektyw Pitkowski zmarszczył czoło w zastanowieniu.

- Skąd pani wie, że ten ktoś panią śledził?
- Widziałam go dwukrotnie. – Na twarzy detektywa dostrzegła wyraźną rezerwę.
- Proszę mi poradzić, co mam robić, skoro podejrzewam, że moja była pasierbica zaginęła?
- Po jednej nocy nie można jej uznać za osobę zaginioną.
- Rozumiem, że tak stanowią przepisy, jednak trzeba brać pod uwagę, co się stało z jej ojcem. Dziewczyna mieszkała z nim pod jednym dachem. Jeżeli William Skyler jednak padł ofiarą morderstwa, a ona widziała coś podejrzanego lub wie coś, czego wiedzieć nie powinna, albo morderca sądzi, że ona wie coś takiego, to bezbronna nastolatka może być w niebezpieczeństwie. Może właśnie dlatego zniknęła.

– Posuwa się pani w domysłach stanowczo za daleko. – Detektyw Pitkowski zmierzył Jill przeciągłym spojrzeniem. – Umówmy się tak: jak już dziewczyna wróci do domu, a głowę daję w zakład, że niedługo wróci, niech pani jej powie, żeby tu przyszła. Detektyw Reed usiądzie z nią spokojnie, porozmawiają, on wyjaśni wszelkie wątpliwości, odpowie na wszystkie pytania. W zasadzie możecie przyjść obie.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Detektyw Reed zabrał z domu Williama jego telefon komórkowy, portfel i leki, które go zabiły. Czy Abby odzyska te rzeczy?

- Dostanie z powrotem telefon i portfel.
- Czy detektyw Reed pokaże jej wasze ustalenia w sprawie śmierci ojca, skoro Abby ma wątpliwości, czy to przypadkiem jednak nie było morderstwo?

Detektyw Pitkowski pokręcił głową.

– Nie, nawet najbliższa rodzina nie ma wglądu w nasze akta. Zawierają one zdjęcia z miejsca zdarzenia i różne inne dokumenty... tego nie pokazujemy nikomu.

– A jeżeli wynajmie prawnika, czy wtedy będzie mogła zajrzeć do akt? Albo jeśli zatrudni prywatnego detektywa?

– Nie. W tej sprawie nie wniesiono żadnego oskarżenia, więc nasze akta nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Jill nie miała zamiaru dać za wygraną.

– Orientuje się pan może, czy detektyw Reed rozmawiał o tym zdarzeniu z partnerem w interesach mojego byłego męża? Ten partner nazywa się Neil Straub, mieszka w Nowym Jorku i z pewnością należałoby z nim porozmawiać. Mam jego adres.

– Chwileczkę. Momencik. Proponuję zrobić w ten sposób. – Detektyw Pitkowski wyjął długopis ze stojącego na biurku kubka. – Proszę mi podyktować, co pani wie, a ja przekażę te informacje detektywowi Reedowi. Recepty, czarny suv, współnik i całą resztę po kolei. Na pewno się z tym zapozna.

- Czy potem się ze mną skontaktuje?
- Wyłącznie w przypadku, gdy będzie miał jakieś pytania. W przeciwnym razie nie będzie z panią rozmawiał na temat tej sprawy. Ale może rozmawiać z córką zmarłego.

– Rozumiem, dziękuję.

Opowiedziała o wszystkim, czego się dowiedziała, a detektyw Pitkowski słuchał

z uwagą, robił notatki i zadawał celne pytania. Zajęło to mniej więcej dwadzieścia minut, po czym Jill szybko opuściła centralę dochodzeniową, w biegu zerkając na zegarek. Miała mało czasu, lecz powinna zdążyć akurat na start Megan.

Przy samochodzie wduśła przycisk pilota, usłyszawszy znajome ćwierknięcie, szarpnęła drzwiczki, wskoczyła na fotel kierowcy i pośpiesznie uruchomiła silnik. Nie mogła się pozbyć obaw o Abby. W myślach ciągle wracały do niej słowa, które skierowała do dziewczyny nie dalej jak poprzedniego wieczoru.

„Zawsze możesz na mnie liczyć”.

## Rozdział 25

Na basenie gęsto było od dzieci i rodziców, wyłożone płytkami ściany odbijały głośnie rozmowy i wesoły śmiech. Powietrze było gęste i ciepłe. Zawody rozpoczęły się już jakiś czas temu, ale Jill na szczęście zdążyła dobre pięć minut przed startem Megan. Co sił w nogach pognąła do ławek dla widzów, tam dostrzegła Sama w towarzystwie innych rodziców. Rozpoznała Lenna Wynna i Ritę Cohen, obok nich siedzieli McGrathowie, dalej Bill Roche i Jenny Zeleny.

– Sam! – zawołała z daleka.

Rozpromienił się na jej widok. Lenn i Rita także powitali ją z uśmiechem, przesunęli się, żeby zrobić jej miejsce. Usiadła na twardej drewnianej ławie i cmoknęła Sama w usta.

– Cześć, kochanie! Udało mi się. – Chociaż miała na sobie tylko cienką koszulkę, już ociekała potem, a włosy błyskawicznie zwijały jej się w loki. Nie ma to jak wilgoć w powietrzu.

– Fantastycznie. No i jakie efekty? Czy Abby ci otworzyła?

– Nie, ale przy tylnym wejściu stał jej samochód. Pojechałam na policję, a oni sprawdzili dom.

– Bardzo dobrze. – Sam pokiwał głową z zadowoleniem. Twarz miał lśniąca od potu.

– Powiedziałam policji wszystko, co wiem. I tylko ciągle się martwię, że nie ma żadnej wiadomości od Abby.

Sam pogładził ją po udzie.

– Dostarczyłem Megan worek ze strojem na czas.

Najwyraźniej miał dosyć rozmów o Abby.

– Martwiła się, że mnie nie ma?

– Nie wiem, nie dopytywała się o szczegóły. Powiedziałem jej, że pojechałaś sprawdzić, co z Abby, i nie odniosłem wrażenia, żeby jej to przeszkadzało.

– No to dobrze. – Jill przeniosła wzrok na basen.

Obiekt był nowy, miał wymiary olimpijskie. Brzeg dużego zbiornika zdobił wzór ułożony z płytek granatowych i białych – w kolorach Sequanic High, szkoły, do której należał. Na wodzie unosiły się liny rozdzielające pasy z pływakami w tych samych barwach co kafelki. Przez szklaną ścianę naprzeciwko widowni wlewało się do hali światło podkreślające każdą zmarszczkę na wodzie.

Sam wyciągnął szyję w stronę słupków, gdzie garstka dziewcząt w żółtych kostiumach kąpielowych i czepkach zbiła się w zwartą grupkę na podobieństwo stadka kurcząt.

– Która to Megan? Nigdy nie wiem. Wszystkie wyglądają tak samo.

– Tamta. – Jill wskazała swoją córkę, stojącą blisko słupków.

Dziewczyna machała rękami dla rozgrzewki. Żółty strój pływacki opinał jej szczupłe ciało, podkreślając kształt bioder i piersi, jeszcze nie całkiem uformowanych, plasujących ją gdzieś między dziewczynką a młodą kobietą.

– Skąd wiesz?

– To jak u pingwinów. Zawsze się poznaje własne młode.

Sam przytulił ją na moment, po czym oboje przyglądali się Megan, która wodziła wzrokiem po miejscach dla widowni, starając się wyłuskać z tłumu znajome twarze, choć robiła to bez ostentacji.

– Tutaj, kochanie! Tutaj! – zawołała Jill, machając ręką, ale Megan w dalszym ciągu na nią nie patrzyła. – Nie widzi nas.

– Widzi, widzi.

– Nie, nie widzi, wiem, co mówię. – Jill wstała, zamachała ramionami nad głową.

– Megan!!!

Zrobiła to zbyt późno, bo córka już odwróciła się do Courtney. Z daleka widać było tylko dwa nachylone ku sobie żółte czepki.

– Sia-da-my! – zawołał jakiś mężczyzna z dalszych rzędów.

Sam odwrócił się i zmiażdżył go rozeźlonym spojrzeniem.

– Daj spokój. – Jill usiadła.

Zza Sama wychyliła się Rita.

– On kibicuje klubowi Plymouth Meeting. Przyłożyć mu?

– Nie, odpuść – powiedziała Jill z uśmiechem. – Nie ma sprawy. Po prostu lubię, jak Megan wie, że jestem na trybunach. Zawsze patrzymy na siebie przez chwilę, zanim wejdzie na słupek. Taki nasz pradawny rytuał.

– Widziała cię. – Sam poklepał ją po nodze. – Wszystko w porządku. Możesz się uspokoić.

Megan podeszła do trenera. Jill wydało się, że wygląda na wystraszoną.

Trener, Jim „Stach” Staszewski, ledwo przekroczył trzydziestkę, był niewysoki, lecz dobrze zbudowany, miał na sobie żółtą koszulkę polo i krótkie spodenki w tym samym kolorze. Pochylił się nad Megan, podkładkę z notatkami wetknął pod pachę.

Dziewczynka słuchała go uważnie, od czasu do czasu kiwając potakująco głową. Nie odrywała od trenera spojrzenia ciemnych oczu, usta zacisnęła w cienką linię.

Sam wychylił się z ławki.

– Dasz radę, Megan!

Jill stuliła dłonie wokół ust.

– Megan! Czadu!

Dziewczynka weszła na słupek oznaczony trójką. Jakiś czas stała wyprostowana, wymachując ramionami. Potem zsunęła na twarz okularki, żółte jak i cały strój, ułożyła je na oczach, poprawiła pasek na czepku, następnie ten mniejszy, na nosie. Jill doskonale знаła wszystkie te drobne gesty, wiedziała też, że czas, by się spotkać spojrzeniem, już minął. Teraz jej córka myślała tylko o zawodach, skupiała się, by zignorować inne pływaczki wchodzące na słupki, tak jak ona potrząsające kończynami, poprawiające strój.

– Me-gan! Me-gan! – zaczęła Jill.

– Me-gan! Me-gan! – zawtórował jej Sam, a po nim Rita, Lenn i inni zaprzyjaźnieni rodzice zawodników, bo wszyscy solidarnie dopingowali swoje dzieci startujące w kolejnych seriach w barwach jednego klubu.

Wkrótce do tego żywiołowego chóru dołączyły głosy publiczności kibicującej innym klubom, w hali sportowej zapanował rwetes.

Zawodniczki przyjęły pozycję startową: kościste kolana lekko ugięte, głowa schowana między ramionami, palce stóp podkurczone na krawędzi słupka. Po chwili rozległ się elektroniczny brzęczyk, ledwie słyszalny we wrzawie dopingu, i dziewczęta wystrzeliły w powietrze naprężone jak struny. Na ułamek sekundy zmieniły się w noże tnące gęste powietrze.

Megan ruszyła o wiele za późno. Uderzyła w wodę ostatnia.

– Sam... – Jill uświadomiła sobie, że się niepokoi, dopiero gdy usłyszała swój głos. Nie odrywała wzroku od córki. – Widziałeś? Niedobrze!



– Dogoni je, zobaczysz.

– Nie w tym rzecz. – Jill swego czasu świetnie pływała, ale nie dbała o to, czy Megan będzie miała doskonały czas ani czy wygra. – Chyba coś złego się dzieje.

Megan zginała i prostowała ramiona niby zgodnie z wszelkimi kanonami sztuki pływackiej, ale robiła to wolniej niż zwykle i mniej zgrabnie, mniej efektywnie. Uderzała w powierzchnię wody płaską dłońią, a nogami pracowała o wiele za wolno, chociaż zwykle przywodziła na myśl motorówkę.

– Nie, nie, wszystko w porządku.

– Dawaj, Megan, dawaj! – krzyknęła Jill.

Inne zawodniczki wysuwały się coraz bardziej do przodu, niezmordowanie zwiększając dystans. Trener krzychał coś do Megan, przyłożywszy do ust rękę i podkładkę.

Megan zostawała coraz bardziej z tyłu: dwie długości, potem trzy, a gdy dziewczęta dopływały do drugiego końca basenu, gdy wyciągały ręce, dłonie, nawet palce, byle jak najwcześniej dotknąć połyskującej pod wodą ściany, ona wyraźnie zwolniła.

Jill ścisnęło się serce.

– Megan, śmigaj!

Sam wstał.

– Dawaj, Megan!

– Siadać! – wrzasnął za nimi ten sam mężczyzna.

Zignorowali go jednomyślnie.

Jill była już pewna, że coś jest nie tak. Megan jeszcze kilka razy machnęła rękami, coraz słabiej, po czym zatrzymała się na środku toru.

Trener przepchnął się na brzegu basenu między dopingującymi zawodnikami, natomiast Jill, zanim na dobre uświadomiła sobie, co robi, już zsuwała się po ławkach w stronę basenu.

– Ej, bez przesady! – obruszył się jeden z mijanych mężczyzn.

Zawody trwały, dziewczęta zawzięcie młóciły wodę ramionami, tłum szalał, zawodnicy na brzegu basenu podskakiwali i krzyczeli w podnieceniu.

W wodzie jedna zawodniczka w żółtym czepku osunęła się pod powierzchnię.

Blask z wielkiego okna lśnił na siateczce drobnych fal na wodzie, marszczył lustrzaną powierzchnię, przesłaniał toń.

– Ratunku! – krzyknęła Jill.

Dotarła do najniższego rzędu miejsc dla publiczności, pokonała barierkę oddzielającą widownię od basenu i na wpół biegnąc, na wpół ślizgając się po kafelkach, dotarła do wody.

Megan zniknęła.

Trener rzucił podkładkę i skoczył.

Jill – tuż za nim.

Woda stłumiła radosny harmider doping. Jill zobaczyła córkę. Dziewczynka miała zamknięte oczy, z jej ust ulatywał rządęk pęcherzyków powietrza, opadała na dno.

Pierwszy dotarł do niej trener. Chwycił ją w pasie i pchnął ku górze. Jill znalazła się obok, złapała córkę z drugiej strony i we troje wynurzyli się na powierzchnię.

Dziewczynka była nieprzytomna. Jej głowa unosiła się na wodzie bezwładnie.

Trener w oczach miał przerażenie.

Zawody zostały przerwane, radosne okrzyki ucichły, zastąpił je szmer niepokoju.

Wszyscy obecni, dzieci i rodzice, trenerzy i sędziowie, obserwowali niespodziewane zdarzenia wstrząśnięci do głębi.

Sam także był już na brzegu basenu.

Trener holował nieprzytomną dziewczynkę, Jill pomagała mu, podnosząc liny

ze styropianowymi pływakami. Szybko dotarli do brzegu. Inni trenerzy stojący przy basenie wyciągnęli zawodniczkę z wody i ułożyli na płytkach. Jeden z nich zaczął resuscytację, na szczęście ta metoda ratowania życia okazała się niepotrzebna. Megan zakaszłała i zaczerpnęła tchu.

Jill wy dostała się z wody, uklękła przy córce.

– Proszę się odsunąć! – nakazał któryś z mężczyzn, chwytając ją za ramiona.

Strząsnęła jego rękę.

– Jestem jej matką i lekarzem – powiedziała. – Megan, wypluwaj wodę. Śmiało, wszystko.

Ułożyła córkę w pozycji bocznej ustalonej.

Trener Stach stał obok i przyglądał się bacznie, podobnie inni trenerzy i zawodnicy. Jill asekurowała córkę wstrząsaną spazmami.

– Mamo? – odezwała się w końcu dziewczynka słabym głosem.

– Jestem, kochanie, jestem. – Jill pomogła jej usiąść. – Już w porządku. Wszystko będzie dobrze.

Megan oddychała ciężko, z widocznym trudem.

– Mamo...

– Dobrze, kochanie, pluj śmiało. – Podziękowała w duchu wszystkim znanym i nieznanym mocom. – I głęboko oddychaj.

Sam wreszcie zdołał przedostać się przez tłum. Był przerażony.

– Co z nią?

– Będzie dobrze – odpowiedziała Jill, z trudem powstrzymując łzy.

Jakiś czas później oboje stali przy wejściu do szkoły. Towarzyszył im trener Stach, a przy Megan siedziała Courtney. Przyjaciółka to najlepsze wsparcie moralne.

Czekali na karetkę.

Obie dziewczynki owinęły się w żółte klubowe ręczniki, Megan odzyskała kolory na twarzy, oddychała normalnie. Gdy zdjęła czepek, na plecy spłynął jej ciemnoblonde koński ogon o wilgotnych końcach, jak pędzel umoczony w czarnej farbie. Popijała wodę z plastikowej butelki.

Jill dotknęła ramienia córki.

– Lepiej się czujesz, kochanie?

– Tak, wszystko w porządku. – Megan obejrzała się przez ramię. – Mamooo, nie muszę jechać do szpitala.

Za wielką szybkością widać było basen, zawodników i publiczność.

– Pojedziemy. Trzeba cię przebadać.

– Może wy byście mnie odwieźli, co? Wstyd jechać karetką...

– Ale bezpieczniej. Dlatego na wszelki wypadek pojedziemy karetką.

– Mamooo, no weź... Koniecznie musimy? Przecież już dobrze się czuję, naprawdę.

– Mimo wszystko, kochanie. – Jill pogładziła córkę po ramieniu.

– Byle bez syreny, dobrze?

– Na razie żadnej syreny nie słyszę.

– Court – zwróciła się Megan do przyjaciółki. – Widzisz go?

Courtney pokiwała głową.

Jill uświadomiła sobie, że córce zależy na opinii chłopaka, w którym się podkochiwała.

Megan podniosła spojrzenie na trenera.

– Przepraszam, okropnie mi głupio. Strasznie nawaliłam. – Spojrzała na przyjaciółkę.  
– Klapa na całej linii.

Courtney, z okularkami opuszczonymi na szyję, energicznie pokręciła głową.

- Weź się uspokój.
- Nie przejmuj się – poparł ją trener. Puścił do Megan perskie oko. – Woda w basenie ciepła, obiekt piękny, nie zaszkodzi się zamoczyć, prawda, Jill? – On także miał na sobie klubowy ręcznik, tyle że okręcony wokół bioder. Mokre czarne włosy przykleiły mu się do głowy.
- Prawda. – Jill po raz kolejny wytarła szyję. – Szybki jesteś, trenerze.
- Bez przesady, robię, co mogę.

Megan znów przeniosła na niego spojrzenie.

- Teraz to już przegramy, prawda? Wszystko przeze mnie.
- Najważniejsze, żebyś była zdrowa. – Trener poklepał ją po ramieniu. – Jesteś naszą gwiazdą, szanowna panno Megan, i to się nie zmieni.
- A tak się solidnie rozgrzewałam – westchnęła dziewczynka. – Tylko że nagle serce zaczęło mi walić jak nie wiem co. Myślałam, że umrę. Jakby mi normalnie miało wyskoczyć przez żebra.
- Tak jak wtedy, kiedy wzięliśmy potrójne espresso w Starbucksie? – spytała Courtney.
- Coś ty, gorzej. O wiele gorzej.

Jill już wiedziała swoje, diagnoza nie była trudna.

- Kochanie, a kiedy zaczęło się to przyspieszone bicie serca?
- Przed wyścigiem. Ręce mi się okropnie pociły, to znaczy dłonie. – Megan odwróciła dłonie wnętrzem do góry. – Najpierw myślałam, że to woda, wytarłam o nogi, a za chwilę było to samo. Jak weszłam na słupek, zrobiło się gorzej. Myślałam, że jakoś przejdzie, ale nie przeszło.
- Masz zaburzenia wzroku?
- Nie.
- Słuchu?
- Nie.
- Bóle głowy?
- Nie.
- Jesteś oszołomiona?
- Nie. Jak się wynurzyłam po starcie, nie mogłam złapać oddechu i myślę, że serce biło mi jeszcze szybciej. Wtedy chyba zemdlalam. – Spuściła wzrok. – Piłam wodę. Przysięgam. Tak jak trzeba.
- Wierzę ci, kochanie.

Jill nie podejrzewała odwodnienia, wiedziała, że córka nie ma kłopotów z sercem ani poziomem cukru we krwi.

Zjawiała się karetka. Biało-pomarańczowy samochód zawinął na podjeździe, stanął, otworzyły się tylne drzwiczki i wyskoczył z nich paramedyk. Wprawnym ruchem wyciągnął nosze na kółkach.

Dzieciaki na basenie ścisnęły się przy oknie, a Megan jęknęła z cicha.

Jill pomogła jej się podnieść.

- Idziemy, słońce.

Courtney też wstała.

- Nigdy nie byłam w środku w karetce – powiedziała. – Ale masz super.
- Mamo, zabierzemy Courtney?
- Niestety, to niedozwolone. Jesteś skazana na moje towarzystwo.

Megan położyła się na noszach, paramedycy przypięli ją bezpiecznie.  
W momencie, gdy nosze wjechały do karetki, rozbrzmiała syrena.

## Rozdział 26

Jill siedziała na twardym krześle przed gabinetem, wilgotne ubranie nadal kleiło się jej do ciała. Trochę się osuszyła papierowymi ręcznikami, lecz do stanu zadowolającego było jej ciągle daleko. Teraz czekali z Samem na Megan, która została zabrana na badania. Jarzeniówki nad ich głowami rzucały jasne światło, na pastelowych niebieskich ścianach wzrok przyciągały różne inspirujące plakaty oraz zdjęcia najnowocześniejszego sprzętu medycznego. W powietrzu unosił się zapach antyseptyków, które nieszczególnie pomagały w powstrzymaniu infekcji bakteryjnych, ponieważ wielu lekarzy nie pamiętało o myciu rąk. Mało kto o tym wie, bo jest to jeden z mrocznych sekretów zawodu medyka.

– Co to było twoim zdaniem? – zapytała Sama. – Zespół lęku napadowego?

– Tak mi się wydaje. – Sam oparł głowę o ścianę, ręce założył na piersi. – Sporo przeszła ostatnio.

– To prawda. – Jill miała sobie za złe to i owo. – A ja, śpiesząc się na zawody, martwiłam się głównie o Abby... Oddzwoniłam do pacjentów... – Zamyśliła się. – Martwi mnie jeden przypadek... Rahul, maluch, który czeka na wyniki badania krwi. O wszystkich się troszczyłam, tylko nie o Megan. Kochanie, możesz powiedzieć „a nie mówiłem” w dowolnym momencie.

– Nie zamierzam.

– Dzięki. – Naprawdę była mu wdzięczna za powściągliwość. – Zespół lęku napadowego to objaw niepokoju. Rzeczywiście, sporo się działo w ten weekend. Straciła ojczyzna, została wyrzucona z ceremonii żałobnej, a wcześniej bladym świtem wpadła we własnej sypialni na dawno niewidzianą siostrę, która na dodatek zarzygała jej łóżko.

Cóż, lepiej żartować, niż płakać.

– Nie denerwuj się. – Sam wstał, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją we włosy, które nareszcie zaczynały podsychać. – W końcu, droga mamusiu, nie zapominaj, jak dzielnie wskoczyłaś do basenu.

„Ociupinkę za późno się obudziłaś”... – przypomniała sobie słowa Victorii.

– Kochanie? Ziemia do Jill!

Sam dostrzegł jej nieobecny wyraz twarzy i Jill uświadomiła sobie, że straciła kontakt z rzeczywistością.

– Wybacz.

– Wskoczyłaś do basenu, zanim się zorientowałem, że ona w ogóle idzie pod wodę. Niewiele brakowało, a byłabyś szybsza od trenera, chociaż on miał bliżej.

Jill doskonale zdawała sobie sprawę, że Sam stara się ją uspokoić, poprawić jej nastrój, niestety, bezskutecznie. Czowała się potwornie winna. Po pierwsze, ze względu na Abby, po drugie, z powodu Victorii, a teraz jeszcze za sprawą Megan. Usiłowała matkować wszystkim trzem i wszystkie trzy zawiodła. Jakim sposobem udawało jej się kiedyś wychowywać trzy córki? Jak to robią inne matki, które mają więcej niż jedno dziecko? To już nie była kwestia organizacji, to zakrawało na cud.

Sam lekko dotknął jej ramienia.

– Może powinniśmy zorganizować Megan spotkanie z Sandy? Jak myślisz? Niech się mała wygada, niech się zorientuje w swoich emocjach, zyska dystans do śmierci Williama?

– Może to i racja... – mruknęła Jill. – Jestem nie tylko złą matką – jęknęła – ale

jeszcze i fatalną byłą macochą.

– Dajże spokój. – Poglądził ją po plecach. – Nie zadręczaj się. Chcesz kawy? W holu widziałem automat.

– A wiesz, chętnie. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Zaraz wrócę. – Pocałował ją w policzek. – Trzymaj się dzielnie.

– Czekam. Wiesz co?! – zawołała, gdy odszedł kilka kroków. – Bardzo cię Kocham. Sam uniósł brwi w wyrazie niebotycznego zdumienia.

– A za co?

– Za wszystko. I przepraszam, że ostatnio byłam niestrawna.

– Przeprosiny, choć niepotrzebne, zostały przyjęte.

Błysnął uśmiechem i poszedł po kawę.

Jill odchyliła głowę do tyłu, oparła o ścianę.

Czyżby Victoria miała rację? Może faktycznie nie należało przesadzać? A jeżeli Abby po prostu poznała jakiegoś przystojniaka i została u niego na noc? A William wcale nie został zamordowany? Recepty zrealizował w przebraniu z powodu, który dostrzegł Sam? Może Abby akurat przechodziła etap wyparcia, a ona sama skorzystała z okazji, by ją do siebie przygarnąć, zyskać kolejne dziecko pod opiekę?

„Nie jesteśmy już twoimi córkami”, powiedziała Victoria.

Zaschło jej w gardle. Przyszedł jej na myśl diagram Venna, doskonała ilustracja wzajemnych relacji. W wyobraźni zobaczyła siebie, bezradnie tkwiącą na przecięciu linii wyznaczających zachodzące na siebie okręgi. Część składowa dwóch rodzin jednocześnie, łącząca przeszłość i teraźniejszość. Katie powiedziała, że macierzyństwo nie ma daty końca ważności, a Jill jej wtedy przytaknęła, wierząc głęboko, że nic na świecie nie ma równie wielkiego znaczenia – ani biologia, ani prawo, ani nawet czas i przestrzeń.

„Mamo, ona nas potrzebuje. Jesteśmy rodziną. Nie można kogoś z rodziny wyrzucić”

– te słowa Megan wróciły do niej w pamięci. Rzetelne i prawdziwe.

Postanowiła walczyć. Starać się bardziej, dać z siebie więcej. Troszczyć się o rodzinę. Oczywiście nie wolno zaniedbywać Megan dla Abby, zwłaszcza że Megan także się o Abby martwi.

Wyjęła z torebki blackberry. Jakie to szczęście, że nie miała telefonu w tylnej kieszeni spodni, gdy skoczyła do basenu. Sprawdziła połączenia i wiadomości, jednak nie było nic od Abby. Przypomniała sobie słowa dziewczyny: „Cieszę się, że nie zmieniłaś numeru telefonu. Nadal masz mnie w szybkim wybieraniu?”.

Przewinęła listę połączeń, znalazła ostatnią rozmowę z Abby i wstawiła jej numer do listy kontaktów szybkiego wybierania. Pod A.

Teraz już tylko Abby musiała zadzwonić.

## Rozdział 27

Jill zostawiła torebkę i worek ze strojem pływackim w holu, przywitała się z Pulpetem, który wyszedł im na spotkanie, machając zamasyżycie ogonem i wchłaniając wszystkie nowe, całkiem nieznane, dziwne zapachy.

– Cześć, kochany psiaku. – Megan podrapała go za uszami. – Coś ci powiem – zniżyła głos. – Przegraliśmy.

Jill przeniosła wzrok na córkę.

– Nie przejmuj się tym, kochanie.

– Właśnie – poparł ją Sam, zamykając drzwi. Przycichła kosiarka u sąsiada. – Psa nie obchodzi wygrana ani przegrana. To mądre zwierzę. Kocha cię, bo jesteś sobą.

– Ja ciebie też kocham, kudłaczu.

Megan cmoknęła psa w nos, a Sam zagwizdał na niego.

– Chcesz wyjść? – Ruszył w stronę drzwi prowadzących na podwórze, a Pulpet potruczał za nim, stukając pazurami o drewnianą podłogę.

– Powinniśmy coś zjeść – oceniła Jill. – Kto jest głodny?

Temat zawsze bezpieczny.

– Ja bym przekąsiła co nieco – przyznała Megan.

Wyglądała znowu całkiem normalnie, jej oczy odzyskały blask, włosy wyschły, zostały zaplecione w niestaranny warkocz. W szpitalu przebrała się w szarą bluzę z kapturem i dzinsy.

Lekarz pogotowia potwierdził, że przeszła zespół lęku napadowego. Nie zadawała żadnych pytań, a jeśli coś ją niepokoiło, nie dała tego po sobie poznać.

Natomiast Jill zastanawiała się, czy to nie stanowi części problemu.

– Megan, idę na górę, przebiorę się i zaraz wrócę.

– Dobra. Ja się czegoś napiję.

– To ja ci przygotuję.

Jill zawróciła do kuchni, ale Megan tylko machnęła ręką.

– Mamo, dam sobie radę. Nie musisz mnie niańczyć.

– Dobrze. – Jill musiała się wziąć w garść. – Zaraz wrócę.

– Okej. Kochana jesteś.

– Ty też.

Posłała córcę całusa i poszła na piętro do sypialni. Tam ściągnęła z siebie wilgotną koszulkę i dzinsy. Już miała wrzucić rzeczy do kosza na brudną bieliznę, gdy uświadomiła sobie, że spodnie są dziwnie ciężkie. Nic dziwnego. W kieszeni został telefon. Wyjęła go, sprawdziła wiadomości, niestety, żadnej nie było. Włożyła inną parę dzinsów, cienką białą koszulkę i granatowy bawełniany sweter, po czym znalazła prostą klamrę i okiełznała włosy. Telefon wsunęła do tylnej kieszeni spodni.

Zeszła na dół do kuchni.

Megan pisała coś w skoroszycie. Na długopisie tkwił różowy troll, podrygujący przy każdym ruchu dłoni. Po prawej na blacie wyspy leżała komórka.

– Teraz odrabiasz lekcje? Może byś zrobiła sobie przerwę, odpoczęła trochę i zabrała się do pracy po jedzeniu?

– Nie mogę, muszę skończyć te głupie ćwiczenia.

Megan jednocześnie pisała w skoroszytcie i sprawdzała telefon.

- Kochanie, umawialiśmy się, że nie korzystamy z telefonu przy stole, pamiętasz?
- Ale na razie jeszcze niejemy. A poza tym wszyscy do mnie piszą. Każdy chce wiedzieć, jak się czuję. – Megan podniosła na matkę błagalne spojrzenie.

Długopis z różowym trollem zawisł wyczekująco w powietrzu.

Przez większą część drogi powrotnej odpowiadała na SMS-y. Jill podejrzewała, że jednym z piszących był wiadomy tajemniczy wielbiciel.

- Dobrze, ale wyjątkowo, tylko dzisiaj.
- Dzięki. Mamo, a moglibyśmy zjeść na kolację grzanki z serem?
- Chcesz grzanki? – zdziwiła się Jill. – Jest łosoś, mam brązowy ryż...
- E, nie... Grzanki będą szybciej. Jestem głodna, a muszę jeszcze skończyć pracę domową.

- Masz mało czasu? Myślę, że bez problemu dostaniesz drugi termin, wystarczy pokazać zaświadczenie z pogotowia. – Jeszcze nie skończyła mówić, a już sobie uświadomiła, że źle zrobiła.

Megan skrzywiła się szkaradnie.

- Nie, nie trzeba. I naprawdę mam ochotę na grzanki z serem. Zrobisz?

Do kuchni wszedł Pulpet, a tuż za nim Sam.

- Grzanki z serem? Brzmi fantastycznie! – ocenił, podchodząc do wyspy.

Jill przeszła do lodówki.

- Wobec tego grzanki z serem.

Kochała Sama całym sercem. Ten wielkoduszny człowiek był gotów zgodzić się na wszystko, byle uszczęśliwić Megan.

- Mamo, a wsadzisz pod ser pomidora, tak jak ostatnim razem?
- Jasne.

Wyjęła z lodówki cheddar, chleb i dwa pomidory.

- Bosko! – ucieszyła się Megan.

Wpisała coś w rubryce ćwiczeń. Sam zajrzał jej przez ramię, zsuwając na nos okulary.

- Co przerabiasz, króliczku?
- Anatomię. Straszne nudy.

Przyjrzał się notatkom.

- Przepytaj mnie z jajowodów. Jestem w tej dziedzinie ekspertem. Mam wszystkie pięć.
- No weź przestań! – Megan wywaliła język na całą długość.

Wkrótce kuchnię wypełnił smakowity aromat grzanek z serem, słychać było beztrudnie rozmowy i śmiech oraz rozczulające pochrapywanie psa z nadwagą. Od czasu do czasu odzywał się sygnał oznajmiający nadejście kolejnego SMS-a.

Jednym słowem: rodzinna sielanka.

Sielanka większej części rodziny.



## Rozdział 28

Jill nieśpiesznie układała Megan do spania. Jak zazwyczaj o tej porze podsumowywały dzień, rozmawiając o tym, co przyniósł. Wiedziała, że córce coś nie daje spokoju, bo im bliżej wieczora, tym stawała się bardziej wygaszona i cichsza.

– Jak się czujesz, kochanie?

– Chyba dobrze. – Megan podciągnęła kołdrę pod brodę. – Uwielbiam, jak Pulpet zwija się w kłębek – powiedziała, patrząc na psa, który jak zwykle wydeptał kilka kółek, zanim ułożył się na pościeli.

– Słodziak z niego.

– Dobry piesek. – Megan poklepała Pulpeta po grzbiecie, w miejscu gdzie sierść zwijała się w złote loki.

Jill odgarnęła córce włosy z twarzy. Oczy dziewczynki rozbłyły ciepłym blaskiem w świetle nocnej lampki. Na brodzie Megan białe kropki leku przeciw trądzikowi tworzyły fantastyczną konstelację.

– Tamtą pościel wyrzuciłeś?

– Nie. Sam zaniósł ją do pralni samoobsługowej. I pościel, i kołdrę. Miło z jego strony, prawda?

– No, fakt. – Megan uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Pewnie. Świetny z niego facet.

– Nie musisz mi ciągle powtarzać, jaki on jest rewelacyjny. Wiem, że jest super. Ja też go kocham.

Jill ścisnęło w gardle. Naprawdę ciągle to powtarza?

– Obie go kochamy, każda na swój sposób – odparła po prostu. – No dobrze, to teraz mi powiedz, o czym tak rozmyślasz. Widzę wyraźnie, że cały czas kombinujesz.

Megan ściągnęła brwi. Na jej gładkim czole pojawiła się jedna, niezbyt głęboka zmarszczka.

– Zastanawiam się, co się dzieje, jak człowiek umiera. Co o tym myślisz?

Jill domyślała się, że Megan mówi o śmierci Williama, a może też Graya.

– Moim zdaniem duch opuszcza ciało i obcuje z Bogiem. Myślę, że wszystkie nagromadzone w człowieku emocje, myśli i uczucia nie mogą tak po prostu zniknąć.

– Uważasz, że ktoś zabił Williama? Bo Courtney mówi, że powinno być więcej dowodów, wiesz, jak w serialu *CSI*.

Jill miała nadzieję raczej uspokoić Megan przed snem.

– Nie znam się na tym, kochanie, ale opowiedziałam policji wszystko, co wiem, i teraz oni zajmują się sprawą.

– Tak? A kiedy z nimi rozmawiałaś?

– Dzisiaj. Dlatego spóźniłam się na zawody. Bardzo cię za to przepraszam.

– Nie ma sprawy, tylko nie wiedziałam, bo Sam powiedział, że pojechałeś do Abby.

Ciągle się o nią martwisz?

– Nie, kochanie.

– Ale jeszcze nie zadzwoniła? Widziałam, jak po kolacji sprawdzałaś telefon.

– Mam nadzieję, że niedługo się odezwie.

– Zaczepiłam ją na Facebooku, ale jeszcze nie odpowiedziała. Do Victorii też

napisałam i ona też się nie odezwała.

Jill z niemałym trudem skryła złość na Victorię.

– Kiedy pisałaś?

– Jak odrabiałam lekcje.

Tym razem Jill odpuściła córce. Normalnie nie lubiła robienia piętnastu rzeczy naraz, chociaż zdawała sobie sprawę, że nie sposób tego powstrzymać. Jej matka mawiała kiedyś: „Skup się na jednej rzeczy, rób wszystko po kolei”, ale te czasy dawno minęły.

– Abby ma w znajomych na Facebooku mnóstwo chłopaków, więc myślałam, że może jest u któregoś z nich.

– Na pewno masz rację. Nie martw się o Abby. Martwienie się zostaw mnie. – Otuliła córkę koldrą. – Musisz się dzisiaj dobrze wyspać.

Pulpet ułożył łeb między łapami i zamknął ślepią.

– Czy ja jestem całkiem do niczego, skoro miałam atak paniki? – spytała Megan po chwili.

– Nie, skądże. – Jill ucałowała ją w policzek. – Masz za sobą naprawdę trudne przejścia. Oczywiście śmierć Williama, ale też miałaś zadane sporo pracy domowej, do tego jeszcze zawody, Abby i twój... mistrz gitary. To sporo wrażeń jak na jedną osobę w tak krótkim czasie. O wiele za dużo nawet dla kogoś tak silnego i dzielnego jak ty.

– Myślałam, że mam atak serca.

– Wcale mnie to nie dziwi. Ale nie miałaś. To tylko takie uczucie.

– Myślałam, że umrę. Nie umiera się od napadu paniki, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie. – Jill pogładziła córkę po policzku.

– A co by było, gdybym umarła dzisiaj w nocy? We śnie.

– Kochanie, nic podobnego się nie zdarzy. – Już miała wdać się w medyczne wyjaśnienia, lecz zrezygnowała, gdy zobaczyła wyraz twarzy Megan. – Wszystko będzie dobrze, córeczko. Naprawdę nie ma czym się przejmować.

Dziewczynka nadal miała ściągnięte brwi i zaciśnięte wargi. Wysunęła dolną szczękę, przygryzając aparat ortodontyczny, co ostatnio stało się u niej nerwowym nawykiem. Megan była wrażliwym dzieckiem w ciele młodej dojrzewającej dziewczyny i w tej chwili nie potrzebowała pediatry ani innego lekarza, potrzebna jej była mamusia. Jill zamknęła ją w serdecznym uścisku.

– Mamo, poleżysz ze mną trochę? Tak jak dawniej.

– Dobra myśl, chętnie. – Jill sięgnęła do lampki nocnej i wyłączyła światło. Sypialnię spowija aksamitnie miękka ciemność. – Posuniesz się kawałek?

– Aha.

Dziewczynka przysunęła się do psa, on także ustąpił odrobinę i w ten sposób Jill zyskała skrawek posłania szerokości mniej więcej belki gimnastycznej, doskonale znany wszystkim matkom na całym świecie.

– Super – oceniła całkiem szczerze i przytuliła Megan.

Czuła, jak napięcie z wolna opuszcza ciało dziecka.

– Jesteś pewna, że nie umrę?

– Jestem pewna. – Dopiero teraz pojęła, że gdy Megan pytała o śmierć, myślała o sobie. – Nie ma takiej opcji. Nie przejmuj się tym, słonko.

– No dobrze... – Megan umilkła. – Mamo – odezwała się po chwili. – Naprawdę całowałaś się z tysiącami chłopców? Przecież to niemożliwe.

– Z milionem chłopców! – Jill zaśmiała się głośno, a Megan jej zawtórowała.

W drzwiach pojawiła się ciemna sylwetka. Sam.

- Co tu się dzieje? Chyba wymagacie nadzoru osoby dorosłej, dziewczynki moje drogie. Jill nie zdążyła zareagować, bo Megan błyskawicznie wyciągnęła ręce do Sama.
- Chodź do nas! – zawołała. – Tulimy!
- Przekonałaś mnie.

Znalazł się przy nich w kilku dużych krokach, wślizgnął się do łóżka i zamknął Megan w niedźwiedzim uścisku. Dziewczynka wtuliła się w niego ufnie.

Jest dla niej prawdziwym ojcem, a nie tylko pozorantem udającym ojca jak William, pomyślała Jill. Gdyby miała go stracić, chyba by rzeczywiście umarła.

Trzeba będzie jakoś włączyć w ten układ Abby, gdy już wróci do domu.

Jeżeli wróci do domu.

## Rozdział 29

Nastał poniedziałkowy ranek. Jill w drodze z parkingu do przychodni usiłowała myśleć o sprawach bieżących. Przez całą noc martwiła się o Megan i o Abby, rzucała się przez sen i obudziła bladym świtem, jednak musiała odsunąć na bok niepokoje. Sezon grypowy to dla drobnoustrojów istny raj, więc trzeba było skupić się na pracy. Zadzwoiła do Padmy, wypytała o Rahula. Chłopiec wciąż gorączkował. Żałowała, że nie zleciła badań jego krwi na cito, wówczas już znałaby odpowiedź na najważniejsze pytania.

Medycyna Rodzinna mieściła się w dużym domu, jednym z wielu na tej ulicy, przekształconych w przychodnie lekarskie, kancelarie prawne i biura księgowo. Jill miała do pracy zaledwie dwadzieścia minut drogi od domu, co dawało jej niezbędną swobodę, póki wychowywała córkę.

Otworzyła drzwi poczekalni. Wielkie okna wykuszowe nadawały wnętrzu miły domowy charakter i wpuszczały dużo światła nawet w pochmurne dni, takie jak dzisiejszy. Większość siedzisk obciągniętych tapicerką w niebieskie wzory była zajęta. Pacjenci czytali periodyki lub zajmowali się telefonami. Żaden z nich nie czekał na Jill. Zaczynała przyjęcia dopiero za pół godziny, przyszła do pracy wcześniej, żeby nadgonić robotę administracyjną związaną z kartami pacjentów i ubezpieczeniem, która nigdy nie miała końca. W Medycynie Rodzinnej Pembey obsługiwało się piętnaście typów ubezpieczeń, w tym cztery z jednej firmy Aetna.

Ruszyła w stronę drzwi prowadzących do biur i gabinetów. Przy okienku recepcji spostrzegła Elaine Fitzmartin z matką, już bardzo starszą kobietą. Mary Fitzmartin miała alzheimera, leczyła się u doktora Thomasa. Przychodziły często, Jill obie je lubiła.

- Witam drogie panie, jak samopoczucie dziś rano?
- A, dobrze, całkiem dobrze – odpowiedziała Mary Fitzmartin z kruchym uśmiechem.
- Ślicznie wyglądasz.
- Dziękuję! – Miała na sobie jak zwykle cienki sweter, spodnie i chodaki. – Co nowego?
- Rozwiązałam dzisiaj krzyżówkę – pochwaliła się staruszka. – Długopisem! A ty rozwiązujesz krzyżówki, dziecko?
- Nie długopisem. Gratuluję. Oby tak dalej. A jak twoje zdrowie, Elaine? – zwróciła się do córki chorej.

Doskonale wiedziała, że o każdego, kto się o kogoś troszczy, także trzeba się zatroszczyć.

- Nie narzekam. Odkąd mama przyjmuje memoral, jest o wiele lepiej.
- To wspaniale. – Nie była dobrze zorientowana w lekach na alzheimera. – I co, ty także skaczesz na głęboką wodę i rozwiązujesz krzyżówki długopisem?
- Nie. Raczej czytam. Bardzo mi się podoba ta książka, którą mi ostatnio pożyczyłaś. Nie mogę się od niej oderwać.
- Zakończenia na pewno nie zgadniesz.

Kątem oka zauważyła Sheryl, kierowniczkę administracyjną przychodni, która najwyraźniej podsłuchiwała rozmowę spomiędzy szafek z dokumentami.

- Nie ma mocnych, i tak zawsze staram się odgadnąć, kto zabił.
- Tylko nie zaglądamy na koniec, jak poprzednim razem – przestrzegła ją Jill. Odwróciła się do Mary. – Pilnuj, żeby czytała po kolei, w końcu jesteś jej matką, masz coś

do powiedzenia.

– E tam, nigdy mnie nie słuchała. W ogóle nikogo nigdy nie słucha.

– To znaczy, że świetnie ją wychowałeś – podsumowała Jill.

Wszystkie trzy się roześmiały.

Za plecami pacjentek Sheryl dawała Jill gwałtowne znaki, że czas kończyć rozmowę.

– Panie wybaczą – powiedziała Jill – muszę uciekać. Dbajcie o siebie.

Otworzyła drzwi korytarza. Zaraz do niej podeszła Sheryl. Ubrana w niebieski komplet medyczny, krępa i zwałista, o szpeciniastych włosach przedwcześnie posiwiałych od bezowocnych prób kontrolowania całego świata.

– Muszę z tobą porozmawiać. Natychmiast. W twoim biurze.

Jill nie zmieniła tempa.

– Świetnie. Wobec tego mam pomysł. Może byś dała się zaprosić do mojego biura?

Mogłybyśmy tam porozmawiać, od razu, natychmiast.

– To wcale nie jest śmieszne. – Sheryl przycisnęła do piersi kartonową teczkę.

Jill się uśmiechnęła.

– A tak przy okazji... dzień dobry.

Otworzyła drzwi do swojego biura, białej klitki bez okien, gdzie na ścianach wisały jej dyplomy i licencje, na półkach stały wszelkie niezbędne informatory, a pośrodku na wysprzątanym biurku stał fikus w doniczce, który robił, co mógł, żeby utrzymać się przy życiu. Jill przebywała w biurze jak najrzadziej i jak najkrócej, wołała pracę w gabinecie. Lubiła swoich pacjentów, natomiast nie przepadała za pracą administracyjną, w dużym stopniu z powodu Sheryl.

– Śmiało, mów – zachęciła kierowniczkę. – Co tam u ciebie?

– Jestem zmuszona porozmawiać z tobą na temat twoich statystyk. Wiem, że jesteś zatrudniona w niepełnym wymiarze godzin, więc wzięłam to pod uwagę. – Sheryl przygryzła wąskie wargi. Oczy miała brudnobrązowe, twarz ciastowatą, można by przy dużej dozie dobrej woli określić jej rysy jako dziecinne, lecz całkiem pozbawione uroku. – Wysłałam do Johna e-mail ze statystykami za miniony kwartał. Wynika z nich jednoznacznie, że przyjmujesz zaledwie osiemnaście do dwudziestu przypadków dziennie. – Wyjęła z teczki jakiś wydruk najeżony cyframi. – Od dziesięciu do nawet dwunastu mniej niż średnio każdy z pozostałych lekarzy. Wszyscy zatrudnieni u nas lekarze mają obowiązek działać w ramach przyjętych warunków, wobec czego musisz zadbać o podniesienie swojej efektywności i przyjmować więcej przypadków. Codziennie.

– To nie są przypadki, tylko pacjenci. A jeśli chcesz mówić o średniej, to średni wiek mojego pacjenta wynosi dwa lata. – Taka rozmowa toczyła się już po raz enty. – Jestem tutaj jedynym pediatrą. Badanie dziecka trwa dłużej niż ocena stanu dorosłej osoby, ponieważ dziecko nie umie powiedzieć, co mu jest.

– Nie żartuj sobie ze mnie.

– Akurat teraz mówię śmiertelnie poważnie. Żartowałam wcześniej.

– Liczby nie kłamia. – Sheryl zmierzyła ją twardym spojrzeniem. – Poświęcasz za dużo czasu na jednego pacjenta. Musisz to zmienić. Masz pięć minut na każdy przypadek, wyjątkowo dziesięć, a dwadzieścia jedynie wówczas, gdy przeprowadzasz kontrolę okresową. Tymczasem w praktyce stale poświęcasz na każdy przypadek co najmniej dwadzieścia minut. Często więcej.

– Sheryl, musisz zrozumieć, że pediatra pracuje inaczej niż internista. To zupełnie inna rzeczywistość. – To też już powtarzała wielokrotnie. – Każda wizyta u mnie to dwóch pacjentów: dziecko i rodzic. Czas, który poświęcam pacjentom, wykorzystuję do tego, by

zatroszczyć się o nich jak najlepiej. I do niczego innego.

- Chyba że... – Sheryl wymownym gestem wskazała drzwi wiodące do poczekalni
- uskuteczniasz sobie pogaduszki, jak z paniami Fitzmartin.

Jill omal nie parsknęła śmiechem.

- Przyznaję się bez bicia. Zaprzyjaźniam się z pacjentami.
- Pani Fitzmartin nie jest twoją pacjentką.
- Lubię ją i już. Masz coś przeciwko temu? Gdyby moje zachowanie sprawiało jakieś kłopoty, to co innego. Ale John zatrudnił mnie, żebym stworzyła w tej przychodni opiekę pediatryczną. Najlepszym sposobem na przyciągnięcie pacjentów jest zapewnienie im właściwej opieki, w tym budowanie więzi. Mnie nie obowiązują statystyki dotyczące innych lekarzy.

Sheryl uniosła brew.

- Ty nie przestrzegasz żadnych reguł obowiązujących w Medycynie Rodzinnej Pembey. Ani tych, które definiują sposób funkcjonowania opieki pediatrycznej, ani żadnych innych.

- Co ty opowiadasz? Których reguł niby nie przestrzegam?
- Żeby nie szukać daleko, odpowiadasz na pytania pacjentów e-mailem.

Jill zaniemówiła ze zdumienia.

- Skąd o tym wiesz?
- Monitorujemy korespondencję.
- Czytasz moje listy? – oburzyła się Jill.
- To nie jest twoja prywatna korespondencja. Piszesz jako pracownik Medycyny Rodzinnej Pembey. Domena jest własnością firmy, a do moich obowiązków należy monitorowanie jej zawartości.

– Od kiedy to? – Powinna była się tego domyślić. – A poza tym co ci przeszkadza, że pomagam listownie? Boli cię, że tracimy opłatę za wizytę?

– Opieka medyczna to biznes. Nie rekomendujemy udzielania porad przez telefon ani e-mailem. Jesteś jedynym lekarzem, który podaje pacjentom swój osobisty biurowy adres e-mailowy, czego także nie należy robić. Wszystkie e-maile od pacjentów mają trafiać do mnie, na [info@pembeyfamily.com](mailto:info@pembeyfamily.com).

- Te, które trafiają do ciebie, do mnie docierają najwcześniej po trzech dniach.

Sheryl ściągnęła brwi.

– Narażasz nas na pozew, w razie gdyby pacjent źle zrozumiał twoje zalecenia lub gdybyś postawiła błędną diagnozę przez to, że nie obejrzałaś chorego.

– Nigdy nie pozwoliłabym sobie na podjęcie takiego ryzyka, a poza tym nie używam tej drogi komunikacji w ostrych przypadkach. – Jill miała powyżej uszu gadania o ewentualnych pozwach. Przychodnia fabrykowała i gromadziła niesłychane ilości różnych druków i dokumentów na wypadek ewentualnego pozwu sądowego. Jakby jeszcze mało było administracyjnej roboty związanej z ubezpieczeniami. – Muszę być dostępna pod telefonem i przez e-mail. Nie da się wytłumaczyć matce chorego dziecka, żeby spokojnie zaczekała na godziny przyjęć.

– Działając w ten sposób, sama sobie szkodzisz. Wiesz o tym doskonale. Miałabyś znacznie lepsze osiągnięcia i byłabyś dużo wyżej oceniana, gdybyś dołożyła starań i była bardziej skuteczna.

– Przyjmowanie większej liczby pacjentów nie równa się w tym wypadku zwiększeniu skuteczności. A gdyby mi chodziło tylko o pieniądze, zostałabym chirurgiem plastycznym.

Sheryl zmrużyła oczy.

- Czy tobie się wydaje, że ja żartuję?

– Niestety, nie. I zapewniam cię, że zarówno pacjentów, jak i w ogóle pracę

w przychodni traktuję bardzo poważnie. Uśmiecham się i żartuję, żeby stworzyć miły nastrój, ale najwyraźniej nie zawsze mi się to udaje.

– Jestem w doskonałym nastroju – oznajmiła Sheryl. – I znam się na żartach. Mam poczucie humoru.

– Gdzie? – Jill uśmiechnęła się przekornie.

Sheryl zmarszczyła czoło.

– Zachowujesz się, jakbyś była wyjątkowa.

– Jestem – oznajmiła Jill. – Ze względu na to, co robię, jestem wyjątkowa.

– Ja bym tego tak nie określiła. Jeśli chcesz, mogę uznać, że jesteś wyjątkowa, ponieważ jako jedyna pracujesz u nas w niepełnym wymiarze czasu. Nie ma to jednak nic wspólnego z charakterem twojej pracy.

– Wręcz przeciwnie, ma – sprzeciwiła się Jill urażona. Tego zarzutu jeszcze od Sheryl nie słyszała. – Pracuję w krótszym wymiarze czasu po to, żeby mieć czas dla córki. Kocham dzieci, własne również, choć może ci się to wydać abstrakcyjne.

– Megan skończyła trzynaście lat. Już nie trzeba jej prowadzić za rączkę na plac zabaw. Gdyby ci rzeczywiście zależało na dobru naszej firmy, pracowałabyś w pełnym wymiarze godzin.

– Zależy mi także na dobru mojej rodziny. – Jill czuła, że pieką ją policzki.

– Zostałam tu zatrudniona na konkretnych warunkach, w niepełnym wymiarze godzin, a mimo to często nie udaje mi się wrócić do domu przed ósmą.

– Wszyscy lekarze są bardzo zajęci.

– Oczywiście – przyznała Jill, choć właściwie nie знаła żadnego z pozostałych czterech lekarzy. Każde z nich prowadziło niezależną praktykę, a nie było czasu na relacje towarzyskie, wobec czego ograniczały się one do spotkań z Sheryl. – Ale to ja jestem w tym gronie jedyną kobietą, jedyną matką i jedynym pediatrą.

– Innymi słowy, znowu mówisz mi, że jesteś wyjątkowa.

– Tak. – Jill zorientowała się, że niczego nie osiągnie. – Posłuchaj, mam trochę roboty z uzupełnianiem danych. Potem muszę przygotować się na przyjęcie Carie Bryson. Będzie tu lada minuta. Ma dwuletniego synka. Zeszłej nocy pisała mi, że zagorączkował. Najpierw zadzwoniła do przychodni z prośbą o wizytę po godzinach... O tym na pewno wiesz.

– Owszem, wiem. A ty jej odpowiedziałas, że dasz radę ją wcisnąć przed porannymi wizytami. Zdecydowanie powinnaś skończyć z takimi praktykami. – Sheryl pokręciła głową z dezaprobatą. – Twoja pacjentka musi zapisać się u Donny. Donna jest sekretarką i recepcjonistką. Jej praca polega właśnie na ustalaniu spotkań.

– Napisałam do Donny, zadzwoniłam do niej i jeszcze jej o tym sama przypomniałam.

– Nie tak wyglądają procedury w Medycynie Rodzinnej Pembey. Te procedury mają swój sens i cel. Jeżeli nie wiemy o wizycie pacjenta, nie możemy naszykować jego danych ani historii choroby, a także nie mamy pewności, że przypadek zostanie właściwie zakwalifikowany, opatrzony odpowiednim kodem i stosownie rozliczony.

– Nie mogłam porozumieć się z Donną o północy, a wtedy odpowiedziałam na e-mail. Wiem, że obowiązują nas procedury, jednak nie mogą one wchodzić w drogę pacjentom ani przeszkadzać w udzielaniu pomocy, ponieważ pracujemy tu wyłącznie po to, żeby pomagać.

Drrryń!

Z tylnej kieszeni spodni Jill dobiegł dzwonek telefonu. Serce jej wywinęło kozła. Na pewno Abby, bo nie była to melodyjka dzwonka przypisana do Megan ani do Sama.

– Wybacz. – Wyjęła aparat z kieszeni, zerknęła na wyświetlacz. Nie знаła numeru dzwoniącego. – Muszę odebrać.

Sheryl już była w drodze do wyjścia.

– Nie marnuj czasu – rzuciła jeszcze przez ramię, zamykając za sobą drzwi.

Jill zdążyła tymczasem odebrać połączenie.

– Tu Victoria – usłyszała. – Czy masz jakieś wiadomości od Abby?

Co dziwne, Victoria wcale nie była rozeźlona. Przesadą byłoby stwierdzić, że mówiła przyjaznym tonem, jednak nie było w nim śladu wczorajszej wrogości.

– Nie – odparła Jill, szczerze zaskoczona. – Nie oddzwoniła do mnie.

– Do mnie też się nie odezwała. – Victoria zamilkła. – Zwykle wcześniej czy później oddzwania. Do tej pory powinna już dać jakiś znak, zwłaszcza po tym, jak ostatni raz nagrałam się na pocztę głosową.

– A dlaczego? Co jej powiedziałaś?

– Nawrzeszczałam na nią.

To akurat nietrudno było sobie wyobrazić.

– Byłaś jeszcze raz u niej w domu?

– Tak. I jestem prawie na sto procent pewna, że nie wróciła. Samochód cały czas stoi na tyłach.

– A co z kotem?

– Nie wiem. Nie sprawdzałam. Nigdy go nie widuję.

Jill odchyliła się na oparcie krzesła, w zamyśleniu błędziła spojrzeniem wokół, kończąc na biednym fikusie.

– Czy masz jakikolwiek pomysł, gdzie ona może być?

– Kompletnie żadnego.

– Ma kogoś, do kogo chciałyby się zwrócić?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A co z Neilem Straubem? Czy do niego by zadzwoniła?

– To chyba możliwe. – Victoria wyraźnie się ożywiła. – To by nawet miało sens, tyle że nie mam ani telefonu, ani adresu Neila.

– Ja znalazłam jego adres. Jutro mam wolny dzień, będę mogła do niego pojechać na Manhattan.

– Nie, nie. Ja pojadę. Dzisiaj. I tak wychodzę z domu. Idę na kolację.

– Moim zdaniem nie powinnaś do niego jechać. To może być niebezpieczne... – Jill ugryzła się w język, zanim dodała „kochanie”. – Jeżeli Neil ma coś wspólnego ze śmiercią waszego ojca...

– Rany, ty znów to samo? – zachnęła się Victoria. – Nie no, dosyć tego. – Lodowaty ton pojawił się na nowo. – Daj sobie wreszcie spokój.

– Victorio, obiecaj mi, że nie pojedziesz do Neila. Ja tam pojadę jutro. Jeden dzień nic nie zmieni.

– Tata nie został zamordowany, a Neil był jego najlepszym przyjacielem. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym do niego pojechała i sprawdziła, czy przypadkiem nie znajdę tam Abby. Jestem dorosła. Podaj mi adres.

Jill usłuchała.

– Potem odezwij się do mnie, dobrze?

– Do widzenia. – Victoria zakończyła połączenie.

No, pięknie, pomyślała Jill. Jeżeli Victoria pojedzie się spotkać z Neilem Straubem, w efekcie też może być w niebezpieczeństwie.



No i znów martwiła się o trzy osoby.  
Jak dawniej o trzy córki.

## Rozdział 30

Już po kolacji Jill w kuchni oddzwaniała do pacjentów i uzupełniała wpisy w laptopie. Sam czytał w salonie, a Megan na piętrze brała prysznic.

Dopiero wtedy zatelefonowała Victoria.

– I co się działo? – spytała Jill.

– Neila nie było w domu. Portier dzwonił do niego, nawet dość długo.

– Dzwonił do niego do mieszkania z dołu?

– Tak. Mają tam połączenia wewnętrzne. Neil mieszka pod 4-D. Nie odpowiadał.

Victoria mówiła tonem chłodnym, rzeczowym, trochę jakby załatwiała sprawę służbową, ale przynajmniej nie kipiała złością, gniewem ani nienawiścią, więc Jill uznała to za niejaki postęp.

– O której tam byłeś?

– Najpierw koło szóstej, a potem jeszcze wróciłam po dziesiątej. Neila nadal nie było w domu, a ja ciągle nie mam żadnej wiadomości od Abby. Do ciebie się odezwała?

– Nie.

Jill potarła czoło. Miała za sobą ciężki dzień w przychodni, zmagająca się z przypadkami grypy, przeziębienia i infekcji zatok. Gdyby mogła przejąć zaradność i pomysłowość od bakterii powodujących infekcje zatok, znalazłaby Abby w mgnieniu oka.

– Czy wiesz, kiedy spodziewają się Neila z powrotem?

– Nie zostawił wiadomości.

– A kiedy widzieli go ostatnio?

– Nie powiedzieli.

– Może widzieli Abby?

– Tego też mi nie powiedzieli.

– Pytałaś?

– Pytałam. I dowiedziałam się tylko, że nie udzielają informacji na temat mieszkańców. Najzwyczajniej w świecie nas spławili.

– Was?

– Mnie i Briana. Byliśmy tam we dwoje.

– Czy powiedziałaś portierowi, że to wyjątkowo ważna sprawa?

– Owszem, ale nadal nie mieli ochoty udzielać mi żadnych informacji na temat jednego z mieszkańców.

– Rozumiem. – Jill straciła rozpęd. Bezradnie potoczyła wzrokiem po kuchni.

Zmywarka mruczała, granitowe blaty lśniły. – Fakt, że Neila nie ma w domu, właściwie niewiele zmienia. Nadal może być z Abby, tylko gdzieś indziej. Wobec czego istotne jest, czy któryś z portierów widział Abby, a jeśli żaden z nich, to może ktoś inny, na przykład sąsiad.

– Jakoś nie przypuszczam – prychnęła Victoria – żeby mi pozwolili wypytywać sąsiadów.

– Masz adres biura Neila?

– Nie.

– Znasz nazwę jego firmy... jeżeli ma firmę?

– Nie.

Jill zamilkła. Nie podobały jej się własne domysły. Gdyby założyć, że Neil nie jest

podejrzany, to mógł również znajdować się w niebezpieczeństwie, zwłaszcza jeżeli we dwóch z Williamem zaangażowali się w jakąś ryzykowną działalność niezgodną z prawem. Tak czy inaczej Abby nie była bezpieczna, jeśli przebywała w jego towarzystwie.

- Jill... – odezwała się Victoria z wahaniem.
- Tak?
- Boję się, że mogła coś sobie zrobić... rozumiesz?
- Nie do końca.
- Mówię o samobójstwie.
- Ależ skąd! Czegoś takiego by nie zrobiła.

Victoria dłuższy czas milczała.

- Kiedyś już próbowała – odezwała się w końcu.

Jill sądziła, że się przesłyszała.

- Co takiego?
- Abby kiedyś próbowała się zabić.
- Niemożliwe! – krzyknęła Jill. – Kiedy? Jak?

– Dość dawno, ze trzy miesiące po tym, jak się przeprowadziliśmy. Ja wtedy już wyjechałam na studia. Zadzwoniła do mnie, powiedziała, że strasznie pokłóciła się z tatą.

– Victoria zawahała się na moment. – Usiłowała go wtedy przekonać, że powinniście się zejść z powrotem. Tata powiedział, że nie ma mowy, że małżeństwo się definitywnie rozpadło, i zabronił jej odpowiadać na twoje listy. No i następnego dnia... Rozumiesz... Próbowała popełnić samobójstwo.

Jill była zdruzgotana.

- W jaki sposób?
  - Połknęła całe opakowanie pigułek.
  - Jakich konkretnie?
  - Lexapro. Miała je, bo brała na depresję. Nadal bierze, dlatego nie powinna pić.
- Jill nie musiała pytać, kiedy u Abby zaczęła się depresja, łatwo było się domyślić.

– Ja ją wtedy znalazłam – mówiła dalej Victoria. – Tata rano wyjechał w interesach, a ja zajrzałam do domu przypadkiem. Kiedy ją zobaczyłam, myślałam, że się zdrzemnęła, ale nie mogłam jej obudzić. Gdybym wtedy nie wstąpiła do domu, już byłoby po niej.

Przerażona Jill widziała tę scenę oczami wyobraźni. Całe opakowanie lexapro to dawka letalna, Abby rzeczywiście mogła umrzeć, a na pewno, gdyby nie interwencja, zapadłaby w śpiączkę. Wobec czego nie była to żadna manifestacja, próba zwrócenia na siebie uwagi, lecz faktycznie próba samobójstwa.

– Dlatego byłam na ciebie taka wściekła – dodała Victoria nieco łagodniejszym tonem.

– Przez ciebie Abby była w rozsypce i nie umiała się pozbierać. Przez ciebie usiłowała się zabić. Gdybyś nie odeszła, żyłaby normalnie, a ja nie musiałabym jej zastępować matki.

Jill słuchała z głową wspartą na dłoniach. Nie przewidziała u Abby takiego zachowania. Nie domyśliła się, że jej ból po stracie macochy był aż tak wielki, stanowił tak niewysłowioną udrękę.

– Dlatego teraz się martwię – podjęła Victoria. – Staram się nią za bardzo nie przejmować, nie chcę być nadopiekuńcza, ale i tak ciągle o niej myślę. Bez przerwy. Wciąż mam w głowie myśl, że gdyby zrobiła to jeszcze raz, to byłaby moja wina... – Victoria ucichła.

– Tak mi przykro. – Jill miała serce pełne współczucia. – Obie macie za sobą straszne przejścia. Nie chciałam, naprawdę...

– No dobrze, wszystko jedno – przerwała jej Victoria znowu beznamiętnym tonem.

– Teraz rozumiesz, na czym polega problem. Nie obawiam się, że ktoś skrzywdził Abby. Boję

się, że sama sobie zrobiła krzywdę. Dlatego musimy ją znaleźć. I to szybko.

– Zgoda, jasne. – Jill potarła twarz i usiadła prosto. Radziła sobie z emocjami. Miała wprawę. – Wiem, co robić. Muszę pojechać z powrotem na policję i wsadzić kij w mrowisko. Minął kolejny dzień, Abby nadal nie ma, a na dodatek trzeba im uzupełnić informacje, zwłaszcza o tym fakcie.

– Tym razem ja pojadę. Ja to powinnam zrobić, to moja rola.

– Pojedźmy razem – poprosiła Jill z nadzieją. – Ja już tam byłam, znam ją.

Możemy się spotkać na miejscu. To Centrala Dochodzeniowa na Dwudziestej Pierwszej Ulicy.

– Nie, wolę, żebyś nie przyjeżdżała – oznajmiła Victoria tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Wybiorę się z Brianem.

Znowu odgradzała się murem.

– Dlaczego nie chcesz, żebyśmy razem załatwiły tę sprawę?

– Bardzo chciałabym, żebyś słyszała, co mówię. Potrafisz?

– Dobrze, w porządku, skoro tak chcesz, tak będzie. – Jill się poddała, była znużona bezowocną walką. – Zapytaj o detektywa Reeda. To on prowadził dochodzenie w sprawie śmierci waszego ojca. Ja rozmawiałam tam z detektywem Pitkowskim, bo Reeda akurat nie zastałam.

– Wszystko jasne.

– Potem zadzwoń do mnie, proszę, i powiedz mi, co uzyskałaś, dobrze?

– Jeśli zdążę. Mam zrobić podsumowanie z pism procesowych.

Jill przygryzła wargę.

– W takim razie daj mi znać przynajmniej, jeśli Abby się do ciebie odezwie.

– Nie ma sprawy.

– Planuję jutro pojechać na Manhattan i zajrzeć do Neila, może powiedzą mi coś, czego nie chcieli powiedzieć tobie.

– Jak chcesz. Rób, co ci się podoba.

– Dzięki, cześć. Kocham cię – powiedziała Jill automatycznie. Zakończyła rozmowę z Victorią w taki sposób, jak kiedyś miała w zwyczaju.

„Kocham cię”.

– Co tam, kochanie, w porządku? – spytał Sam, stojący w progu kuchni.

Jill wcisnęła czerwoną słuchawkę. Nie miała pewności, czy Victoria usłyszała jej ostatnie słowa. Nie wiedziała też, jak długo Sam przysłuchuje się rozmowie.

I nie podobał jej się błysk w jego oku.

## Rozdział 31

- Abby usiłowała popełnić samobójstwo? – zapytał Sam cicho.
- Tak, już jakiś czas temu, niedługo po tym, jak rozeszliśmy się z Williamem. Sam podszedł, objął ją za ramiona.
- Fatalnie. Czujesz się winna.
- Nie bez przyczyny. – Jill wsunęła palce we włosy. – Jak ją znajdziemy, dopilnuję, żeby trafiła do Sandy. Koniecznie. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić. W taki sposób naprawię swój błąd.
- Nie masz czego naprawiać.
- Ależ owszem. – Jill wyprostowała się i spojrzała mu w oczy. – Dziewczyna cierpiała po rozwodzie ojca.
- Wszystkie trzy miały nielekkko.
- Z tym że ona wyraźnie znalazła się w wyjątkowej sytuacji. Sam ściągnął brwi.
- Tak?
- Tak.
- Jill czuła, że rośnie między nimi napięcie, jakby powietrze w kuchni naładowało się elektrycznością, zapowiadając domową burzę.
- To ona chciała się zabić – stwierdziła. – Nie Victoria i nie Megan. Dlatego jej sytuacja jest wyjątkowa.
- Każdy przeżywa cierpienie na swój sposób.
- Prawda, przy czym niektórzy przekraczają ogólnie akceptowane granice.
- Jill wstała i minąwszy Sama, podeszła do szafki. Wyjęła z niej kubek, a zamykając ją, trzasnęła drzwiczkami. Pulpet obudził się, zamrugał i rozejrzał dookoła trochę nieprzytomnie.
- Przepraszam – powiedział Sam. – Nie chciałem cię zirytować.
- Ja też przepraszam.
- Nalała do kubka wody i pociągnęła długi łyk. Woda była ciepła i bez smaku. Powietrze wydawało się zbyt gęste, nie dało się nim oddychać.
- Tak czy inaczej – podjęła Jill – rzecz w tym, że nie wiemy, gdzie jest Abby, a czas ucieka. Raczej nie zniknęła z własnej woli. To byłoby bez sensu, bo skoro usiłowała popełnić samobójstwo dlatego, że mnie zabrakło w jej życiu, po co miałyby się zabijać wówczas, gdy znowu w nim jestem.
- Bo wie, że teraz jej pilnujesz. – Sam oparł się łokciami o blat wyspy. – W ten sposób ściąga na siebie twoją uwagę. To doskonale pasuje do prowadzenia po pijanemu, wydzwaniania do ciebie i proszenia o pomoc. Zawsze pomagasz potrzebującym, więc Abby pokazuje, że trzeba się nią zająć.
- Nie posądzałabym jej o takie wyrachowanie. – Jill serce ścisnęło się w piersi. – Jej ojciec był intrygantem i manipulantem, owszem, ale ona nie jest taka. Nie można ich mierzyć tą samą miarą.
- Kłopot w tym, że dla ciebie jej próba samobójcza jest elementem zmieniającym aktualną sytuację. Robisz błąd. To sprawa sprzed lat. Nie ulega wątpliwości, że wtedy Abby była w złym stanie psychicznym.
- Tym razem Jill nie zdołała ukryć rozdrażnienia.

– No dobrze, wszystko jedno. Tak jak słyszałeś, jutro jadę do Nowego Jorku. Tam będę jej szukać.

– Skąd akurat Nowy Jork?

Odniosła wrażenie, że uznał wyjazd do miasta za wyprawę równie daleką jak lot na Księżyc, a przecież bywali tam, wcale nierzadko, choćby odwiedzać muzea.

– Neil Straub, facet, który prowadził interesy z Williamem, mieszka w West Village. Victoria niewiele się o nim dowiedziała, mam nadzieję uzyskać więcej.

– Dlaczego?

– Bo mam większą siłę przebiccia.

– A, to na pewno.

Jill czujnie podniosła wzrok, lecz powstrzymała się od komentarza. Wylała resztę wody i postawiła kubek w zlewie, bo zmywarka jeszcze nie skończyła cyklu.

– Abby może być z Neilem. Albo sama do niego pojechała, albo on ją zabrał. Nie można wykluczyć, że oboje są w niebezpieczeństwie.

– Wobec tego należy rozważyć kwestię, czy rzeczywiście powinnaś tam jechać.

– Mam zamiar tylko zadać kilka pytań. Na przykład czy portier widział tam ostatnio Abby. Jeżeli uznam, że sytuacja jest groźna, pójdę na policję.

– W Nowym Jorku?

– Tak. Tam też mają policję.

Sam przekrzywił głowę.

– Chcesz się kłócić? Bo na to mi wygląda.

– Nie, nie chcę, ale też nie chcę... – zacięła się, szukając właściwego określenia. – Nie chcę kłód pod nogami na każdym kroku. Nie mam ochoty walczyć o każdą decyzję, zwłaszcza gdy są one z gruntu słuszne.

– A jeśli mam inne zdanie na temat ich słuszności? Mam siedzieć cicho? Zmienić się w pantoflarza?

– Nie.

– Co wobec tego powinienem zrobić?

Jill nagle poczuła się potwornie zmęczona.

– Abby ciągle się nie odnalazła. Ma skłonności samobójcze. Trudno powiedzieć, że robię z igły widły.

– Mimo wszystko to nadal nie jest twój problem.

– Jest. Nie mogę udawać, że o niczym nie wiem. Ten problem powstał w jakimś stopniu z mojego powodu, nie sposób temu zaprzeczyć.

– Ja to widzę inaczej – stwierdził Sam.

– Wobec tego tutaj się nie zgadzamy. Zresztą, kto się nią zajmie? Straciła oboje rodziców.

– A co będzie z Megan, kiedy ty pojedziesz do Nowego Jorku?

Jill uznała, że to cios poniżej pasa.

– Co ma piernik do wiatraka? Megan jutro idzie do szkoły, potem ma trening.

A na Manhattan jedzie się raptem dwie godziny. Wrócę najdalej o piątej, nawet jeśli wybiorę się pociągiem.

– Powinienem był się domyślić po tym, co się działo wczoraj. – Sam pokręcił głową.

– Lepiej by było, gdybyś o wszystkim zapomniała. O Abby i o całej sprawie. A ty coraz bardziej się pogrążasz.

– Nie mogę tego odpuścić! – Jill podniosła głos, chociaż miała świadomość, że Sam nad sobą panuje.

Zawsze gdy dochodziło do sprzeczki, czuła się jak wiedźma. Natomiast on robił wrażenie co najwyżej skonsternowanego mędrca.

– Zostaw ten cały bałagan. Megan cię potrzebuje.  
– Do czego? Jeśli nie pojedę do Nowego Jorku, będę robiła zakupy, rozmawiała przez telefon, odpowiadała na listy.

Nie dodała, że od jakiegoś czasu w dni wolne od pracy czuła się coraz bardziej niepotrzebna. Może faktycznie powinna się zatrudnić w pełnym wymiarze godzin? Czyżby Sheryl miała rację?

Sam zdjął okulary i zaskakująco gwałtownym gestem rzucił je na blat.

- Innymi słowy, sprawa przesądzona.
- Nie rozumiem.
- Widzę, że podjęłaś decyzję. Teraz będziesz zajmowała się Abby, a o nas zapomnisz.
- O kim?
- O Megan i o mnie.

Jill jęknęła.

– Przestań, to nie w porządku. Przecież zajmuję się Megan stale, a ostatnio poświęcam jej jeszcze więcej uwagi. Ty też nie masz powodów do narzekania. Nikt nie ucierpi, potrafię zająć się kilkoma sprawami naraz. Gotując obiad, rozmawiam z pacjentami przez telefon, czekając na Megan w samochodzie pod szkołą, odpowiadam na e-maile. Każda matka tak robi, każda kobieta to potrafi, tak wygląda mój zwykły dzień.

– A co ze mną? Gdzie w twoich planach mieści się moje zdanie? Moje plany? Moje obawy? Czy ja się w ogóle liczę, czy tylko podtrzymuję domowe ognisko, dmuchając w żar, gdy ty robisz, co ci się żywnie podoba?

– Czy muszę dostać od ciebie pozwolenie na wypad do Nowego Jorku? – spytała Jill z niedowierzaniem.

– Nie, skąd. Chodzi mi o to, że nie myślisz, tylko reagujesz odruchowo i do takich reakcji przyporządkowujesz wszystko inne.

– Rzeczywiście. Ponieważ to jest sprawa awaryjna. Usiłuję znaleźć Abby. Mogła się zabić.

– Powiedzmy, że ją znajdziesz. Pojedzie z nami do Austin? Czy może już zapomniałaś o tych planach?

Zapomniała. Rzeczywiście, kompletnie zapomniała. Mieli w następny weekend odwiedzić Stevena.

– Nie wybiegałam myślą aż tak daleko.  
– A szkoda, bo powinnaś. Masz pasierba. Kiedy przestał się liczyć?  
– Ciągle jest ważny.  
– Wobec tego przyjrzyjmy się razem planom na czas najbliższy. – Położył na blacie dłonie wnętrzami do góry. – Załóżmy, że znajdziesz Abby. Co dalej? Pomożesz jej stanąć na nogi, żeby nauczyła się żyć na własną odpowiedzialność?

– Chyba tak. – Na ten temat też jeszcze nie myślała.

– Nie zamierzasz raczej doprowadzić do tego, żeby zamieszkała z nami?

Jill przesłoniła oczy powiekami. Sam nie spuszczał z niej wzroku.

– Zamierzasz? – spytał.

Milczała.

– Powiedz mi, proszę, że nie zamierzasz – naciskał.

– Nie mogę tego powiedzieć.

Skrzywił się z niedowierzaniem.

- Żartujesz sobie ze mnie.
- Nie.
- Czyli jednak. – Pokręcił głową, odwrócił wzrok. – Dlaczego? Przecież to twój dom. Nie chciała wracać do tej dyskusji. Rozdrapywać dawnych ran.
- Wprowadziłeś się tutaj, bo nie chcieliśmy przeprowadzać Megan. Teraz ci to nie pasuje?
  - Nie, nic się nie zmieniło. Dla Megan zrobiłbym wszystko. Ale dla Megan, nie dla Abby. – Zaciśnął wargi. – Czy Abby zajmie pokój Stevena?
  - Czego oczekujesz? Że o niej ot tak zapomnę? Każesz mi wybierać między nią a sobą?
  - Powiem ci raczej, czego nie chcę. Nie chcę kolejnego dziecka, a zwłaszcza tego dziecka. Ponieważ ignorujesz moje potrzeby i nie liczysz się z moim zdaniem, nie chcę zawrzeć małżeństwa, w którym będę nikim, w którym moja żona robi bezwzględnie, co chce. Nie tak powinno wyglądać małżeństwo.
  - To się ze mną nie żeń!
  - No to się nie ożeń! – odpalił Sam.
- Jill była zbyt wściekła, żeby próbować go udobruchać. Patrzyli na siebie, ale się nie widzieli.
  - Przenocuję w pracowni – rzekł, obrócił się na pięcie i wyszedł z kuchni. Pulpet, z postawionymi uszami, powiódł za nim wzrokiem, po czym przeniósł spojrzenie na ukochaną panią.
- Jill napłynęły do oczu gorące łzy, lecz nie pozwoliła im spłynąć po policzkach.



## Rozdział 32

Pulpet potruchtał w stronę drzew. Jill stała w progu tylnego wejścia. Ręce założyła na piersi i starała się nie myśleć o Samie. Nie zadzwonił ani nie napisał. Ona też się nie odezwała. Nie miała pewności, czy rzeczywiście powiedział dokładnie to, co myślał, swoich słów też nie była do końca pewna.

„No to się nie ożenię!”.

Przygryzła wargę.

Czy ten związek także się rozpadnie? Czyżby miała rację, obawiając się, że nic nie jest wieczne? Że upragnione „na zawsze” nie istnieje?

Wróciła pamięcią do tamtej szczególnej nocy, gdy skończyło się jej małżeństwo z Williamem, gdy doszło do sprzeczki na temat jego kradzieży. Byli wtedy we dwoje na piętrze, w sypialni. Miała nadzieję porozmawiać z mężem spokojnie, lecz gdy tylko wspomniała o receptach, William wpadł w szal. Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie.

– Jak śmiesz mnie oskarżać! Jesteś wredna! Obrzydliwa!

Ze strachu głos uwiązł jej w gardle.

William poczerwieniał, na skroniach i szyi pulsowały mu nabrzmiące żyły. Z ust pryskała ślina.

Jill nie wiedziała, co robić.

– Mamy na taśmie... – Nie zdążyła powiedzieć więcej.

William wypadł z sypialni jak burza i pognał na dół. Pomknęła za nim, przerażona, pełna obaw, co on zamierza zrobić, czy nie skrzywdzi dziewczynek.

– Zaczekaj! Uspokój się, proszę! Porozmawiajmy! – Nie przewidziała tak gwałtownej reakcji. – Nie rób im krzywdy, nie rób im nic złego!

William z impetem wpadł do salonu. Siedziały tam dziewczynki i Pulpet. Któraś oglądała telewizję, inna odrabiała lekcje na laptopie. Wszystkie trzy były już ubrane we flanelowe piżamki i miały narzucone na plecy ciepłe bluzy. Każda była zaopatrzona w miskę popcornu z mikrofali, a Pulpet wymiatał jęczorem słone ziarna, które spadły na dywan. Wszyscy czworo jednocześnie podnieśli wzrok. Dziewczynki znieruchomiały na widok rodziców zachowujących się jak furia – Jill ciągnącej Williama do tyłu, ojca nagle wściekłego i groźnego. Skamieniały z przerażenia, przyglądały się rodzicom z ustami szeroko otwartymi, jak w niemym krzyku.

– Abby! Victoria! Wstawać mi, ale już! – wrzasnął William. – Biercie kurtki, wychodzimy! Natychmiast! Galopem!

– Tato...? Ale... – Oszołomiona Victoria wolno pokręciła głową. – Nie, my się w to nie bawimy.

Abby wybuchnęła płaczem.

– Ja nie chcę, ja nie chcę! Nie, tatusiu, proszę cię, nie! Jill... Jill? Ale dlaczego? My tu mieszkamy!

– Wychodzimy! I to już!

William chwycił Abby za ramię i szarpnął, postawił na nogi tak gwałtownie, że rozerwał bluzę od piżamy, jej ulubionej, z wzorkiem w puszyste kotki z kreskówki.

– Tato! – krzyknęła Abby przez łzy.

Victoria zerwała się na równe nogi i wybiegła z pokoju. Laptop łupnął o podłogę.  
– Mamo! Mamusiu! – Megan z krzykiem wpadła Jill w ramiona. – Mamuniu!  
– William, błagam! – zawołała Jill, zasłaniając Megan.

Serce kazało jej biec za pasierbicami, ale Megan przywarła jej do nóg, wstrząsana szlochem. William ruszył do wyjścia, ciągnąc za sobą histerycznie wrzeszczącą Abby, po drodze chwycił Victorię, w holu złapał kluczyki od samochodu, wypchnął córki za próg i z hukiem zatrzaskał drzwi.

Łup!

W jednej chwili przestała istnieć szczęśliwa rodzina. Jill i Megan zostały same, skulone na podłodze, objęte, przytulone, zalane łzami.

Pulpet tłukł się w tę i z powrotem między pokojem a drzwiami wyjściowymi, skołowany powarkował i poszczekiwał z cicha. Zjeżył sierść na karku, ogon podkułił pod siebie, kompletnie zdezorientowany. Bronić? Uciekać? Za każdym nawrotem roztrzącał i rozdeptywał kolejne ziarna kukurydzy z poprzewracanych misek. Nie w głowie mu były smakołyki.

Jill przepędziła mroczne wspomnienia. Pociągnęła nosem, otarła łzy. Opuściła ręce wzdłuż boków, uniosła nieco głowę i głęboko zaczerpnęła powietrza. Miękka ciemność tu i ówdzie przesłaniała gwiazdy. Świerszcze grały swój odwieczny koncert, a pod okapami popiskiwały nietoperze.

Pulpet uniósł łeb, zainteresowany jakimś zapachem dobiegającym od basenu, więc spojrzała w tamtą stronę, jednak w ciemnościach nie zobaczyła, co przyciągnęło jego uwagę. Kamienny brzeg basenu połyskiwał od wilgoci, woda tworzyła prostokątną czarną plamę. Jill uwielbiała pływać, zawsze wcześniej rozpoczynała sezon, nawet jeśli niekiedy wymagało to podgrzania wody. W tym roku jeszcze nie pływała nocą. Cóż, teraz nic nie stało na przeszkodzie. Ostatnim razem pozwoliła sobie na tę przyjemność minionego lata, z Samem.

„Przenocuję w pracowni”.

Podeszła do basenu, odszukała przełącznik przy schodach i zapaliła światło. Prostokąt wody zmienił się w rozjarzony turkusem klejnot, w błękitny topaz o diamentowym szlifie, w sam raz do „pierścionka na wieczór”, jak mawiała jej matka. Doskonale pamiętała dzień, gdy zdecydowała o kupnie tej nieruchomości, szczęśliwa, że stać ją na dom z basenem. Jako dziecko korzystała z basenów publicznych, żyła w znacznie skromniejszych warunkach, ojciec był kreślarzem, matka pielęgniarką.

Ściągnęła sweter przez głowę, zdjęła spodnie, zostawiła je beztrąsko na ziemi. Bielizna zakrywała tyle samo co kostium kąpielowy, a poza tym i tak nikt nie widział, ponieważ dom otoczony był żywopłotem. Stała na najwyższym stopniu, gdzie woda sięgała zaledwie do kostek. Tak robiły stare Włoszki na plażach New Jersey, by przyzwyczaić się do chłodu. Pulpet przytruchtał do niej, merdając przyjaźnie ogonem, więc poklepała go po łbie. Chwila zatrzymana w czasie. Tylko ona, pies i woda. Żadnych mężczyzn. Żadnych dzieci.

Zsunęła się ze schodów. Na płytszym końcu basenu miała wodę po pas. Ścięta nagłym chłodem gwałtownie wciągnęła powietrze i od razu zanurzyła się razem z głową. Zimno zagarnęło ją całą, objęło ze wszystkich stron, przeniosło w inny wszechświat. Podkurczyła nogi i odepchnęła się od ściany. Kraul. Ulubiony styl. Skupiła się na technice. Na zginaniu i prostowaniu ramion. Łokcie w górze. Głowa nisko, na jednej linii z kręgosłupem. Przechył, oddech. Palce nóg w stronę dna. Po chwili zaczęła mieć kłopoty z oddechem. Ciało doskonale pamiętało sekwencję ruchów, ale płuca straciły kondycję. Po drugiej stronie basenu zrobiła niezbyt czysty nawrót i ruszyła z powrotem. Lewa ręka, prawa, ciało prosto. Ignorowała rwący

się oddech, ból w coraz cięższych ramionach. Trener w college'u mawiał, że nic tak nie przygotowuje do pływania jak pływanie. Miał rację. Dlatego mimo wszystko płynęła.

Pozwoliła ciału znaleźć własny rytm, zgodny z naturą. Słuchała swojego urywanego oddechu, starała się go wyciszyć, poruszać spokojniej, pewniej, efektywniej, racjonować wysiłek, dopasować się do posuwistego ideału, jaki miała w myślach. Całą świadomość skupiła na pracy mięśni, na uderzeniach serca, na gładkim dotyku wody opływającej ciało: piersi, brzuch, pośladki, uda.

Drugi raz dotknęła ściany, tym razem nawrót wyszedł znacznie lepiej. Wystrzeliła naprzód z wyciągniętymi ramionami, po chwili znów weszła w znajomy rytm, aż w końcu odnalazła swoje najwłaściwsze tempo, prześlizgując się przez wodę gładko jak pocisk. Wszystkie myśli skupione wyłącznie na pływaniu, medytacja w ruchu. Znów ściana, nawrót, kolejna długość basenu, jeszcze jedna, zdawałoby się bez wysiłku, jak odrzutowiec, i jeszcze raz, i znów, aż do utraty sił. Wtedy się zatrzymała, serce waliło jej jak młotem, położyła się na wodzie i jakiś czas unosiła bezwładnie na powierzchni. Wreszcie złapała nierówną krawędź grubego kamienia, ustawiła się w pionie, położyła na brzegu ramiona i oparła czoło na dłoniach – wyczerpana, zdyszana, ale znacznie szczęśliwsza, odświeżona, nowa.

Pulpet wstał, szczerknął krótko. Nosem wycelował w żywopłot dzielący ich od Weitzesów. Jill dźwignęła się na brzeg basenu i usiadła. Popatrzyła w kierunku, który wyraźnie wskazywał pies, lecz niczego nie dostrzegła. Na podjeździe u sąsiadów nie było nikogo, osiedle już ułożyło się do snu.

– Cicho – nakazała psu.

Nadal oddychała z trudem.

Pulpet szczerknął głośniejsz raz, potem drugi i trzeci, stale w kierunku żywopłotu. Czyżby ktoś czał się po drugiej stronie? Kucnęła ostrożnie. Ciągle ściekała z niej woda, a brzeg basenu był śliski. Zachowanie psa zaczęło ją niepokoić. Stał sztywno wyprostowany, ze zjezoną sierścią i szczerkał rytmicznie, raz za razem.

Ciągle pochylona, nie bardzo wiedząc dlaczego ukradkiem, zebrała swoje rzeczy i instynktownie się nimi zasłoniła. Czowała się obnażona i bezbronna.

– Pulpet, noga! – rozkazała psu, ruszając w stronę domu.

Możliwe, że popadała w paranoję, ale w tej chwili czuła wyraźnie, że musi koniecznie schronić się w środku. Gwałtownie pchnęła drzwi i wpadła do wnętrza. Wypuściła ubranie z rąk i skryła się za drzwiami, jednak nie mogła ich zamknąć, nie mogła zostawić psa własnemu losowi.

– Pulpet, do mnie! – zawołała, tym razem ze strachem w głosie.

Wreszcie posłuchał. Przybiegł do niej ze stulonymi uszami i podkulonym ogonem. Biegł klusem, wpadł do domu jak strzała. Zatrzasnęła za nim drzwi, zamknęła je na klucz, na zasuwkę i od razu, drżącymi rękami włączyła alarm przeciw włamaniowy. Jeszcze chwilę stała pod ścianą, z dala od okna, ociekająca wodą, nie na żarty przestraszona.

Wiele by dała, żeby się dowiedzieć, co było po drugiej stronie żywopłotu.

## Rozdział 33

– Megan, pośpiesz się, słonko!

Nie chciała się spóźnić na pociąg do Nowego Jorku. Szybkim krokiem szła do samochodu. Ranek był piękny – przejrzysty i słoneczny. Megan wlokła się krok za krokiem ze spuszczoną głową, bo idąc, wysyłała SMS-y. Plecak szkolny i worek z rzeczami na pływalnię zwisały jej ze zgięcia łokcia i obijały się o nogi. Jill otworzyła samochód, ułożyła torebkę, usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik.

– Megan... Chciałabym stąd odjechać jeszcze dzisiaj.

– Mamo, wyluzuj. – Dziewczynka rzuciła swoje rzeczy na podłogę, po czym usiadła, cały czas z telefonem w ręku. – Mamy jeszcze mnóstwo czasu.

– Otóż nieszczęśliwie... – Jill szykowała się do wykładu, ale Megan już wróciła do SMS-owania. – Czy mogę wiedzieć, co się dzieje? Z kim tak intensywnie korespondujesz?

– Nic takiego, tylko z Courtney – odpowiedziała Megan, nie podnosząc głowy.

Jill wyjechała na ulicę. Chwilę później pomachała Janet Baker, która właśnie szła do pracy.

– Aaa... Myślałam, że to bohater z gitarą.

– Nie. – Megan wreszcie podniosła wzrok. Brwi miała ściągnięte. – Mamooo, Sam będzie po południu w domu? Bo słyszałam wczoraj, jak się kłóciliście, a potem on wyszedł.

Jill z zaskoczenia mało nie przyhamowała. Kolejne atrakcje były Megan absolutnie zbędne.

– Nocował w pracowni. Przyjdzie po południu – powiedziała, choć nie miała pojęcia, czy to prawda. Jak dotąd Sam nie dał znaku życia, ona do niego też się nie odezwała.

– On nie lubi Abby.

– Polubi, jak ją pozna.

– Nic z tego. Zobaczysz. Ona się zmieniła. – Megan zerknęła na telefon, z którego dobiegł sygnał oznajmiający przyjęcie SMS-a. – Ja też wolałam ją taką, jaka była dawniej. Chociaż w sumie wiem, że ta dawna ciągle gdzieś jest, no rozumiesz, nie umiem się wysłowić.

– Masz rację. Ona ciągle gdzieś jest.

Auto powoli toczyło się ulicą między samochodami, którymi okoliczni mieszkańcy jechali do pracy, za kierownicą popijając kawę i rozmawiając przez telefon. Mało kto skupiony był na prowadzeniu.

– Trochę się martwię, że stanie jej się coś złego.

– Nic jej nie będzie, kochanie.

– Jak myślisz, czy ona... uciekła?

– Na pewno nie. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. – Jill poklepała córkę po udzie.

– Lepiej pogadajmy o tobie. Jakie plany na dzisiaj?

– Mam sprawdzian z francuskiego.

– O rany! – Jednak zawałiła sprawę. Normalnie uczyły się francuskiego razem.

– Nauczyłaś się?

– Czy Abby uciekła przez Sama?

– Skądże! A w ogóle to nigdzie nie uciekła. Tak jak rozmawialiśmy, może być na przykład z chłopakiem. Robimy wszystko, żeby ją odnaleźć. Victoria poszła na policję, oni się tym zajmą. Nie martw się o Abby.

Megan jakiś czas milczała, zapatrzona w wyświetlacz telefonu.

- Było jej strasznie głupio, że mi zarzygała łóżko. Powinam była być dla niej miłsza. Może wtedy...
- Daj spokój – przerwała Jill córce. Zależało jej, by zdusić tę myśl w zarodku.
- Twoje zachowanie nie ma tu nic do rzeczy. I powtarzam ci jeszcze raz, że nie uciekła. Po prostu nie wiemy, gdzie jest, ale w końcu przecież się dowiemy. Kochanie, bardzo cię proszę, przestań wreszcie o niej myśleć.
- Dobrze. Tylko że jeśli ona zaginęła, to musimy się śpieszyć. – Megan w zamyśleniu kiwnęła głową. – W serialu zawsze przypominają, że największe szanse na odnalezienie zaginionego są przez pierwsze czterdzieści osiem godzin.
- Już ty się tym nie przejmuj – powiedziała Jill z pewnością siebie większą, niż czuła w rzeczywistości.

Telefon Megan zaćwierkał ponownie, lecz dziewczynka zignorowała go, zapatrzona w przednią szybę.

- Wczoraj wyszłam na schody, wszystko słyszałam. A jeżeli ona znowu postanowiła popełnić samobójstwo?

Jill ciężko westchnęła w duchu.

- Przyznaję, raz jej się to zdarzyło. Ale to było dawno temu, teraz Abby nie ma żadnego powodu, żeby próbować się zabić.
- A jednak się o to martwisz. Tak powiedziałś Samowi.

Jill zeszywniała. Przegrywała wymianę zdań z własną córką, jeszcze dzieckiem. Zabrakło jej argumentów.

- To, że ja się martwię – odparła w końcu – nie znaczy, że ty też powinnaś. Doskonale wiesz, że ja się zawsze za dużo martwię.
- Pamiętasz siostrę Josha?
- Abby nie popełni samobójstwa. – Jill aż się wzdrygnęła.

Siostra kolegi z klasy Megan pod koniec podstawówki popełniła samobójstwo. Potem było czuwanie przy świecach i sadzenie drzewa pamięci – wszystko zgodnie ze szkolnym protokołem przeżywania żałoby.

- Ja tam nie wiem – odezwała się Megan – ale ona mogła się zabić. Piła za dużo i w dodatku niedawno umarł jej tata.
- Dość tego dobrego! Nic jej nie będzie, policja ją znajdzie – oznajmiła Jill stanowczo. Bardzo chciała odwrócić uwagę Megan od czarnych myśli, lecz zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe.
- Skoro policja ją znajdzie, to po co jedziesz do Nowego Jorku?
- Pomogę im. – Wcisnęła klakson, bo auto przed nią wlokło się jak ślimak. – Mieszka tam przyjaciel Williama, może on będzie wiedział, gdzie jej szukać. A teraz chciałabym wrócić do sprawdzianu z francuskiego. Z czego jest? Ze słówek?

Telefon Megan zaćwierkał ponownie – przyszedł kolejny SMS i znowu dziewczynka go zignorowała.

- Mamo, słyszałam, co Sam mówił wczoraj wieczorem. Że poświęciłby dla mnie wszystko. Dla mnie, ale dla Abby nie. Tak powiedział?
- Ogólnie rzecz biorąc, tak. – Jill starannie dobrała słowa, żeby nie zdradzić się ze swoją konsternacją.
- Kocham go. – Megan zerknęła na wyświetlacz i tym razem dwoma kciukami błyskawicznie wpisała odpowiedź. – Pogodzicie się?
- Mam nadzieję. – Jill spojrzała na córkę i dostrzegła na jej czole głęboką

zmarszczkę. – O co chodzi?

– O nic. – Megan przycisnęła wargi do aparatu ortodontycznego. Nadal zawzięcie pisała w telefonie. – Kiedy naszym tatą był William, najważniejsza była Abby. Teraz, kiedy tatą jest Sam, najważniejsza jestem ja. W sumie nawet mi się podoba takie bycie najważniejszą.

Jill tylko pokręciła głową. Czy uda jej się wyprowadzić własną rodzinę na spokojne wody? Doskonale radziła sobie w basenie, natomiast układy międzyludzkie przypominały jej ocean pełen wirów i przeciwstawnych prądów, głęboko ukrytych, niewidocznych z powierzchni.

Megan wysłała SMS, podniosła wzrok na matkę.

– Czy to źle, że tak mówię? O tym, że lubię być najważniejsza?

– Nie, to nic złego – odpowiedziała Jill. – Pod warunkiem że to prawda.

Nie spuszczała oka z czerwonego światła.

## Rozdział 34

Wyglądała przez brudne okno taksówki, za którym przesuwał się Manhattan. Samochody osobowe, furgonetki, rowery, posłańcy, kurierzy, piesi – na ulicach kłębił się tłum, na chodnikach królowali turyści z Azji, obwieszeni kolczykami hałaśliwi hipsterzy oraz grupki młodych mężczyzn z fruującymi krawatami, wydmuchujących w powietrze dym papierosowy. Prawie każdy trzymał przy uchu telefon albo coś w nim pisał, wszyscy śpieszyli się, jedli i palili w biegu, żyli w pędzie. Przez okno wciskała się kakofonia dźwięków: klaksonów, krzyków i od czasu do czasu wybuchów śmiechu, wzmocniona basami z jakiegoś radioodbiornika. Jill wyłączyła dźwięk w ekranie zamontowanym w taksówce, skąd napływały stale nowe informacje, bo chciała być sama ze swoimi myślami.

„Wysłałam na schody, wszystko słyszałam”.

Po raz nie wiedzieć który sprawdziła blackberry, lecz nadal nie znalazła wiadomości od Abby. Nie było też czerwonego odsyłacza przy ikonie telefonu, oznaczającego, że nie odebrała jakiegoś połączenia. Od Sama także nie miała żadnej wiadomości. Czy powinna się do niego odezwać? Postanowiła tego nie robić. W pociągu trafiła do wyjątkowo spokojnego i cichego przedziału, więc miała czas pomyśleć. Nie wiedziała, co mu powiedzieć ani co chciałaby od niego usłyszeć. Miała już swoje lata, więc doskonale wiedziała, że gładkie słówka nie załatwią sprawy, gdy ma się do czynienia z poważną różnicą zdań.

„Nie tak powinno wyglądać małżeństwo”, powiedział Sam wczoraj.

Spojrzała w niebo, gdzie blade słońce wisiało jak refleksja. Odwieczna natura przyglądała się miastu. Taksówka skręciła w West Side Highway, sześciopasmową drogę szybkiego ruchu biegnącą wzdłuż rzeki Hudson, nad wodą unosił się śmigłowiec przechylony do przodu jak owad z wielką głową. Po stronie stanu New Jersey wypisany stylizowanymi na stare literami znak głosił LACKAWANNA, kontrastując z nowoczesnym neonem HOTEL W, rozjarzonym czerwonym blaskiem nawet w środku dnia. Powietrze było ciężkie od smrodu śmieci i odoru benzyny. Panowała spora wilgoć, więc Jill nie czuła się najlepiej w dość grubym lnianym żakiecie, granatowym, włożonym na białą bluzkę koszulową. Włosy miała ściągnięte w zwykły koński ogon. Typowa matka wykonująca swoje obowiązki. W rzeczywistości była macochą wykonująca swoje dawne obowiązki. Do tego proste płócienne spodnie. Ubrała się tak, by zrobić odpowiednie wrażenie na portierze.

„A jeśli ona znowu postanowiła popełnić samobójstwo?”.

Zrobiło jej się zimno ze strachu.

Taksówka zjechała z drogi szybkiego ruchu i kilka razy skręciwszy, znalazła się na eleganckich ulicach West Village, gdzie także przewijało się mrowie ludzi. Wreszcie dotarła do Jedenastej Zachodniej. Odcinek przy szykownych szklanych apartamentowcach był wybrukowany i obsadzony wysokimi smukłymi drzewami, zamkniętymi w ogrodzeniach z kutego żelaza, rzucającymi skąpy cień na starannie umyte, miejscami jeszcze mokre chodniki.

– To tutaj – oznajmił taksówkarz.

Jill wyjęła z torebki pieniądze, podała je przez okienko.

– Reszty nie trzeba.

Wysiadła, ruszyła do budynku. Był mniejszy i niższy niż pobliskie wieżowce ze szkła, typowy dom dawnej manhattańskiej elity z ozdobami w stylu art déco wokół wejścia.

Pchnęła drzwi i znalazła się w holu – długim, wąskim, z podłogą z czarnych i białych płytek. Czarne biurko pracownika ochrony flankowały kinkiety z brązu. Portier, wysoki i szczupły biały mężczyzna, miał jakieś sześćdziesiąt lat, kędzierzawe siwe włosy, okulary w metalowych oprawkach i granatową marynarkę, bardzo podobną do zakietu Jill.

- Ładna marynarka – powiedziała Jill, podchodząc bliżej.
- Na pani wygląda lepiej – odparł portier uprzejmie.

Na czarnym identyfikatorze widniało imię MICHAEL, na blacie biurka leżała gazeta „New York Post” otwarta na dziale sportowym.

- W czym mogę pani pomóc?
- Szukam mężczyzny, który mieszka pod tym adresem. Neila Strauba.
- Pan Straub jest nieobecny.

Na taką odpowiedź była przygotowana.

- Kiedy pan go widział ostatnio?
- Przykro mi, nie udzielamy tego rodzaju informacji.
- Zdaję sobie z tego sprawę, jednak sytuacja jest wyjątkowa. Nazywam się Jill Farrow.

Pan ma na imię Michael, jak widzę?

- Tak. Michael Moran. Mike.
- Mike, potrzebuję twojej pomocy. Neil był serdecznym przyjacielem mojego byłego męża, który zmarł w zeszły wtorek. Osierocił dwie córki. Jedna z nich zaginęła, staram się ją odnaleźć.

- Serdecznie współczuję. – Mike najwyraźniej rzeczywiście jej współczuł.
- Jej siostra, Victoria, była tutaj wczoraj, szukała jej i pytała o Neila Strauba.

Przypominasz ją sobie?

- Nie, wczoraj mnie tu nie było, miałem dzień wolny.

Sięgnęła do torebki, wyjęła dwa zdjęcia, które specjalnie na tę okazję wydrukowała.

Pierwsze było najnowszą fotografią Abby, znaną w laptopie Williama.

– Moja pasierbica, Abby Skyler. Widziałeś ją? Istnieje możliwość, że przychodziła w odwiedziny do Neila.

- Hm... – Mike przyjrzał się fotografii z uwagą. – Nie. Nie widziałem tej osoby.

Musisz mieć na względzie fakt, że widuję tu dużo ludzi... mimo wszystko staram się ich zapamiętywać.

- Ale jej sobie nie przypominasz?

– Nie.

– Kto tu pracuje, gdy ty masz wolne?

– Jest nas trzech, pracujemy na zmiany. Ja mam dzienną we wtorki i czwartki, nocne i na weekendy ustalamy oddzielnie.

– Kiedy przyjdzie nocna zmiana?

– Leon będzie o piątej.

– Masz jego numer? Chciałabym do niego zadzwonić.

– Przykro mi, nie mogę go podać.

– A może chociaż adres, żebym mogła odszukać numer telefonu.

– Niestety, nie. – Mike zamilkł na moment. – Chętnie bym ci pomógł, ale nie wolno mi udzielać takich informacji. Zajrzyj o piątej, będziesz mogła z nim porozmawiać.

Jill zastanowiła się przez chwilę. Właściwie nic dziwnego, że portier pracujący za dnia nie widział Abby, skoro nocna zmiana pojawiała się o siedemnastej. Dziewczyna wyszła z domu w sobotę wieczorem, ewentualnie wtedy tutaj przyjechała.

- Jak sądzisz, czy jest szansa, że Neil Straub do tej pory wróci?



- Nie przypuszczam. Dużo podróżuje.
- A co on właściwie robi? Zdaje mi się, że działa w dziedzinie związanej z finansami? Mike się zawahał.
- Tak – przyznał po chwili. – Ale ode mnie tego nie usłyszałaś – zastrzegł się od razu. – Za dużo mówię. Zatrzymaj to dla siebie, dobrze? Potrzebna mi ta praca.
- Jasne, oczywiście.
- Pan Straub jest sympatycznym człowiekiem, a przy tym zasady to zasady. I zarząd traktuje je bardzo poważnie.
- Jaki zarząd?
- Zarząd spółdzielni. Właściciele budynku. – Mike oddał jej zdjęcia, dolne opadło na biurko. Przedstawiało Neila i Williama w okularach przeciwsłonecznych podczas gry w golfa w Pebble Beach. Portier wziął je do ręki. – O, no proszę, pan Straub. Parę lat młodszy, jak widzę.
- Tak, chyba tak.
- Na to wygląda. – Zaśmiał się krótko. – Mam nadzieję, że pozbył się tej koszulki.
- Oddał zdjęcie. – Co to za kolor, ludzie! Różowy?
- Jill poczuła się skołowana. Na zdjęciu różową, a właściwie łososiową, koszulkę miał William.
- Jak to? – zdziwiła się. – Ma granatowe polo.
- Nie, pan Straub ma na sobie koszulkę różową. – Mike wskazał Williama.
- Daltonistą nie jestem.
- Tyle że to nie jest Neil.
- Ależ to on właśnie. – Mike stuknął kilkakrotnie palcem w twarz Williama. – To jest pan Straub.
- Nic podobnego – upierała się Jill. – To z pewnością nie jest Neil Straub. Neil Straub to ten drugi.
- Przecież znam pana Strauba. Ten w różowym to pan Neil Straub.
- Jill wreszcie pojęła. Udało jej się nawet ukryć zaskoczenie.
- Czyli twoim zdaniem Neil Straub i William Skyler to ta sama osoba?
- Nie wiem, o czym mówisz, ale ten w różowej koszulce to Neil Straub. Znam go. Zawsze kiedy się widzimy, zamieniamy kilka słów. Mieszka tu od jakichś trzech lat. Pod 4-D.
- Dziękuję.
- Schowała zdjęcia do torebki. Starła się wziąć w garść.
- William miał drugą tożsamość, prowadził podwójne życie. Tego się nie spodziewała. Był mistrzem przekretnu, prawdziwym artystą w tym podłym fachu, jednak oszustwo tych rozmiarów przekraczało wszelkie granice. Choćby dlatego, że okłamywał własne dzieci. Abby na pewno o niczym nie wiedziała, w przeciwnym razie coś by powiedziała na ten temat.
- W następnej chwili Jill skojarzyła, że podwójne życie Williama może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Abby.
- Przepraszam cię na chwilę. – Mike skupił uwagę na windzie, której przybycie obwieścił melodyjny gong. Drzwi się otworzyły, odsłaniając atrakcyjną kobietę ubraną w piękny biały komplet. W jednej dłoni trzymała torebkę, w drugiej telefon komórkowy, a na rękach miała spore kartonowe pudło.
- Mike, mój drogi – odezwała się do portiera. – Bądź tak miły i pomóż mi z tym pudłem.
- W tej chwili, Belle.
- Mike błyskawicznie przejął od niej pakunek.

– Mike, jedną sekundę! – zawołała za nim Jill. – Kto to jest ten drugi? Ten w granatowym polo?

– Nie mam pojęcia – rzucił Mike przez ramię. – Gdzie zanieść to pudło? – zwrócił się do Belle.

– Na razie postaw na biurku, jeśli mogę cię prosić. – Kobieta rozejrzała się po holu. Wydawała się rozdrażniona. – Jeszcze go nie ma? Coś podobnego! Nie znoszę, gdy klienci się spóźniają.

Jill nie mogła spasować.

– Mike, przepraszam, jeszcze tylko jedno pytanie. Ostatnie.

Portier wrócił do biurka, odstawił pudło na blat.

– Tak? – odezwał się niechętnie.

– Chciałabym porozmawiać z zarządcą budynku.

– Zarządca budynku rozmawia tylko z mieszkańcami – odparł znów chłodnym, oficjalnym tonem.

Tymczasem nieznajoma kobieta uniosła perfekcyjnie zarysowaną brew.

– A w jakiej sprawie, moja droga? Jesteś może zainteresowana apartamentem? To bardzo efektowny budynek, sama tu kiedyś mieszkałam. Pokażę ci mieszkanie naprawdę wyjątkowe. A przy dzisiejszych cenach właściwie za darmo. – Wyciągnęła do Jill zadbaną dłoń. – Jestem Belle Kahan z Prudential.

Jill nie miała nic do stracenia.

– Chętnie obejrzę mieszkanie w tym budynku.

Mike pokręcił głową, ale nie odezwał się słowem.

## Rozdział 35

Jill weszła do dużego, pustego apartamentu o dwóch wysokich oknach wychodzących na Hudson. Nieuważnie objęła wzrokiem imponujący widok, bijąc się z myślami. Nie mieściło jej się w głowie, że William mieszkał tu jako Neil Straub. Miała milion pytań, lecz jedyne, jakie się naprawdę liczyło, dotyczyło Abby.

- Wspaniały widok, prawda? – odezwała się Belle. – Trudno o lepszy.
- Rzeczywiście, niezapomniany – przyznała Jill. – Co może mi pani powiedzieć o samym budynku?
- Jest własnością spółdzielni, organizacji elitarnej, wiarygodnej finansowo. Doskonale zarządzany, mniejszy niż inne przy tej ulicy. Tylko czterdzieści mieszkań. Ma pani już jakiegoś przedstawiciela handlu nieruchomościami?
- Jeszcze nie.
- Wobec tego chętnie podejmę się tej roli. Znam ten dom i w ogóle całe West Village jak własną kieszeń. Teraz mieszkam na Horatio.
- Podoba mi się ten budynek. – Jill pamiętała, że William mieszkał pod numerem 4-D.
- Sprzedawała pani tu też inne lokale?
- Mnóstwo. Kim pani jest z zawodu?
- Lekarzem.

Belle zabłysły oczy.

- O ho, ho! Któż by nie chciał mieć lekarza za sąsiada? Zarząd panią przyjmie z otwartymi ramionami.
- Ciekawe, czym William oczarował zarząd w swojej fałszywej tożsamości.
- Nigdy dotąd nie starałam się o przyjęcie do spółdzielni. Jakie informacje powinienam udostępnić?
- Wszystkie i jeszcze trochę. Zwroty podatkowe i wyciągi bankowe, a na dodatek będą pani potrzebne referencje oraz polecenia od dwóch osób, oczywiście także zaświadczenie od aktualnego najmującego, że nie zalega pani z płatnościami. Czy wynajmuje pani coś w mieście?
- Nie. – Jill nadal nie pojmowała, jak William wszedł do tego elitarnego towarzystwa.
- Czy zarząd jest bardzo skrupulatny? Rozumiem, że nie każdy może tutaj zamieszkać?
- W zasadzie rozumiała coraz mniej. Jakim sposobem zdobył dokumenty bankowe na inne nazwisko?

– Rzeczywiście, nie każdy, ale pani nie będzie miała kłopotów. Tutejszy zarząd nie oszalał na punkcie władzy, jak te przy Upper East. Tutaj panują nieco inne obyczaje. – Belle rozciągnęła w uśmiechu uszmiłkowane wargi. – Widzę, że jest pani zaręczona, ładny pierścionek. Sama się pani wypuszcza na poszukiwania?

- Tak. – Jill udało się uśmiechnąć.
- Wracając do rzeczy: mieszkają tu bardzo mili ludzie. Ponieważ jest ich niewielu, są zaprzyjaźnieni. Na przykład co roku w Święto Niepodległości urządzają wspólne przyjęcie na dachu i razem obserwują pokaz fajerwerków.

Jill przyszła do głowy pewna myśl.

- Któregoś dnia widziałam w holu mężczyznę, który wydał mi się znajomy. Głowy bym nie dała, ale to mógł być mój kolega z college'u, Neil Straub. Wysoki, przystojny. Chyba

mieszka w 4-D.

– 4-D? – powtórzyła Belle w zamyśleniu. – Ach, tak, podnajemca. Nie znam go dobrze. Kilka lat temu sprzedałam ten apartament pewnej parze z Londynu, a oni po jakimś czasie wrócili za ocean. Niewielu jest tutaj podnajemców, zarząd tego pilnuje, bo trudniej ich kontrolować.

– Czy podnajemcy także muszą uzyskać aprobatę zarządu?

– Nie.

To zapewne wyjaśniało, jak William obszedł tę kwestię.

– Już wiem. Wiem, o kogo pani chodzi. – Belle w obłoku kwiatowego zapachu nachyliła się ku Jill. – To kobieciarz. Pod 4-A mieszka moja serdeczna przyjaciółka, dlatego widzimy, co się u niego dzieje. Stale zajęty, rozumie pani, co mam na myśli.

Niestety, rozumiała doskonale.

– Wobec tego nic się nie zmienił.

– Oni tacy już są. Póki mogą, zmieniają kobiety jak rękawiczki.

– Pewnie się nie ożenił.

– Widziałam go kilkakrotnie z tą samą młodą kobietą, ale wątpię, żeby wiedziała o innych.

W tym Jill zgadzała się z nią całkowicie.

– Jak wyglądała?

– Szczupła, młoda blondynka. Co jeszcze?

– Czy wie pani, kim Neil jest z zawodu? Kiedyś pracował w biznesie farmaceutycznym.

– Tego nie wiem, ale na pewno zarabia niemało. Jeździ dużym srebrnym mercedesem.

Wiem na pewno, bo kiedyś zajął moje miejsce parkingowe.

– O, to budynek ma własny parking?

– Tak. Tyle że łączy się to z dodatkowym kosztem. Wtedy ten pani znajomy zajął miejsce przed wejściem, bo coś wypakowywał.

– Gdzie jest garaż? Jak funkcjonuje parking? Czy wszystkie miejsca są numerowane?

– Tak. Są oznaczone numerami mieszkań. Garaż jest na tyłach budynku. Dlatego czasami łatwiej przycupnąć przed wejściem, wystawić bagaże i dopiero potem odstawić wóz do garażu. Chce pani teraz obejrzeć kuchnię?

– Tak, chętnie.

Przez następne pół godziny spędzone na oglądaniu mieszkania, którym nie była zainteresowana, Jill nie dowiedziała się niczego nowego. W końcu pożegnała się z Belle, wyszła z budynku i stanęła na chodniku, układając dalsze plany. Nie było sensu wracać o piątej, żeby porozmawiać z portierem z nocnej zmiany. Nie rozpozna Abby, bo z pewnością jej tu nie było.

Ruszyła do garażu. Minęło ją kilku biegaczy zdążających w stronę rzeki. Ciekawa była, czy znajdzie w garażu samochód Williama. Skręciła w prawo, w West Side Highway, tam panował większy ruch, samochody mijaly ją ze świstem. Znowu skręciła. W połowie długości ulicy znalazła bramę nad podjazdem, który musiał prowadzić do garażu. Obok znajdowała się furtka, więc od razu do niej podeszła. Niestety, okazała się zamknięta. Jill rozejrzała się, by zyskać pewność, że nikt jej nie obserwuje... i nagle spostrzegła czarnego suwa zaparkowanego w rzędzie innych pojazdów na West Side Highway.

Skamieniała. Wyglądał na taki sam jak ślepek, który za nią jeździł. Teraz miał zgaszone reflektory i nie widziała tablicy rejestracyjnej. Słońce migotało na chromowanej kratce chłodnicy, a za kierownicą siedział ktoś, niewyraźna postać w cieniu.

Nakazała sobie spokój. Niemożliwe, żeby ją śledził aż tutaj. Najprawdopodobniej był to po prostu inny samochód. Istniała tylko jedna możliwość, by się o tym przekonać. Jill poszła w stronę wozu.

Nagle silnik zaskoczył z głuchym rykiem, suv się cofnął, kierowca mocno skręcił koła i zaczął wyjeżdżać z miejsca parkingowego.

Jill puściła się biegiem, o mało nie wywinęła orła na nierównych kostkach bruku. To nie mógł być przypadek. Dotarła do rzędu zaparkowanych samochodów akurat w momencie, gdy suv wyjeżdżał na West Side Highway, na pas prowadzący w stronę przedmieść. Miał tablicę rejestracyjną z Pensylwanii: TJU i coś jeszcze.

– Czeka! – krzyknęła Jill, pędząc za nim. – Stop! Ratunku!

Zanim się zorientowała, co właściwie robi, pobiegła za czarnym suvem po West Side Highway.

## Rozdział 36

– Zatrzymać ten samochód! – wrzeszczała wniebogłosy. – Ten czarny! Zatrzymać go! Ludzie patrzyli na nią jak na wariatkę. Biegacze zatrzymywali się, nieruchomieli. Jakiś rowerzysta stanął jak wryty, podpierając się w ostatniej chwili.

Jill gnała co sił. Nogi ciążyły jej coraz bardziej, zaczynały drętwieć. Balerinki kłapały o płyty chodnika.

Suv zmienił pas na środkowy, lecz niewiele mu to pomogło, bo pojazdy przed nim stanęły na czerwonym świetle. Całą szerokością jezdni płynął zwarty strumień pojazdów. W tej części miasta światła sterowały ruchem nieomal na każdej przecznicy, co dawało Jill szansę na dogonienie auta.

Przyśpieszyła. Omal nie staranowała jakiegoś starszego pana wyprowadzającego pudła, jednak ani na moment nie oderwała wzroku od kierowcy suva. Rzucił spojrzenia i w prawo, i w lewo, ciągle obracał głowę na boki. Utknął i świetnie zdawał sobie z tego sprawę.

Z bocznej ulicy wyjechał van jakiejś firmy od przeprowadzek, kompletnie blokując ruch. Światło zmieniło się na zielone, suv i inny samochód zaczęły trąbić.

Jill biegła, była coraz bliżej. Jeszcze tylko pół przecznicy dzieliło ją od suva, po chwili mniej. Van od przeprowadzek usiłował odblokować przejazd, przemieścić się na drugą połowę jezdni, tę prowadzącą w stronę centrum.

Jill jeszcze chwilę pędziła chodnikiem, po czym wyskoczyła na jezdnię. Uniosła rękę.

– Uwaga! Biegnę! – krzyknęła.

Tuż za nią czerwony saturn zahamował z piskiem opon, po czym wściekle zatrąbił. Kierowcy vana i limuzyny odprowadzili ją wściekłym wzrokiem.

Buuu!!! – zawyła syrena półciężarówki.

Jill miała coraz mniej sił. Z najwyższym trudem utrzymywała tempo. Oddech jej się rwał, mięśnie paliły żywym ogniem. Myślała tylko o suwie. Jeszcze osiem samochodów, siedem, sześć. Już prawie. Saturn jechał tuż za jej plecami, rytmicznie wciskając klakson.

Van od przeprowadzek centymetr za centymetrem ustawiał się we właściwą stronę. Suv trąbił nieustannie.

Usiłowała skrócić na środkowy pas, ale jakiś poobijany pikap nie chciał jej wpuścić, zajeżdżając drogę, jakby była samochodem. Miała wrażenie, że płuca jej lada moment eksplodują. Pot zalewał oczy. Torebka objęła się o zebra. Chwyliła ją w dłoń. Była już blisko suva. Dzieliły ich trzy wozy, dwa, jeden...

Nagle van od przeprowadzek odblokował pas. Suv wyrwał do przodu i natychmiast przeskoczył na pas najszybszego ruchu.

Przegrała. On miał przed sobą wolną drogę i oddalał się coraz szybciej. Serce waliło jej jak młotem, nogi miała jak z waty, o mało nie upadła.

Kierowca saturna wychylił się przez okno.

– Spieprzaj z jezdni! – wrzasnął na nią wściekle, wymachując gwałtownie rękami.

W desperacji z całej siły cisnęła w suva torebką. Nawet trafiła. Nagle kierowca mocno skręcił koła, ryzykownie przeciął pas zieleni oddzielający dwa kierunki ruchu i zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Pojechał do centrum.

– Zbieraj się stąd, kobieto! – krzyknął kierowca saturna.

Jill pokuśtykała do krawężnika, tam zgięła się wpół, usiłując złapać oddech. Gdzieś

zawyła syrena policyjna, ale za daleko, żeby policja zdołała jej pomóc. Wyprostowała się akurat na czas, by zobaczyć, jak po jej torebce i schowanym w niej blackberry przejeżdża minivan. Samochody ruszyły żwawiej, policję słyszeć było coraz bliżej. Jill otarła pot z oczu i dostrzegła radiowóz.

Podniosła rękę, żeby policjanci łatwiej ją znaleźli.

## Rozdział 37

Siedziała na krześle przy biurku funkcjonariusza Mulvane'a, który właśnie kończył spisywanie raportu na starym komputerze z brudną klawiaturą. Komisariat w Greenwich Village wyposażony był w identyczne stare biurka, zdekompletowane szafki oraz zaśmieconą tablicę ogłoszeń jak w Filadelfii, z wyjątkiem poruszającej tablicy pamiątkowej w holu przy wejściu, gdzie na marmurowej płycie widniało sześć błyszczących plaketek z brązu, a na każdej nazwisko policjanta, który oddał życie jedenastego września 2001 roku. Jill pochyliła głowę przed tablicą i zmówiła krótką modlitwę.

– To by było na tyle. – Funkcjonariusz Mulvane uderzył w klawisz i po chwili z prymitywnej drukarki, oblepionej naklejkami Yankees, wysunęła się zadrukowana kartka papieru.

Mulvane był potężnie zbudowanym mężczyzną po trzydziestce, miał jasnyniebieskie oczy i rzadziejące blond włosy. Jego usta zdradzały pogodne usposobienie.

Wyjął arkusz z drukarki i podał Jill wraz z długopisem.

– Najuprzejmiej proszę o staranny autograf, pełne imię i nazwisko.

Jill rzuciła okiem na tekst, czyli własne zeznanie, po czym złożyła podpis.

Torebka leżąca jej na kolanach zmieniła się w naleśnik, blackberry poległ śmiercią tragiczną w wypadku drogowym, lecz ona czuła się nie najgorzej dzięki temu, że odświeżyła się w damskiej toalecie.

– I jak to wygląda? – spytała. – Dacie radę mi pomóc szukać Abby?

– Wygląda to następująco. – Mulvane popatrzył na nią spod oka. – Chętnie bym pani pomógł szukać córki... to znaczy, byłej córki... byłej pasierbicy, niestety, to nie nasza jurysdykcja. Skoro pani były mąż został zamordowany w Filadelfii, to sprawa filadelfijska. Jeżeli pani córka zaginęła w Filadelfii, to przypadek filadelfijski. – Podsunął jej zdjęcie Williama z tajemniczym mężczyzną w granatowej koszulce polo. – Oddaję. Żaden z tych panów nie jest nam znany, a tym bardziej poszukiwany. Nie mogę ich poszukiwać jedynie na podstawie zdjęcia.

– Cóż, trudno, dziękuję. – Wetknęła fotografię do płaskiej torebki. – Mimo wszystko... czego tu nie rozumiem. Mój były wynajmował mieszkanie kilka przecznic stąd, używając nie swojego nazwiska, fałszywej tożsamości. Czy w tej sytuacji sprawa nadal nie podlega waszej jurysdykcji?

– Nie ma tu czego dociekać. Byłoby, gdyby pani były mąż popełnił jakieś przestępstwo związane z mieszkaniem. Trzeba jednak pamiętać, że nie każde oszustwo jest przestępstwem.

– Mulvane pozdrowił jakiegoś policjanta przechodzącego obok z radiem podskakującym na biodrze. – Nawet gdyby pani były mąż zawarł umowę z zarządem spółki pod fałszywym nazwiskiem, nie wystarczyłoby to, żeby zaangażować w sprawę nowojorską policję.

– A jeśli się pod kogoś podszywa? Czy to jest karalne?

– Podszywanie się pod inną osobę podlega karze wówczas, gdy ma na celu umożliwienie uzyskania korzyści. Mamy tu takiego, który bez przerwy udaje Roberta De Niro, żeby się załapać na darmowe żarcie. – Mulvane dwoma palcami podniósł do ust styropianowy kubek z kawą. Gdyby go wziął całą dłonią, mógłby przypadkiem zmiażdżyć. – Pani były mąż nie został oskarżony o działania tego typu.

– Czyli musi pan znaleźć powód do działa...



– A nie, nie – przerwał jej policjant. – Nie tylko nie muszę znajdować powodu do działania... – Odstawił kubek. – Wręcz nie wolno mi działać, póki nie ma powodu. Nie rozglądam się za dodatkową robotą, proszę mi wierzyć. I tak nie wiem, w co najpierw ręce włożyć.

– Rozumiem. A co w takim razie z faktem, że ten czarny SUV śledził mnie na West Side Highway?

– Nie ma pani żadnych dowodów na poparcie tego podejrzenia, nie wie pani, czy to był ten sam wóz.

– Tablica rejestracyjna zaczynająca się na literę T nie stanowi dowodu? Ani to, że kierowca przede mną uciekał?

– Szanowna pani. – Funkcjonariusz Mulvane uśmiechnął się współczująco. – Niech pani mnie źle nie zrozumie, ale kiedy panią zobaczyłem, myślałem, że jest pani pijana, naćpana lub niespełna rozumu. Sam wziąłbym nogi za pas. A jeśli chodzi o rejestrację... wiele z nich zaczyna się od litery T.

Jill spróbowała z innej strony.

– A gdybym jako przyjaciółka Neila Strauba doniosła wam o jego zaginięciu? Mieszka parę przecznic stąd. Niepokoję się o niego. Może leży w mieszkaniu martwy? Czy to byłby właściwy przypadek podlegający pana jurysdykcji?

– Tak, gdyby to była prawda.

– To może być prawda. – Dostrzegła cień szansy, jednak Mulvane tylko się skrzywił i ciężko poprawił na krześle.

– Ale nie jest. Zabrałem panią z ulicy, bo myślałem, że ma pani świra na punkcie biegania między samochodami.

– A teraz pan wie, że mam świra na punkcie szukania córki. – Z niemałym trudem rozciągnęła wargi w uśmiechu. – Czy mam wyjść, wrócić za chwilę i opowiedzieć panu nową historyjkę?

– Pani doktor, to nie jest zabawa.

– Wiem. Traktuję sprawę śmiertelnie poważnie. Naprawdę potrzebuję pomocy. Nikt poza mną nie szuka Abby. Doskonale rozumie pan, co czuję, ma pan dziecko. – Wskazała ustawione na biurku zdjęcie w ramce, przedstawiające ślicznego chłopca w stroju baseballisty, z kijem na ramieniu. – Co by było, gdyby po pana śmierci syn został całkiem sam?

– To cios poniżej pasa. – Mulvane miał nietęgą minę.

Jill uświadomiła sobie, że policjanci rzeczywiście nie wiedzą, czy po pracy wrócić do domu, o czym świadczyła choćby tablica pamiątkowa w holu. Zrobiło jej się wstyd.

– Bardzo pana przepraszam. Czasem szybciej mówię, niż myślę.

– Dobrze już, nie ma sprawy. – Mulvane westchnął ciężko. – Niech będzie, wygrała pani. Jest coś, co można zrobić w tych okolicznościach.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała Jill szczerze.

## Rozdział 38

– Siedzą tam całą wieczność! – westchnęła Jill poirytowana, rzucając spojrzenie Mike'owi.

Niespokojnie krążyła po holu, czekając na funkcjonariusza Mulvane'a i jego kolegę, którzy razem z Ivanem Ronavicem, administratorem budynku, łysym gburowatym chuchrem, poszli do mieszkania 4-D.

– Bez przesady. Uspokój się. – Mike podniósł na nią wzrok znad gazety. – Minęło dopiero dwadzieścia minut. Na pewno niedługo wrócą.

– Wolałabym być z nimi.

– Słyszałaś, co powiedzieli. Nie ma mowy. Nawet policjanci nie wejdą do mieszkania, muszą zaczekać przed drzwiami, aż mój szef sprawdzi, co się dzieje w lokalu.

– Ivan jest twoim szefem?

– Jasne. – Mike zachichotał. – Tak go zasypałaś pytaniami, że o mało cię nie udusił. Jill prychnęła, nie kryjąc pogardy.

– Znam chirurgów o mniejszym ego.

Tym razem Mike zaśmiał się głośno.

– On ciebie też niespecjalnie polubił.

– Chyba umrę z żalości. Powinam go spiknąć z moją szefową, z Sheryl.

– Masz szefową? – Mike ciekawie przekrzywił głowę. – Przecież jesteś lekarzem.

Lekarze pracują samodzielnie.

– Też mi się tak kiedyś zdawało. – Jill machnęła ręką. – Widziałeś tamto mieszkanie, prawda?

– Tak.

– Jak wygląda?

– Nie wolno mi opowiadać. Już dosyć nadstawiałem dla ciebie karku jak na jeden dzień.

– Wybacz. – Naprawdę czuła się winna. – Napiszę do Ivana list z przeprosinami.

– Bez przesady. Czasem dobrze jest trochę namieszać. Za spokojnie się tu zrobiło ostatnio.

– Co tam się dzieje? – zastanowiła się na głos, wznosząc oczy ku górze.

Usiadła na wyściełanej ławie. Ledwo panowała nad nerwami. Bez blackberry czuła się kompletnie odcięta od świata. Może dzwoniła Abby? Albo Victoria? Czy Sam wrócił do domu? Megan mogła dostać kolejnego napadu paniki... A co z badaniami krwi Rahula? Zerwała się na równe nogi, znów zaczęła chodzić po holu tam i z powrotem.

– Już są – powiedział Mike.

Odezwał się gong windy. Jill znalazła się przy niej w chwili, gdy stalowe drzwi rozsunęły się na boki, wypuszczając administratora oraz dwóch funkcjonariuszy: Mulvane'a i Yokimurę, jego gadatliwego młodszego partnera.

– I co? – spytała.

– Nic niepokojącego – rzekł Mulvane. – Pani córki z pewnością tam nie ma.

Wszystko w porządku, czysto jak w pudełeczku.

– Co pan widział? Jak wygląda to mieszkanie?

– Jak typowe mieszkanie mężczyzny.

– A konkretnie: bogatego mężczyzny – uściślił Yokimura.

Mulvane powstrzymał się od komentarza.

– Nie ma tam nic podejrzanego – dodał. – Administrator rozejrzał się dokładnie, odpowiedział na nasze pytania i udzielił nam wszelkich niezbędnych informacji. Mieszkanie jest sprząnięte. W lodówce tylko woda i piwo. Na stole gazety i rachunki.

– Na jakie nazwisko?

– Neil Straub.

– I żadne inne?

– Żadne.

– No, jeszcze na „Aktualny najemca” – uściślił Yokimura z kamienną twarzą.

– Jakieś oficjalne pisma z jego firmy?

– Administrator takich nie zauważył.

– Jaką datę ma najstarsza korespondencja? Albo najstarsza gazeta?

– Mniej więcej sprzed tygodnia. Na to administrator zwrócił uwagę.

Jill obróciła się do Ivana Ronavica, który podszedł do stanowiska portiera.

– Bardzo pana proszę, niech mi pan powie coś więcej o lokatorze. Coś z informacji, jakie dostarczył, ubiegając się o podnajem.

– Nie mogę. – Administrator zacisnął usta. Zdawał się ginać w błękitnym kombinezonie, miał ciemne, smutne oczy. – Jak już pani powiedziałem, wykonuję polecenia prezesa zarządu. Bez nakazu nie wolno mi udzielać żadnych informacji.

– Neil Straub jest tylko podnajemcą.

– To bez różnicy.

Odwróciła się z powrotem do Mulvane’a.

– Nakazu nie dostaniemy?

– Nie. Brak podejrzeń. Brak przestępstwa. Brak jakichkolwiek przesłanek.

Jill wiedziała, kiedy się wycofać.

– Czy widział pan może – zwróciła się ponownie do administratora – jakieś dowody na to, że mieszka z nim kobieta? Damskie drobiazgi w łazience, w apteczce? Biżuterię? Ma dziewczynę, blondynkę, chciałabym wiedzieć, jak ona się nazywa.

Funkcjonariusz Yokimura uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie zna piekło straszliwszej furii niż wściekłość zawiedzionej kobiety, co?

Ponieważ administrator milczał, spojrzała na Mulvane’a.

– Pan coś wie na ten temat?

– Rzeczywiście, administrator widział przedmioty należące do kobiety. Na przykład ubrania w szafie. – Funkcjonariusz Mulvane także podszedł do stanowiska portiera. – Mike, jak jest z dostarczaniem poczty na górę?

– Jeżeli nasz mieszkaniec akurat przebywa poza miastem, zanosimy mu pocztę co kilka dni. Zwłaszcza panu Straubowi, ponieważ często go nie ma i zapycha mu się skrzynka. Zwykle mniej więcej dziesięć procent mieszkań jest pustych. Nasi lokatorzy mają domy na Florydzie albo za granicą... Do nas należy utrzymanie porządku. Zanosimy na górę przesyłki z pralni chemicznej, podlewamy kwiaty... Wypełniamy najróżniejsze polecenia.

– Fajne zajęcie! – zaśmiał się Yokimura.

– Kiedy ostatnio pan Straub był u siebie? – spytał Mulvane.

Mike otworzył księgę leżącą na biurku.

– Zajrzałem do wpisów pod waszą nieobecność. To był zeszły poniedziałek, o godzinie dziesiątej dwadzieścia. Akurat ja miałem zmianę, zastępowałem Enrique’a. Pan Straub nie powiedział, kiedy zamierza wrócić.

Jill stężała. Poniedziałek. Dzień przed śmiercią Williama. Neil Straub nie wróci, ponieważ

William nie żyje.

– Był sam? – spytała.

Mike się zawahał.

– Czy był sam? – powtórzył funkcjonariusz Mulvane.

– Tak.

Mulvane poklepał biurko, jakby się z nim żegnał.

– Dziękujemy za pomoc.

Jill zastąpiła mu drogę.

– Jeszcze jedno, bardzo proszę. Sprawdźmy garaż, dobrze? Zobaczymy tylko, czy jest jego samochód. – Prosiła o to wcześniej, ale nie miała pewności, czy nie zapomniał. – Neil Straub jeździ srebrnym mercedesem. Do garażu musi nas wpuścić administrator.

Ivan Ronavic był wyraźnie rozdrażniony.

– Straszna z pani jędza – wyrwało mu się.

– Nie przesadzajmy. – Jill uśmiechnęła się słodko. – Ale jeśli jest pan singlem, chętnie pana z jedną zapoznam.

## Rozdział 39

Szli przez mroczny garaż, mijając kolejne ekskluzywne samochody, chromowane zderzaki połyskujące w świetle żarówek rozmieszczonych pod sufitem. Na betonie wymalowano odbłaskową farbą kolejne numery. Minęli już 4-B. Mulvane idący przodem z Yokimurą odwrócił się do Jill.

– Pani oczywiście rozumie, że nie możemy przeszukać samochodu bez nakazu.

– Tak. Oczywiście. Chcę tylko zobaczyć, czy jest.

– Doskonale. Wobec tego wszystko jasne.

– To tutaj. – Administrator zatrzymał się i wskazał brzęczącym kółkiem z kluczami srebrnego mercedesa na jednym z miejsc parkingowych należących do lokalu 4-D. Drugie było puste. Samochód miał rejestrację nowojorską, JU 5359. Jill wyjęła z torebki długopis, który dostała od Mulvane'a, i na skrawku papieru zapisała ciąg znaków. Gdyby miała telefon, zrobiłaby zdjęcie...

– Skończyliśmy? – burknął administrator.

– Tak, bardzo dziękuję – odpowiedziała, lecz równocześnie podeszła do wozu i zajrzała do środka.

Czysto i schludnie. William zawsze utrzymywał porządek w samochodzie.

Przypomniała sobie też, że miał zwyczaj chować zapasowe kluczyki pod zderzakiem.

Mulvane zajrzał do wozu od drugiej strony.

– Pięknie... – ocenił.

– Przepięknie! – poprawił go Yokimura.

Jill myślała gorączkowo.

– Bardzo panom dziękuję. Naprawdę, jestem ogromnie wdzięczna, że poświęciliście mi tyle czasu.

– Nie ma sprawy. – Funkcjonariusz Mulvane położył jej dłoń na ramieniu.

– Powodzenia w poszukiwaniach córki. Wszystko będzie dobrze, przekona się pani.

– Mam nadzieję.

– To może chodźmy wreszcie – wtrącił się administrator. – Polowanie na duchy skończone, a ja mam co robić.

Ruszyli za nim w powrotną drogę. Jill została o krok z tyłu. Obluzowała samoprzylepny podpiętek w jednym bucie.

– Aj, kamyk – mruknęła pod nosem. Zdjęła but.

Administrator doprowadził ich do drzwi, otworzył je i przytrzymał od zewnątrz.

Yokimura przeszedł jako drugi, natomiast Mulvane, niestety, postanowił szarmancko przepuścić Jill.

– Panie przodem – oznajmił z uśmiechem.

Niedobrze. Musiała szybko coś wymyślić.

– Ach, do licha! Miałam nadzieję, że sobie pana obejrzę od tyłu w świetle dnia...

– Jest na co popatrzeć! – zaśmiał się Mulvane. – Niech pani o tym wspomni mojej żonie.

– Na pewno wie, co dobre. No, niechże pan się pochwali!

Funkcjonariusz Mulvane przeszedł przez drzwi, zabawnie kołysząc biodrami, a Jill wykorzystała ten moment, by przykleić podpiętek do framugi w miejscu, gdzie miał

zablokować zatrask, i sama zamknęła za sobą drzwi.

– Jestem naprawdę wdzięczna za pomoc – powiedziała, gdy skierowali się w stronę West Side Highway.

– Nie ma sprawy. Córka na pewno wróci wcześniej czy później. Rany, w jej wieku potrafiłem dać starszkom do wiwatu. Powodzenia, pani doktor. – Dotarli do rogu ulicy.

Jill pomachała im na pożegnanie.

– Do zobaczenia! I jeszcze raz dziękuję!

– Wszystkiego dobrego! – odkrzyknął Mulvane.

We trzech skręcili w lewo i zniknęli jej z oczu.

Czekała jeszcze chwilę, aż zobaczyła wóz policyjny wracający na posterunek.

Pomachała im ostatni raz i biegiem zawróciła do garażu. Szarpnęła drzwi – otworzyły się bez kłopotu. Odkleiła podpiętek z framugi i śpiesznie ruszyła do srebrnego mercedesa. Nie wiedziała, co tam ewentualnie znajdzie, jednak nie mogła wrócić do domu, nie sprawdzwszy.

Przy samochodzie kucnęła i wymacała pod zderzakiem pudełko. Wyjęła z niego spory czarny klucz, wycelowała nim w bagażnik i wduśła przycisk. Cwierknął alarm i zamek odskoczył. Otworzyła bagażnik, zajrzała do środka. Nic. Był wielki i czyściutki, jakby w ogóle nieużywany. Obmacała wykładzinę miejsce przy miejscu, by się upewnić, że nikt tam nic nie schował. Zamknęła bagażnik, przemknęła do drzwiczek i wsunęła się na miejsce kierowcy. W samochodzie było jeszcze ciemniej niż w garażu, jednak nie chciała zapalać światła.

Obejrzała wewnątrz uważnie. Czystość aż biła w oczy. Wyczuwało się delikatny zapach Armor All, ekskluzywnych kosmetyków samochodowych, które dla Williama były jak fetysz. Zajrzała do kieszeni na drzwiczkach. Znalazła tylko paczkę gumy do żucia. W podłokietniku między siedzeniami – chusteczki higieniczne oraz granatową plastikową okładkę, w niej dowód rejestracyjny i ubezpieczenie. Oba wystawione na nazwisko Neil Straub i z jednakowym, tutejszym nowojorskim adresem. Przyjrzała się podpisowi. „Neil Straub”, owszem, ale to bez wątpienia był charakter pisma Williama. Wsunęła dokumenty do swojej spłaszczonej torebki, po czym sięgnęła do przodu w prawo i wduśła przycisk otwierający schowek na rękawiczki. Tam dostrzegła zimny błysk metalu. Pistolet.

Wyjęła go z mieszanymi uczuciami. Nigdy dotąd nie miała w rękę broni. Spluwa była czarna, wyglądała groźnie. Rękojeść miała szrafowaną, na tle przecinających się linii widniało logo z trójzębem, a pod spodem napis „Beretta”.

Jeszcze niedawno byłaby gotowa zarzekać się na wszystkie świętości, że William nie ma nic wspólnego z bronią, a tu okazuje się, że dysponował co najmniej dwoma pistoletami. Do czego mu były potrzebne?

Intuicja podpowiadała jej, że podwójne życie nie pozostało bez wpływu na to, co się z nim stało, więc modliła się tylko, by Abby nie oberwała rykoszetem.

Odłożyła broń na miejsce. Oprócz niej w schowku znajdowała się jeszcze opaska instrukcja obsługi, nic szczególnego. Obróciła się na siedzeniu i popatrzyła na tylne fotele. Kompletnie nic. Podobnie na podłodze. Wobec tego przyjrzała się uważnie desce rozdzielczej, pyszniącej się opływowymi przyciskami. Wtedy przyszła jej do głowy pewna myśl. Wetknęła kluczyk w stacyjkę i przekręciła, budząc do życia elektronikę.

Na jednym z przycisków widniały podświetlone czerwoną diodą litery GPS. Gdy ich dotknęła, na wyświetlaczu pojawił się ekran startowy. „Wprowadź adres”. Przewinęła dalej, aż do: „Adresy zapamiętane”, wybrała tę opcję. Nic. Żadnego adresu, nawet pod hasłem „Dom”.

Dobre sobie! William kochał wszelkie gadzety, niemożliwe, żeby nie używał nawigacji. Spojrzała na licznik rejestrujący przebieg wozu. Prawie czterdzieści dziewięć tysięcy

kilometrów. I przez cały ten czas miałby ani razu nie skorzystać z nawigacji?! Przeszła do „Ostatni punkt docelowy”. Zaakceptowała. „Brak”.

Zamyśliła się. Na pewno istniał jakiś sposób na wyczyszczenie pamięci systemu nawigacji i najwyraźniej William to zrobił. Zachodziła jednak w głowę dlaczego. Jakoś nie mogła nic wymyślić. Siedziała, myślała, starała się spokojnie oddychać.

Pociągnęła nosem nieco mocniej. Zaraz. Oprócz zapachu Armor All czuć było coś jeszcze. Jakaś inną woń, wyraźnie słodsza. Czyżby przyjaciółka...?

Przesunęła się na siedzenie pasażera, opuściła osłonę przeciwsłoneczną z lusterkiem. Nikt tam nic nie zatknął. Sprawdziła wobec tego kieszeń na drzwiach pasażera i tu wreszcie trafiła w dziesiątkę. Coś tam było, tylko w bladym świetle garażu nie potrafiła stwierdzić, co to jest.

Wygarnęła wszystko i rozłożyła na kolanach. Szminka od Laury Mercier, zalotka do podkręcania rzęs, czarna tubka pachnącego fiołkami kremu do rąk i biała plastikowa siatka z Sephory.

Otworzyła tę siatkę. Więcej kosmetyków już nie znalazła, na samym dnie został jednak paragon. Wyjęła go, przeczytała. Zawierał listę drobiazgów kosmetycznych, wyraźnie kupionych w biegu. Opiewał na sumę stu trzydziestu sześciu dolarów i dziewięćdziesięciu ośmiu centów. Pod paragonem znajdował się cienki jak bibułka dowód płatności kartą Visa, kopia dla klienta.

Podpisany na dole równym, czytelnym pismem: Nina D'Orive.

## Rozdział 40

Jill wysiadła z taksówki przy Penn Station. Uważnie przyglądała się pojazdom i ludziom pełnącym przez godziny szczytu. Jeżeli czarny SUV jechał za nią do mieszkania Williama, mógł ją śledzić również tutaj. Wolno przesuwiała wzrokiem po taksówkach, limuzynach, vanach i zwykłych samochodach osobowych. Wypatrzyła trzy czarne SUVy, jednak nie zdołała się przyjrzeć żadnemu z trzech kierowców i to psuło jej humor. Co gorsza, nie posunęła się nawet o krok w poszukiwaniach Abby, a na domiar złego to, czego się dowiedziała o Williamie, tylko potwierdzało dotychczasowe obawy.

Weszła w tłum wpływający w czeluście dworca i po chwili znalazła się na schodach ruchomych. Biegiem pognęła do kasy, niestety, przed okienkiem stała długa kolejka. Pomknęła wobec tego do automatu, wciąż podejrzliwie rozglądając się na boki. Nie spodobał jej się pewien tęgi mężczyzna w garniturze pękającym w szwach na opasłych ramionach, luzacki hipster w ogromnych czarnych okularach i z pokrowcem na gitarę, młoda kobieta w swetrze zbyt grubym jak na tę porę roku, która zdawała się obserwować każdy jej ruch.

Nie wiedziała, kogo podejrzewać, dlatego podejrzewała wszystkich, aż w końcu przyszło jej do głowy, że może ją śledzić więcej niż jedna osoba. Może nad nią pracować cały zespół. W zasadzie nawet musi. Jednej osobie nie udałoby się niezauważenie podążać za nią z parkingu na dworcu do pociągu, a potem do apartamentowca.

Gdy czekała na wydrukowanie biletu, zerknęła przez ramię, lecz akurat wtedy ludzie nagle zaczęli się rozchodzić w trzy różne strony, przegrupowując się szybko, całkiem jak ławica tropikalnych ryb.

– Ekspres Acela do Waszyngtonu – zabrzmiało z głośnika – zatrzymuje się w Newark, Princeton, w Filadelfii Północnej, w Filadelfii...

Wraz z tłumem przecisnęła się przez ludzki lejek, gdzie każdy z pasażerów okazywał bilet konduktorowi. Weszła na schody ruchome za jakąś staruszką, po chwili znalazła się w trzewiach dworca, gdzie śpiesznie wskoczyła do pociągu i zajęła pierwsze wolne miejsce, obok innej starszej kobiety, która natychmiast wyjęła robótkę.

Położyła torebkę na kolanach i zapatrzyła się w okno. Dopóki pociąg stał na peronie, widziała głównie półmrok rozedrgany od mrocznych cieni. Zamknęła oczy. Była zmęczona. Za dużo nerwów, kombinacji, strachu. Pod powiekami zobaczyła twarz Abby.

Może wreszcie zadzwoniła. Do niej albo do Victorii. A może w końcu wróciła do domu.

Pociąg ruszył. Jill nie czuła się na tyle bezpiecznie, by sobie pozwolić na drzemkę, lecz nie otwierała oczu. Mogła przynajmniej odpocząć. Wagon kołysał się łagodnie.

W pewnej chwili uchyliła powieki i zorientowała się, że sama nie wiedząc kiedy, oparła głowę na dłoni. Gwar rozmów przycichł, jakby się oddalił.

Wróciła pamięcią do dawnych czasów, zobaczyła w wyobraźni Abby młodszą, z aparatem ortodontycznym na zębach, uśmiechniętą od ucha do ucha. Po chwili Abby zmieniła się w Megan, ta z kolei w Rahula, aż w końcu wszystkie dzieci złąły się w jedno, były całe, zdrowe i szczęśliwe, bezpieczne, wolne od chorób i groźby śmierci, utulone w jej ramionach, kołysane do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu...

Po minucie spała jak zabita.



## Rozdział 41

Dom stał cichy i wyludniony, tylko Pulpet, jak zawsze, powitał ją wesołym poszczekiwaniami. Wiedziała, że Sam też jest w domu, bo jego samochód stał na podjeździe.

Szkoda, że nie wyszedł się przywitać.

– Wróciłam! – zawołała z nadzieją.

– Jestem na górze! – odkrzyknął.

– Zaraz przyjdę!

Odetchnęła z ulgą, że znowu z sobą rozmawiają. Odłożyła torebkę i klucze, poklepała Pulpetę po kosmatym łbie, po czym wpadła do kuchni. Musiała jak najszybciej sprawdzić wiadomości.

Od razu podeszła do telefonu stacjonarnego zamontowanego na ścianie, podniosła słuchawkę i wstukała kod pozwalający odsłuchać wiadomości. Wszystkie były od telemarketerów. Nic od Abby ani od Victorii. I nic od pacjentów. Odwiesiła słuchawkę, podeszła do laptopa, poruszyła myszą, żeby go wytrącić ze stanu uśpiania, po czym zalogowała się do skrzynki poczty elektronicznej i szybko przejrzała korespondencję. Tutaj to samo: nic od Abby, nic od Victorii. Były natomiast dwa listy od pacjentów. Przeczytała je pobieżnie, uznała, że mogą kilka chwil poczekać. Sprawdziła jeszcze, czy przysły wyniki badania krwi Rahula, jednak ich nie znalazła, co zaczynało ją martwić. Na wtorek, czyli na jutro, była umówiona z Padmą.

Ruszyła na piętro, nie mogąc się doczekać rozmowy z Samem. Nie wiedziała, jak zareaguje na jej sensacyjne wieści o podwójnym życiu Williama, nie miała jeszcze ułożone, jak w ogóle mu o tym powie. Uświadomiła sobie równocześnie, że nie czuła się tak sztucznie i sztywno na myśl o rozmowie z Samem od lat, od czasu pierwszej randki.

Szła schodami pogrążona w myślach.

Wtedy, tamtego roku, wreszcie ponownie zaczęła się spotykać z mężczyznami, ale trafiały jej się tylko fatalne randki w ciemno, dosłownie jedna porażka za drugą. Chodziła na nie z wysoko uniesioną głową, dumnie znosiła spotkania z mężczyznami, którzy okazywali się nałogowymi pijakami albo byli wciąż jeszcze zakochani w swoich byłych partnerkach, albo oczekiwali seksu na pierwszej randce, skoro przecież wszyscy zainteresowani są dorośli. Niewiele już brakowało, żeby straciła odwagę i nadzieję. Któregoś dnia umówiona na kolejne spotkanie weszła do restauracji jak zwykle nieco wcześniej i zobaczyła Sama czekającego przy stole. Miał zwykły jasny krawat, który stanowił znak rozpoznawczy, i rozpałił w niej iskrę nadziei, bo czekając na nią, czytał książkę.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała odruchowo, zsuwając torebkę z ramienia. Powiesiła ją na oparciu krzesła i wyciągnęła do Sama rękę, jak na rozmowie o pracę.

Uśmiechnął się, wstał i uściśnął jej dłoń.

– Nie spóźniłaś się. To ja przyszedłem za wcześnie. Zawsze przychodzę za wcześnie.

Ona także uśmiechnęła się w odpowiedzi, usiadła niezgrabnie, po czym dostrzegła tytuł książki. *Popiół i żar* Franka McCourta. Jedna z jej ulubionych powieści.

– Uwielbiam tę książkę.

– Ja też. Czytam ją kolejny raz, jest świetnie napisana. I przypomina mi, ile mam szczęścia w życiu. Oraz o tym, ile może przetrwać człowiek.

Jill miała dokładnie takie same odczucia przy lekturze, ale tego nie powiedziała, żeby nie

przesadzić z lukrowaniem.

– Tak w ogóle to cześć. Pracujesz przy badaniach cukrzycy? To godne podziwu.  
– Dziękuję. – Sam zamknął książkę i odsunął ją na bok. – Rzeczywiście to godne podziwu, ale ja nie patrzę na swoją pracę w ten sposób. Nie chcę być definiowany przez swoje zajęcie, po prostu staram się dobrze robić to, co do mnie należy, czyli pokonać chorobę współczesności.

– A co konkretnie robisz?

Znowu poczuła się dziwnie, chociaż Sam patrzył na nią z niekłamaną sympatią.

– Badam nie tyle cukrzyce, ile ludzi. Żeby im pomagać zwyciężać chorobę, żeby pewnego dnia mogli znowu żyć szczęśliwie i zdrowo. Każdy zasługuje na taką szansę. A już na pewno na przeżycie.

Jill pokiwała głową.

– Jak w tej książce.

– Właśnie! – Zamrugął zdziwiony. – Nie przyszło mi to do głowy. Dziękuję za odpowiedź.

Uśmiechnęła się, mile połączana.

– Po to są książki, moim zdaniem. I dlatego uwielbiam czytać. Z książką w rękę jestem bliżej siebie samej.

– Ale też bliżej innego człowieka. – Sam również się uśmiechnął, po czym zaśmiał głośno i wyraźnie poczerwieniał. – Zaraz, chwileczkę, ja do niczego nie piję. Mam nadzieję, że to nie zabrzmiało dwuznacznie.

– Nie, wcale – zapewniła go Jill szczerze.

Nie dodała, że całkiem jej się spodobał wydźwięk tych słów, obudził w niej dreszczyk, cień emocji. Był to promyk zbyt słaby, żeby ogrzać serce, lecz wystarczający, by je napełnić światłem.

Tak też od tamtej pory zaczęła myśleć o Samie i promieniu światła dla niej pozostał. Tak było, jest i będzie. Na zawsze.

Stanęła w progu sypialni.

Na łóżku leżała czarna walizka z kółkami, trochę przypominała otwartą książkę. Była w połowie wypełniona złożonymi ubraniami, obok stały buty. Sam się pakował.

Jill ugrzęzła w progu, jakby nie była tu u siebie.

– Co się dzieje? – spytała, z trudem przepychając słowa przez gardło.

– Wyjeżdżam do Cleveland. – Sam podniósł na nią chłodne, trochę nieobecne spojrzenie. Nadal był w służbowym stroju, w niebieskiej koszuli od garnituru i dockersach, tylko rozluźnił krawat. – Lee zachorował, muszę mu pomóc w prezentacji tematu.

– Aha. – Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. – Czyli jedziesz na konferencję. Kiedy wrócisz? Jutro? Pojutrze?

– Nie. – Sam podniósł z podłogi kapeć, włożył go do torby. – Zajrzę przy okazji do Stevena.

– Wybieramy się do niego w weekend.

– Dajże spokój. – Zrezygnował z upychania kapcia i wreszcie spojrzął jej w oczy.

– Oboje wiemy, że nie pojedziesz do Austin, jeżeli Abby się nie znajdzie, a zakładam, że na razie się nie znalazła, bo w przeciwnym razie byś do mnie zadzwoniła. Mam rację?

– Rzeczywiście, jeżeli się do weekendu nie znajdzie, byłoby mi trudno...

– Tak sądziłem. Dlatego uznałem, że nie ma sensu wracać do domu na jedną noc.

Tylko po to, żeby potem samemu jechać do Austin. – Zapiął czarną siatkę na butach.

– Megan jest u Courtney. Dzwoniła do ciebie, ale nie odbierałaś, więc pozwoliłem jej

przenocować u przyjaciółki. Uznałem, że tak będzie najsensowniej, skoro muszę wyjechać.

– Mój telefon nie działa.

– Bywa i tak. – Zamknął wieko walizki, po czym zasunął zamek błyskawiczny.

Nie wiedzieć czemu, ten dźwięk zawsze brzmiał nieprzyjemnie.

– Sam, przepraszam. To całe wariactwo z Abby... dowiedziałam się, że William prowadził podwójne życie, w Nowym Jorku był kimś innym, stworzył fałszywą tożsamość.

– No proszę. – Wziął dwie powieści oraz elektroniczny czytnik tekstów naszykowane na łóżku i wsunął w zewnętrzną kieszeń walizki. Tę także zamknął starannie na suwak.

– Rozmawiałam w Nowym Jorku z policją, ale...

– Dość, wystarczy. – Zdjął walizkę z łóżka, ustawił ją na podłodze, po czym strzepnął kołdrę. – Muszę zdążyć na samolot. Wolałbym, żeby ostatnim tematem naszej dzisiejszej rozmowy nie był twój eksmaż.

– Dobrze. – Jill poddała się zrezygnowana. – Widzę, że nadal jesteś zły.

– Nie jestem zły, tylko nieszczęśliwy. – Umilkł na moment. – W dobrym momencie trafiła się ta konferencja, nie uważasz? Nie zmarnujmy okazji i wykorzystajmy ten czas na przemyślenia. Mamy kłopoty.

Jill nie spodobało się takie postawienie sprawy.

– Nie mamy.

– Ależ owszem. – Chwycił walizkę i ruszył do drzwi. W drodze cmoknął Jill w policzek. – Abby spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Zastanówmy się oboje, czego oczekujemy od przyszłości.

– Nie do końca rozumiem.

– Kochanie, przerabialiśmy to już nieraz. – Sam odstawił walizkę.

– Nadal jesteście zaręczeni?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Może byś sama odpowiedziała sobie na to pytanie? Ja też tak zrobię i potem o tym porozmawiamy?

Miała ochotę się rozplakać, chociaż nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego. Ze złości? Zawodu? Ze strachu czy ze smutku? A może ze wszystkich tych powodów naraz.

– Poważnie?

– Poważnie.

– A co z Megan?

– Nie musi nic wiedzieć. Nie mów jej.

Poczuła gorycz w ustach.

– Nie możemy mieć odmiennych opinii bez zrywania?

Sam wziął walizkę.

– Nie zajedziemy daleko, jeśli nie osiągniemy porozumienia.

– I będziesz mnie karał, póki się z tobą nie zgodzę.

– Czy ja cię karzę?

– Zostawiasz mnie, odchodzisz.

– Nie, nie, nic podobnego. Muszę załatwić pewną sprawę, podobnie jak ty. Przyznam szczerze, moja sprawa wygląda mi na znacznie bardziej sensowną. I rzeczywiście, nie odpowiada mi rola pieska pokojowego czekającego w domu na powrót pani.

– Nie jesteś taki.

– Nie jestem, ale ostatnio musiałem się tak zachowywać. – Ruszył do wyjścia.

Jill poczuła gniew.

– Ja tego nie oczekuję.

– Ależ wręcz przeciwnie. – Sam, już na schodach, przed rzędem swoich fotografii

przedstawiających szczęśliwe chwile, odwrócił się jeszcze na moment. – Wynika to logicznie z twego zachowania. Trudno pokazać to wyraźniej.

Jill nagle poczuła się zmęczona rozmową w pseudobadawczym żargonie.

– Życie nie jest eksperymentem przeprowadzanym w kontrolowanych warunkach.

– Wobec tego musisz wybierać.

– Jak to?

– Zdecyduj teraz, od razu. Ja mogę ci powiedzieć, z całkowitą pewnością i absolutnym przekonaniem, że nie zamierzam zostać ojcem Abby. W najmniejszym stopniu.

– Na razie jej nie ma. Zaginęła. Trzeba ją znaleźć. Czy możemy rozmawiać o teraźniejszości?

– Czy możemy zaplanować przyszłość? – Sam ściągnął brwi. – Zastanów się, jak będzie wyglądało twoje życie, gdy ona wróci... albo ją odnajdziesz. W jaki sposób chcesz jej zastąpić matkę i ojca. Jak zamierzasz wyprowadzić na prostą drogę dziewczynę, która wyraźnie się pogubiła, która już raz usiłowała się zabić. Proszę, zdecyduj teraz. Którą rodzinę wybierasz?

– Dlaczego w ogóle mam wybierać? – spytała Jill załamana.

– Właśnie wybrałaś – odpowiedział Sam i ruszył w dół po schodach.

## Rozdział 42

Jill czuła się fatalnie. Skrzywdzona, osamotniona, porzucona. Mimo wszystko musiała działać, szukać Abby.

Przebrała się w dżinsy i sweter, wsunęła stopy w chodaki i zeszła na dół. Czy pojechać do filadelfijskiego komisariatu policji? Albo skontaktować się z Victorią? Nie bardzo wiedziała, co powinno być pierwsze.

W końcu najpierw poszła do telefonu w kuchni i zadzwoniła do Megan. Sygnał powtarzał się bez końca, a ona siedziała przy wyspie i czekała. Otworzyła laptop, obudziła go stuknięciem w spację. Na ekranie pokazał się serwer poczty, więc przejrzała korespondencję, szukając wyników badania krwi Rahula. Nadal ich nie było.

- Mamo? – odezwała się Megan. – Dlaczego dzwonisz z domowego?
- Mój blackberry zakończył żywot.
- A, to dlatego nie odpowiadałaś. Dzwoniłam i pisałam.
- Rozumiem. To teraz już wiesz. I co u ciebie? Dobrze się bawicie?
- Wcale się nie bawimy, siedzimy nad tym głupim projektem. Znalazłaś Abby?
- Nie, ale naprawdę tym się nie zajmuję. Jadłaś coś?
- Tak, mama Courtney zrobiła lasagne.
- Mmm! – Jill zaburczało w brzuchu. – Zazdroszczę.
- Sam powiedział, że mogę zostać na noc, chociaż jutro jest szkoła.
- Tak, wiem. Ja też się zgadzam, ale niech to już będzie ostatni raz na jakiś czas, dobrze?
- Co za różnica? Przecież się uczymy.
- Pamiętaj, gość jest jak ryba. Zbyt długo obecny zaczyna śmierdzieć. Jak dotrzesz do szkoły?
- Carol mnie zawiezie.
- Od kiedy to jesteś z nią po imieniu? Mów, proszę, pani Ariz. – Jill lubiła matkę Courtney, przyjaźniły się od lat, od czasu gdy ich córki wstąpiły do klubu pływackiego.
- Koniecznie jej ode mnie podziękuj. Bardzo mi ostatnio pomaga.
- Jej to nie robi różnicy.
- Może ja zabiorę was na pływanie, a ona odbierze?
- Ona może nas zawieźć.
- No dobrze. A co z ubraniami? Może przywiozę ci rano świeżą zmianę... i od razu zabiorę was do szkoły.
- Mamo, przesadzasz – westchnęła Megan zirytowana. – Pożyczyłam ciuchy od Courtney, na dodatek Sam też mi coś przywiózł. Wrócił do domu wcześniej, bo musiał się spakować, więc podrzucił mi rzeczy.

Jill potarła twarz. Klęło ją serce. Jak miała powiedzieć córce, że już po zaręczynach?

- Naprawdę wołałabym, żebyś była w domu.
- Mamo, nic mi nie jest.

Jill westchnęła ciężko.

- Dobrze wobec tego. Dobrej nocy, kochanie. Pamiętaj, że cię kocham.
- Aha. A ty pamiętaj, że ja cię kocham. Dobranoc.
- I nie zapomnij... – Ale połączenie zostało już przerwane.

Zadzwoiła do informacji, po numer Victorii, bo podobnie jak wszystkie inne, miała go w blackberry, który teraz nie nadawał się do użytku. Po chwili, czekając na połączenie z Victorią, zalogowała się na whitepages.com i sprawdziła Ninę D'Orive ze stanu Nowy Jork.

– Jill? – odezwała się Victoria. – Abby dzwoniła?

– Nie. Do ciebie też nie?

– Nie... – Victoria nadal wydawała się chłodna, ale też zaniepokojona. – To już zaczyna być dziwne.

– Zgoda. Nie odzywałam się do ciebie, bo moja komórka przestała się nadawać do użytku. – Mówiąc, sprawdzała na ekranie wyniki wyszukiwania. – Co się działo wczoraj w Centrali Dochodzeniowej?

System znalazł trzy Niny D'Orive. Kliknęła na pierwszą i dowiedziała się, że mieszka ona przy Winding Way 335, w Scarsdale. I ma sześćdziesiąt siedem lat. Jill wykluczyła ją, zdziwiona, że w sieci jest informacja nawet o wieku.

– Nic się nie działo. Nie było ani Reeda, ani Pitkowskiego, więc tylko zostawiłam numer z prośbą o telefon.

– Któryś oddzwonił?

– Nie.

– Trzeba tam pojechać.

– Zamierzam, ale co im powiem? Nie mam nic nowego.

– Jest sporo nowych informacji. – Jeszcze w pociągu zdecydowała, że Victoria jest dość dorosła, by usłyszeć prawdę o ojcu. – Dowiedziałam się w Nowym Jorku paru rzeczy, które mogą okazać się pomocne.

– Na przykład?

– To nie jest rozmowa na telefon. – Kliknęła drugą Ninę D'Orive. – Chyba najprościej będzie, jeśli się spotkamy w Centrali Dochodzeniowej, dobrze?

Druga Nina D'Orive mieszkała przy Young Street 701 w Albany i miała lat czterdzieści pięć. William raczej nie spotykałby się z osobą mieszkającą tak daleko, wobec czego tę Jill też wykluczyła.

– Dobrze. My już wyjeżdżamy.

– No to do zobaczenia. Będę czekała przed wejściem.

Otworzyła ostatni wpis.

Nina D'Orive, Nowy Jork, Wschodnia Dziewięćdziesiąta Czwarta, Apartament 2F. Lat trzydzieści, co byłoby bardziej w guście Williama, a przy tym Belle Kahan, ta nowojorska pośredniczka w handlu nieruchomościami, wspomniała, że przyjaciółka pana Strauba jest młoda.

Jill serce zabiło szybciej. Podświetliła nazwisko na ekranie i po chwili ukazało się ostatnie znane systemowi miejsce pracy pani Niny D'Orive.

Zatrudniona była w firmie Pharmcen Pharmaceuticals.

Jill kliknęła „Drukuj” i poszła po torebkę.

## Rozdział 43

Jill, Victoria i jej przyjaciel, Brian Pendle, siedzieli naprzeciwko detektywa Rolanda Hightowera, który był wysokim, silnym Afroamerykaninem po czterdziestce o krótkich włosach, mądrych brązowych oczach i szpeciniastym wąsie. Okazało się, że detektyw Pitkowski akurat ma wolne, a detektyw Reed jest na urlopie. Jill zaczynała odnosić wrażenie, że Centrala Dochodzeniowa prowadzi działalność grupowo.

– Skoro detektyw Reed jest na urlopie, to w jego zastępstwie pan zajmuje się tą sprawą?

– Nic podobnego. Przede wszystkim nie ma żadnej sprawy. Sprawdziliśmy możliwość, że zostało popełnione zabójstwo, i nie znaleźliśmy żadnych podstaw, by tak zakwalifikować to zdarzenie. – Detektyw Hightower przejrzał akta leżące przed nim na biurku, czystym i utrzymanym w porządku, z równymi stertkami notatników, kartek i teczek.

Zapiski rozmów telefonicznych miał poukładane warstwami, jak serwetki na eleganckim przyjęciu, a jego zachowanie zdradzało pełen profesjonalizm.

– Panno Skyler – zwrócił się do Victorii. – Najszczęśliwsze kondolencje z powodu śmierci ojca. Proszę mnie nie oceniać jako człowieka bez serca. Po prostu to nie jest sprawa dla policji.

– Czy zniknięcie mojej siostry nie zmienia tego obrazu? Nigdy dotąd się nie zdarzyło, żeby tak długo nie odpowiadała na moje telefony. Zdaniem Abby tata został zamordowany. Ja uważałam, że to wymysł, ale teraz nie jestem całkiem pewna swego. Możliwe, że Abby dowiedziała się czegoś, czego wiedzieć nie powinna, albo coś zobaczyła...? Mieszkali razem, kto wie?

Victoria była ubrana staranniej niż poprzednio. Włożyła białą bluzkę, czarny blezer i obcisłe ciemne dżinsy. Włosy jak zwykle zebrała w kok, nie zapomniała o makijażu, a w uszach miała perłowe kolczyki.

Jill uznała, że najwyższy czas opowiedzieć o podwójnym życiu Williama. Do tej pory nie powiedziała o tym nawet Victorii i Brianowi, bo nie mieli na to czasu. Żałowała jedynie, że nie ma sposobu złagodzenia ciosu, jakim z pewnością będą te wieści dla Victorii.

– Proszę pana – zaczęła. – Mam całkiem nowe informacje. Obawiam się, że zniknięcie Abby wiąże się z Neilem Straubem, którego William przedstawiał jako swojego nowojorskiego partnera w interesach. Prawda wygląda inaczej. Nie dalej jak dzisiaj dowiedziałam się, że Neil Straub i William Skyler to jedna i ta sama osoba.

– Co takiego?! – Victoria obróciła się do Jill gwałtownie. Zmrużyła oczy. – Co ty wygadujesz? To nieprawda!

– Pani kompletnie oszalała – zawtórował jej Brian. Miał na sobie szary garnitur i krawat w paski. Wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z kancelarii prawniczej.

– Nie bardzo rozumiem – przyznał detektyw Hightower. – Proszę powiedzieć coś więcej.

Jill opowiedziała im wszystko, czego zdołała się dowiedzieć, pokazała zdjęcie Williama z mężczyzną w granatowej koszulce polo, dokument rejestracyjny mercedesa, adres Niny D'Orive. Detektyw Hightower robił notatki, Jill widziała, że jest coraz bardziej przejęty. Victoria najpierw słuchała z niedowierzaniem, jednak gdy zobaczyła podpis Williama na dokumentach samochodu Neila Strauba, straciła wszelkie złudzenia.

– Bardzo mi przykro, kochanie – powiedziała Jill na koniec. – Naprawdę ogromnie ci współczuję.

– Tata by nigdy... – zaczęła Victoria, po czym umilkła i spuściła wzrok. – Nie rozumiem. Po prostu nie rozumiem. Nie widzę w tym żadnego sensu. Nie wiem, po co miałyby to robić.

– To prawda – przyznała Jill. Chętnie by ją pogładziła po ramieniu, przytuliła, ale nie wiedziała, jak by to zostało przyjęte. – Zwykle tak jest, że nie wiemy o rodzicach wszystkiego.

– Ale coś takiego? Druga tożsamość? Mieszkanie w Nowym Jorku? Dwa samochody? Podwójne życie? – Victoria potarła czoło, zostawiając na nim różowe ślady. – Neil Straub? Niemożliwe!

– Vic... – Brian dotknął jej ręki gestem zdradzającym prawdziwą troskę.

– Victorio – powiedziała Jill cicho. – Przypuszczam, że twój tata zaangażował się w coś, co wymagało od niego ukrycia prawdziwej tożsamości, ale to w tej chwili mniej istotne. Najważniejsze, żeby Abby wróciła. – Przeniosła spojrzenie na detektywa Hightowera. – Mam nadzieję, że przyjaciółka Williama będzie mogła rzucić jakieś światło na sprawę. Może domyśla się, gdzie szukać Abby? Czy zostanie przesłuchana?

– Tak. Albo my to zrobimy, albo policja nowojorska, trzeba jeszcze wyjaśnić kwestie jurysdykcji. – Detektyw pokiwiał głową. – W tych okolicznościach zgadzam się, że zniknięcie pani Abby Skyler jest niepokojące. Skontaktujemy się z rejestrem osób zaginionych.

– Dziękuję. – Jill o mało nie rozplakała się z ulgi.

– Doceniam – odezwała się Victoria, nadal rozdygotana. – Abby jest moją siostrą, mamy tylko siebie... – Akurat w tej chwili odezwał się dzwonek jej telefonu komórkowego. Odrobinię zbita z tropu sięgnęła po aparat do wielkiej czarnej torby. – Przepraszam, zapomniałam wyciszyć. – Wyjęła iPhone'a, a gdy spojrzęła na wyświetlacz, oczy jej się zrobiły wielkie jak spodki. – Boże drogi, to ona! – Rzeczywiście, na ekranie widniała uśmiechnięta twarz Abby. – Co robić? A jeżeli została porwana lub coś podobnego?

– Odbierze pani – polecił detektyw Hightower – i przełączy na głośnik.

Jill serce waliło jak młotem.

– Możecie jakoś namierzyć tę rozmowę?

– Nie. – Detektyw zamachał w stronę dwóch kolegów stojących przy szafkach.

– Bądźcie przez chwilę cicho.

Victoria dotknęła zielonej słuchawki na ekranie. Jill pochyliła się nad jej lewym ramieniem, Brian nad prawym.

– Abby? – odezwała się Victoria niepewnie. – To ty? Jesteś na głośniku, bo... mam zajęte ręce.

– Cześć, siostro! – przywitała się Abby radośnie. – Co u ciebie?

Jill nie wierzyła własnym uszom. To rzeczywiście była Abby, głos miała wesoły, wydawała się całkiem zadowolona z życia.

Victoria pokręciła głową, wyraźnie zdezorientowana.

– Abby? Wszystko w porządku?

– Co? A, tak, w porządku.

– Naprawdę nic ci nie jest? Nikt ci nie dyktuje, co masz mówić?

Abby zaśmiała się głośno.

– Coś ty! Co się wygłupiasz?

Victoria zbaraniała doszczętnie.

– To naprawdę ty? – odezwała się w końcu. – I nic ci nie jest? Umierałam ze strachu o ciebie! Dlaczego nie oddzwaniałaś?!



– No tak, trochę przeciągnęłam strunę, wyyybacz, siostró – jęknęła Abby. – Tylko już na mnie nie wrzeszcz, błagam.

Jill siedziała zmieniona w słup soli. Nic nie wskazywało na to, żeby jakiś czarny charakter przystawił Abby lufę do skroni i dyktował, co ma mówić. Brian usiadł prosto. Detektyw Hightower zamachał do kolegów, że mogą rozmawiać swobodnie.

– Gdzie jesteś? – warknęła Victoria. – Co właściwie robisz?

– O rany, już się tak nie rzucaj. Poznałam chłopaka.

– Kogo?

– Nazywa się Brandon. Pracuje w telewizji. Był u nas, bo szukał plenerów, ma rewelacyjny apartament, więc polecieliśmy...

– Polecieliście?! Dokąd?

– Do L.A.

– Do Los Angeles?!!

Jill nie nadążała za galopadą myśli. Brian założył ręce na piersiach, nie ukrywał rozdrażnienia. Detektyw Hightower pochylił się nad biurkiem, coś pisał.

Victoria była czerwona z gniewu. Położyła telefon na blacie.

– Czy ty sobie ze mnie żarty stroisz? Myślałam, że nie żyjesz.

– Oj, nie gniewaj się. Przepraszam, poważnie. – Abby miała głos rzeczywiście skruszony. – Taka byłam zadowolona po śmierci taty... chyba po prostu musiałam odreagować, wiesz, pouklądać sobie to wszystko. Brandon powiedział, że może mi załatwić robotę APZ. To znaczy asystentki planu zdjęciowego. Wrócę do domu może za jakiś tydzień, sama jeszcze nie wiem...

– Nie do wiary. Czyś ty kompletnie oszalała? Jesteśmy na komisariacie, właśnie mieli cię wciągnąć na listę osób zaginionych! Jill też tu przyjechała.

– Jill? Naprawdę? O rany, Jill, nie gniewaj się, przepraszam!

Jill nachyliła się nad aparatem.

– Abby, co się dzieje? Dlaczego do mnie nie oddzwoniasz?

– Oddzwoniłam. Dzisiaj oddzwoniłam. Zostawiłam wiadomość, ale się nie odezwałaś.

– Mój telefon nie działa.

– Naprawdę okropnie mi przykro, ale gdybyś poznała Brandona, tobyś się w nim zakochała. On też mówi, że nie powinnam mieszkać sama. Mówi, że muszę zacząć od początku i być za siebie odpowiedzialna. Ty uważasz tak samo.

– Teraz usiłuję zrozumieć, co się z tobą dzieje. Co się tak nagle zmieniło? A przy okazji: ile ten Brandon ma lat?

– Trochę jest starszy ode mnie, ale się nie martw. Poza tym czuję się o wiele lepiej i jestem ci bardzo wdzięczna. Odezwę się po powrocie, wtedy pogadamy. Proszę, nie złość się na mnie.

Victoria chwyciła telefon i przysunęła go do ust.

– Abby, jestem na ciebie wściekła, potwornie wściekła! Kiedy ty wreszcie dorośniesz? Tata umarł, a ty znikasz? Jak ty się zachowujesz?! Zrób coś dla mnie, bardzo cię proszę. Zostań w tym swoim cholernym Los Angeles do końca życia. Mieszkaj sobie ze swoim ukochanym Brandonem. I więcej się do mnie nie odzywaj! Jesteś głupia, podła i wredna! – Victoria przerwała połączenie, skoczyła na równe nogi, oskarżycielsko wycelowała palcem w Jill. – Ty mnie w to wciągnęłaś! Mówiłam ci, powtarzałam, wiedziałam! Po co ja cię słuchałam!

– Kochanie, uspokój się... – Jill wyciągnęła rękę, chciała pogłodzić ją po ramieniu, ale Victoria odsunęła się, unosząc w górę obie dłonie.

– Nie dotykaj mnie! I, na litość boską, nie mów do mnie „kochanie”!

Jill obawiała się, czy dziewczyna nie zemdleje.

- Przyniosę ci wody.
- Nie! – Victoria odetchnęła głębiej, wzięła się w garść. – Wybacz. Wiedziałam swoje. Miałam rację i powinnam była się tego trzymać. – Zaciśnęła pięści jak rozzłoszczone dziecko. – Nienawidzę Abby. Wreszcie przyznałam to głośno. Nienawidzę swojej siostry.
- Znów odetchnęła głęboko, powiodła wzrokiem po funkcjonariuszach stojących przy szafkach i w końcu spojrzała na Hightowera. – Bardzo pana za to wszystko przepraszam. I za to, że zmarnowałam pański czas.
- Nie ma sprawy. – Hightower wrócił do chłodnego tonu. Podniósł się z krzesła.
- Na pewno nie chce pani napić się wody? Ja stawiam.
- Nie, dziękuję. – Victoria odwróciła się do Briana, ciągle nasrożona. – Czas na nas, nie sądzisz? Dostyc już się za mnie najadłeś wstydu.
- Brian wstał. Na jego twarzy malowało się współczucie. Pokręcił głową.
- Nie ma o czym mówić, Vic. Nie twoja wina.
- Jill także wstała, zagubiona popatrzyła na detektywa Hightowera.
- Bardzo przepraszam za to całe zamieszanie. Mimo wszystko...
- Tak? – Detektyw Hightower przekrzywił głowę. – Sądziłem, że nie mamy już o czym rozmawiać?
- A jednak. Telefon Abby nie zmienia nic w sprawie Williama.
- Usiłowała szybko zebrać myśli. Cieszyło ją, że Abby jest bezpieczna, lecz jednocześnie spokoju nie dawało jej wszystko, czego się dzisiaj dowiedziała o podwójnym życiu Williama. Za sprawą tych informacji zyskała pewność, że został zamordowany. Uświadomiła sobie, że rozumuje jak lekarz, przyglądając się faktom i ważąc nowe dane. Doszła do wniosku, że nie zmieniły one jej przekonania, a nawet je wzmocniły.
- Moim zdaniem – odezwała się stanowczym tonem – fakt, że Abby jednak nie zaginęła, nie dowodzi, iż William nie został zamordowany.
- Litości! – jęknęła Victoria. – Naprawdę uważasz, że Abby wierzy w to morderstwo? Zmyśliła je wyłącznie po to, żeby zyskać twoją uwagę! Zawsze chciała mieć cię za matkę, po śmierci taty zwęszyła okazję. Cała ta heca z drugą tożsamością to jeden wielki idiotyzm. Ale... wiesz co, faktycznie właściwie nie powinnam być zaskoczona i w sumie nie jestem. Wiem, że tata nie był święty. Dużo ryzykował i czasem przegrywał. Byli z Abby jak dwie krople wody. Dlatego byli sobie tak bliscy.
- Jill z przykrością dostrzegła na twarzy Victorii grymas zazdrości.
- Tak, właśnie tak – podjęła dziewczyna. – Tatuś płacił za szkołę artystyczną dla młodszej córki, ale nie uznał za stosowne wysupłać grosza na studia prawnicze dla starszej. Wiedziałaś o tym? Miał pieniądze, lecz nie chciał płacić. Powiedział, że kocha artystów, a nienawidzi prawników, zabawne, co?
- Jill nie miała o tym pojęcia.
- Nie do końca wiem, czym się zajmował ani jak zarabiał na życie, jednak wiem z całą pewnością, że nie został zamordowany. Po prostu jak zwykle zaryzykował i tym razem skończyło się, jak się skończyło. A jak było z tobą? Obojętne czy on zdradził, czy ty zdradziłaś, wszystko sprowadza się do jednego. Zawsze był nieuważny. We wszystkim. Także w kontaktach z ludźmi.
- Trudno zaprzeczyć, uznała Jill.
- Tata miał mnóstwo uroku, ale pigulek nie dało się oczarować. Jak przedawkujesz, to cię zabijają. – Victoria wzięła swoją torebkę z krzesła i wrzuciła do środka telefon. – Czy pan także sądzi – zwróciła się do detektywa Hightowera – że mój tata został zamordowany?

– Nie. – Detektyw zamknął żółtą teczkę. – Porozmawiam z Reedem i Pitkowskim, ale na tę chwilę nie przypuszczam.

– Tak po prostu? – spytała Jill.

– Wysłuchałem pani uważnie, podobnie jak wcześniej dwaj moi koledzy. Poświęciliśmy tej sprawie więcej sił, czasu i środków, niż należało. – Musnął dłonią wąsy. – Dzisiaj zyskaliśmy na to niezbity dowód. Dochodzenie w sprawie morderstwa to nie kurek z wodą, żeby go dowolnie odkręcać i zakręcać.

– Do momentu, gdy Abby zadzwoniła, był pan przekonany, że jest się czym zajmować.

– Niezupełnie. – Hightower podniósł z blatu zdjęcie Williama z nieznanym w koszulce polo i wsunął je do żółtej teczki. – Powiedziałem, że skontaktujemy się z rejestrem osób zaginionych. Informacje, jakie pani uzyskała w Nowym Jorku, nie stanowią dostatecznych dowodów, by podważać stwierdzenia koronera albo nadać śmierci pani byłego męża status morderstwa. Zresztą zależy to od detektywa Reeda. On wziął tę sprawę, on ma decydujący głos. – Podał Jill dokument rejestracyjny samochodu Williama. – Proszę. Zapisalem, że to widzialem.

– Dziękuję. – Jill wsunęła dokument do torebki.

– Do widzenia – powiedziała Victoria.

Brian skinął głową detektywowi.

– Dziękujemy za poświęcony czas. Miło nam było pana poznać. – Odwrócił się do Jill. – Proszę mi wybaczyć szorstkie zachowanie przy naszym poprzednim spotkaniu. Skrzywienie zawodowe.

– Dbajcie o siebie – odpowiedziała Jill.

Odprowadziła ich wzrokiem.

Nie potrafiła ocenić, czy powinna dalej naciskać na policjanta, czy rzeczywiście uznać sprawę za załatwioną. Jakoś dziwnie utknęła między różnymi rzeczywistościami, chyba dlatego, że do żadnej nie należała całkowicie.

– Proszę pani – odezwał się detektyw Hightower. – Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy.

– Skąd będę wiedziała, co wyniknęło z przesłuchania przyjaciółki Williama?

– Proszę zadzwonić. Nie do mnie. – Raptem złagodniał. – I proszę już nie ścigać żadnych samochodów. Przy okazji... jeśli chciałaby pani znać moje zdanie, to nikt pani nie śledzi. Ten SUV to mogła być całkiem odrębna sprawa.

– Na przykład?

– Na przykład żonaty mężczyzna czekający na przyjaciółkę. Nie chciał, żeby pani go zobaczyła, mogła pani być jej znajomą.

Jill bardzo chciała mu wierzyć.

– Muszę pani powiedzieć, że w ciągu dwudziestu dwóch lat służby niejednego się nauczyłem. Ludzie bez przerwy postępują naprawdę dziwnie. Spotyka się różne osoby na szczególnych etapach życia, pod wpływem czasem bardzo nietuzinkowych okoliczności. Najczęściej okazują się po prostu idiotami.

Jill pokiwała głową.

– Zapewniam panią – ciągnął detektyw Hightower. – Nie są kryminalistami, tylko kretynami. Najczęściej właśnie tak wygląda prawda. Weźmy choćby pani byłego męża. Idiota pełną gębą, to mogę powiedzieć od razu. Skoro stracił taką kobietę jak pani.

– Dziękuję. – Jill z goryczą pomyślała o Samie. – Doceniam pańską pomoc.

– Proszę bardzo. – Detektyw Hightower wyciągnął do niej rękę, a Jill uściśliła mu dłoń. – Chce pani w komplecie dobrą radę? Niech pani się nie pcha między siostry. Moja żona

ma młodszą siostrę, wiem, co mówię. Młodsze dziecko, rodzinne oczko w głowie pozostaje nim do końca świata. Bez dyskusji. Kropka.

Może miał rację? Ona była jedynaczką i miała jedną córkę. Niewiele na ten temat wiedziała.

– Niech pani jedzie do domu.

– Tak zrobię.

Serce ciążyło jej w piersi.

Odwróciła się i poszła.

Nagle uświadomiła sobie, dokąd powinna pojechać.

## Rozdział 44

Opowiedziała Katie wszystko od początku do końca, a przyjaciółka słuchała uważnie, robiąc dioramę. Na kuchennym stole królowały mazaki, papier kolorowy i droga modelina, a na straży tego bogactwa stało pudełko po butach. Jill tęskniła za wieloma różnymi sprawami związanymi z dzieckiem w podstawówce, jednak tworzenie dioramy do nich nie należało.

– Sama nie wiem, co myśleć. – Podparła dłonią brodę. Przed nią stał kubek stygnącej kawy bezkofeinowej. – Po co Williamowi druga tożsamość? I kim, do diabła, jest ta blondynka od Sephory?

– Jedno jest pewne. Dzieci to ona nie ma.

– Tak?

– No błagam. Przecież zalotka! Skoro ma czas podkręcać rzęsy, to na pewno nie ma dzieci.

– Kochana... – zachnęła się Jill. – Ja tu rozważam kwestie morderstwa.

– Na pewno jest młoda. – Katie ugniotła trochę brązowej modeliny. – Jeszcze nieopierzona.

– No dobrze, ale nie w tym rzecz.

– Właśnie że tak. – Katie przyjrzała się krytycznie kawałkowi modeliny, który wyglądał jak niewielki batonik czekoladowy w różowe plamki. – Nie widzisz najważniejszego. Dobrze będzie?

– A co to ma być?

– Winn-Dixie. No wiesz, nie sieć sklepów, tylko pies o tym imieniu. Bohater książki. Przecież ci mówiłam.

– A! – Jill jednak nie mogła sobie przypomnieć rozmowy na ten temat.

– Trochę za gruby mi wyszedł. Powinien być chudszy. Jakbym siebie widziała...

– A te różowe plamy?

– Łyse miejsca. Pamiętasz? Winn-Dixie miejscami wyłysiał.

Nie pamiętała. Myślała raczej o Megan, do której powinna zadzwonić, żeby jej powiedzieć, co z Abby. Spojrzała na zegarek. Za piętnaście jedenasta. Megan nie powinna jeszcze spać.

– Mogę zadzwonić do Megan? Sama nie wiem, czemu tego nie zrobiłam od razu po przyjściu...

– Pozdrów ją ode mnie i nie przejmuj się tak strasznie. Żadna nastolatka nie czeka na telefon od mamusi, obgryzając paznokcie. – Katie wetknęła w psi tułów brązowe łapy.

– Nie wiem, jakim cudem dziecko w drugiej klasie ma przez trzy dni przeczytać książkę i naszykować dioramę. Może by jeszcze przy tym pożonglowało sobie albo rozwiązało jakiś test?

Jill przeszła do telefonu, podniosła słuchawkę i wstukała numer komórki Megan. Po kilku sygnałach została przekierowana do poczty głosowej, więc zostawiła wiadomość.

– Cześć, kochanie. Chciałam ci tylko powiedzieć, że Abby się znalazła, jest cała i zdrowa. Mam nadzieję, że miło spędzasz czas. Kocham cię. Gdybyś chciała dzwonić, to teraz jestem u Katie. – Odłożyła słuchawkę. – Mam wrażenie, że coś mi umyka. Czego nie widzę? Co jest najważniejsze?

– Sam. On jest najważniejszy. Kochasz go, a jeszcze moment i go stracisz. Zadzwoń

do niego. Przepróś go i powiedz, że się pomyliłaś.

– Nie pomyliłam się. – Jill zrobiło się nieswojo. – Abby zachowała się niewłaściwie, ale wróci, a co do zasady ja miałam rację.

– Dobrze, dobrze. – Katie przewróciła oczami. – Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Abby wodziła cię za nos. Zgadzam się z tym detektywem, nie pakuj się między siostry. Zadzwoń do Sama i powiedz: wracaj do domu. Możesz pogadać z aparatu w salonie, nie będę cię słyszała.

Jill położyła dłoń na słuchawce.

– Sama nie wiem.

– Naprawdę do niego nie zadzwonisz? – zdziwiła się Katie.

– Nie wiem, co powiedzieć. On nie chce, żeby Abby była obecna w naszym życiu, a ja nie chcę, żeby mi dyktował, kogo mam kochać. – Czowała się coraz gorzej. – Kocham Sama, lecz Abby też kocham. A ona nie zostanie w Los Angeles do końca życia. Na razie po prostu przylepiła się do jakiegoś faceta.

– Sam cię kocha i martwi się o ciebie. Zadzwoń do niego, powiedz mu przynajmniej, że według policji nikt cię nie śledził. – Zmrużyła oczy. – I powiedz mu, że Abby jest bezpieczna. Prawdopodobnie to też dla niego ważne. Jest troskliwym facetem.

Co Victoria powiedziała o Williamie? „Zawsze był nieuważny. We wszystkim. Także w kontaktach z ludźmi”.

– Masz rację. Sam jest troskliwy.

– Zadzwoń do niego.

– Dobrze.

Wstukowała numer komórki. Nie odbierał, więc odczekała na zgłoszenie poczty głosowej.

– Cześć, kochanie. Dzwonię, by ci dać znać, że Abby znalazła się w Los Angeles.

I jeszcze jedno: policja uważa, że nie byłam śledzona, więc nie ma powodu się o mnie martwić.

Katie zamachała gwałtownie rękami.

Przepróś! – zamarkowała bezgłośnie.

– I przepraszam cię – powiedziała Jill w słuchawkę. – Zadzwoń, jeśli będziesz mógł. Na razie jestem u Katie. Kocham cię.

I tyle.

– Dzielna dziewczyna! – Katie się rozpromieniła. – Nawet jeśli w to nie wierzysz, powiedziałaś z pełnym przekonaniem. A to się liczy.

Jill poczuła się lepiej. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

– Jak myślisz, miał rację ten Hightower, że najmłodsze dziecko całe życie chce być oczkiem w głowie wszystkim?

– Pewnie! Jamie jest najmłodszy, najukochańszy i za niego odrabiam więcej lekcji niż za pozostałych. Ale książkę przeczytał, nie myśl sobie. Od deski do deski. Natomiast ja obejrzałam DVD.

Jill wróciła myślami do Niny D’Orive.

– Jak by się tu dowiedzieć, co dziewczyna Williama robi w Pharmcenie? Znam ich przedstawiciela handlowego, mogłabym do niego zadzwonić, ale to spora firma, nie jest powiedziane, że będzie wiedział, kto to Nina D’Orive.

– Spróbuj na Facebooku.

– Słusznie. Mogę z twojego komputera?

– Śmiało. Jestem zalogowana.

– Tak często siedzisz na fejsie? – Podeszła do laptopa przyjaciółki stojącego na blacie, między stertą rachunków, katalogów i zawiadomień ze szkoły.

– Pewnie! A ty co, lenisz się? – Katie spłaszczyła tułów psa, niestety, przy tym odpadła mu jedna łapa. – Ja jestem królową Farmville.

Jill weszła na stronę Facebooka i w pasku wyszukiwania wpisała „Nina D’Orive”. Uzyskała tylko jeden wynik.

– Mam ją. Dobrze się składa, że ma takie niespotykane nazwisko.

– A jakie ma zdjęcie profilowe? Założę się, że jest chuda.

Na zdjęciu profilowym Niny D’Orive widniał szczeniak welsh corgi.

– Słodkości.

– Albo ta kobieta ma jedenaście lat, albo wygląda jak Barbie.

Jill kliknęła na profil, ale nic nie uzyskała. Prywatność musiała zostać maksymalnie zawężona.

– Cholera. Nie wejść. Nie jestem jej przyjaciółką.

– Fakt, nie jesteś. – Katie wreszcie udało się na powrót przykleić psią łapę. – Jesteś psychopatyczną byłą jej aktualnego, która zamierza ją nękać.

– Mogę jej wysłać zaproszenie z twojego konta?

– Możesz, tylko pojęcia nie mam, dlaczego miałyby je zaakceptować.

– Do zaproszenia można dołączyć wiadomość, prawda? – Jill zastanowiła się chwilę.

– Napiszę, że pracuję w gabinecie lekarskim. Jeżeli jest przedstawicielem handlowym, powinna się zgodzić.

– Z mojego konta tego nie rób, bo w profilu mam napisane, że wychowuję dzieci.

– Muszę napisać coś, co ją zachęci do zaakceptowania nowego znajomego. – Jill zorientowała się, że wlepią wzrok w psa w dłoni Katie. – Wiemy, że lubi psy. Napiszę, że szukam szczeniaka corgi dla córki.

– Dla synów. Jesteś mną.

– Ach, no tak. – Jill nabrała energii. – Napiszę jej, że ma prześlicznego szczeniaka i chciałabym wiedzieć, z której hodowli go wzięła. Ludzie uwielbiają gadać o psach, a corgi są rzadko spotykane.

– Może się udać. – Katie ukształtowała drugą łapę Winn-Dixie. – Jest młoda, ma psa. Pamiętasz, jak nam się zdawało, że pies to prawie jak dziecko? Póki się nie przekonaliśmy, że pies to zupełnie co innego...

Jill kliknęła zaproszenie do grona przyjaciół i wpisała wiadomość.

„Witaj, Nino! Twój szczeniaczek jest przesłodki. Moi synowie bardzo by chcieli mieć takiego. Z której hodowli go wzięłaś? Pozdrawiam, Katie”.

Kliknęła „Wyślij wiadomość”.

– Myślisz, że jest online?

– Jasne! Wszyscy pasjami przesiadują przy komputerach, zwłaszcza gorące laski.

Rozmawiają z mężczyznami, tak samo jak mamusie plotkują między sobą...

– Belle od nieruchomości powiedziała, że ona jest efektowna.

– Zazdrość cię zżera?

– Coś ty, pewnie że nie. Żal mi dziewczyny. Bóg jeden wie, jakiego kitu jej William nawciskał. Przy okazji, jeżeli ona faktycznie pracuje w farmaceutykach, sporo ryzykował, używając przy niej fałszywego nazwiska. – Zastanowiła się przez moment. – Ona może w ogóle nie wiedzieć o jego śmierci. Pewnie się zastanawia, gdzie wyjechał i czemu się nie odzywa.

– Chyba że sama go zabiła.

– Nie popadajmy w przesadę. – Zerknęła na przyjaciółkę, po czym znowu przeniosła spojrzenie na ekran. – William wybierał kobiety, które może wykorzystać. Na pewno to nie

przypadek, że Nina pracuje w firmie farmaceutycznej.

– Wiesz co, moja kochana, martwię się o ciebie. Wyleczyłaś się z miłości, ale nienawiść została.

– Co? Jak to?

Katie była poważna.

– Nie kochasz go, to pewne, ale czy przestałaś go nienawidzić? Bo to też nic dobrego.

– Nie bardzo rozumiem.

– Nie zamknęłaś rozdziału pod tytułem William. Nie do końca. Nie spodziewałaś się takiego obrotu spraw. I w efekcie nadal jesteś z tym człowiekiem związana emocjonalnie.

– Mylisz się – burknęła Jill.

– Tak? Wytlumacz mi wobec tego, czemu szukasz Niny Barbie. – Katie przekrzywiła głowę, blond grzywka o rudawym połysku wpadła jej do oczu. – Powiedziałaś, że jego śmierć obchodzi cię ze względu na Abby, i ja to tłumaczenie kupiłam. Ale teraz? Abby już ma całą sprawę w nosie, a ty nadal nie.

– Rzeczywiście. Masz rację.

– Wiem. Zawsze mam rację. – Katie się uśmiechnęła. – Pytanie jest nadal aktualne. Co ci za różnica, czy William został zamordowany, czy nie?

– Faktycznie. – Jill wolno pokręciła głową, rozważając słowa przyjaciółki.

– Z pewnością już go nie Kocham, ale może go nienawidzę? Nie mam pewności. Natomiast z całą pewnością wiem, że kiedy pojechałam dzisiaj do Nowego Jorku i dowiedziałam się o jego podwójnym życiu, miałam poczucie, jakbym odkryła jego prawdziwą twarz. Zrozumiałam, do czego był zdolny.

– Aha, no i co? Jakie ma dla ciebie znaczenie, do czego był zdolny, skoro się z nim rozwiodłaś, a w dodatku już nie żyje?

Nad tym Jill musiała się zastanowić dłużej.

– Chyba aż do czasu wykrycia afery z receptami nie wiedziałam, co się dzieje w moim własnym małżeństwie. Pod moim dachem, pod moim nosem.

– Ech, słońce ty moje... – Katie szczerze jej współczuła. – Odkrycie, na co go było stać w Nowym Jorku, nie jest równoznaczne z określeniem, czego się dopuścił w waszym małżeństwie. To już przeszłość.

– Czy aby na pewno? Przecież ja ciągle jestem tą samą osobą. I on też pozostał tą samą osobą.

– Oczywiście poza drobnym faktem, że umarł.

– Wszystko jedno. Chcę wiedzieć, kim William był naprawdę. Chcę poznać prawdę o nim, bo wydaje mi się, że pomoże mi to zrozumieć, kim ja jestem, kim byłam w tamtym małżeństwie i jaka będę w następnym... jeśli Sam wróci. – Wreszcie zyskała jasność, pojęła własne intencje, miała poczucie, że mówi prosto z serca. – Nie można przejść do następnego etapu, póki się nie zrozumie poprzedniego, tak? Mam wrażenie, jakbym próbowała zdiagnozować swoje małżeństwo, ocenić, co w nim poszło źle. W jakimś sensie czuję, że to mi pomoże. Bo naprawdę, naprawdę bardzo chcę, żeby następne było udane. Obojętne, za kogo wyjdę, za Sama czy nie za niego, chcę, żeby mi się udało. Chcę, żeby mój związek z ukochanym mężczyzną trwał wiecznie, do końca życia. A boję się, że to moja ostatnia szansa. – Łzy napłynęły jej do oczu.

Katie objęła ją za ramiona.

– Rozumiem. Pomogę ci, jak tylko będę mogła.

Nagle obraz na monitorze się zmienił, obie kobiety odwróciły się do laptopa.

Nina D'Orive zaakceptowała zaproszenie do grona przyjaciół i przysłała wiadomość.



„Kochana Katie! Moja słodka sunia naprawdę wymiata! Zajrzyj do albumu, zobaczysz więcej zdjęć. Jej i jej rodzeństwa. Hodowla jest rewelacyjna, w dodatku dostarczają pieski, nie trzeba jechać. Chcesz adres? Miło, że spytałaś! Nina :-\*\*\*”

– O Boże! – Serce Jill łomotało jak oszalałe.

Nie do wiary, właśnie nawiązała kontakt z przyjaciółką Williama, chociaż dziś rano w ogóle nie miała pojęcia o jej istnieniu.

– Przesyła buziaki obcej osobie? – Katie pokręciła głową. – Barbie, jak nic. Rany, co się dzieje z nami, kobietami.

– Odpisuję – zdecydowała Jill. – Chcę z nią pogadać, zobaczymy, do czego to doprowadzi. – Kliknęła „Wiadomość prywatna”. – Ona może wiedzieć o Williamie wszystko. Co robił i dlaczego.

– Może też, jak już wspomniałam, być morderczynią.

– Morderczynie nie mają corgi.

„Droga Nino, będę wdzięczna za adres hodowli i za wszelkie wskazówki, jakie możesz mi przekazać na temat twojej suni. Nigdy nie miałam corgi i trochę mam cykora. Czy one dobrze się zachowują przy dzieciach? Pozdrawiam, Katie”

Wysłała wiadomość.

– Teraz powinna zacząć mnie przekonywać. Chcę ją wciągnąć w rozmowę.

– Czy to bezpieczne? – zastanowiła się Katie.

– Tak, tak, na pewno – zbagatelizowała Jill. – A teraz popatrzmy, czego się dowiemy o naszej nowej przyjaciółce. – Weszła w informacje o właścicielu profilu. Jako adres widniało „Hoboken, New Jersey”. – Patrz, dziwne. A ja znalazłam, że mieszka na Manhattanie. Najwyraźniej się przeprowadziła.

– Jill, czy ty widzisz to co ja? – Katie wskazała „Podstawowe informacje”, gdzie jak wół było napisane: „Mężatka”. – Barbie zdradza Kena.

– O! To dlatego ma inny adres. Pewnie się przeprowadziła po wyjściu za męża.

Jill uważnie czytała pozostałe informacje, z których wynikało, że Nina jest zatrudniona w farmacji, w firmie Pharmcen, ale bez wyszczególnienia, na jakim stanowisku. Miała sześćdziesięciu trzech przyjaciół na profilu, w tym dwudziestu dziewięciu z miejsca zatrudnienia. Pięcioro kolejnych z rodziny, w tym męża. Jego zdjęcie profilowe ukazywało mężczyznę z nadwagą ubranego w bluzę od dresu. Nazywał się Martin Dunwilig.

– Proszę, proszę – odezwała się Jill. – Mąż ma inne nazwisko.

Katie przyjrzała się jego zdjęciu.

– Koleś, nie dość, że z modą jesteś na bakier, to jeszcze powinieneś zajrzeć do siłowni. Żoneczka nie bez powodu trzyma formę.

Raptem na ekranie wyskoczyła kolejna wiadomość od Niny.

„Katie, widzę z twojego profilu, że mieszkasz niedaleko. Masz fantastyczne dzieci! Jeśli chcesz, możesz przywieźć chłopców do mojej Rubinki! Spotkalibyśmy się w parku. Na pewno się w niej zakochają! Buziaki. Nina :-\*\*\*”

– Uuu... – Jill uśmiechnęła się szeroko.

– Zamierzasz się wybrać na to spotkanie? – Katie była pełna wątpliwości.

– No pewnie! – Jill ponownie wcisnęła „Wiadomość prywatna”. – Nie martw się, chłopców nie zabiorę.

– Nie powinnaś tam jechać sama. Pojadę z tobą.

– Coś ty, przecież to ja jestem tobą.

– Wobec tego ja będę mną, a ty sobą – zaproponowała Katie. – Czekaj, coś mi się poplątało.

- Daj spokój! Pojadę sama. Nie wiedziałabyś, jakie pytania jej zadawać.
- Zorientuje się, że nie jesteś mną. Wcale nie jesteśmy do siebie podobne.
- Cholera... A jakie masz zdjęcie profilowe? – Powiększyła je. Ukazało się trzech chłopców. – O, widzisz, nie ma problemu. Zobacz, w ogóle na stronie masz tylko dzieci. Matka zawsze jest najrzadziej fotografowaną osobą na świecie.
- Czeka... chyba na jednym mnie widać... Zaraz sprawdzę. – Katie położyła dłoń na myszy, przeszła do albumów, wyłuskała jeden z ostatnich wakacji. Tam rzeczywiście było jedno jej zdjęcie, jednak miała czapkę z daszkiem ocieniającym oczy, więc widać było właściwie tylko logo drużyny Phillies. – Więcej nie ma.
- Świetnie. Twarz jest nie do rozpoznania. I bardzo dobrze.
- Dziękuję. Szalenie jesteś uprzejma. Wiem też, że jestem szersza w biodrach od ciebie.
- To akurat nieprawda. A poza tym ona jest kobietą, więc nie zwróci uwagi na takie szczegóły.
- Wręcz przeciwnie. – Katie pochyliła się nad stołem. – Nie powinnaś iść na to spotkanie.
- Dlaczego? – Jill wróciła na stronę Niny. – Przeszkadza ci, że się pod ciebie podszywam?
- Nie. Boję się, że to może być niebezpieczne. Lepiej odpuść.
- Jakie to szczęście, że nie jesteś moją matką – stwierdziła Jill, odpisując na wiadomość.

## Rozdział 45

Telefon w kuchni zadzwonił niemal dokładnie w tej samej chwili, gdy Jill zamknęła za sobą drzwi. Rzuciła torebkę na stolik i pobięła odebrać. Pulpet truchtał obok, wymachując ogonem.

– Halo? – rzuciła do słuchawki.

– Cześć, co u ciebie?

To był Sam. Nadal niewiele ciepła brzmiało w jego głosie, więc Jill odsunęła od siebie nadzieję, jakby odkładała do szafy dzinsy, które na razie nie będą pasowały.

– Wszystko w porządku, a u ciebie co słychać?

Włączyła światło i rozciągając przewód słuchawki, usiadła przy wyspie. Nacisnęła spację w laptopie, a gdy ekran się rozjarzył, zobaczyła na nim skrzynkę e-mailową. Przejrzała nowe wiadomości, lecz nadal nie znalazła wśród nich wyników badania krwi Rahula. Coś musiało się zapodziać w laboratorium.

– Idzie jak po maśle. Jest mnóstwo pracy. Spotkałem się z Lee, muszę jeszcze przygotować materiały na jutro. Dobrze, że Abby się znalazła. Martwiłem się, chociaż tego nie okazywałem.

– Wiem. – Zrobiło jej się ciepło na sercu.

– Dobrze... Przykro mi, że tak się pożegnaliśmy – dodał po chwili, ale nie brzmiał całkiem przekonująco.

– Rozumiem.

Pulpet położył jej łeb na kolanach. Podrapała go za uszami.

– Muszę przyznać, że kilka ostatnich dni w pewnym sensie otworzyło mi oczy na wiele spraw. – W głosie Sama brzmiał smutek.

– W jakim sensie?

– Zrozumiałem, jak ważna jest dla ciebie Abby, gdzie w tym wszystkim jest miejsce moje i Stevena.

– Rozumiem – powtórzyła Jill, zdziwiona własnym chłodnym tonem.

Nie chciała więcej wybierać. Miała serdecznie dosyć oblewania testów, do których w ogóle nie zamierzała podchodzić.

– Czy sytuacja się powtórzy? – zapytał Sam spokojnie. – Czy po powrocie Abby z Los Angeles znowu będziemy wszyscy wokół niej skakali? Dom zostanie postawiony na głowie, nasz świat będzie wywrócony do góry nogami i pozwolimy się smarkuli wodzić za nos?

Ona już nie jest smarkulą, pomyślała Jill, ale głośno tego nie powiedziała, bo Sam częściowo miał rację. Abby rzeczywiście zachowywała się jak dziecko.

– Nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że wszystko sobie poukładałam. Nie mogę zaplanować całego życia ze szczegółami. Wiem jednak, że nie chcę, żebyś mi zabraniał ją kochać.

Sam długo milczał.

– Nie zabraniam ci jej kochać. Niestety, to, co dla niej robisz, nie pozostaje bez wpływu na mnie.

– Wobec tego będziemy musieli jakoś to poukładać.

– Muszę się nad tym zastanowić. Nie mam pewności, czy to wykonalne. Nie chciałbym

rozmawiać o tym teraz, zresztą nie bardzo mogę.

– Rozumiem – powtórzyła Jill po raz trzeci, czując, jak niechęć zaczyna jej ciążyć kamieniem na sercu.

– Czyli na czym stoisz? Skończyłaś z tą sprawą? Wracasz do normalnego życia, przestajesz tropić mordercę byłego męża?

– Niezupełnie.

Odruchowo poklepała psa po włochatym łbie. Spojrzenie zaczęła na fladze systemu Windows, łopoczącej na ekranie. Wiedziała, jaką odpowiedź chciał usłyszeć Sam, tyle że nie mogła mu jej dać. Doskonale zdawała sobie sprawę, co chce i musi zrobić, a musiała działać bez skrępowania.

– Co się dzieje?

– Dziwnie by to zabrzmiało.

– To znaczy?

– William się z kimś spotykał. To mężatka, a ja zamierzam z nią porozmawiać.

– O czym? – zapytał Sam zdumiony.

– Chcę wy badać, czy wie coś o jego śmierci.

– A dlaczego, na litość boską, ta kobieta miałaby chcieć się spotkać z byłą żoną swojego przyjaciela?

Zwykle Jill uwielbiała takie rozmowy z Samem, gdy każde pytanie prowadziło do następnego, jak gdyby budowali i sprawdzali teorię naukową. Tym razem jednak z każdą odpowiedzią miała nieodparte wrażenie, że wbija kolejny gwóźdź do własnej trumny.

– Nie wie, że jestem jego byłą żoną.

– Nie powiedziałaś jej?

– Nie.

– A jak ją namówiłaś na spotkanie?

Nie widziała powodu, żeby to wyjaśniać.

– Powiem ci szczerze: lepiej, żebyś nie wiedział.

– Na pewno masz rację. – Sam westchnął ciężko. – Czy jest w to zaangażowana policja?

– Nie, ale powiedziałam im wszystko, co wiem.

– Dlaczego więc nie wybierają się na to spotkanie?

– Zdaniem policji William nie został zamordowany.

– Ty uważasz inaczej.

– Próbuję to ustalić. Chcę też się dowiedzieć, do czego William był zdolny, kim właściwie był i kim byłam ja.

Zauważyła, że Pulpet przysnął na siedząco, z łbem wspartym na jej kolanach. Uśmiechnęła się mimowolnie, nawet odrobinę rozluźniła. Właśnie taki wpływ mają na ludzi zwierzęta. Kochają, ufają i nie trzeba z nimi prowadzić trudnych rozmów telefonicznych.

„Nie jestem sama, przecież mam Korniszona”.

Tak powiedziała Abby przez telefon.

Abby miała kota. Korniszona. Tylko że nie wspomniała o nim ani słowem, kiedy rozmawiała z Victorią.

– Jill, jesteś tam, czy nas rozłączyło?

– Jestem. Wybacz. Myślałam o tym, że Abby nie poprosiła Victorii... ani mnie o zajęcie się jej kotem, póki nie wróci z Los Angeles. Nie wydaje ci się to dziwne?

– Dajże spokój – uciął Sam lodowatym tonem. – Mam dosyć rozmów o tej dziewczynie i o twoim byłym mężu. Znowu jesteśmy w punkcie wyjścia, tylko tym razem jest

dużo gorzej. Muszę kończyć.

– Zaczekaj...

– Porozmawiamy później. Trzymaj się.

Jill po chwili też odłożyła słuchawkę.

Przecież byli tacy szczęśliwi. Jeszcze tydzień temu. W życiu by nie uwierzyła, gdyby jej ktoś powiedział, że ten związek przestanie istnieć, że to nastąpi tak szybko, tak gwałtownie jak zerwanie liny podtrzymującej most, osłabionej wiatrem i napięciami, których nikt nie wziął pod uwagę.

Nie chciała, żeby Sam zniknął z jej życia jak William, ale też nie wiedziała, jak go zatrzymać. Nie przewidziała śmierci Williama, powrotu Abby, burzy uczuć u Victorii, wybuchowej mieszanki miłości i nienawiści. Nie miała pojęcia, że przeszłość odezwie się w teraźniejszości i będzie miała wpływ na przyszłość. Sądziła, że idzie naprzód, ku lepszemu, że trudne przejścia ma wreszcie za sobą. Tymczasem życie zmieniło się w makabrę, trupy wypadły z szafy.

W dodatku niektóre okazały się żywe.

## Rozdział 46

Jill przemknęła pod tablicą do badania wzroku. Pędziła do laboratorium. Była zmęczona. Miała za sobą nieprzespaną noc, a w dodatku z samego rana musiała pojechać do sklepu po nowy blackberry i odstać swoje w koszmarnie długiej kolejce. W drodze do pracy odsłuchiwała wiadomości Abby. Nie było słowa o kocie.

Otworzyła drzwi do niewielkiego laboratorium. Selena Grant, miejscowa specjalistka od upuszczania krwi, podniosła na nią wzrok znad metalowego stojaka z próbkami ustawionymi równo jak żołnierze na paradzie i oznaczonymi nalepkami ze starannym opisem jej równym pismem.

– Cześć – rzuciła Jill od progu. – Mamy wyniki Rahula Choudhury’ego? Powinny być wczoraj, ale nie znalazłam ich w poczcie.

– Choudhury? – Selena pochyliła głowę, jej ciemne oczy skryły się pod sztywnymi lokami czarnej grzywki.

Laborantka była niewysoka i szczupła, pracowała w niewielkim pomieszczeniu o ścianach pokrytych zdjęciami kotów, ponieważ była ich zagorzałą miłośniczką.

– Nie przypominam sobie tego nazwiska.

– To dziecko, roczny chłopiec. Prosiłam o morfologię z pełnym różnicowaniem. Mam go z matką w gabinecie B, pobranie było w sobotę.

– O nie... Pamiętam, tak, teraz wiem. – Selena zagryzła wargi. Tego dnia wyglądała na znacznie więcej niż swoje czterdzieści lat. – W sobotę nawaliłam. Zapomniałam wysłać próbkę. Przypomniałam sobie dopiero w poniedziałek, miałam ci powiedzieć, ale o tym też zapomniałam. Nie wiem, jak przepraszać.

– To do ciebie niepodobne – zdziwiła się Jill. – Zawsze jesteś niezawodna, prawdziwa opoka.

– Moją matkę przenieśli do hospicjum. – Selenie oczy się zaszkliły. – Zadzwonili do mnie w sobotę, wyszłam z pracy zdenerwowana, zapomniałam o bożym świecie.

– Potarła policzek. – Taka jestem rozstrojona, że z niczym sobie nie radzę. Podobno został jej jakiś tydzień.

– Bardzo mi przykro... – Jill pogładziła koleżankę po ramieniu. Wiedziała, że matka Seleny ma raka żołądka, jednak nie sądziła, iż sprawy potoczą się tak szybko. – Można ci jakoś pomóc?

– Módl się.

– Dobrze, ale też nie widzę powodu, żebyś tu tkwiła. Jedź do niej. Weź wolne.

– Nie mam. Urlop mi się dawno skończył, inne wolne dni też wykorzystałam w czasie jej choroby. Sheryl każe mi zostać do poniedziałku, wtedy Linda wraca.

Wtedy mogło być już za późno. Jill miała w pamięci ostatni tydzień spędzony z matką. Przeszła wtedy przez piekło, ale gdyby mogła cofnąć czas, nie zmieniłaby ani minuty.

– To bez sensu. Idź. Idź i w tym tygodniu się nie pokazuj.

– Poważnie? – Selena spojrzała na nią z nadzieją.

– Poważnie. Znikaj. – Podeszła do szafki, znalazła kostkę karteczek samoprzylepnych oraz długopis i na pierwszej od góry napisała: „Laboratorium nieczynne”. – Sheryl biorę na siebie. Pogadam z nią, jak wróci z lunchu.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Aha, ale co z tym twoim pacjentem? – spytała Selena,

już z torebką w ręku.

Jill wzięła zestaw do pobierania krwi.

– Zabawię się w wampira. W końcu czegoś mnie na tych studiach nauczyli. Świat się nie zawali, jeśli do końca tygodnia będziemy sami pobierali krew i odstawiali do LabCorp.

– Lekarze umieją pobierać krew? – Selena uniosła przyczernione brwi.

– Jesteśmy zdolniejsi, niż się wydaje. No już, uciekaj. – Wyszła za laborantką, od zewnątrz przykleiła na drzwiach karteczkę i wróciła do gabinetu.

– Jeszcze raz dziękuję! – zawołała za nią Selena. – Jestem ci naprawdę wdzięczna.

Jill położyła na blacie zestaw do pobrań. Rahul w samej pieluszcze siedział na stole do badań, bawił się kluczykami od samochodu.

– Niestety – zwróciła się Jill do Padmy – zgubiliśmy próbkę krwi Rahula.

– Nielatwo było patrzeć na nagle stężałą twarz matki. – Dlatego jeszcze nie ma wyników. Bardzo mi przykro. Brak mi słów. Zaraz po badaniu pobiorę drugą.

– O nie... tylko nie to! – jęknęła Padma. Przeciągnęła dłonią po lśniących włosach, od czoła po koński ogon. Wyglądała na bardziej spiętą niż zazwyczaj, sweter miała pognieciony, co też było u niej niezwykle. – Tak strasznie płakał...

– Wiem, serce się kraje, naprawdę rozumiem. I strasznie mi przykro. – Zdjęła z szyi stetoskop, podeszła do Rahula. – Co z twoją matką? Lepiej?

Chłopiec został wcześniej zważony przez pielęgniarkę, przez kilka dni stracił kolejne pół kilograma. Na pierwszy rzut oka wcale mu się nie poprawiło, chociaż od trzech dni przyjmował amoksycylinę.

– Lepiej, rzeczywiście lepiej, dziękuję. Mój brat uważa, że badanie krwi to spora przesada przy infekcji ucha.

– Zgoda, jednak jest ważne. Hej, Rahul, co my tu mamy? – Połaskotała chłopca po brzuszku. Skóra była ciepła, maluch nie miał ochoty się śmiać, z dziąsła zaczynał się wyrzynać kolejny ząb. – O, będziemy mieli już dwa zęby? Dzielny chłopak z ciebie! Silny mężczyzna!

– Bla... La la! – oznajmił malec, puszczając bańki.

Przynajmniej nie był odwodniony.

– Osluchamy cię, drogi panie.

Ogrzała stetoskop w dłoni i przyłożyła go do piersi malca. Jakiś czas słuchała przyspieszonego rytmu serca i ewidentnych odgłosów infekcji w klatce piersiowej. Miał trochę ponad trzydzieści osiem stopni, temperatura utrzymywała się stanowczo zbyt długo.

– Mój bratanek ciągle ma różne infekcje, właśnie dlatego dostał dreny. – Padma wcisnęła lśniące pasmo włosów pod gumkę. – Jesteś pewna, że koniecznie trzeba znowu pobierać krew?

– Tak, niestety, tak. – Jill zawiesiła stetoskop na szyi, sprawdziła u chłopca węzły chłonne pod żuchwą. Nadal powiększone.

Zajrzała mu do uszu, nosa i gardła, wszędzie dostrzegła zaczerwienienia i ropne wysięki. Większość pediatrów stwierdziłaby w tym przypadku, że Rahul nie reaguje odpowiednio na amoksycylinę, ale Jill nie znosiła tego żargonu. Jej zdaniem medycyna nie potrafiła zareagować odpowiednio na kłopoty dziecka, a nie odwrotnie.

– Nie poprawiło mu się od soboty. Trzeba przestawić go na inny antybiotyk.

– Dobrze.

– Wobec tego damy mu augmentin.

Położyła chłopca i zbadała mu brzuch, szczególnie uważnie śledzoną i wątrobę, po czym posadziła go znów i sprawdziła węzły chłonne pod pachami. Też okazały się powiększone.

– Wczoraj była u nas na kolacji szwagierka i ona też kiedyś miała dreny.  
– Porozmawiamy o tym, jak będziemy mieli wyniki badań, dobrze? Zamówię na cito, więc jutro będą. – Przyjrzała się skórze dziecka. Wysypka pozostała bez zmian. – Pije i je?

– Tak, ale niezbyt dużo.

– A jak ze spaniem?

Zajrzała do pieluszki – sucho. Przekazała dziecko matce.

– Bez zmian.

– Naszykuję receptę.

Przeszła do laptopa, zalogowała się w programie Epic i znalazła plik z historią choroby Rahula. Wydrukowała receptę na augmentin, podała ją Padmie.

– Teraz krew. – Rozpakowała zestaw do pobierania. – Przysięgam, że tym razem nie zaginie. Przytrzymasz go, czy poprosić pielęgniarkę?

– Przytrzymam. – Padma wzięła na ręce gaworzące maleństwo i przytuliła, jakby mogła je obronić przed bólem.

Chłopiec potrząsnął kluczykami.

– Tak strasznie wtedy płakał – powiedziała matka. – Nie chcę, żeby mu ciągle na nowo bez sensu pobierać krew.

– Rozumiem cię, możesz mi wierzyć. Pamiętaj jednak, że nie robimy tego bez powodu.

– Jill wiedziała, że Padma chce dla dziecka jak najlepiej. – Staramy się poznać przyczynę częstych infekcji.

– Wszystkie dzieci mają kłopoty z uszami. Jedne rzadziej, inne częściej.

– To prawda, jednak u niego martwi mnie częstotliwość zapadania na infekcje.

Pamiętajmy też, że miał zapalenie płuc.

– Mój bratanek miał w zeszłym roku osiem infekcji ucha. Bez przerwy brał amoksycylinę. Już się nawet w rodzinie podśmiewali, że właściwie nie trzeba go poić, lekarami się napije.

– Rahul nie jest twoim bratankiem. Wiemy, że przechodzi infekcje, ale trzeba też znać ich przyczynę. Nie wystarczy likwidować skutki.

Padma pokręciła głową, przytulając dziecko.

– Nie chcę, żeby go bolało.

– Mimo wszystko lepiej się upewnić, z czym mamy do czynienia. Nie zatrzymywać się w pół drogi. – Spojrzała prosto w ciemne oczy Padmy i zobaczyła, że zaczyna ją przekonywać. – Taki stan nazywamy czasem „diagnozą z rozpędu”, co w zasadzie oznacza stan, gdy lekarz trzyma się raz postawionej diagnozy, chociaż nie powinien. Rozumiesz?

– Tak – odpowiedziała Padma. – Przyznaję, rodzina ma na mnie wpływ...

– I bardzo dobrze, po to jest rodzina. Przytrzymaj to swoje kochane maleństwo, a ja obiecuję, uwinę się błyskawicznie.

Założyła chłopcu na rączkę opaskę uciskową, nałożyła na strzykawkę igłę motylkową przeznaczoną dla dzieci i wkuła się w żyłę.

– Aaaa!!!

– No już, już. – Odciągnęła tłoczek, a gdy strzykawkę wypełniła krew, zdjęła opaskę uciskową, wyciągnęła igłę i przyłożyła na ranek gazik. – Już po wszystkim. Dzielny z ciebie mężczyzna.

– Nie płacz, kochanie, ciii... – Padma tuliła rozszlochane maleństwo.

– Dziękuję ci za pomoc, świetnie się spisałaś. – Jill zatkała próbówkę, opisała i odłożyła, po czym dwoma kawałkami cienkiego plastra przykleiła gazik. – Przyjdź jutro, będę miała wyniki. Na którą możemy się umówić?



– Najlepiej rano, póki chłopcy są w szkole. – Padma otarła zalane łzami policzki synka.

Pierś maluszka falowała od płaczu.

– Biedactwo. – Jill pogładziła go po główce. – Dobrze, w takim razie o dziewiątej? Powiem Donnie, żeby zapisała wizytę. Jeszcze raz ci dziękuję.

– I ja dziękuję. – Padma się uśmiechnęła, ale oczy miała smutne.

– Do zobaczenia. – Jill wyszła z gabinetu i poszła do rejestracji w holu.

Donna akurat skończyła rozmowę telefoniczną. Odgarnęła z twarzy pasmo ciemnych włosów.

– Możesz zapisać mi na jutro Rahula Choudhury’ego? Z samego rana, na dziewiątą, przyjdę wcześniej.

– Tego najśladszego dzieciaczka pod słońcem? – Donna wcisnęła kilka klawiszy.

– Oczywiście, robi się.

– Dziękuję. Za to cię kocham.

Z pomieszczeń biurowych wyszła Sheryl. Pracownicy przychodni już wiedzieli, że Selena za radą Jill wyszła z laboratorium, więc wszyscy, mniej lub bardziej otwarcie, podnieśli oczy znad komputerów, dokumentów i telefonów, czekając, jak będzie wyglądało starcie.

– Jill, czy to prawda, co słyszę, że zamknęłaś laboratorium? – spytała Sheryl cicho, żeby nie słyszeli jej pacjenci siedzący w poczekalni.

– Tak – odpowiedziała Jill równie cicho. Z oczywistych powodów nie chciała robić sceny, a nigdy nie mogła dojść do porozumienia z Sheryl, jeżeli szefowa poczuła się zapędzona w kosi róg. – Matka Seleny umiera, powinny być teraz razem. Na pewno się ze mną zgadzasz.

– Tak, rzeczywiście, jednak z drugiej strony trzeba pamiętać, że każdy z nas ma swoje obowiązki.

– Nie zamierzam z tym polemizować. Nieobecność Seleny w niczym nie przeszkodzi przez ten krótki czas. Potrafię pobrać krew, podobnie jak każdy lekarz, który nie zapomniał, czego się nauczył. A kto zapomniał, niech sobie przypomni, to akurat nikomu nie zaszkodzi.

Donna uśmiechnęła się pod nosem.

– Poruszę tę sprawę w rozmowie z Johnem – oznajmiła Sheryl.

Donna z ogromnym zainteresowaniem oglądała blat swojego biurka. Podobnie zachowywali się pozostali pracownicy.

– Świetnie. – Jill obróciła się na pięcie, zabrała ze stojaka teczkę następnego pacjenta i poszła do gabinetu A.

Po dwóch przeziębieniach, kolejnej infekcji ucha oraz jednym złamanym palcu, między pacjentami złapał ją John Gilbert, starszy partner w firmie. Był to elegancki internista po pięćdziesiątce, nosił okulary w rogowej oprawie, krawat w czerwone i niebieskie pasy oraz wyprasowany fartuch z nazwiskiem wyszytym na kieszeni na piersi.

– Jill, możemy zamienić dwa słowa? Będę się streszczał.

Przeszli do jego biura.

– O co chodzi z Seleną? – spytał, zamknąwszy drzwi.

– Odesłałam Selenę do matki. Niedawno przewieźli ją do hospicjum. Jesteśmy lekarzami, musimy współczuć cierpiącym, nikt nas w tym nie zastąpi, prawda?

– Nie chodzi o współczucie – zachnął się John. – Sheryl nie jest lekarzem, tylko personalną. Między innymi.

– Tak, oczywiście. Tyle że Selena była tak rozstrojona i rozkojarzona, że zgubiła próbkę krwi jednego z moich pacjentów. Chcesz sprawić Sheryl przyjemność, a potem walczyć

z pozwami?

– Celna uwaga. Tyle że nie pobiorę nikomu krwi. Nie robiłem tego od dziewięciu lat i nie mam na to czasu. Podobnie reszta lekarzy. Przecież doskonale o tym wiesz.

– Wobec tego odsyłaj pacjentów od razu do LabCorp. To niedaleko.

– Nie przywykli do takich niewygód.

– John, jesteśmy na przedmieściach, tutaj nie ma czegoś takiego jak niewygody. Nie zdziwiłabym się, gdyby w laboratorium mieli specjalne okienko dla kierowców, którym się nie chce wysiadać z samochodu... – Przypomniało jej się o Rahulu. – Przy okazji: pomóż mi z jednym badaniem krwi, dobrze? Bardzo mi zależy na czasie. Masz wyjątkowe możliwości w Phoenixville, prawda?

– To nie takie proste, jak się wydaje.

– Martwię się o tego pacjenta – mówiła szybko, myślami wyłącznie przy Rahulu.

– U dzieci wszystko dzieje się bardzo szybko, nie ma takiego marginesu czasu jak w przypadku dorosłych...

– Dobrze już, dobrze. – John uniósł ręce w geście poddania. – Powiedz Donnie, żeby zadzwoniła do Charlotte, ona wszystko załatwi.

– Dzięki! Wielkie dzięki. Muszę lecieć. – Zniknęła za drzwiami.

Nie miała czasu się zastanawiać, czy przypadkiem nie wkurzyła szefa. Pacjenci czekali, a dzisiaj musiała wyjść z pracy o czasie.

Na spotkanie z właścicielką pewnego szczeniaka.

## Rozdział 47

Jill zatrzymała się na głównej ulicy Hoboken, gdzie niskie bloki mieszkalne i starsze budynki ceglane sąsiadowały ze sklepami i kafejkami, greckimi restauracjami oraz modnymi butikami. Chodnikami płynęła rzeka ludzi wracających z pracy, a ze stacji PATH, szybkiej kolei łączącej północne rejony stanu New Jersey z Manhattanem, tryskał ludzki strumień jak z gejzeru.

„Jesteś u celu”, oznajmił GPS.

Znalazła miejsce postojowe. Choć było wąskie, zaparkowała za pierwszym podejściem. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej udawać kogoś innego, ciekawa była, jak William to robił, w jaki sposób zonglował dwiema tożsamościami. Wyjęła ze schowka czapkę z daszkiem, gadżet miłośników drużyny Phillies, i wcisnęła na głowę. Dziwne, lecz od razu poczuła się pewniej. Całkiem jakby przebrała się w kostium sceniczny. Wysiadła z samochodu i zobaczyła po drugiej stronie ulicy Ninę D’Orive, śliczną blondyneczkę w różowym dresie. Obok niej stał mąż ubrany w strój do biegania, a płowy szczeniak obgryzał mu sznurowadła.

– Nina! – zawołała Jill i pomachała ręką.

Gończkowo obmyślała plan, jak uwolnić się od towarzystwa męża Niny. Przeszła przez ulicę, wyciągnęła dłoń.

– Jestem Katie Feehan. Poznałyśmy się na Facebooku.

– Jak się masz! – Nina błysnęła uśmiechem. – To jest Martin, mój mąż.

– Dziękuję, że zgodziliście się ze mną spotkać. – Jill podała rękę także mężowi Niny.

– Miałam przyprowadzić chłopców, ale po namyśle zrezygnowałam z tego pomysłu. Chcę sama zdecydować, czy weźmiemy psa, i jeśli tak, to zrobię im niespodziankę.

– O, wielka szkoda, że ich nie zabrałaś. – Nina przeniosła spojrzenie na męża.

– Martin bardzo chciał ich poznać. Ma fioła na punkcie dzieci.

Martin pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

– Zamierzam stworzyć własną drużynę baseballową. Do boju, Metsi!

– Do boju, Yanksi! – krzyknęła Nina.

– Do boju, Philsi! – przyłączyła się Jill.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

– Wybacz, że umówiliśmy się z tobą tak na ulicy... – powiedziała Nina.

– Oczywiście, to zrozumiałe.

– Martin uważa, że nie powinniśmy spotykać się w domu, skoro wcale się nie znamy.

– Nie ma sprawy, to normalne. Ostrożności nigdy za wiele. – Jill pochyliła się i poklepała szczeniaka, cudowne stworzonko o wielkich okrągłych oczach i uszkach mięciutkich jak u króliczka. – Ale śliczności! Można by go schrupać z kostkami, słodycz najcudniejsza!

– Przemily, prawda? Corgi to psy pasterskie, zaganiające. Chodź, pospacerujemy trochę, zanim się rozpada.

Ruszyli alejką parku.

– Powiesz mi parę słów o sobie? – poprosiła. – Kim trzeba być, żeby dobrze się opiekować takim psiakiem? Widziałam na Facebooku, że pracujesz w firmie Pharmcen.

– Tak, tak. W wydziale Pharmacovigilance.

– Po jakimu to było?

Jill doskonale знаła to określenie, ale zależało jej, by Nina zaczęła mówić o sobie.  
– Wszyscy się dziwią – stwierdziła Nina z uśmiechem. – Pharmacovigilance śledzi przypadki niepożądanych skutków ubocznych zażywania leków i donosi o nich do rządowej Agencji Żywności i Leków. W wydziale pracuje prawie pięćdziesiąt osób, a ja właśnie zostałam zastępczynią szefa. Jestem teraz wiceprezesem.

– Funkcję dostała – burknął Martin. – Ale podwyżki to już nie.

Jill puściła jego uwagę mimo uszu.

– Gratuluję! – zwróciła się do Niny. – W dzisiejszym świecie niełatwo o awans.

Nina promieniała.

– No właśnie. Gdyby, odstukać, znowu doszło do zwolnień, to ja już nie będę im podlegać. Mam nadzieję.

Martin spojrzał na zegarek.

– Co chcesz wiedzieć o psie?

– No tak. – Jill musiała uważać, żeby nie wzbudzać podejrzeń. – Przede wszystkim: czy trudno Rubinę nauczyć czystości?

– Już jest prawie nauczona. – Nina wsiadła na swojego konika. – Próbowałam metody zamykania w kojcu, ale ona tego nie znosi. Czasami nocą tak płacze, że serce mi pęka, więc wyjmuję ją, utulam i dopiero zamykam z powrotem. Martin nie chce, żeby spała z nami w łóżku.

Martin przewrócił oczami.

– Tak, to ja jestem ten zły.

Jill ugryzła się w język. Na pierwszy rzut oka widziała pęknięcia w ich małżeństwie, choć we własnym tak wiele uszło jej uwagi.

– Karmię ją, wyprowadzam i zamykam w kojcu, jeśli się z nią nie bawię.

Spacerujemy o stałych godzinach, trzy razy dziennie. Nawet siusia w tych samych miejscach.

– Jesteś perfekcjonistką.

Martin zaśmiał się głośno.

– Cała Nina, cała ona. Skoro chciała psa, ja się zgodziłem. Jedyne problem polega na tym, że ten szcurek wszędzie gubi klaki.

Nina szturchnęła go łokciem pod zebra.

– Tego jej nie mów.

Jill dostrzegła swoją szansę.

– Martin, co jeszcze złego możesz mi powiedzieć o tej rasie? Wał śmiało, chcę znać całą straszną prawdę.

– Ależ proszę uprzejmie! – zawołał Martin z ochotą. – Ta mała uwielbia obgryzać ludziom pięty.

– Gryzie?! – wykrzyknęła Jill z udawaną grozą, a Nina zrobiła gest, jakby miała zamiar Martina ukatrupić.

– Kochanie – odezwała się głośno – miałeś pobiegać. Najwyższy czas, żebyś zaczął, bo inaczej kompletnie ją wystraszysz.

– Ale tak na poważnie, naprawdę gryzie? – spytała Jill z doskonale udawaną troską.

– Raczej nie powinnam brać psa, który gryzie.

– Wcale nie gryzie. – Nina ponownie szturchnęła męża. – Idź już sobie.

– Dobrze, dobrze. – Martin wyciągnął rękę do Jill. – Tylko jedno okrażenie, bo inaczej dostalibyśmy zawału. Miło mi było cię poznać.

– Mnie także. Dzięki za bezcenne informacje.

– Trzymaj się. – Martin cmoknął Ninę w policzek i potruchtał naprzód.

Jill zaczekała, aż znalazł się dość daleko, by ich nie słyszeć.

- Nino, tak naprawdę to spotkałam się z tobą, żeby cię wypytać o kogoś, kogo obie znamy. O Neila Strauba.
- Co? O kogo? – Nina zamrugnęła powiekami i po chwili w jej ładnych niebieskich oczach zapaliła się iskierka zrozumienia. – Nie znam żadnego Neila Strauba.
- Znasz, a ja doskonale o tym wiem. Jestem jego byłą żoną, tyle że jako mój mąż nazywał się William Skyler.
- Nie wiem, o co ci chodzi. – Nina popatrzyła w kierunku, gdzie zniknął Martin, lecz nie zdołała go wyłuskać z tłumu.
- Wiesz. Doskonale wiesz. Znalazłam w jego samochodzie twoje potwierdzenie płatności kartą Visa. Z Sephory. I bardzo cię proszę, porozmawiaj ze mną o nim, zanim twój mąż wróci.
- Nie ma o czym, nie znam żadnego Neila Strauba.
- Mam dla ciebie złe wiadomości. Zmarł w zeszły wtorek. W Filadelfii. Moim zdaniem został zamordowany.

Nina zmartwiała.

- Co? Jak to? Nie, to niemożliwe!
- Widzę, że jednak znasz Neila Strauba.
- Nie, skąd! No... tak. – Po policzkach Niny spłynęły łzy. – Nie mów nic Martinowi, dobrze? – odezwała się błagalnym tonem. – Jest okropnie zazdrosny.
- Nic nie powiem. Koroner twierdzi, że Neil umarł wskutek zażycia leków przeciwbólowych i uspokajających razem z alkoholem, ale ja w to nie wierzę.
- Neil i lekarstwa...? – powiedziała Nina z niedowierzaniem. – Przecież on nie brał żadnych leków.
- Czy znasz kogoś, kto by mu źle życzył na tyle, żeby chcieć go zabić?
- Czy to... czy to prawda? – Nina nie mogła się otrząsnąć. – Naprawdę nie żyje?

– Oczy znów miała pełne łez, ale szybko je otarła.

Jill uświadomiła sobie, że jej szczerze współczuje.

- Tak. Bardzo mi przykro.
- Nie odzywał się chyba z tydzień... – Nina pociągnęła nosem, lecz trzymała się nie najgorzej. – Wydzwaniałam do niego bez przerwy, ale on nie oddzwaniał. Strasznie byłam na niego zła. Boże drogi! Myślałam, że mnie rzucił, a on...
- Weź się w garść. – Jill z jednej strony chciała wyrazić współczucie, jednak z drugiej miała mało czasu, wiedziała, że Martin niedługo znowu będzie przy nich. – Nie wrócił do mieszkania, ale tam nie wiedzą, że zniknął na dobre. Nie znają go jako Williama Skylera. Znają go tak jak ty, jako Neila Strauba.
- Bo to jest Neil Straub.
- Nie wiedziałas, że prowadzi podwójne życie?
- Jakim cudem? – Nina zaczerwieniła się po uszy.
- A może domyślasz się, dlaczego to robił?
- Nie.
- Z czego się utrzymywał?
- Inwestował w nieruchomości. – Nina wytarła oczy drżącą dłonią.
- Skąd wiesz?
- Pokazywał mi na mieście swoje budynki.
- Kłamał.
- Niemożliwe. Ja go kocham. – Głos jej się załamał.

Jill dokładnie wiedziała, jak to jest.

- Rozumiem cię. Naprawdę. Serdecznie ci współczuję. Ja też go kochałam, ale mnie wykorzystał. Nie chciałabym, żeby to zbyt obcesowo zabrzmiało, jednak podejrzewam, że ciebie też do czegoś wykorzystywał. Do czego? Czy dawałaś mu pieniądze?
- On mnie nie wykorzystywał, on mnie kochał! – Nina znowu miała łzy w oczach, wytarła je, gdy minęła ich para młodych ludzi.
- Jak długo się znacie?
- Dlaczego w ogóle miałabym ci o tym opowiadać?
- Jeżeli go kochałaś, pomożesz mi znaleźć jego zabójcę.
- A co na to policja?

Jill nie miała czasu pomyśleć o wszystkim.

- Proszę cię, po prostu powiedz. Każde spostrzeżenie może okazać się pomocne, a twój mąż zaraz wróci.
- Cztery lata – powiedziała Nina płaczącym tonem.

Jill zapiekły policzki. Jeszcze jeden fakt, który jej umknął. Od rozwodu minęły trzy lata. Innymi słowy, właśnie zyskała dowód zdrady. Udało jej się ukryć szok.

- Gdzie się poznaliście?
- W Starbucksie. – Nina powoli odzyskiwała panowanie nad sobą. – Zaraz, chwileczkę, więc ci chłopcy na Facebooku to wasi synowie?
- Nie, nie mieliśmy wspólnych dzieci. Czy dawałaś mu albo pożyczowałaś pieniądze?
- Nie, Neil zawsze miał dużo pieniędzy.
- Przedstawiałaś go jakimś ważnym osobistościom?
- Ależ nie, spotykaliśmy się w tajemnicy, zawsze tylko we dwoje.
- Czy umożliwiłaś mu kontakt z pracownikami Pharmcenu? Z jakimiś grubymi rybami? Podawałaś mu nazwiska ludzi, do których miał dzwonić, żeby im coś sprzedawać albo od nich kupować? Kiedyś był przedstawicielem firm farmaceutycznych.
- Neil nie miał nic wspólnego z farmaceutykami. – Nina pokręciła głową.

– I żadnego pojęcia o handlu lekami.

- Tak ci powiedział? – Jill usiłowała poskładać wszystkie elementy układanki.
- Tak, tak mi powiedział i chociaż temat go nie interesował, słuchał uważnie, kiedy mu opowiadałam o pracy. Byłam dla niego ważna. On mnie rozumiał.

Jill pomyślała sobie, że zdradzające żony czują się w tym samym stopniu zaniedbane i niezrozumiane co zdradzający mężowie.

- Co mówił ci o sobie?
- To wszystko jest bez sensu. – Nina z wysiłkiem uśmiechnęła się do kobiety pchającej wózek. – Zaraz, chwileczkę. To była moja sąsiadka. Nie możemy tutaj rozmawiać.
- Spójrz, proszę. – Jill wyjęła z torebki zdjęcie Williama w towarzystwie mężczyzny w granatowej koszulce polo i wskazała swojego byłego męża. Ot tak, na wszelki wypadek.

– Czy to jest Neil Straub?

- Tak, to jest Neil. – Oczy Niny po raz kolejny napełniły się łzami. – Boże drogi, nie wierzę... Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie potrafię.
- A ten drugi to kto? – Jill wskazała nieznanego.
- To chyba jest Joe...
- Co za Joe?
- Przyjaciół Neila, o, już wiem: Joe Zeptien.
- Znasz go?
- Właściwie nie. Neil często rozmawiał z nim przez telefon, raz się spotkaliśmy.

– Nina uniosła wyżej głowę, odetchnęła głębiej. – Którejś nocy po wyjściu z apartamentu zawróciłam, bo zapomniałam kolczyków. On akurat wtedy przyszedł. Neil nas sobie przedstawił.

– A kto to właściwie jest ten Joe Zeptien i czym się zajmuje? Czy ma jakiś powód, żeby chcieć śmierci Williama... to znaczy Neila? – Jill wsunęła zdjęcie do torebki. – Może on go zabił.

– Niemożliwe. – Nina zdecydowanie pokręciła głową. – Byli zaprzyjaźnieni.

– Skąd wiesz?

– Neil mi powiedział. A poza tym, jak mówiłam, ciągle rozmawiali przez telefon.

– Skąd wiesz, że Neil rozmawiał właśnie z Joem? Wiesz tyle, ile ci powiedział.

W rzeczywistości mógł rozmawiać z kimkolwiek. Słyszałaś tylko jego część rozmowy. Po drugiej stronie linii mógł być każdy.

– Nie, nie. To był Joe na pewno. Raz kiedyś przez przypadek odebrałam telefon Neila.

Oboje mamy blackberry, trzymaliśmy je przy łóżku, bo ja musiałam odbierać telefony od Martina, a Neil często odpowiadał na e-maile. Kiedyś był w łazience, ja z rozpędu przyjął jego rozmowę i to znowu dzwonił Joe.

– O czym zwykle rozmawiali?

– Martin wraca – powiedziała Nina przyciszonym głosem. Uciekła wzrokiem w bok.

Rzeczywiście, jej mąż pokonywał ostatnią prostą, ciężko dysząc ze zmęczenia. Nina wyprostowała się i odchrząknęła. – Koniec dyskusji. Muszę iść. Na ciebie też już czas. Nie możemy tu rozmawiać.

– Powiedz mi jeszcze tylko, o czym rozmawiali.

– Nie wiem. Zawsze wychodził z telefonem z sypialni, żeby Joe mnie przypadkiem nie usłyszał. Neil był bardzo ostrożny, starał się, żeby nikt się o nas nie dowiedział, chronił moje małżeństwo.

Jill skrzywiła się w duchu, bo William chronił raczej własną skórę i po prostu nie chciał, żeby Nina słyszała jego rozmowy.

– Gdzie mieszka Joe Zeptien?

– Wydaje mi się, że gdzieś w mieście.

– Czyli w Nowym Jorku? A z czego się utrzymuje?

– Tego też nie wiem. – Martin był coraz bliżej, Nina zaczynała się denerwować nie na żarty. – Przestań. Dostyc tego. Chcę się dowiedzieć więcej, ale teraz już nie możemy rozmawiać. Czy zawiadomiłaś policję? Znają moje nazwisko? Będą się ze mną kontaktować?

– Wszystko ci wyjaśnię, ale musimy się spotkać. Najlepiej jutro, powiedz gdzie.

– Jutro nie mogę, pracuję.

– Spotkamy się tutaj – naciskała Jill. – W południe? Na lunchu?

– Nie, mam czas tylko rano. Umówimy się przez Facebooka, napiszę ci, gdzie się spotkamy. – Nina stężała, gdy tuż obok pojawił się Martin, dysząc i sapiąc jak lokomotywa, w koszulce poznaczonej ciemnymi plamami potu. – Idź już – szepnęła. – Powiem Martinowi, że płakałam, bo skrzyłam nogę.

– O której się widzimy?

– O dziesiątej. Powiem, że mam wizytę u lekarza.

I nie skłamię, pomyślała Jill, ale głośno tego nie powiedziała.

Dopiero w samochodzie wróciła jej pamięć.

Rahul. O dziesiątej.

## Rozdział 48

W drodze powrotnej trafiła na gwałtowną burzę z piorunami. Krople deszczu bębniły w dach samochodu, musiała wyęźać słuch, żeby rozmawiać przez komórkę.

- Padmo, jesteś tam?
- Tak, słucham.
- Przepraszam cię, bardzo mi przykro, ale muszę przełożyć nasze jutrzejsze spotkanie.
- Skrzywiła się w duchu. Zawsze potępiała lekarzy odwołujących wizyty, a teraz sama znalazła się w ich gronie. – Naprawdę ogromnie mi przykro. Czy możemy się spotkać trochę później? Na przykład w południe?

- Dobrze. W południe jeszcze dam radę.
- Wobec tego jesteśmy umówione. Będę miała wyniki badań. Jak się czuje Rahul? Zmieniając pas, zerknęła w lusterko wsteczne. Za nią jechała furgonetka dostawcza FedExu, na drodze było gęsto. Mimo złej widoczności i przedwczesnego mroku, który powłókł świat burą szarością, wszyscy jechali dość szybko.

- Bez zmian. Teraz śpi.
  - Gorączka?
  - Nie bardzo wysoka.
  - Jadł i pił?
  - Nadal niezbyt chętnie.
- Jill zanotowała w myślach ten krótki wywiad.
- No dobrze, to trzymaj się, do zobaczenia jutro w południe. I jeszcze raz cię przepraszam.

- Do zobaczenia – powiedziała Padma i zakończyła połączenie.

Jill dodała gazu i kontrolnie zerknęła w lusterko. Furgonetka zniknęła, ustępując miejsca jakiemuś szaremu sedanowi. Dopiero wtedy Jill wcisnęła czerwoną słuchawkę, po czym literę M, by połączyć się z Megan, która powinna już być w domu po treningu, prawdopodobnie ogałając lodówkę. Pilnowała drogi i słuchała długiego sygnału.

- Cześć, kochanie – odezwała się wesoło, gdy usłyszała głos córki.
- Cześć, mamó, właśnie miałam do ciebie dzwonić.
- A co się dzieje?
- Nie ma mnie w domu, jestem u Courtney. Jutro odgrywamy tę scenkę, wiesz, i jesteśmy prawie gotowe, ale chciałyśmy jeszcze powtórzyć, więc zostanę u niej na noc.
- No nie, Megan – zaprotestowała Jill. – Tego już za wiele. Narzucasz się Carol.
- Wiem, już mówiłaś. Stoi koło mnie, chce z tobą rozmawiać.
- Dobrze, daj jej telefon. – Jill usłyszała na drugim końcu linii niewyraźne szmery.
- Carol, jesteś? Jak sobie dajesz radę z tym moim słodkim skarbem?
- Bez żadnego problemu – odpowiedziała Carol pogodnie. – Co tam u ciebie?
- Wszystko w porządku, tylko jestem strasznie zajęta. Będę ci wdzięczna po grób za przechowywanie córki.
- Nie ma sprawy, to złote dziecko, przecież wiesz. Dziewczynki harują jak woły, dosłownie. Szyją stroje... po prostu wypruwają sobie żyły. Naprawdę zasługują na najwyższe uznanie.

Jill poczuła się winna.



- Głupio mi, że wszystko na ciebie spada, nawet je wozisz tam i z powrotem.
  - Swego czasu ty załatwiałaś całość od a do zet. Nic się nie przejmuj, szafa gra, a w przyszłym tygodniu wyjeżdżam z miasta, wtedy ty będziesz mogła porobić za szofera.
  - No to jesteśmy umówione. I jeszcze raz wielkie dzięki – powiedziała Jill z ulgą.
  - Święta z ciebie kobieta.
  - Jak każda – rzuciła Carol ze śmiechem. – Trzymaj się, kochana, oddaję ci córkę.
- Po chwili ciszy wróciła Megan.
- I co, mam, w porządku?
  - W porządku, kochanie. Nie zapomnij podziękować mamie Courtney za wszystko, no i pośpijcie dziś jednak trochę, dobrze?
  - Jasne, nie ma sprawy. Kocham cię, mamusiu.
  - Ja ciebie też kocham i strasznie się za tobą stęskniłam.

Zakończyła połączenie, odłożyła telefon. Z nawyku spojrzała w lusterko wsteczne i w nim znów zobaczyła szarego sedana. Kierowca był, oczywiście, ledwo widocznym cieniem, lecz rozpoznawała w nim mężczyznę. Samochód trzymał się na sąsiednim lewym pasie, cały czas na słupku.

Przycisnęła gaz, a on po chwili zrobił to samo. Nie chciała prowadzić szybko w taką pogodę, więc zwolniła. On także. Zjechała na prawo, na wolniejszy pas i zredukowała prędkość do stu na godzinę. Szary sedan tkwił jej na słupku jak przyklejony. Serce zaczęło się jej tłuc w piersi jak oszalałe. Wcisnęła gaz do dechy i wzięła do ręki telefon, na wypadek gdyby musiała wzywać policję.

Nagle pojawił się znak informujący o zjeździe na stację benzynową – szary sedan odbił w bok i skręcił z drogi szybkiego ruchu. Mimo wszystko Jill nie zdjęła nogi z gazu, a w ręku cały czas trzymała telefon i tak gnała przez burzę całą drogę.

## Rozdział 49

Gdy dotarła do domu, zapadły już ciemności. Wypuściła psa na podwórze, sama stanęła w drzwiach. Uważnie przeczesła wzrokiem żywopłot, szukając czegokolwiek, co by wzbudziło jej podejrzenia, lecz nie znalazła. Pulpet tym razem zachowywał się całkiem normalnie, z lubością wtykał nos w mokrą trawę. Powietrze przesiąkło mgłą, którą czuć było zawieszistą stęchlizną, z basenu unosiła się para. Tutaj też przeszła burza, teraz niebo znaczyły dziwne jasne smugi, cząsteczki światła były ukryte w ciemnych chmurach jak wermikulit w ziemi doniczkowej.

Gdy tak stała w progu, jej cień legł na trawniku, wydłużony na podobieństwo rozciągniętego cukierka toffi zagrożonego przerwaniem.

Sam się nie odezwał, więc rozważyła, czy do niego zadzwonić, jednak wciąż nie mogła mu powiedzieć tego, co chciał usłyszeć. Od ostatniej rozmowy z nim miała mętlik w głowie.

Pulpet wyłonił się z mroku. Chociaż miał swoje lata, poruszał się płynnie i z gracją. Jill otworzyła dłoń, a on wsunął w nią mokry nos. Taki mieli swój tajemny rytuał. Podrapała go za uszami, odkryła tam jakiś kołtun. Trzeba będzie rozczesać.

Nagle rozległ się dźwięk telefonu. Sięgnęła do kieszeni spodni, wyjęła z niej nowy aparat. Zobaczyła, że dzwoni Katie. Wcisnęła zieloną słuchawkę.

– Jak się masz?

– Co w końcu z tą Niną? – spytała Katie wyraźnie zdenerwowana. – Wszystko w porządku? Dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Musiałam porozmawiać z matką pacjenta, deszcz lał jak z cebra przez całą drogę, musiałam się skupić na prowadzeniu. – Już miała zacząć opowieść o Ninie, gdy w tle usłyszała krzyki chłopców. – Co tam się u ciebie dzieje?

– Szkoła przetrwania. Dwóch równocześnie postanowiło usiąść do komputera. Nie wygląda to najlepiej.

– Oj, oj.

Doskonale pamiętała dom pełen trzech dziewcząt, które potrafiły się kłócić o wszystko – o cienie do powiek albo pożyczony sweter. Wtedy nie powstało jej w głowie, że będzie tęskniła za tamtymi dniami. A jednak.

– Skaranie boskie z tymi dziećmi – jęknęła Katie. Hałas w tle przybrał na sile.

– Staram się uczyć ich samodzielnego rozwiązywania problemów... Kiedy się kończy okres rywalizacji z rodzeństwem? O, szlag...!

Jill słuchała z uśmiechem na ustach.

– Katie, teraz nie pogadamy. Zdzwonimy się później.

– Mowy nie ma! Umrę z ciekawości. Dostałam na fejsie wiadomość od Niny, macie się spotkać jutro o dziesiątej rano w Starbucksie na Weehawk Avenue sześćdziesiąt. Prześlę ci to e-mailem, żebyś nie zapomniała adresu. Zaczekaj chwilę. Chłopcy! Po kolei. – Katie zakryła mikrofon, ale i tak było ją doskonale słyszeć. – Jamie, puść brata, a potem się zamienicie. Wyloguj się. Masz się natychmiast wylogować, zrozumiano?!

– Ale masz w domu kołomyję.

– Co ty powiesz... Korzystają z jednego komputera, więc jeden musi się wylogować, żeby drugi mógł robić swoje. Niestety, Tommy'emu brakuje cierpliwości. Zaczekaj jeszcze chwilę. – Znowu przysłoniła mikrofon. – Tommy, nie poganiaj go. Wiesz, że nie posługuje się

myszą tak sprawnie jak ty.

Jill oczyma wyobraźni widziała dwóch chłopców o jasnoblond włosach przepychających się przed kuchennym komputerem. Znała używany w tamtym domu system logowania, bo w pracy korzystała z programu Epic. Lekarze i pielęgniarki mieli dostęp do tych samych komputerów w gabinetach, każde z nich dysponowało własnym kontem z osobistym hasłem. Jill logowała się za pomocą hasła Megan 0112, ponieważ Megan urodziła się dwunastego stycznia.

– Jeszcze momencik, Jill. Tommy, on się już wylogowuje. Tommy, on jest od ciebie młodszy!

Jill wystrzeliła jak z katapulty. Biegiem wróciła do kuchni. Dlaczego nie wpadła na to wcześniej? Przecież zwróciła uwagę na to, że laptop Williama jest podejrzenie sterylne. W tamtym momencie jednak uważała Williama za człowieka dość przeciętnego i nie podejrzewała go o drugą tożsamość. Teraz znała prawdę. Może w laptopie zapisane jest konto drugiego użytkownika, Neila Strauba?

– Już jestem – odezwała się Katie. – Ufff... Chętnie bym kupiła każdemu osobny komputer, ale przecież i tak po tygodniu by się do niczego nie nadawały. Komputery, nie dzieci.

– Muszę cię o coś spytać – stwierdziła Jill, znów pełna energii. – Jak masz zorganizowany komputer? Osobne konto użytkownika dla każdego z chłopców?

– Tak, mamy trzy konta użytkowników dla dzieci, każdy chłopiec ma swoje, plus Mike i ja, też każde z nas ma własne. Reasumując, mamy na laptopie pięcioro użytkowników. Wszyscy na tym samym komputerze.

– Tak?

– Mike ma swój oddzielny laptop do pracy, ale ja w zasadzie stale korzystam z kuchennego, na przykład do zaglądania na Facebook... sama widziałas. Akurat byłam zalogowana na swoim koncie użytkownika, mam zdefiniowane ulubione ustawienia...

Jill nie obchodziły ulubione ustawienia.

– O ile dobrze pamiętam, po włączeniu komputera... ale nie z uśpienia, rozumiesz, tylko po pełnym wyłączeniu, na ekranie masz pokazane konta wszystkich użytkowników, prawda? Wtedy wybierasz swoje, logujesz się i jesteś u siebie, tak?

– No pewnie.

– U nas w pracy system działa inaczej. Ekran niczego nie proponuje, widać tylko puste rubryki, trzeba wpisać login i hasło.

– Wszystko zależy od software'u. Na dobrą sprawę te programy są właściwie identyczne, różnią się tylko wyglądem ekranu startowego.

Laptop Williama był po przywiezieniu od Abby wyłączony definitywnie, łącznie z zamknięciem systemu, a jednak przy kolejnym uruchomieniu nie proponował do wyboru żadnych kont użytkownika.

– Katie, kto ci poustawiał te konta?

– Sama sobie poustawiałam.

– Ty?

– Jasne. To łatwizna. Na kuchennym laptopie ja jestem administratorem i ustawiam im konta, jak chcę.

Jill westchnęła z czystym uwielbieniem. Nieograniczona jest władza matczyzna.

– Wobec tego powiedz mi, czy można ukryć konkretne konta użytkowników?

– Chodzi ci o to, żeby się nie pokazywały na ekranie startowym? Jasne, bez problemu.

Myślę, że można schować niektóre albo wszystkie.

– A jak już je ukryjesz, to możesz je potem znaleźć?  
– Pewnie. Dlaczego pytasz?  
– Zastanawiam się nad laptopem Williama. Skoro mój były mąż prowadził podwójne życie i miał drugą tożsamość, którą tak świetnie ukrywał, mógł też chyba ukryć ją na laptopie?  
– Mógł – przytaknęła Katie. – Jeżeli na jego laptopie jest ukryte konto użytkownika Neila Strauba, powiem ci, jak je znaleźć.

– Poważnie?

Katie prychnęła z pogardą.

– Już zapomniałaś, że jestem królową Farmville?

Pół godziny później Pulpet zwinął się w kłębek na swoim posłaniu, a Jill nadal siedziała przy laptopie Williama. Z jednej strony komputera stał kubek z kawą, po drugiej leżał wydruk instrukcji od Katie. Jill zabrała się do roboty i po jeszcze jednym telefonie do królowej Farmville gotowa była odkryć drugie konto użytkownika na laptopie Williama, należące do Neila Strauba.

Włączyła komputer, weszła w „Menu start” i wybrała komendę „Uruchom ponownie”. Zaczekała cierpliwie, a gdy ekran rozjarzył się na nowo, najpierw ukazało się na nim logo Microsoftu, a potem przemknęły rzędy wirujących cyfr jak w automacie do gry. W końcu wszystko się uspokoiło, pulpit powlokła czerń i na ekranie ukazało się słowo „Hasło”.

Jill dostała gęsiej skórki w jednakowym stopniu z ciekawości, z podniecenia i ze strachu. Pamiętała, że wszystkie hasła ustanawiane przez Williama stanowiły kombinację nazw ekstrawaganckich samochodów oraz daty jego urodzenia, ponieważ zawsze twierdził, że potrzeba mu trochę ekstrawagancji w urodziny. Na przykład jeśli miał zrobić zakupy, należało wstukać hasło P9110701, które zrodziło się z Porsche 911 i dalej data urodzenia, czyli pierwszy lipca.

Spróbowała. Na ekranie pojawiły się dwa słowa: „Błędne hasło”. Do wspólnego konta bankowego mieli JAGXKE0701, więc przy drugiej próbie wpisała ten ciąg znaków. Niestety, również tym razem uzyskała ten sam efekt. Wobec tego przyszedł czas na MB6000701, czyli Mercedes Benz, najlepszy model. Za trzecim razem też nic nie osiągnęła.

Wtedy przypomniała sobie samochód, który William nazywał swoim Świętym Graalem. Mówił nawet, że chce być pochowany w Astonie Martinie DB9. Wstukała AMDB90701 i wcisnęła „Enter”. Ekran rozbłysnął standardowym krajobrazem proponowanym na tapetę pulpitu przez system Windows: na górze błękitne niebo, na dole trawiaste wzgórze – raj według Microsoftu. Serce zabiło jej szybciej. Przesunęła kursor myszy, kliknęła, a wtedy na ekranie wykwitły litery ułożone w napis: „Witaj, Neil!”.

## Rozdział 50

Wywołała listę folderów. Dwa pierwsze oznaczone były: „Badania” i „Notatki”. Oba utworzono tego samego dnia, dziewiątego września przed trzema laty. Otworzyła pierwszy i o mało nie spadła z krzesła. Folder zawierał setki plików oznaczonych nazwami leków, ułożonych w kolejności alfabetycznej: Abata, akasin, aormil, artil, aresta, aromytec... i tak dalej, aż do zertaxu. Wiele z tych nazw doskonale знаła, lekarstwa były powszechnie używane przy różnych dolegliwościach: bólu głowy, nadciśnieniu, artretyzmie, zaburzeniach afektywnych dwubiegunowych, nowotworach skóry, łuszczycy, mdłościach czy niedokrwistości aplastycznej. Nie sposób było się dopatrzeć między nimi jakiegokolwiek logicznego związku.

Otworzyła pierwszy plik, „Abata”. Znała ten lek, wiedziała, że jest używany do leczenia astmy u dzieci. W PDF-ie ukazała się ulotka zawierająca informacje dla lekarzy oraz opis: „Abata to chlorowodurek chinaprylu, ester etylowy niezawierający grup sulfhydrylowych...”. Przewinęła resztę pliku. Jeden z załączników oznaczono „Prasa”. Otworzywszy go, uzyskała listę tytułów prasowych oraz blogów, a przy nich daty i linki. Kliknęła w pierwszy link z brzegu. Została przeniesiona do artykułu w „The Oregonian” z trzeciego czerwca przed ośmiu laty.

Moise Yakowicz, lat 6, z Portland, w dniu dzisiejszym w czasie pikniku zuchowego cudem uniknął śmierci na skutek wstrząsu anafilaktycznego, który zdaniem jego rodziców został wywołany przez lek o nazwie Abata, produkowany przez Pharmcen...

Proszę bardzo. Abata był produkowany przez Pharmcen, firmę, w której pracowała Nina. Jeszcze nie wiedziała, czy to przypadek, ale podejrzewała, że raczej nie. Wyszła z artykułu, kliknęła następny link, który przekierował ją do następnej publikacji, tym razem z „Bucks County Courier Post” w Pensylwanii.

W dniu dzisiejszym w Domu Pogrzebowym Kaybocka podczas ulewnego deszczu odbyła się ceremonia pożegnania tragicznie zmarłej dziesięcioletniej Pauliny Ma. Dziewczynka zmarła przed tygodniem, jak utrzymuje pogrążona w bólu rodzina, na skutek wstrząsu anafilaktycznego wywołanego zażyciem leku Abata, produkowanego przez firmę Pharmcen...

Przeszła do folderu z akasinem i tam odkryła ten sam wzorec: w PDF-ie ulotka oraz informacje dla lekarzy, potem artykuły na temat skutków ubocznych działania leku z najróżniejszych źródeł z całego internetu. Zajrzała do następnych folderów – wszędzie to samo. Wszystkie leki, które sprawdziła, produkowane były przez Pharmcen.

Zminimalizowała dokument wordowski, otworzyła przeglądarkę sieciową, a w niej okno dialogowe oznaczone „Zakładki”. Ich lista sięgała poza dolną krawędź ekranu i zawierała nazwy tych samych leków. Wyglądało na to, że William został ekspertem od skutków ubocznych zażywania leków produkowanych przez firmę Pharmcen. Jeśli połączyć to z faktem,

że romansował z Niną, zatrudnioną w firmie Pharmcen, w wydziale Pharmacovigilance monitorującym skargi na temat niepożądanych skutków stosowania leków...

Miała przeczucie, że zbliża się do sedna. Wytwórcy leków mają prawem nałożony obowiązek zbierania skarg na temat niekorzystnych skutków działania ich leków i składać raporty na ten temat w Agencji Żywności i Leków, ze szczególnym uwzględnieniem przypadków zagrażających życiu. Skargi takie mógł składać każdy, większość jednak spływała od lekarzy. Medycyna Rodzinna Pembey zapewne miała wyniki znacznie powyżej średniej, ponieważ zajmowała się tym Sheryl, znana z fobii na temat pozwów sądowych. Bardziej typowym przedstawicielem środowiska była dawna grupa pediatryczna Jill, gdzie raportowało się znacznie rzadziej. Nie zawsze można było zyskać pewność, że niepożądana reakcja pojawiła się na skutek przyjmowania konkretnego leku, poza tym wypełnianie formularzy zajmowało czas, nawet w przypadku doniesień elektronicznych.

Wyszła z sieci, wróciła do menu startowego, znalazła na nim ikonę skrzynki pocztowej. Otworzyła ją i tam, w folderze wiadomości odebranych, znalazła najstarsze listy elektroniczne, jakie widziała na oczy. Na liście odbiorców i nadawców figurowała ta sama osoba: Neil Straub, a w kolumnie tematu znajdowały się nazwy leków. Przejrzała daty listów. Ostatni wysłano dzień przed śmiercią Williama, w poniedziałek. Ten otworzyła.

Tematem był memoril. Gdzieś słyszała o tym leku... a, tak. Usłyszała tę nazwę w Medycynie Rodzinnej Pembey, w poczekalni, gdy spotkała Elaine Fitzmartin i jej matkę, Mary.

„Odkąd mama przyjmuje memoril, jest o wiele lepiej”.

Założyła wobec tego, że memoril to lek na alzheimera, i otworzyła list, który okazał się wyjątkowo krótki.

„2, ogółem 4”

I to wszystko. Nie wiedziała, co to ma znaczyć, więc szukając jakiegoś wyjaśnienia, otworzyła poprzedni list, także ze słowem „Memoril” w tytule.

„ogółem 4 albo 5, sprawdzę”

Wcześniejszy list ze słowem „Memoril” w tytule.

„jeszcze 1”

We wcześniejszym liście znajdowały się tylko cyfry. Wobec tego przewinęła listę korespondencji do początku i otworzyła któryś list na chybił trafił.

„Jeszcze jeden. E zaniep.”.

Pewnie E to inicjał.

Pozamykała wszystkie otwarte listy i przyjrzała się datom oraz godzinom. William korespondował z sobą co dwa, trzy dni. Nic godnego uwagi. Żadnej regularności.

Aż nagle odkryła pewną prawidłowość: żaden z listów nie został wysłany w weekend.

„Często odpowiadał na e-maile”, powiedziała Nina.

Jill złożyła kilka faktów w logiczną całość. Czas wysyłania listów musiał nakładać się na spotkania z Niną. Najprawdopodobniej uzyskiwał od niej informacje na temat liczby skarg na konkretne leki i te dane przysyłał sobie z telefonu na skrzynkę pocztową. Powiedział Ninie, że musi odbierać listy, lecz w rzeczywistości je wysyłał.

Upiła łyk zimnej kawy.

Po co to robił? Jeśli założyć, że liczył skargi na memoril, należało zadać sobie pytanie, jakie wyciągał z tego korzyści i dlaczego mu się to opłacało.

Nagle zrozumiała.

Zawierzyła przecuciu. Wróciła do folderów, przeczytała ich nazwy. Jeden z pierwszych był oznaczony „Akcje”. Otworzyła go. W środku znów odkryła długą listę plików: „Raporty

roczne”, „Finanse”, „Wykresy”, „Dywidendy”, „Pożyczki”, „Certyfikaty”, „Zakupy”, „Sprzedaż” i tak dalej.

Otworzyła pierwszy z brzegu, potem następny i jeszcze jeden – każdy potwierdzał jej podejrzenia. Przy czym we wszystkich znajdowały się informacje wyłącznie o akcjach firmy Pharmcen. Akcje te znajdowały się w obrocie publicznym, więc jeżeli William wiedział, na które leki wpływały skargi, mógł spekulować zawczasu, które z nich zostaną wycofane. Takie sytuacje zdarzały się częściej, niż mógł przypuszczać człowiek nieorientowany w temacie, i oczywiście wpływały na poziom cen akcji producenta, zwłaszcza na dzisiejszym rozchwianym rynku. Nawet najmniejsza korekta, zaliczana do klasy trzeciej, z pewnością nie pozostawała bez wpływu na ceny akcji wytwórcy, natomiast działania podpadające pod klasę pierwszą mogły spowodować bardzo gwałtowny spadek wartości papierów.

Serce jej łomotało.

Jeżeli William wiedział o możliwości lub wręcz o planach wycofania z rynku jakiegoś leku, mógł bez ryzyka zarabiać na mechanizmach krótkiej sprzedaży. Wyjaśniałoby to, jakim sposobem było go stać na domy, samochody i podwójne życie. Najwyraźniej robił to samo za czasów ich małżeństwa, tylko później na większą skalę.

By potwierdzić swoją teorię, wróciła do internetu, lecz William najwyraźniej nie korzystał z żadnych stron maklerskich, choćby takich jak etrade.com, schwab.com czy tdameritrade.com.

To tyle w kwestii najnowszej teorii.

Przejrzała zawartość komputera pod kątem plików związanych z handlem akcjami, jednak nic takiego nie znalazła. William dysponował cennymi informacjami, ale ich nie wykorzystywał, co nie miało żadnego sensu, zwłaszcza gdy chodziło o niego.

Zabrakło jej pomysłów.

Przeszła do menu „Start”, tam do „Wszystkie programy”, żeby zobaczyć, jakie inne programy, poza standardowo dostarczonymi razem ze sprzętem, William zainstalował. I znowu nie znalazła nic. Był tylko Excel służący do tworzenia arkuszy kalkulacyjnych.

Niech więc będzie Excel.

Uruchomiła program, bez kłopotu otworzyła w nim listę arkuszy sięgających trzech lat wstecz. Kliknęła na pierwszy. Uwzględniał dość duże sumy. Dwadzieścia tysięcy dolarów szóstego czerwca, tyle samo dwudziestego drugiego i podobnie na koniec miesiąca, dwudziestego dziewiątego.

Oczy zrobiły się jej wielkie i okrągłe jak spodki.

Ktoś Williamowi za coś płacił. Najprawdopodobniej za poufne informacje z Pharmcenu o ewentualności wycofywania leków. Najwyraźniej William sam nie spekulował na giełdzie, tylko sprzedawał informacje komuś, kto robił z nich użytek.

Mogłaby się założyć, że tym człowiekiem był Joe Zeptien.

Jakiś czas siedziała bez ruchu, zadumana nad własnymi odkryciami. Zdemaskowała plan Williama, wystarczyło poszperać w jego laptopie, gdzie fałszywą tożsamość chroniło głupie hasło AMDB90701.

Nagle doznała kolejnego olśnienia, z innej beczki.

Wszystkie jej hasła związane były z Megan i jej datą urodzenia, choćby najprostsze, Megan 0112. Ewentualnie z dawnym przezwiskiem córki – Miggy0112. Czasem łączyła dwa w jednym – Megan i Pulpeta: MGPL0112. Tak czy inaczej, wszystkie jej hasła były związane z tymi, których miała w sercu. Oczywiście dzięki temu łatwo je było zapamiętać. I tak stale myślała o Megan i bardzo często o Pulpecie. Podejrzała, że niejeden rodzic stosował tę metodę, a hasło wiele mówiło o osobie, która je ustanawiała, trochę jakby to był współczesny

klucz do ludzkiej duszy.

Hasła Williama bazowały na nim samym i samochodach. Nie na Abby, Victorii czy kimkolwiek innym, kogo kochał. Ponieważ w rzeczywistości nikogo nie kochał. Innymi słowy: nie tylko jej, Jill, nie kochał. Po prostu w ogóle nie był zdolny do miłości. Chciała wiedzieć, o co mu naprawdę chodziło, a nie zorientowała się, że odpowiedź miała cały czas w zasięgu ręki. Przed oczami. W jego laptopie.

Chodziło mu o pieniądze. Chciał pieniędzy, nie po to, żeby je na coś konkretnego wydawać, ale dlatego że one określały go jako człowieka, jako mężczyznę. Proste, proste jak drut. Pragnienie samo w sobie było niczym, równie bezcielesne jak transakcje elektroniczne. Pieniądze były niczym, tylko zadrukowanym papierem, o wartości od dawna czysto umownej. Wszyscy wiemy, że banknoty i monety mają określoną wartość, ponieważ zgadzamy się co do tego, ponieważ umówiliśmy się, my, ludzie, że mają wartość. William bez pieniędzy czuł się bezwartościowy.

Gdy pomyślała o nim w ten sposób, zrozumiała go lepiej. Nie była już na niego zła, nie czuła się tak bardzo skrzywdzona, jak jeszcze niedawno. Było jej go żal, nawet mu w pewnym stopniu współczuła, że szedł przez życie puste i bez celu, z dominującym nad wszystkim poczuciem braku własnej wartości. Dziwne, lecz fakt, że już nie żył, nie miał większego znaczenia. Bo przestał dla niej istnieć właśnie w tej chwili.

Długo trwało, zanim stanęła na nogi, lecz w końcu jej się udało.

Lekarzu, ulecz się sam.

Uśmiechnęła się łagodnie.

A potem opracowała plan. Postanowiła tej nocy nie kłaść się spać, jeśli będzie trzeba, zebrać i usystematyzować wszystkie niezbędne informacje i na jutrzejszym spotkaniu z Niną przedstawić jej szczegóły, powiedzieć, co się działo, wyjaśnić wątpliwości. Następnie przekaze wszystko policji i niech oni decydują, czy chcą rozmawiać z Niną, czy szukać Joego Zeptiena, czy dowieść prawdy na temat śmierci Williama, powodów jego zgonu. Najwyraźniej gdzieś Williamowi powinęła się noga, policja się w tym na pewno rozezna.

Jill już wiedziała swoje.

Poznała prawdę o Williamie.

Prawda była straszna, lecz przyniosła wyzwolenie.



## Rozdział 51

Następnego ranka Jill czekała na Ninę w Starbucksie, ubrana jak co dzień w sweter i dżinsy. Biorąc pod uwagę nieprzespaną noc spędzoną przy laptopie Williama, czuła się zadziwiająco rześko. Jej teoria na temat mactw byłego męża okazała się prawdziwa, udało się uzyskać szczegóły dotyczące finansów. W ciągu ostatnich trzech lat William otrzymał dwie ogromne wypłaty, w ramach płatności za deferral i riparin, na łączną sumę około miliona dolarów, następnie pięćset tysięcy wpłacono mu w zamian za mniej istotne informacje. Sprawa memorilum wyglądała na dużą rzecz, właściwie największą spośród dotychczasowych – już zapłacono Williamowi milion sto tysięcy.

Jill miała z sobą teczkę z wydrukowanymi listami i arkuszami kalkulacyjnymi, na wszelki wypadek, gdyby Nina chciała zobaczyć dowody.

Spojrzała na zegarek. Dziesiąta piętnaście. Nina się spóźniła, chociaż kompleks Pharmcenu w Parkertowne znajdował się niedaleko, przy tej samej ulicy. Oba miejsca dzieliło kilka budynków z brązowej cegły, spory teren zielony ze sztucznym stawem i parking dla służbowych samochodów, ogrodzony zadbanym żywopłotem.

Nie była wcześniej w środkowym New Jersey, lecz urzekło ją to miejsce, gdzie centra handlowe i siedziby korporacji sąsiadowały z farmami, na których pracowały konie.

Sprawdziła w poczcie, czy nie ma wyników badań krwi Rahula. Jeszcze nie. Upiła łyk kawy, mocnej i gorącej. Rozejrzała się wokół. Zgrana paczka baristów pracowała szybko i sprawnie, zręcznie poruszając się między syczącymi parą ekspresami, a długi rząd chętnych przesuwał się, cierpliwie czekając na swoją kolej złożenia zamówienia. Byli to głównie pracownicy korporacji z laminowanymi identyfikatorami, lecz także dziewczęta w obcisłych elastycznych spodniach i matki z wózkami, lawirujące z kubkami firmowymi w jednej ręce między stolikami.

Ciekawe, czy właśnie w tym lokalu William poznał Ninę. Wdał się w romans, a potem za sprawą rozmów w łóżku uświadomił sobie, że dzięki informacjom od kochanki może zrobić niemałą kasę. A może było odwrotnie? Może polował na kogoś takiego jak Nina, specjalnie przesiadywał w Starbucksie niedaleko Pharmcenu, żeby poznać jakąś zatrudnioną w tej firmie kobietę, oczarować ją i dostać od niej wszystko, łącznie z poufnymi informacjami.

Drzwi się otworzyły i Jill podniosła wzrok, spodziewając się Niny, lecz do kawiarni weszło dwóch kierowców w niebieskich uniformach Pharmcenu. Rozmawiali swobodnie i śmiali się głośno. Znowu spojrzała na zegarek. Wpół do jedenastej.

Może Nina nie dała rady wyjść z pracy?

Drzwi otworzyły się ponownie, tym razem ukazały się w nich dwie kobiety, także w strojach firmowych. One wcale nie były w radosnych nastrojach, miały zapuchnięte oczy i rozmazany makijaż. Ludzie stojący w kolejce odwracali się w ich stronę, bariści też popatrywali z ciekawością.

– Ciągłe nie mogę w to uwierzyć – powiedziała jedna z kobiet, gdy usiadły przy pustym stoliku. – Coś podobnego, taka tragedia.

Podeszli do nich kierowcy.

– Co się dzieje? Znowu cięcia, oszczędności i zwolnienia?

– Nie. Zginęła nasza koleżanka. Mąż ją zastrzelił, a potem popełnił samobójstwo.

W Jill jakby grom strzelił. Zasłonił usta dłonią.

- No pięknie... – Kierowca zdjął czapkę. – Wasza koleżanka...
- Nina była naprawdę bardzo miła.
- Niemożliwe! – wyrwało się Jill.

Wstała, nogi się pod nią ugięły. Pracownicy Pharmcenu obejrzel się na nią zdziwieni.

- Można pani jakoś pomóc? – zapytał jeden z kierowców.
- Nie, nie, dziękuję. – Wyprostowała się cudem. – Czy Nina D’Orive została

zamordowana?

- Tak – odpowiedziała zapłakana kobieta. – To pani znajoma?
- Tak, znam ją. To znaczy: znałam. Jak to się stało? Kiedy ją zabił?
- Wczoraj wieczorem. Nie przyszła dzisiaj do pracy, a zawsze była na czas, więc

Elliott zadzwonił do niej, a tam odebrała policja.

– Elliott?

– Nasz zwierzchnik w Pharmacovigilance. Właśnie przed chwilą zebrał nas wszystkich w pokoju socjalnym i powiedział, co się stało.

Jill przypomniał się inicjał E w poczcie elektronicznej Williama. Zrobiło jej się słabo, miała mdłości. Myśli kłębiły jej się w głowie. Pozostawało jej mieć nadzieję, że nie jest odpowiedzialna za śmierć Niny. Bo przecież Martin mógł ją przyłapać płaczącą po Williamie... albo sama przyznała się do romansu...

W ustach jej zaschło, na piersiach legł ogromny ciężar, otaczały ją twarze o pytających spojrzeniach. Chwyliła torebkę, w drugą rękę złapała żółtą teczkę z wydrukami i rzuciła się do drzwi. Wypadła ze Starbucksa, w ostatniej chwili znalazła się na parkingu, przy żywopłocie.

Zgięta w pół, gwałtownie zwymiotowała.

## Rozdział 52

Wcisnęła gaz i pojechała na Weehawk Boulevard. Ruch był niewielki i całe szczęście, bo ledwo mogła prowadzić. Łzy stale napływały jej do oczu, coś dusiło w gardle, w uszach szumiało. Była przerażona i zdruzgotana, a gdziekolwiek spojrzała, wszędzie widziała Ninę, uszczęśliwioną, że może się pochwalić szczeniakiem.

Zatrzymała się na światłach akurat naprzeciwko bramy zwieńczonej napisem PHARMCEN i niebieskim logo w postaci globusa. Pomyślała o laptopie w bagażniku, o tym komputerze zawierającym wiele poufnych informacji, które zostały przehandlowane. Teraz, gdy dowiedziała się o losie Niny, poczuła, że musi porozmawiać z kimś z Pharmcenu, dowiedzieć się jak najwięcej o zmarłej, powiedzieć im, co się dzieje w ich firmie, a w końcu pokazać im zawartość laptopa.

Światła zmieniły się na zielone, Jill skręciła w lewo i podążając za znakami, dotarła na parking dla gości. Wjechała na wolne miejsce, wyłączyła silnik. Wydmuchała nos, wytarła oczy, zabrała torebkę i wysiadła z samochodu. Wyjęła laptop z bagażnika i poszła prosto do przeszklonego wejścia. Łatwo trafiła do stanowiska recepcji znajdującego się za granitowym blatem, uzbrojonego w całą baterię telefonów i monitorów komputerowych.

– Czym mogę służyć? – spytała młoda ładna recepcjonistka.

– Nazywam się Jill Farrow. Chciałabym się widzieć z Elliottem, szefem Pharmacovigilance. W ważnej sprawie.

– Czy jest pani umówiona z panem Hortonom?

– Jestem przyjaciółką Niny D’Orive. W jej sprawie chcę się z nim spotkać.

– Proszę przyjąć najszczerze kondolencje. – Recepcjonistka wskazała poczekalnię po prawej stronie, gdzie znajdowała się grupa osób w eleganckich strojach biznesowych. – Zechce pani zaczekać, poproszę pana Hortona.

– Dziękuję.

Jill przeszła do poczekalni, usiadła na krześle w niebieskie wzory. Laptop i torebkę położyła na kolanach. Starła się wziąć w garść.

Recepcjonistka w tym czasie podniosła słuchawkę interkomu, wcisnęła kilka klawiszy, powiedziała coś cicho, po czym, rozłączywszy się, gestem poprosiła Jill z powrotem do stanowiska.

– Jak mam do niego trafić? – spytała Jill, podchodząc.

– Bardzo mi przykro, ale pan Horton nie może teraz spotkać się z panią.

– Chciałabym wobec tego porozmawiać z kimś z ochrony.

– W jakiej sprawie? – Kobieta zerknęła nad ramieniem Jill na czarne biurko ochrony stojące pod najdalszą ścianą holu.

– Tego nie mogę powiedzieć. Zależy mi na rozmowie z kimś z ochrony. To sprawa bezpieczeństwa korporacji.

– Proszę się nie denerwować. – Recepcjonistka skinęła na ochroniarza, który już siedł w ich stronę.

– Dzień dobry. Mogę pani w czymś pomóc?

Pod dolną wargą miał kępkę zarostu, która wydawała się nie na miejscu przy niebieskim firmowym mundurze oraz czapce z logo. Na naszywce widniały jego imię i nazwisko, BARRY RONAT, powtórzone na laminowanym identyfikatorze.

– Tak. – Przedstawiła się ponownie. – Muszę rozmawiać z pańskim zwierzchnikiem.  
To kwestia bezpieczeństwa korporacji.

– A dokładniej?

– Czy może pan mnie po prostu do niego zaprowadzić? – Jill widziała kątem oka, że mężczyźni pod krawatami i kobiety w pantoflach na niskich obcasach zaczynają jej się przyglądać. – To nie jest sprawa do publicznej debaty.

– Bardzo mi przykro, nie mogę spełnić pani prośby.

– Jestem przyjaciółką Niny D’Orive, dziś rano miałam się z nią spotkać w ważnej sprawie.

– Naprawdę niezmiernie mi przykro. Mogę panią odprowadzić do samochodu?

– Nie, dziękuję. – Zrozumiała, że nic nie wskóra. W ogóle niepotrzebnie tu przysłała. Należało od razu zawiadomić policję. – Wyjdę sama.

– Odprowadzę panią – nalegał ochroniarz.

– Dobrze, jak pan chce.

Ruszyła do wyjścia. Idąc, włożyła rękę do torebki i odszukała w niej telefon. Minęła drzwi, wyjęła blackberry i poszła do samochodu. Ochroniarz został przed drzwiami. Stał w rozkroku, założył ręce na piersi.

Zanim dobrze usiadła za kierownicą, już wybrała numer informacji.

– Proszę Centralę Dochodzeniową w Filadelfii, stan Pensylwania.

## Rozdział 53

Znow stanęła na czerwonym świetle na Weehawk Boulevard. Telefon trzymała przy uchu, czekała na połączenie. Czuła się kompletnie rozbita. Przed oczami miała uśmiechniętą Ninę, dumną z awansu na wiceprezesa.

W telefonie odezwał się męski głos.

– Detektyw Ramallah, słucham.

– Nazywam się Jill Farrow, dzwonię w sprawie śmierci mojego byłego męża, Williama Skylera. Ostatnio rozmawiałam z detektywem Hightowerem.

Namnożyło się tych policjantów...

– Chwileczkę, dopiero co go widziałem. Zaraz go poproszę.

– Dziękuję.

Czekała rozdygotana. Śmierć Niny nie dawała jej spokoju. Światło zmieniło się na zielone, ale pojazdy ledwo drgnęły, najwyraźniej coś się stało. Po chwili zjawily się białe furgonetki służb miejskich, ulicą zaczęła płynąć woda. Musiała gdzieś pęknąć rura. Kierowanie ruchem przejęła policja. Mundurowi zablokowali Weehawk Boulevard trzema radiowozami i kierowali pojazdy w bok, objazdem. Jill usłyszała w telefonie kliknięcie.

– Detektyw Hightower, słucham.

– Proszę pana...

Kolumna samochodów zaczęła pełznąć, więc Jill dodała gazu. Zgodnie z poleceniem policjanta z drogowki skręciła w lewo, wolno pokonując strumień wody.

– Pani Farrow, sądziłem, że się zrozumieliśmy.

– Mam dla pana nowe informacje. Jak długo będzie pan dzisiaj w centrali? – Przed dwunastą nie mogła tam jechać, najpierw musiała się spotkać z Padmą. Nie mogła przekładać tej wizyty po raz drugi. – Przede wszystkim muszę przyjąć pacjenta, ale to nie potrwa długo.

– Jestem tu cały dzień, chyba że trafi się jakiś wyjazd. Ale przecież zamknęliśmy sprawę Williama Skylera... Poprawka: sprawy Skylera nie było.

– Bardzo proszę, niech pan mnie chwilę posłucha. Mój były mąż sprzedawał poufne informacje dotyczące leków produkowanych przez Pharmcen, zarobił na tym przynajmniej dwa i pół miliona dolarów.

Jadąc za innymi, skręciła w prawo, otoczenie zmieniło się nieomal natychmiast. Zabudowania korporacji zniknęły, zastąpiła je otwarta przestrzeń.

– Ma pani jakieś dowody?

– Tak, mam. Wykorzystywał swoją przyjaciółkę, pracownicę Pharmcenu. Dowody są w jego laptopie.

Minęła farmę z białym domem. Na pastwisku przy drodze konie opędzały się od much czarnymi ogonami.

– Czy ta kobieta przyjdzie z panią?

– Nie. – Jill z trudem przełknęła ślinę. – Została zamordowana. Wczoraj wieczorem.

Pojechała prosto, chociaż pozostałe samochody skręcały w prawo. Powinna była jechać tam gdzie wszyscy, ale się zagapiła, skupiona na rozmowie.

– Co pani mówi? Kto stwierdził, że to morderstwo?

– Chyba miejscowa policja. Ta kobieta mieszkała w Hoboken. Mąż ją zastrzelił, potem popełnił samobójstwo.

– Fatalna sprawa. Bardzo mi przykro. – Detektyw Hightower zamilkł na moment.  
– Gdzie pani jest?

– W Parkertowne, w stanie New Jersey.

Myśli kłębiły jej się w głowie.

Czy to przypadek, że Nina straciła życie tego samego dnia, kiedy się spotkały? A jeżeli jej śmierć wpisywała się we wzór zbrodni? Razem z zabójstwem Williama? Czy Ninę zabił ktoś inny i upozorował zbrodnię z zazdrości?

– Proszę pani? Słyszemy się?

– Tak, tak, przepraszam. Zastanawiałam się, czy przypadkiem jej śmierć nie wygląda w rzeczywistości inaczej niż na pierwszy rzut oka... – Nie dokończyła zdania. Nie miała żadnych dowodów na poparcie tej teorii, nie była pewna, czy sama w nią wierzy. – Jestem w drodze powrotnej. Przyjadę do pana jak najszybciej.

– Dobrze. W takim razie do zobaczenia po południu. Niech pani prowadzi ostrożnie.

– Oczywiście.

Rozłączyła się, po czym odłożyła telefon na fotel pasażera.

Nie знаła drogi do Filadelfii, więc włączyła nawigację. Wybrała opcję „Punkt startowy” i stuknęła „Twoje aktualne położenie”, po czym, określając miejsce przeznaczenia, dotknęła „Z pamięci”, a następnie „Dom”. Tak było najszybciej i najprościej. Gdy znajdzie się w znajomej okolicy, trafi tak czy inaczej. Póki nawigacja nie wytyczyła trasy, jechała prosto, drogą prowadzącą przez wieś, między niskimi budynkami farmerskimi, za którymi rozciągały się zalane słońcem pastwiska. Ulica wiodła szpalerem wysokich dębów, po jakimś czasie zwęziła się do jednego pasa ruchu w każdą stronę, kilka chwil później zniknęła także środkowa linia.

„Za pięćdziesiąt metrów skręć w lewo”, odezwała się nawigacja.

Jill ścisnęła kierownicę zbyt mocno, nie od razu zorientowała się, że jej ciało zareagowało na konkretny bodziec, zanim dotarł do mózgu. Jeżeli Nina i Martin zostali zamordowani, mogło to oznaczać, że ktoś ją śledził. Pojechał za nią do Hoboken. Co za tym idzie, mogła być śledzona w dalszym ciągu, nawet teraz. Zerknęła w lusterko wsteczne. Jechały za nią dwa samochody. Szary sedan, a dalej prawie identyczny, srebrny.

„Za dwadzieścia pięć metrów skręć w lewo”, poinstruował ją GPS.

Jechała, nie odrywając wzroku od dwóch podążających za nią aut. Szary sedan wydawał się podobny do tego, na który zwróciła uwagę poprzedniego wieczoru, jednak trudno było mieć pewność. Oba jechały wyraźnie w parze, jeden blisko drugiego, jakby kierowcy się znali.

To nic nie znaczy, usiłowała przekonać samą siebie.

Ludzie często jeżdżą przyklejeni do cudzego zderzaka. A przy okazji objazdu nietrudno stracić głowę.

„Skręć w lewo”.

Skręciła.

Oba sedany wykonały ten sam manewr.

Serce biło jej w szaleńczym rytmie, jednak nakazała sobie spokój. Nic dziwnego, że skręciły tak samo, na pewno tamci kierowcy też korzystają z nawigacji. Za jakiś czas wszyscy wrócą na główną drogę, ona jako pierwsza.

„Jedź prosto przez trzy kilometry”.

Zaschło jej w gardle. Przed nią droga ciągnęła się prosto jak strzełił, asfaltowa wstążka z dwoma rzędami starych drzew po bokach.

Powtarzała sobie, że powinna rozkoszować się wycieczką po pięknej okolicy i nie ma powodu do niepokoju. Nikt jej nie będzie zabijał w środku dnia w sielskim krajobrazie New

Jersey.

Nagle srebrny sedan przyśpieszył, usiadł jej na zderzaku. Szary trzymał się tuż za nim.

Teraz już serce podeszło jej do gardła. Chwyliła telefon. Oba samochody najwyraźniej usiłowały ją zepchnąć z drogi. Wcisnęła numer alarmowy i wdusiła pedał gazu w podłogę. Sto kilometrów na godzinę, po chwili miała na liczniku sto dziesięć. Srebrny wóz także przyśpieszał. Szary dodał gazu jeszcze mocniej i znalazł się obok niego. Spod kół przyskały drobne kamyki z pobocza.

Sto dwadzieścia. Sto trzydzieści. Kurczowo trzymała kierownicę obydwoma rękami, telefon przyciskała do niej kciukiem.

– Ratunku! – wrzasnęła, gdy ktoś odebrał. – Ścigają mnie dwa samochody! Chcą mnie zabić!

– Gdzie pani się znajduje? – zapytał operator opanowanym głosem.

– Nie wiem! – Rozejrzała się gorączkowo za jakimś znakiem, ale żadnego nie dostrzegła. Zaryzykowała rzut oka na ekran nawigacji, jednak przy tej prędkości nie mogła z niego nic odczytać. – Gdzieś niedaleko Parkertowne w New Jersey! Nie możecie mnie znaleźć? Mam włączony GPS! Jadę białym volvo... Pomocy!

Z wizgiem mijała krowy i konie. Kierownica wyrywała jej się z rąk jak żywa. Daleko na polu wolno toczył się traktor. Zaciśnęła zęby. Najważniejsze, żeby nie wypaść z drogi. Jeden fałszywy ruch i skończy na drzewie.

Dwa sedany pędziły za nią jak ruchoma ściana.

– Ratunku! – wrzasnęła.

Potrzebowała całej siły obu rąk, więc puściła telefon. Zresztą i tak już nie słyszała operatora. A na dodatek trudno było mieć wątpliwości, że rozstrzygnięcie tego szalonego pościgu nastąpi bardzo szybko. To była kwestia sekund. W tym czasie pomoc i tak się nie pojawi.

Licznik wskazywał już sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a dosłownie chwilę później sto sześćdziesiąt. Jill ze strachu miała ochotę zamknąć oczy. W jej gardle zrodził się przeciągły ochryply krzyk. Nie potrafiła ucichnąć. W życiu nie jechała z tak potworną szybkością. Świat po bokach zlał się w rozmazany film. Dusila kierownicę jak najgorszego wroga. Wszystkie zmysły, wytężone do granic możliwości, skupiła na utrzymaniu się na asfalcie.

Dwa sedany mknęły za nią dosłownie o centymetry, z tą samą co ona zabójczą prędkością.

Praktycznie stała na pedale gazu, a od krzyku zaczynały jej puchnąć płuca. Operatora nie słyszała wcale. Teraz już nikt nie mógł jej pomóc. Żaden człowiek.

Pomóż mi, Boże. Pomóż, bo dziecko mnie potrzebuje.

## Rozdział 54

Bum!

Dostała w zderzak. I to z impetem. Rzuciło nią w pasach. Wrzasnęła głośniej. Straciła panowanie nad kierownicą. Samochód zmienił się w karuzelę, choć cudem jakimś wirował ciągle na asfalcie. Opony darły nawierzchnię z rozdzierającym skrzekiem. Obracała się całą wieczność, jak w lunaparku z sennego koszmaru.

Łup!

Przednim zderzakiem huknęła w barierkę. Poduszka powietrzna wystrzeliła jej w twarz, przygwoździła do zagłówka. Jill widziała tylko plastik. W nozdrzach miała smród palonej gumy. Całe ciało ją mrowiło. Poduszka powietrzna zwiotczała równie gwałtownie, jak się napełniła. Samochód nadal pędził jak szalony, przez moment tyłem, w następnej chwili sunął bokiem. Jakiś nisko rosnący konar wbił się w okno po stronie pasażera.

Ledwo starczyło jej refleksu, by przyłgnąć do oparcia. Miała szczęście. Tylko drobniejsze gałązki zadrapały jej twarz.

Samochód wreszcie się zatrzymał.

„Jesteś na złej drodze – oznajmił GPS. – Zawróć”.

Przez jakiś czas siedziała kompletnie odrętwiała. Miała wrażenie, że głowa jej lada moment eksploduje. Otarła czoło drżącą ręką. Między palcami została jej ciepła, lepka krew. Gdy adrenalina dotarła do układu krwionośnego, Jill zaczęła dygotać. Serce łomotało, jakby miało wyskoczyć z klatki żeber.

Sprawdziła kończyny. Całe. Na lewej dłoni krwawiące rozcięcie.

Wszędzie krew i okruchy szkła. Głowa bolała potwornie, ale zmysły, na ile mogła ocenić, nie ucierpiały.

Przeżyła.

Dziękuję, dziękuję!

Silnik zakrzusił się i zgasł. Niewiele widziała przez liście i przednią szybę, matową od pajęczyny pęknięć, więc popatrzyła w lewo, a potem do tyłu. Samochód znieruchomiał zwrócony tyłem do szosy. Usłyszała jakieś krzyki i uświadomiła sobie, że to może jeszcze nie koniec. Może powinna dalej uciekać przed kierowcami sedanów.

Obróciła się gwałtownie, gotowa biec, ratować życie, lecz zaraz się zorientowała, że nie musi. Srebrny sedan właśnie zniknął w oddali, natomiast szary został pod dębem na przeciwnym poboczu. Uderzył w pień drzewkami od strony pasażera. Połamane gałęzie spadły na dach i maskę. Ogródzenie pastwiska leżało rozbite w drzazgi. Spłoszone konie uciekły galopem, biegły do stajni na wzgórzu.

Kierowcę widziała dość wyraźnie. Leżał na kierownicy powleczonej splaszczoną poduszką powietrzną. Nie ruszał się. Uderzenie musiało być niewyobrażalnie mocne.

Oprzytomniała do końca. Musiała go ratować. Morderca czy nie, wszystko jedno, nie wolno było ot tak pozwolić mu umrzeć.

– Halo, słyszy mnie pani? – dobiegło nie wiadomo skąd. – Proszę pani?

Jill uświadomiła sobie, że to głos operatora z numeru alarmowego. Tylko nie widziała aparatu. Odsunęła poduszkę powietrzną i znalazła go na podłodze. Podniosła do ucha.

– Tak. Jestem.

– Może pani mówić?



– Tak. Nic mi nie jest. Ale kierowca drugiego samochodu się nie rusza. Potrzebna jest karetka. Postaram się mu pomóc.

Przesunęła się na fotelu. Odłamki szkła posypały się z niej z brzękiem. Sięgnęła do klamki, pociągnęła za nią i pchnęła drzwiczki barkiem. Niesłychane, że dały się otworzyć.

– Proszę nie dotykać poszkodowanego. Ratownicy są już w drodze. Mamy pani lokalizację.

– Jestem lekarzem – odparła Jill. Dźwignęła się z fotela. Drobiny szkła spadły na asfalt. Czuć było benzynę i zdarte opony. Ręka ją bolała od trzymania telefonu przy twarzy.

– Muszę mu pomóc.

– W razie potrzeby proszę dzwonić. Teraz się rozłączę, żeby nie blokować linii.

Wsunęła aparat do kieszeni. Ruszyła w stronę rozbitego sedana. Potknęła się raz i drugi, omal nie upadła, krew skapywała jej z czoła, ale zdołała dotrzeć do celu.

Otworzyła drzwiczki.

Nie widziała twarzy, jednak udało jej się ocenić, że kręgosłup szyjny nie jest złamany. Kierowca miał głęboko rozciętą skórę na głowie, rana krwawiła obficie. Czerwone strużki spływały po policzku i po szyi, gęste krople skapywały na uda.

– Proszę pana!

Dłonie miał uwięzione pod poduszką powietrzną, więc puls sprawdziła na tętnicy szyjnej.

– Proszę pana... Może się pan poruszyć? Jestem lekarzem.

Ranny jęknął.

– Czy może pan poruszyć nogami?

Nie próbowała go ściągać z fotela, bo zmiądzona deska rozdzielcza przygwoździła mu kolana. Nie potrafiła też ocenić na pewno, czy ma połamane nogi, ale na to wyglądało. Tuż nad głową, na poduszce powietrznej leżały stłuczone okulary, wszędzie sypały się okruchy szkła.

Dlaczego ścigający ją morderca miał na sobie elegancki garnitur?

A dlaczego nie?

– Proszę pana! Czy może się pan poruszyć?

– Nie – odparł słabo.

Z najwyższym wysiłkiem udało mu się odrobinę przekręcić głowę.

Jill zmartwiała.

Twarz miał umazaną krwią, przy nosie zbierała się czerwona kałuża, mimo wszystko o pomyłce nie mogło być mowy. Rozpoznała go natychmiast.

To był Brian Pendle. Przyjaciel Victorii.

– Brian? – szepnęła bez tchu.

Nie odpowiedział. Oczy uciekły mu do góry, stracił przytomność.

## Rozdział 55

– Dziękuję – powiedziała Jill.

Ratownik pomógł jej wejść do ambulansu. Podtrzymując ją, cierpliwie czekał, aż postawi na lśniącej, gofrowanej podłodze karetki najpierw jedną, a po dłuższym czasie drugą nogę. Nie było to łatwe, bo adrenalina właśnie zaczęła odpuszczać i mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Dwóch innych ratowników wydobywało Briana z szarego sedana, przy którym stała druga karetka gotowa do odjazdu. Policja ograniczyła ruch, za pomocą radiowozów z włączonymi kogutami i dymiących flar wyznaczyła bezpieczny przejazd.

– Proszę powoli usiąść – poinstruował ją paramedyk. – Dobrze, a teraz wolno się kładziemy.

– Już. – Jill odetchnęła. – Dziękuję.

Ratownik podniósł jej nogi na nosze, po czym ułożył ręce wzdłuż ciała. Przypiął Jill szerokimi pomarańczowymi pasami.

– Sprawdzę podstawowe funkcje życiowe i zatamuję krwawienie na czole. Rana wygląda na powierzchowną.

– Pełna zgoda – skomentowała Jill krótko. – Jestem lekarzem – wyjaśniła.

Starła się zebrać myśli, lecz przed oczami ciągle migaly jej obrazy z szaleńczego pościgu. Była mokra ze strachu. Docierała do niej świadomość, że Brian usiłował ją zabić. Nie miała pojęcia, dlaczego miałby chcieć jej śmierci ani na czyje polecenie. Czy to on jeździł czarnym suvem? Czy ktoś z jego bandy? Nie wiedziała, ale była cholernie pewna, że się dowie.

– Robbie, jeszcze rzeczy pani! – zawołał policjant, szybkim krokiem zdążając do karetki. – Na pogotowiu ktoś się do pani zgłosi – powiedział, kładąc torebkę Jill na noszach. – Będzie nam potrzebne zeznanie. Hołownik po pani samochód już jedzie. Przekażę im kluczyki.

– Chwileczkę! Laptop! – Jill odruchowo chciała wstać, jednak zdołała podnieść tylko głowę. – W bagażniku jest laptop. Nie można go tam zostawić. Muszę go zabrać. Może pan go wyciągnąć?

– Pani teraz jedzie do szpitala. Samochód jest do kasacji, bagażnika nie da się otworzyć. Ma pani szczęście, że żyje.

– Bardzo mi ten laptop potrzebny. Nie mogę go zostawić w samochodzie. Zawiera dowody przestępstwa.

Chciała się uwolnić od pasów, ale ratownik przytrzymał ją na noszach.

– Proszę leżeć spokojnie. Musimy jechać, a ja mam obowiązek zająć się panią.

Policjant wetknął głowę do karetki.

– Proszę się nie martwić o laptop, otrzyma go pani później. W tej chwili nikt się nie dostanie do bagażnika. – Wycofał się. – Robbie, możesz jechać.

Zatrzasnął drzwiczki, sanitariusz zablokował klamkę.

– Jenny, jesteśmy gotowi! – krzyknął do kierowcy. Z pojemnika w ścianie karetki wyjął zestaw opatrunkowy.

– Bardzo pana przepraszam, ale muszę zadzwonić. – Jill oswobodziła prawą rękę i wyjęła z kieszeni telefon. – Muszę dać znać, że będę w szpitalu... Do którego jedziemy?

– Do Shood Memorial w Parkertowne. – Ratownik odsunął zamek błyskawiczny opakowania, wybrał gazę i środek dezynfekujący, po czym delikatnie oczyścił skórę wokół rany

na czole Jill. – Boli? – spytał, uciskając przecięte miejsce, by powstrzymać krwawienie.

– Właściwie nie. Przepraszam, że byłam nieuprzejma. – Znalazła numer Victorii, po czym, czekając na połączenie, usiłowała zebrać myśli.

– Halo! – odezwała się Victoria nieszczerólnie przyjaznym tonem. – Co się znowu takiego stało? Jadę na uczelnię.

– Mam złe wiadomości. – Mimochodem obserwowała ratownika, który naszykował opatrunek na głowę i termometr. – Twój przyjaciel, Brian, został ranny w wypadku samochodowym. Razem z innym kierowcą usiłowali mnie zepchnąć z drogi. Chcieli mnie zabić.

– Co takiego?! Żartujesz?!

– Nie, nie żartuję. Właśnie go wiozę karetką do szpitala. Mnie też.

Sanitariusz bez zmrżenia oka robił swoje. W innej sytuacji, mniej skupiona na swoich sprawach, Jill byłaby pod wrażeniem jego profesjonalizmu.

– Nie rozumiem. O czym ty w ogóle mówisz? – Victoria nadal nie wierzyła.

– Chodzi ci o Briana Pendle'a? O mojego przyjaciela? Niemożliwe.

– Victorio, dlaczego Brian próbował mnie zabić? Jak długo znasz tego chłopaka?

– Briana znam od roku. A ten, który próbował cię zabić... jak twierdzisz, to na pewno ktoś inny.

– Jest prawnikiem w Nowym Jorku, jeśli dobrze pamiętam? W jakiej kancelarii pracuje?

– Creed & Whitstone... a co za różnica? Na pewno się pomyliłaś. Widziałaś kogoś innego, nie Briana.

– Wiem, co mówię. Czym się zajmuje w kancelarii? Jakiego typu sprawami?

– Papierami wartościowymi. Jill, uspokój się. Musiałaś się pomylić. Prawie go nie znasz.

To nie był on.

– Rozpoznałam go, nie mam wątpliwości. – Jill usiłowała myśleć spokojnie, lecz nadal była rozdrażniona. – Czy jako specjalista od spraw związanych z papierami wartościowymi zna maklerów giełdowych i innych ludzi z branży?

Szczęście, że karetka nie jechała na sygnale, bo i tak wydawała się bardzo głośna.

Potężny silnik grzmiał jak trąby na Sądzie Ostatecznym, szerokie opony chrzęściły na drodze, a cała kabina trzeszczała i zgrzytała, jakby ktoś rozdzierał metalowe płyty.

– Tak, oczywiście, że zna, ale...

– Na przykład Joego Zeptiena?

– Nie wiem.

– Czy wspominał kiedykolwiek o firmie Pharmcen albo o memorilu?

– Nie. Naprawdę miał wypadek?

– Przyjedź, to się przekonasz. Wiozę nas do Shood Memorial w Parkertowne. Brian jest ranny w głowę. Na miejscu wypadku był nieprzytomny.

– Boże drogi! Zawracam. Będę najdalej za pół godziny.

– Jeszcze jedno: czy Brian znał twojego tatę?

– Spotkali się raz czy dwa razy... Jill, co się dzieje? Dlaczego zadajesz mi tyle pytań?

O co tu chodzi?

– Chciałabym wiedzieć. Właśnie usiłuję to wszystko jakoś posklejać. Słyszałaś kiedykolwiek, żeby Brian i twój tata rozmawiali o produkcji leków albo o firmie Pharmcen?

– Nie, skąd! – odparła Victoria zdumiona. – Rozmawiali wyłącznie o golfie.

– Może masz jakieś pojęcie, o co chodziło Brianowi? Dlaczego próbował mnie zabić?

– Brian nie jest mordercą. Muszę się rozłączyć, jadę, a ruch coraz większy. Niedługo się

spotkamy.

– Dobrze. Do zobaczenia. – Jill rozłączyła się jeszcze bardziej skołowana niż przed rozmową.

Jej wzrok padł na cyfry zegara umocowanego w nierdzewnej stali. Wskazywały dwunastą trzydzieści. Serce jej się ścisnęło. Padma i Rahul!

– Och... Pół godziny temu byłam umówiona z pacjentem.

– Wypadki chodzą po ludziach. – Ratownik włożył jej termometr do ucha. – Proszę się nie ruszać.

Jill odczekała wymaganą chwilę.

– Muszę jeszcze raz zadzwonić – powiedziała.

Połączyła się z Medycyną Rodzinną Pembey.

– Skończyłem – oznajmił ratownik. – Funkcje życiowe w normie. – Uniósł do góry kciuk, po czym starannie poukładał na miejscach użyte przyrządy.

Połączenie uzyskała bardzo szybko.

– Medycyna Rodzinną Pembey – odezwała się Donna. – W czym mogę pomóc?

Jill rozpogodziła się odrobinę, słysząc jej przyjazny głos.

– Cześć, tu Jill. Nie dotarłam do pracy, bo miałam wypadek. Czy Padma i Rahul jeszcze czekają?

– O nie! Cała jesteś? Usiłowaliśmy się do ciebie dodzwonić, masz ciągle zajęte.

– Czuję się dobrze, ale i tak wiozą mnie do szpitala, muszę przejść przez ostry dyżur.

Będę w Shood Memorial w Parkertowne. Chciałabym porozmawiać z Padmą.

– Niestety... – Donna przez moment szukała odpowiednich słów. – Już wyszła – powiedziała w końcu zwyczajnie – ale nie myśl o niej teraz. Skup się na sobie.

– Fatalnie... O której wyszła?

– Dosłownie pięć minut temu. Niestety, zażądała karty Rahula. Zmienia lekarza. Rodzina była niezadowolona, że zgubiliśmy próbkę krwi. Trudno, jakoś to będzie. Najważniejsze, żebyś szybko doszła do siebie.

– Koszmar... – Jill miała ochotę rwać włosy z głowy. – Czy są wyniki badań krwi synka Padmy? Muszę je zobaczyć.

Było jej bardzo przykro, że straciła pacjentów, jednak poza wszystkim innym wiedziała, że nie spocznie, póki nie zyska pewności w sprawie stanu Rahula.

– Tak, przysły e-mailem. Wydrukowałam i włożyłam do karty.

– Możesz mi przesłać ten e-mail?

– Jasne, zaraz dostaniesz.

– Dzięki. Zadzwonię do Padmy, jak obejrzę wyniki. Trzymaj się, do jutra.

– Nie możesz pracować po wypadku. Odwołam twoich pacjentów.

– Nie, nie. Nie odwołuj. Naprawdę nic mi nie jest, jutro normalnie przyjdę.

– Dobrze – powiedziała Donna, ścisząc głos – tylko uważaj na Sheryl. Chce z tobą porozmawiać. Pewnie o Padmie.

Tego Jill sama się domyśliła.

– Nie mogę się doczekać.

Donna zaśmiała się perliście.

– Kuruj się.

– Do zobaczenia.

Jill zakończyła rozmowę, przeszła na blackberry do skrzynki pocztowej i przejrzała nadawców listów. Sami pacjenci. List od Donny jeszcze nie przyszedł.

Zrobiło jej się smutno, że nie spotka więcej Padmy ani żadnego z jej synów.

Mimo wszystko bała się o Rahula.

## Rozdział 56

Na pogotowiu zobaczyła w zawieszonym na ścianie lustrze własną, a jednak zmienioną twarz. Na czole miała opatrunek, a na policzkach czerwone rozcięcia, błyszczące od maści przeciwbakteryjnej. Kolejny bandaż bielił się na lewej dłoni. Przyglądziła włosy ściągnięte w koński ogon. Czułaby się prawie normalnie, gdyby nie plamki krwi na swetrze.

Spojrzała na telefon po raz trzeci, a może i czwarty. Akurat w tej chwili pojawił się e-mail. Natychmiast otworzyła załącznik. Ładował się jakiś czas, a na koniec, niestety, czcionki okazały się za małe, żeby je rozczytać, nawet gdy je maksymalnie powiększyła.

– To dla pani. – Zza zasłony oddzielającej leżankę Jill od innych pacjentów pojawiła się pielęgniarka z advilem i papierowym kubkiem w ręku. – Wiedziała pani, pani doktor, kiedy do nas wpaść. Mamy pełne ręce roboty – zażartowała. Miała długi ciemny warkocz i pogodną twarz. – Jeszcze chwileczkę musi pani poczekać na dokumenty.

– Oczywiście. – Jill połknęła lekarstwo. – Chcę panią prosić o pomoc. Potrzebny mi wydruk wyników badania krwi. Sprawa jest bardzo ważna. Czy mogłabym go pani przesłać i prosić o wydrukowanie?

– Jasne, nie ma sprawy. Podyktuję pani adres.

– Dziękuję. Już mogę pisać. – Wpisała podyktowany adres e-mailowy i przesłała list od Donny. – Jeszcze raz bardzo dziękuję. Co się dzieje z kierowcą drugiego auta? Miał ranę głowy.

– Zgodnie z prawem nie powinnam udzielać takich informacji...

– Wystarczy mi ogólne pojęcie. Chcę przygotować jego przyjaciółkę, dziewczyna będzie tu lada chwila. To moja pasierbica.

– Och! – Pielęgniarka umilkła na moment. – Jest na sali operacyjnej. Wezwano do niego najlepszych lekarzy.

– Czy wie pani coś o tym, kiedy zjawi się policja, żeby mnie przesłuchać? Na miejscu wypadku powiedziano mi, że mam się tego spodziewać.

– Podobno już idą. Przyprawdzą ich, jak tylko się pojawią. – Odsunęła zasłonkę oddzielającą łóżko Jill od reszty pomieszczenia.

Wokół ośmiokątnej stacji rozmieszczono łóżka, każde oddzielane zasłoną. Po nowoczesnym wnętrzu krzątali się lekarze, sanitariusze, pielęgniarki i personel pomocniczy. Kiedyś Jill marzyła o zatrudnieniu w pogotowiu, na oddziale dziecięcym.

– Zaraz przyniosę wydruk i pani dokumenty – powiedziała pielęgniarka.

– Mogłabym zadzwonić? – Jill ruchem głowy wskazała tabliczkę z napisem NIE UŻYWAĆ TELEFONÓW KOMÓRKOWYCH. – Muszę zorganizować córce transport.

– Dobrze, ale w razie czego ja o niczym nie wiem. – Kobieta puściła do niej perskie oko i odeszła.

Jill usiadła z wysiłkiem. Kark i szyja bolały niemiłosiernie.

Megan miała po szkole trening. Potem trzeba ją było odebrać.

„Mogłabyś wziąć Megan z basenu o 17.45 i zabrać do siebie?” – napisała do Katie. Dosłownie po sekundzie przyszła odpowiedź.

„OK, spoko. Robię konfetti. Ratunku!”.

Jill uśmiechnęła się bezwiednie.

Pomyślała o Samie. Bardzo chciała z nim porozmawiać, niezależnie od różnicy zdań.

Wcisnęła klawisz skrótu S i kilka chwil czekała, słuchając sygnału, obserwując zwykły ruch na pogotowiu.

– Halo? – odezwała się, gdy usłyszała kliknięcie połączenia.

– Cześć, co tam? – spytał Sam dość chłodnym tonem.

Coś ją ścisnęło w gardle. Nie mogła wydusić słowa. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zdenerwowana, póki nie usłyszała jego głosu. Miała ochotę się rozplakać, poddać się, ugiąć pod ciężarem strachu i stresu.

– Nic mi nie jest, ale miałam wypadek. Dwa samochody zepchnęły mnie z drogi. Jeden kierowca uciekł, drugim okazał się Brian, przyjaciel Victorii.

– Co takiego?! Gdzie jesteś?

– Na pogotowiu w New Jersey. Zaraz tu będzie policja.

– Jak się czujesz? – To był jej najwspanialszy Sam, ten, którego pokochała całym sercem. Ciepły, troskliwy. – Dobry Boże, kochanie!

– Nic mi się nie stało. – Zdusiła szloch. – Ale samochód jest do kasacji.

– Mniejsza o samochód! Mogłaś zginąć!

– W zasadzie o to im chodziło.

– Co się dzieje?! Dlaczego Brian chciał cię zabić? To jakiś kompletny idiotyzm!

– Bóg jeden wie.

– Oraz Victoria.

– Jak to? – zdziwiła się Jill.

W tej samej chwili zobaczyła Victorię. Dziewczyna miała na sobie eleganckie bolerko, wąskie dżinsy i ekstrawaganckie buty, włosy jak zwykle spięta w wymyślny kok. Stała przy wejściu i rozglądała się za kimś, kto by jej wskazał drogę. W recepcji dyżurowała tylko jedna pielęgniarka, która akurat rozmawiała przez telefon, zapatrzona w monitor komputera.

– Pytasz: jak to? – powiedział Sam. – Zastanów się. Przecież to jasne, że twojej śmierci chce Victoria, nie Brian. On cię w ogóle nie zna. Na pewno działał za jej namową.

– Co ty mówisz? – Jill podobny scenariusz nie mieścił się w głowie. – Victoria jest moją córką... jest dla mnie jak córka. Może ostatnio nie jesteśmy w najlepszych stosunkach, jednak...

– Kochanie, jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. William był ubezpieczony na poważną sumę, więc może Victoria go zabiła? Albo zrobił to dla niej Brian.

– Victoria miałyby zabić Williama? Absurd. – Jill patrzyła, jak jej pasierbica czeka, aż pielęgniarka skończy rozmowę telefoniczną. Dziewczyna niecierpliwie bębniła palcami o ladę.

– Nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

– Zastanów się. Abby wciągnęła cię w szukanie mordercy Williama, a ty nabrałaś wiatru w żagle. Victoria i Brian boją się, że w końcu odkryjesz prawdę, dlatego postanowili usunąć zagrożenie.

– Nie. Niemożliwe.

– Jill, nie możesz mieć pewności. Nie znasz Victorii. Nie wiesz, jaka jest teraz. Obie dziewczyny dorosły, nie są już tymi dziećmi, którym matkowałeś. – Sam mówił z coraz większym naciskiem. – Pamiętasz, jak się zdziwiłaś, że Abby pije? I to wysokoprocentowy alkohol? Kochanie, musisz na nie obie patrzeć inaczej, musisz je widzieć takie, jakie są dzisiaj. Powiedziałaś, że zepchnęły cię z drogi dwa samochody. Kto prowadził drugi? Może Victoria?

– Sam, daj spokój, nic podobnego. – Pomachała Victorii, zdołała przyciągnąć jej wzrok. – Zresztą to nie był jej samochód. Ona jeździ białym bmw.

– Wiemy, że miewa napady wściekłości. Pamiętasz, opowiadałaś mi, jaką scenę ci urządziła na uroczystości żałobnej. Może zabiła Williama w złości? Nie wiem, jak leki miałyby

się znaleźć w jego organizmie, ale przecież Victoria ma klucze do tamtego domu, tak? Dostyc tego. Łapię najbliższy samolot. Najwyższy czas z tym skończyć.

– Cieszę się, że będziesz przy mnie – powiedziała z wdzięcznością. – Ale za nic w świecie nie uwierzę w taką teorię.

– Jill, odsuń na bok uczucia – naciskał Sam. – Zastanów się na chłodno, logicznie. Słucham cię teraz i jakbym słyszał matkę mordercy, wiesz, z jakiegoś serialu telewizyjnego. „Był bardzo grzecznym chłopcem”...

– Kochanie, swoje wiem. I znam tę dziewczynę. – Jill dostrzegła, że Victoria ją zobaczyła. Na pięknej twarzy dziewczyny malował się lęk. – Muszę kończyć. Victoria już tu idzie.

– Nie! Trzymaj się od niej z daleka!

– Słyszę cię i rozumiem, ale wiem, co robię. Z jej strony nic mi nie grozi, bądź spokojny.

Victoria minęła ladę recepcji, była coraz bliżej.

– Proszę cię o jedno. – Sam nie dawał za wygraną. – Nie zostawaj z nią sam na sam.

– Będę ostrożna. Kocham cię. Dziękuję ci za troskę. – Rozłączyła się akurat w momencie, gdy podeszła do niej Victoria.

– Jill! – otworzyła ramiona. – Całe szczęście, że żyjesz!



## Rozdział 57

– Co się dzieje?! Na pewno nic ci się nie stało? Wyglądasz... strasznie, te bandaży... Z bliska widać było, że Victoria ma zaczerwienione oczy, a tusz świeżo nałożony, co oznaczało, że niedawno płakała.

– Fizycznie czuję się nie najgorzej. – Jill zdobyła się na uśmiech. Przyszło jej to całkiem łatwo, bo za sprawą troski Victorii zrobiło jej się ciepło na sercu. – Natomiast psychicznie jestem zdruzgotana. Dlaczego Brian usiłował mnie zabić? Nie rozumiem. Nie mieści mi się to w głowie.

– Mnie też. I na dodatek nie chcą mi nic o nim powiedzieć. Nawet dzwoniłam do jego rodziców, ale są w Europie.

– Wiem od pielęgniarki, że ma operację. Ściągnęli do niego najlepszych lekarzy.

– Boże... Boże... – Victoria osunęła się na krzesło. – Czy to możliwe, żeby Brian...? Pewnie go aresztują?

Nagle obok nich jak spod ziemi wyrosła pielęgniarka. Przyproceedziła z sobą dwóch mężczyzn w średnim wieku, ubranych w ciemne garnitury. Wyższy stanął o krok bliżej, pewnie on będzie prowadził przesłuchanie. Był dobrze zbudowany, miał grubo ciosane rysy twarzy i ciemne, krótko przycięte włosy.

– To agenci z FBI – powiedziała pielęgniarka.

– Tak? – zdziwiła się Jill. – Oczekiwałam raczej miejscowej policji. – Wyciągnęła rękę do agenta. – Dzień dobry.

– Miło mi panią poznać. Agent specjalny Donator, a to – wskazał kolegę – agent specjalny Cohz. – Przeniósł spojrzenie na pielęgniarkę. – Da nam pani kilka minut?

– Już znikam. Jeszcze tylko jeden drobiazg. – Kobieta podała Jill kilka kartek. – Tu są wyniki badania krwi, o które pani prosiła, i wypis, trzeba złożyć autograf.

– Dziękuję, dalsze kroki znam. W razie bólu głowy zgłosić się do rejonu.

Wzięła od pielęgniarki kopertę z wydrukiem, podpisała szpitalne dokumenty i od razu je oddała.

– Nie siedźcie państwo długo – rzuciła pielęgniarka na odchodnym. – Dzisiaj każde łóżko na wagę złota.

– Oczywiście – odezwał się agent Donator. Zaciągnął zasłonę, po czym zwrócił się do Jill ze służbowym uśmiechem. – Dzień pełen wrażeń. Da pani radę wstać?

– Tak. Ale możemy rozmawiać tutaj. To jest Victoria Skyler, moja pasierbica... była pasierbica.

– Dzień dobry. – Victoria podała rękę obu agentom po kolei, lecz jej postawa tchnęła chłodem. – Jestem przyjaciółką Briana Pendle'a i już wezwałam prawnika z Creed & Whitstone. Proszę nawet nie próbować go przesłuchiwać pod nieobecność obrońcy.

Jill zbaraniała, agent specjalny Donator przestał się uśmiechać.

– Proszę mi wybaczyć – zaczął – ale nie zna pani wszystkich faktów...

– Wiem tyle, ile trzeba – przerwała mu Victoria. – Jeszcze nie jestem prawnikiem, jednak wiem, że usiłowanie zabójstwa to przestępstwo stanowe, nie federalne. Natomiast FBI jest służbą federalną. A więc co panowie tutaj robią?

Agent specjalny Donator zacisnął zęby.

– Proszę pani, zamach na życie pani Farrow jest częścią znacznie większej sprawy

kryminalnej, obejmującej liczne naruszenia prawa federalnego oraz inne działania wbrew prawu. Wyjaśniliśmy miejscowej policji, że sprawa ta leży w naszych kompetencjach, i zyskaliśmy pełne zrozumienie. Stąd zresztą nasze spóźnienie. – Zwrócił się do Jill. – Pani wie, o czym mówię.

– Tak, wiem. – Jill wreszcie zyskała całkowitą pewność.

– W jednej sprawie się pani pomyliła – dodał jeszcze agent Donator. – Brian nie usiłował pani zabić. Starał się panią chronić. Jest jednym z nas.

## Rozdział 58

- Słucham?! – zdumiała się Jill. – Brian pracuje dla FBI?
- Niemożliwe! – wyrwało się Victorii. – Nie jest agentem FBI, tylko prawnikiem.

Ukończył Law Center w Georgetown.

Agent specjalny Donator z ponurą miną popatrzył dziewczynie w oczy.

– Proszę pani, Brian jest agentem federalnym od czasu ukończenia studiów w Georgetown. Jest nieocenionym pracownikiem właśnie ze względu na wykształcenie prawnicze. Odsłonił się, ratując życie pani Farrow.

– On mnie uratował? – zdziwiła się Jill. – Jak to? – Miała świeżo w pamięci wydarzenia na drodze. – Przecież razem ze srebrnym sedanem usiłował mnie zepchnąć z drogi.

– Niezupełnie. Kierowca srebrnego wozu rzeczywiście starał się zepchnąć panią z drogi, natomiast Brian usiłował do tego nie dopuścić. Gwoli ścisłości, w srebrnym sedanie były dwie osoby. Wiemy to właśnie od Briana. Mieliśmy z nim łączność przez cały czas pościgu, aż do wypadku.

Jill potrzebowała chwili, by sformułować następne pytanie.

– W takim razie kto mnie śledził?

– Ludzie ze srebrnego sedana. A my śledziliśmy ich. Już od jakiegoś czasu. Zdobycie materiałów na solidne oskarżenie trwa zwykle dość długo i wymaga niemałych nakładów pracy, w przeciwieństwie do tego, co zapewne widziała pani w telewizji. Brian jest jednym z najlepszych naszych młodych agentów.

Nie nadażała za jego słowami.

– Brian próbował ich powstrzymać? – upewniła się. – To dlaczego nie strzelał im w opony albo coś takiego?

– Strzelanie w opony w takich warunkach, w okolicy dość gęsto zamieszkaney, przy ogromnej szybkości, jest zbyt ryzykowne, nie możemy używać takich środków przymusu w podobnej sytuacji. Brian poznał w akademii odpowiednie techniki prowadzenia wozu i zapewniał nas, że zdoła zażegnać niebezpieczeństwo. Niestety, stracił panowanie nad pojazdem.

Przed oczami stanęła Jill scena tuż przed uderzeniem. Agent specjalny Donator miał rację.

– Rzeczywiście, to srebrny siedział mi na zderzaku.

– Jak najbardziej. I to on spowodował wypadek. Z pani punktu widzenia mogło to wyglądać, jakby kierowcy z sobą współpracowali, jednak rzeczywistość przedstawia się całkiem inaczej. Brian ryzykował życie, żeby panią ocalić, zachował się zgodnie z najlepszymi wzorcami. Wszyscy życzymy mu szybkiego powrotu do zdrowia. – Spuścił wzrok i umilkł.

Agent specjalny Cohz odchrząknął. Był niższy od kolegi, lecz równie dobrze zbudowany.

Przez moment trwała cisza.

– Czy Brian wyzdrowieje? – spytała Victoria. – Co wiadomo o jego stanie?

– W tej chwili niewiele można powiedzieć – odparł Donator. – Będzie wiadomo więcej, gdy opuści salę operacyjną.

Jill ogarnęło poczucie winy. Na dodatek głowa jej pękała i zaczynało dawać o sobie znać wyczerpanie. Modliła się za Briana. Żeby szybko wrócił do zdrowia. I żeby wyzdrowiał

całkowicie. Nie zniosłaby już chyba, gdyby kolejna osoba straciła życie przez całą tę sprawę albo, co gorsza, przez nią. W tej samej chwili uświadomiła sobie, jak bardzo mylił się Sam. Skoro Brian nie próbował jej zabić, to Victoria nie była zamieszana w śmierć Williama.

– Proszę pani, musimy dostać od pani zeznanie – odezwał się Donator. – Śledztwo jest prowadzone poza jurysdykcją stanu, ale tak czy inaczej w Nowym Jorku czeka na nas zespół. Proszę wziąć swoje rzeczy, najwyższy czas jechać.

Jill wsunęła do torebki kopertę z wynikami badania krwi Rahula i była gotowa.

– Ja zostanę – stwierdziła Victoria głosem bez wyrazu. – Chcę się zobaczyć z Brianem, jak tylko odzyska przytomność.

Agent specjalny Donator zmierzył ją spojrzeniem spod ściągniętych brwi.

– Szanowna pani, o bezpieczeństwo Briana będzie dbało dwóch agentów, a rozmawiać i tak mu nie wolno. Ani z panią, ani z nikim innym. Bieżące śledztwo pochłonęło ogromne koszty, wymagało trudnych do określenia nakładów energii i ludzkiej pracy, w tym, rzecz jasna, samego Briana. Na pewno dostanie wyróżnienie. Rok z okładem żył pod przykrywką.

– Chwileczkę... – Victoria przekrzywiła głowę. – Nieco ponad rok temu się poznaliśmy. Czy to przypadek? – Odwróciła się do Jill. – Dlaczego pytałaś mnie, kiedy i jak się poznaliśmy?

Nagle po drugiej stronie wzorzystej zasłonki powstało zamieszanie.

– Aaa...! Moja noga! Boli, booli! – zawodził jakiś starszy mężczyzna.

Zasłonka wyduła się, gdy pielęgniarki przenosiły pacjenta z wózka inwalidzkiego na łóżko.

– Chodźmy – zarządził Donator stanowczo.

– Nie rozumiem... – jęknęła Victoria. – Brian mnie okłamywał? Przez rok?

– Proszę pani, porozmawiamy o tym w biurze.

Agent specjalny Donator odciągnął zasłonę.

– Dojdziemy prawdy, kochanie. – Jill objęła Victorię ramieniem.

Dziewczyna nie odpowiedziała, odwróciła wzrok. Nie odzywała się przez dłuższy czas.

Jill szła przez lśniący hol niesiona jednym pragnieniem: poznać całą historię ze szczegółami – o Williamie, Zeptenie, Ninie i Martinie, a przede wszystkim o Brianie, chociaż miała straszne przeczucie, że Victorii świat się zawali.

I musiała się dowiedzieć, co z Rahulem.

## Rozdział 59

Gdy tylko wsiedli do samochodu, otworzyła kopertę z wynikami badania krwi Rahula. Niestety, jej obawy się potwierdziły. Liczba białych krwinek wskazywała na poważną infekcję bakteryjną: wynosiła osiemnaście tysięcy, choć powinna mieścić się między pięć tysięcy a piętnaście. Rozmaz wyjaśniał przyczynę. Rahul nie miał nowotworu ani białaczki, miał natomiast niewydolny układ odpornościowy, defekt immunologiczny, za którego sprawą organizm nie potrafił we właściwy sposób zwalczyć infekcji, stąd ciągle kłopoty z uchem i na dodatek zapalenie płuc. Normalnie dzieci dysponują czterema rodzajami przeciwciał: IgG, IgM, IgA oraz IgE, a Rahulowi brakowało immunoglobulin IgE, odpowiedzialnych za alergie. Teza ta znajdowała potwierdzenie w wywiadzie jego rodziny.

– O nie... – jęknęła Jill, przeglądając resztę wyników.

Wskazywały wyraźnie, że neutrofile chłopca już zboczyły z właściwej drogi, co oznaczało, iż opuszczały szpik kostny, by walczyć z infekcją, zanim komórki dojrzały. Należało się bać, jednak u Jill strach wywoływał stan podwyższonej gotowości do działania. Rahul należało hospitalizować, natychmiast. Podać dożylnie antybiotyki. W przeciwnym razie infekcja uszna za pomocą układu krążenia rozleje się po całym organizmie i przekształci w ogólnoustrojową reakcję zapalną.

Victoria zerknęła na wyniki.

– O co chodzi?

– Mam bardzo chorego pacjenta. – Jill pochwyciła we wstecznym lusterku spojrzenie Donatora, który siedział za kierownicą. Agent Cohz w fotelu pasażera przeglądał jakieś dokumenty. – Muszę zadzwonić do przychodni. Teraz, natychmiast. Zaraz potem będziemy mogli porozmawiać.

– Śmiało – przystał Donator. – I tak lepiej będzie poczekać z tą rozmową, aż dotrzemy na miejsce. Zeznanie musi słyszeć cały zespół, nie będzie pani przecież powtarzała dwa razy.

– Świetnie.

Już zdążyła otworzyć e-mail od Donny, w nim wyszukała numer telefonu Padmy. Długo czekała, słuchając regularnego sygnału, w końcu została przekierowana do poczty głosowej.

– Padmo, mówi doktor Farrow. Muszę z tobą porozmawiać o wynikach badania krwi Rahula. Oddzwon, proszę. Sprawa jest bardzo pilna... pałaca.

Na wszelki wypadek podyktowała numer swojej komórki, po czym rozłączyła się i od razu zadzwoniła do przychodni.

– Medycyna Rodzinna Pembey – odezwał się damski głos.

Sheryl.

– Witaj, mówi Jill. Nie mogę się dodzwonić na komórkę Padmy, a widzę niebagatelny problem w wynikach badań krwi jej synka. Potrzebne mi jej awaryjne dane kontaktowe. Mąż jest, niestety, w Afganistanie, więc podaj mi inne numery.

– Wiem, dlaczego nie odbiera twoich telefonów, rozmawiałam z nią. Zrezygnowała z naszych usług. Czy tak właśnie tworzysz w naszej przychodni opiekę pediatryczną?

Jill z niemałym trudem powstrzymała słowa cisnące się jej na usta.

– Potrzebne mi...

– Słyszałam, że miałaś wypadek samochodowy. Mimo wszystko jeżeli jutro nie

przyjdiesz do pracy, będę musiała obciąć ci wynagrodzenie. Donna miała ci przekazać, że chcę porozmawiać z tobą.

– Przekazała. Sheryl, podaj mi numery telefonów. – Jill usiłowała trzymać się w ryzach.

Patrzyła przez okno na gęstniejący ruch. Zbliżali się do nowojorskiego lotniska, nad głowami mieli rząd srebrzystych samolotów o połyskujących w słońcu skrzydłach, zawieszonych w powietrzu, jakby były nawleczone na niewidzialną nitkę.

– Padma przeszła do doktora Bensona. Złożyła polecenie, by ewentualne dalsze wyniki badań przekazywać właśnie tam.

– Sheryl, nie mam teraz czasu na taką rozmowę. Sprawa jest naprawdę pilna. Daj mi numery telefonów.

– Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób?!

Jill miała serdecznie dość.

– Daj mi te numery – zażądała podniesionym głosem – a przysięgam, więcej się do ciebie nie odezwę!

– Będziesz musiała. Jesteś moją podwładną.

– Jestem lekarzem. I właśnie rzucam tę pracę. A teraz podaj mi numery telefonów.

– Doskonale. Obowiązuje cię dwutygodniowy okres wypowiedzenia...

– Daj mi te cholerne numery! – krzyknęła Jill.

Victoria podskoczyła, a Donator zaalarmowany zerknął na Jill w lusterku wstecznym.

– Proszę uprzejmie – syknęła Sheryl. – Jak sobie życzysz. Przesyłam ci e-mailem numery telefonów. Mam biurowy, do domu i komórkowy do jej teścia w Seattle. Nazywa się Frank McCann. Nie wiem tylko, czy on się dodzwoni do Padmy, bo matka twoich byłych pacjentów wybiera się razem z dziećmi w podróż do Bombaju. Jej matka miała jakieś kłopoty z sercem.

– Jak to? – przestraszyła się Jill. – Do Bombaju w Indiach?

– Nie, do tego w Ohio – zakpiła Sheryl. – Oczywiście, że w Indiach!

– Kiedy wyjeżdża?

– Powiedziała, że jedzie prosto od nas.

– Nie może lecieć z Rahulem. Lot trwa prawie dobę. Jego organizm tego nie przetrzyma, jest bardzo słaby.

– Jak to? – zdziwiła się tym razem Sheryl, nagle wyciszona i skupiona. – Owszem, martwiła się, że małego będą bolały uszy, ale uznała, że musi lecieć tak czy inaczej. Postanowiła dać mu tylenol.

Jill myślała gorączkowo.

– Problemem nie jest ból, tylko ogólnoustrojowa reakcja zapalna. Dojdzie do wstrząsu septycznego. W samolocie nie ma możliwości leczenia dziecka, chłopiec musi być przyjęty do szpitala. Inaczej grozi mu śmierć.

– O Boże! – wyrwało się Sheryl. – Co robimy?

Victoria słuchała z oczami jak spodki. Agent specjalny Cohz spoglądał na Jill przez ramię. Jego kolega zsunął na oczy okulary przeciwsłoneczne.

– Sheryl, weź się w garść, będziemy obie dzwonić. Trzeba zatrzymać Padmę. Nie może wsiąść do samolotu. Słyszysz mnie?

– Boże, to straszne... Co będzie, jeśli on umrze? Co ja mam robić? Wszystkie pielęgniarki powychodziły, wszystkie! Zostałam tu sama... Co robić?

– Rób, co ci mówię. Dzwoni. I to już. Ja też będę dzwoniła. – Rozłączyła się, przeszła do poczty elektronicznej, znalazła numer komórki teścia Padmy i zadzwoniła. Sygnał

wybrzmiewał bez końca, wreszcie odezwała się poczta głosowa. – Mówi doktor Farrow, pediatra Rahula. Proszę powtórzyć Padmie, że nie wolno jej lecieć do Bombaju. Pański wnuk ma infekcję, która jest dla niego śmiertelnie groźna. To sprawa bardzo pilna i wyjątkowa. Proszę do mnie oddzwonić jak najszybciej. – Podyktowała swój numer i zakończyła połączenie.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytała Victoria.

– Chyba tak. Masz przy sobie iPhone'a, prawda?

– Jasne. – Victoria od razu zaczęła szperać w swojej wielkiej czarnej torbie, wyciągając z niej różne przedmioty. – Noszę tu rzeczy na wykłady, dlatego tak dużo tego...

– Sprawdź w internecie, które linie mają dziś po południu bezpośrednie połączenie z Filadelfii do Bombaju. Ja będę w tym czasie dalej próbowała złapać dziadka Rahula.

– Dobrze. – Victoria wyciągnęła z torebki okrągłą szczotkę do włosów, białe słuchawki oraz kosmetyczkę. Następnie czarny lśniący walec kremowego różu w sztyfcie, różową buteleczkę tuszu do rzęs, epipen, z którym się nie rozstawała, i w końcu iPhone'a.

– Jest. – Połączyła się z internetem. – A jak już znajdę ten lot i linie?

– Poszukaj jakiegoś numeru do przewoźnika i daj mi aparat.

Jill wstukała numer do pana Franka McCanna do pracy, bo uznała, że o tej porze będzie raczej tam niż w domu. Samochód stał w korku, posuwali się dosłownie o centymetry. Samoloty przelatywały nad nimi tak nisko, że odruchowo chowała głowę w ramiona.

Donator przechylił się w stronę Cohza.

– W tych korkach do jutra tam nie dojedziemy – powiedział przyciszonym głosem. Cohz pokręcił głową.

– Skręć do tunelu, zaraz będzie zjazd.

Jill nadal dzwoniła.

– Czy to Usługi Księgowe w Granger? Nazywam się Jill Farrow, jestem lekarzem, dzwonię w bardzo pilnej sprawie. Muszę porozmawiać z Frankiem McCannem.

– Przykro mi, tu go nie ma – odparła recepcjonistka. – Co to za pilna sprawa?

– Leczę jego wnuka, Rahula, który, jak się dowiedziałam, ma dzisiaj lecieć z Padmą... ze swoją matką, synową pana McCanna, do Bombaju. Dziecku grozi wstrząs septyczny. Trzeba zawiadomić Padmę, że nie wolno jej wsiąść do samolotu. Czy można jakoś skontaktować się z panem McCannem? Dzwoniłam na jego numer komórkowy, ale nie odpowiadał.

– Niestety, wyjechał na konferencję. – Recepcjonistka była wyraźnie poruszona.

– Mogę jedynie także próbować dodzwonić się na jego numer komórkowy.

– A może do hotelu? Pewnie zatrzymał się w hotelu, prawda? Gdzie się odbywa ta konferencja?

– Nie mogę pani podać szczegółowych informacji, jednak dołożę wszelkich starań, by mu przekazać wiadomość. Nie wiem, czy mi się to uda, ale zrobię co w mojej mocy.

– Bardzo panią proszę. W razie jakichkolwiek pytań niech do mnie dzwoni, ale najważniejsze, żeby Padma nie wsiadła z Rahulem do samolotu. To sprawa życia i śmierci.

Jill zostawiła swój numer, podziękowała za pomoc i zakończyła połączenie.

Victoria podniosła wzrok znad iPhone'a. Na jej twarzy malowało się napięcie.

– Jest jeden lot, który pasuje... pasażerowie zaczynają wchodzić na pokład za pół godziny. Linie Continental, lot czterysta czterdzieści.

– O nie! – Jill ścisnęła skronie palcami. – Masz tam jakiś numer telefonu?

Victoria kilka razy dotknęła ekranu.

– Jest do rezerwacji i obsługi klienta.

– Dzwon do rezerwacji, wybierz zero, a jak się zgłosi człowiek, daj mi telefon.

– Dobrze... Cholera, automat każe czekać dziesięć minut.

– Za długo – zdecydowała Jill. Trzeba było działać szybko. Pochyliła się w stronę przednich siedzeń. – Proszę pana – zwróciła się do agenta Donatora – czy pan może mi pomóc? Za chwilę zacznie się przyjmowanie podróżnych na pokład. Może pan się skontaktować z Administracją Ochrony Transportu? To lot czterysta czterdzieści linii Continental. Albo może pan się porozumie z filadelfijską policją? Czy z ochroną lotniska? Byle Padma Choudhury nie wsiadła z synem na pokład. Czy można wstrzymać start samolotu?

– Nie stosujemy takich procedur – odparł agent specjalny Donator.

Ciemne okulary zasłaniały mu oczy, ukrywały wyraz twarzy.

– Bardzo proszę, tutaj chodzi o życie dziecka. – Jill gotowa była błagać. – Trudno sobie wyobrazić coś ważniejszego.

– Rozumiem. – Donator zjechał z autostrady. – Co o tym sądzisz, Peter? Nie do końca w zgodzie z przepisami, ale może by zadzwonić do Seana w biurze w Filadelfii? Agent Cohz pokiwał głową.

– Tu w końcu chodzi o dziecko, na litość boską. A jego ojciec jest w Afganistanie. Dzwon do Seana. On będzie wiedział, co robić.

Serce Jill wezbrało nadzieją.

– Wspaniale, dziękuję!

– No dobrze. – Donator, prowadząc, wyciągnął prawą rękę do tyłu. – Proszę mi dać telefon.

– Bardzo panu dziękuję. – Z ochotą podała mu aparat.

– Nie ma za co. – Agent specjalny Donator wziął od niej blackberry, lecz zamiast wybrać numer, z całej siły wyrzucił aparatem o deskę rozdzielczą. Rozległ się głośny trzask plastiku.

– Co pan robi?! – krzyknęła Jill.

Agent Donator nie odpowiedział, natomiast agent Cohz obrócił się i uderzył ją pięścią prosto w twarz.



## Rozdział 60

Jill odzyskała świadomość. Nadal znajdowała się na tylnym siedzeniu samochodu, oparta o drzwiczki, z głową przechyloną w prawo. Przede wszystkim usiłowała zebrać myśli, zrozumieć, co się dzieje. Dwóch mężczyzn na przednich fotelach z pewnością nie było agentami FBI, tylko mordercami. Mieli zamiar zabić i ją, i Victorię. Rahul znajdował się na pokładzie samolotu lecącego do Bombaju. Może już umierał.

Z niemałym trudem opanowała rosnącą panikę. Z nosa ciekła jej krew. Prawy oczodół pulsował bólem, oko z pewnością było spuchnięte, może nawet złamana któraś kość. Słyszała ciche pochlipywanie.

Victoria.

Czuła, że samochód jedzie. Nie słyszała innych pojazdów, tylko szum asfaltu pod kołami. Jechali chyba dość wolno, może osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Siedziała bez ruchu. Najpierw trzeba się dobrze zastanowić. Prawą stronę twarzy na pewno miała spuchniętą, zwłaszcza oko. Wobec tego, jeśli je uchyli, nikt tego nie zauważy. Fałszywi agenci nadal będą sądzili, że jest nieprzytomna.

Ostrożnie rozwarła prawe oko. Nie było to łatwe, jednak widziała.

Victoria siedziała obok, zgięta w pół, zapłakana i rozdygotana. Twarz ukryła w dłoniach, pomiędzy jej smukłych palców kapłała krew. Telefon i torebka zniknęły. Na siedzeniu została szczotka do włosów i róż do policzków.

– Muszę się odlać – powiedział jeden z mężczyzn.

Jill po chwili namysłu uznała, że powiedział to kierowca, czyli ten, który przedstawił się jako Donator. Musiał się wylegitymować komuś w szpitalu, wobec tego z pewnością miał fałszywy dowód tożsamości. A ona była wtedy tak przejęta, że nawet nie spytała o legitymację.

– Tylko się pośpiesz – odparł ten, który się podał za Cohza. – Szlag mnie trafia od tego jękolenia.

– To jej przywal.

– Będzie jeszcze gorzej. Idź, tylko gazem.

Samochód zwolnił.

Jill spięła się wewnątrz. Nie, z pewnością nie pozwoli skrzywdzić Victorii.

Miłość była silniejsza niż strach.

Auto zjechało na pobocze, w pobliże gęstego lasu. Żadnych domów. Żadnych ludzi ani samochodów. Znikąd pomocy. Nawet jeżeli zdołają wydostać się z samochodu, nie ma dokąd uciekać. Fałszywi agenci na pewno są uzbrojeni. Jest ich dwóch. Środek dnia, całkiem jasno. Jeden pobiegnie za nią, drugi za Victorią i szybko załatwią sprawę.

– Zaraz wracam – powiedział Donator.

Gdy samochód się zatrzymywał, na podłodze coś się poruszyło. Coś wytoczyło się spod przedniego siedzenia, jaskrawy pomarańczowy kolor przyciągnął wzrok Jill.

Epipen.

Zastrzyk z epinefryny, czyli adrenaliny, w razie reakcji alergicznej pozwalał przywrócić pracę układu oddechowego, ale zaaplikowany domięśniowo zdrowej osobie nie powodował w zasadzie żadnego efektu. Zwiększyłby nieco częstotliwość rytmu serca, ewentualnie spowodował nudności i drżenie ciała. Wstrzyknięcie dożylnie nie powodowało żadnych skutków.

Chyba że byłoby to wstrzyknięcie we właściwą żyłę.

Nie miała pewności, czy uda się jej zrobić to, jak trzeba, jednak miała świadomość, że w innym razie obie z Victorią są już martwe.

Usłyszała, jak Donator otwiera drzwiczki. Powtarzający się sygnał dźwiękowy zdradzał, że nie zostały zamknięte. Nie widziała kierowcy, lecz słyszała chrzęst kamyków pod jego stopami, potem kroki ucichły.

W myślach odtwarzała sobie, jak kierowca odchodzi kawałek, potem odwraca się od samochodu. Staje plecami do drogi. Ten moment był właściwy. Da im kilka dodatkowych sekund.

Jedyna szansa.

Uciszyła serce, wyężyła słuch.

Na trzy: raz, dwa, trzy!

## Rozdział 61

Nurknęła pod siedzenie, chwyciła epipen, zębami ściągnęła nasadkę i z całej siły wbiła Cohzowi grubą igłę w tętnicę szyjną.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy, z bólu szeroko rozdziawił usta. Jill zasłoniła mu je drugą ręką, żeby zdusić krzyk. Zastrzyk z pewnością go nie zabije, lecz unieruchomi na kilka chwil, pozwoli im wyrwać się z auta.

– Uciekaj! – syknęła do Victorii.

Dziewczyna siadła prosto, z załzawioną twarzą, rozdygotana. Zaraz jednak sięgnęła do klamki i pchnęła drzwiczki. Jill wyskoczyła z auta tuż za nią.

– Do lasu! Szybko!

– Ratunku! – krzyknęła Victoria.

Jill nie zdążyła jej uprzedzić, że nie wolno wzywać pomocy.

– E, a wy dokąd?! – wrzasnął Donator.

Jill złapała Victorię za rękę i pociągnęła w stronę lasu. Wpadły między drzewa, wysokie, o potężnych pniach. Gnały co sił w nogach. Las gęstniał, po chwili musiały się rozłączyć. Krzewy i poszycie chwytaly je za nogi, gałęzie szarpały za włosy. Suche patyki strzelały pod stopami. Zrobiło się chłodniej. Słońce zniknęło.

Victoria dyszała ciężko, wymachiwała rękami. Zaczepiła o coś bołerką, pociągnęła, rozdarła tkaninę.

Jill rwał się oddech. Oślaniała twarz dłońmi. Nie czuła bólu, adrenalina robiła swoje.

Kluczyły między drzewami, byle się nie potknąć, byle nie upaść. Patyki, kamienie, suche liście, krzewy i ściółka. Ani śladu ścieżki, tylko gąszcz.

– Ratunku! Pomocy! – krzyknęła Victoria.

Paf!

Wystrzał. Niedaleko.

Jill skuliła się, biegła zgięta w pół. Była tak przerażona, że poza strachem nie czuła nic. Donator na pewno je gonił. Musiały coś wymyślić, bo inaczej stracą wszelkie szanse.

Odwróciła się do Victorii.

– Biegnij w lewo – wydyszała. – Ja w prawo.

– Jak to? Dlaczego?

– Uciekaj. I nie krzycz. Ja ściągnę jego uwagę.

– Nie! – Victoria wyciągnęła rękę do Jill, ale ona odtrąciła dłoń dziewczyny, chociaż serce jej pękało.

– Słuchajże mnie! Biegnij w lewo! Już! Musimy się rozdzielić! Razem nie damy rady.

– Nie zostawię cię! – Victoria spojrzała Jill w oczy.

Dyszała ciężko, łzy płynęły jej po twarzy strumieniem, była przerażona i zdruzgotana. W ciągu tej krótkiej chwili, tego ułamka sekundy Jill pojęła bez cienia wątpliwości, że znów są matką i córką. Jak dawniej.

– Kocham cię. A teraz w nogi. Sprowadź pomoc.

– Nie!

– Ale już!

Odwróciła się i pognała w prawo, byle dalej od Victorii, od córki. Biegła i wrzeszczała na cały głos.

– Ratunku!!!! Pomocy!!! Policja!!!

Paf!

Drugi strzał, bliżej.

Zrozumiała, że plan się powiódł. Była teraz zdana na siebie, zyskała szansę, że Victoria ocaleje.

Skuliła się i ruszyła, jakby ją wszyscy diabli gonili.

W tym wyścigu stawką było życie.

## Rozdział 62

Paf!

Kolejny wystrzał. Jeszcze bliżej.

– Ratunku!

Naprzód, byle szybciej, byle dalej, ile sił w nogach, ile powietrza w płucach. Ręce przed twarzą, w obronie przed chłostającymi gałęziami. Kolana wysoko, żeby nie zaplątać się w ściółkę i nie przewrócić. Unik w dół pod nisko zwieszonym konarem.

Była mokra od potu i krwi. Nie miała pojęcia, dokąd biegnie. Nie wiedziała nawet, czy nie zatacza koła. Jedno było pewne: uciekała.

Każdy oddech palił w płucach. Nogi stawały się coraz cięższe, zaczęła się zataczać. Dłonie i przedramiona miała poranione kolcami. W pewnym momencie zaplątała się w jakieś pnącze, musiała je wyrwać, żeby się oswobodzić. Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła uciekać. Donator w końcu ją dogoni. A zaraz potem Cohz.

Wtedy zobaczyła wybawienie. Na wprost, między drzewami. Najpierw zrobiło się jaśniej, jakby tam była jakaś przecinka lub może polana. Jill nie wiedziała, czego się spodziewać, ale instynkt jej podpowiadał, żeby biec w tamtą stronę. Do cywilizacji. Do ludzi.

– Ratunku! – krzyknęła znowu.

Odżyła w niej nadzieja.

Paf!

Pocisk świsnął w powietrzu. Blisko.

Rzuciła się w bok, potem w stronę przecinki. Musiała się tam dostać, zanim Donator ją dopadnie. Nie wiedziała, ile miał pocisków.

Bliskość ludzi dodała jej sił. Złapała drugi oddech.

Przyśpieszyła. Krzyknęła raz, gdy jakaś gałąź o czubku ostrym jak nóż rozcięła jej policzek, lecz nie zwolniła. Biegła i biegła, torując sobie drogę rękami. Za drzewami była jasność. Świeciło słońce. Dostrzegła dachy, domy.

– Ratunku!

Paf!

– Aaa!

Dostała. Lewy bark palił żywym ogniem. Odruchowo przycisnęła prawą dłoń do rany, ale tak trudniej było biec, więc musiała zapomnieć o bólu.

Na polanę wpadła jak maratończyk na linię mety.

Miała przed sobą podmiejskie osiedle. W budowie. Wycięto drzewa, pośrodku ustawiono kilka prostych domów, dalej rząd drewnianych szkieletów wzdłuż niedokończonej ulicy wyrastającej z szerszej jezdni asfaltowej. Na zniszczonych pomarańczowych flagach widniała nazwa nieruchomości. OSIEDLE „KOŃ W GALOPIE”. Wyblakłe litery na jednym z budynków głosiły DOM WZORCOWY.

– Pomocy!

Łzy ulgi spłynęły jej po twarzy. Z nową energią pobiegła do wzorcowego domu, ale już w drodze coś sobie uświadomiła.

Nie było tam ludzi ani samochodów. Zabawek na podwórku, huśtawek za domem. Koszy na śmieci ani pojemników na surowce wtórne. Panowały cisza i bezruch.

Osiedle nie zostało ukończone.

Załamala się, straciła resztki nadziei. Mimo wszystko biegła, bo co miała zrobić? Domy stały puste, niezamieszkane.

Minęła pędem dom wzorcowy, przyjmując, że będzie zamknięty. Rozglądała się za jakąś kryjówką. Niestety, żadnego garażu. Żadnej szopy. Nawet studzienki odpływowej.

Biegła ulicą między ukończonymi domami. One też na pewno były pozamykane. Czula się całkowicie bezbronna. Donator mógł ją tutaj zobaczyć w każdej chwili.

Z coraz większym trudem łapała oddech, wiedziała, że długo już nie wytrzyma. Bark mocno dawał się we znaki, serce waliło jak młotem, szybko traciła krew. Musiała się gdzieś schować.

Z wysiłkiem wciągnęła haust powietrza. Dotarła do ostatniego domu w rzędzie surowych konstrukcji, ten akurat był prawie ukończony. Na froncie miał ściany z dykty. Po kawałkach drewna i płyty, przez czerwoną glinę dobruła do progu. Drzwi nie wstawiono.

Weszła pod dach i obróciła się dookoła, szukając jakiejś kryjówki, lecz niestety, wewnątrz nie zostało jeszcze podzielone na odrębne pomieszczenia, miejsca ścian wyznaczały drewniane słupy.

Garaż.

Garaż został już oddzielony. Ścianą z pustaków.

Ruszyła do tej ściany jak po wybawienie, schowała się za nią, przykucnęła. Z drugiej strony garaż, też pozbawiony drzwi, wychodził na las. Podłoga była z lanego betonu.

Jill rozejrzała się za czymś, co by mogło posłużyć za broń. Może jakieś narzędzie zostawione przez budowlanców. Deska, młotek, nóż introligatorski, jakaś rura, wszystko jedno!

Nic. Wysprzątane do czysta.

Wystawiła głowę, zerknęła w stronę wejścia do budynku. Może Donator już ją znalazł?

Nie, jeszcze nie.

Nagle zobaczyła coś, co ścięło jej krew w żyłach.

Na podłodze z dykty ciągnął się wyraźny ślad z kropel krwi. Od progu do garażu. Ścieżka krwi z rany w barku. Powinna była o tym pamiętać. Nie mogła się tu schować. Nigdzie nie mogła się schować, bo gdziekolwiek szła, zostawiała za sobą ślad jak drożynę z okruszków w bajce.

Potem uświadomiła sobie coś jeszcze: od jakiegoś czasu nie słyszała wystrzałów, a tylko to było gorsze od ich trzasku, ponieważ oznaczało, że nie ma pojęcia, gdzie jest Donator.

Podniosła się ostrożnie, starając uspokoić bicie serca, choć trochę wyciszyć oddech.

Może skończyły mu się naboje. Może dał sobie spokój. Może wrócił do samochodu.

Nagle usłyszała za sobą szmer. Obróciła się gwałtownie.

## Rozdział 63

– Ty suko! – krzyknął Donator.

Rzucił się na Jill, sięgając do jej gardła.

Podniosła rękę, ale nic to nie dało. Chwycił ją za szyję, zbił z nóg i nacisnął kciukami na krtań.

Nie mogła złapać tchu. Dusił się. Usiłowała odgiąć palce napastnika, ale on tylko wzmocnił chwyt. Kopnąć go też nie dała rady, bo nie miała żadnego punktu podparcia.

Zwisła mu z rąk, ciągnął ją, trzymając za kark, nogi wlokły się, szurając po betonie. Nie mogła oddychać, mimo wszystko walczyła o życie. Tłukła rękami na oślepie, wiała się i wrywała, choć bark piekł jak przypalany rozżarzonym żelazem.

– Przestań wierzgać! – warknął Donator.

Twarz miał purpurową z wściekłości. Wyszczerył zęby jak dzikie zwierzę.

Rzucił ją na podłogę. Chociaż uderzyła głową w beton, nadal okładała mordercę z całych sił, kopała, walczyła na oślepie.

Usiadł na niej okrakiem, poprawił chwyt.

Kręciło jej się w głowie, przed oczami miała gwiazdy. Brakowało jej tlenu. Wrywała się – wszystko na nic. Był silniejszy.

Traciła resztki przytomności. Ręce już jej nie słuchały. Bark przeszywał ból nie do zniesienia. Kończyny opadły bezwładnie, nie mogła dalej się bronić. Nie potrafiła sformułować jednej przytomnej myśli.

Umierała.

– No właśnie – szepnął Donator.

Gończy oddech mordercy musnął jej twarz, tuż przed oczami miała rozciągnięte w szyderyczym grymasie wargi.

Nie dość, że ją zabijał, to jeszcze sprawiało mu to przyjemność.

Zamknęła oczy. Słyszała rozpaczliwe, ostatnie odgłosy szamotania własnego ciała pozbawionego dostępu powietrza. Żałosne, cichnące.

A potem już nie słyszała nic.

Ostatnim dźwiękiem ze świata żywych była jej własna cisza.

## Rozdział 64

Bam!

A zaraz potem głośne łup! – i ochrypli krzyk mężczyzny.

Nagle płuca zaczerpnęły powietrza, klatka piersiowa uniosła się gwałtownie, napelniając życiodajnym tlenem, instynkt samozachowawczy zadziałał automatycznie, ciało podjęło walkę o przetrwanie, zanim mózg pojął, co się wydarzyło.

U stóp Jill stała Victoria z belką w rękach. Donator leżał obok, martwy. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w krokwie. Usta miał otwarte, wargi ułożyły się w pełne niedowierzania „o”. Padł na wznak, z rękami wzdłuż boków, a wokół jego głowy rosła ciemna aureola krwi ciekącej ze skroni.

– Jill? – Victoria upuściła belkę i osunęła się na kolana. – Jill?

A Jill czuła, jak wraca jej życie: serce zaczyna bić na nowo, nierówny oddech unosi żebra, płuca pracują jak przeciążone miechy. Gardło bolało niewyobrażalnie. Bardzo chciała się odezwać, lecz nie mogła przepchnąć dźwięków przez krtań.

Victoria pochyliła się, objęła ją i przytuliła. W jej oczach była czułość, jakiej próżno by tam szukać kiedykolwiek wcześniej.

– Przeżyjesz? – spytała z łzawym uśmiechem.

Jill z niemałym trudem kiwnęła głową. Udało jej się nawet rozciągnąć wargi w czymś na kształt uśmiechu. Mówić nie mogła, jednak oczami przekazała wszystko, co miała w sercu.

Cierpiałam, gdy cię straciłam. Teraz już jest dobrze.



## Rozdział 65

Nie do końca zdawała sobie sprawę, co się działo dalej, bo co chwila traciła przytomność z bólu. Wiedziała jedynie, że ciągle coś się zmienia, przyjechała policja i pogotowie, przypięto ją do noszy, podłączono do urządzeń monitorujących funkcje życiowe i podano kroplówkę, a w którymś momencie udało jej się na tyle zmusić do posłuszeństwa obolałe i opuchnięte gardło, że przepchnęła przez nie pytanie, które nie dawało jej spokoju.

– Mój pacjent? Rahul?

– Teraz nie czas przejmować się pracą – odparł paramedyk.

W pośpiechu przewieźli ją na oddział pogotowia, a tam zajęły się nią pielęgniarki we wzorzystych mundurkach. Wkrótce za wszystkimi zamknęły się automatyczne drzwi.

– Niech ktoś zadzwoni, błagam – szepnęła Jill. – Mój pacjent, Rahul.

Nadal jednak nikt nie chciał jej słuchać.

## Rozdział 66

Siedziała na szpitalnym łóżku pozszywana, opatrzona, zabandażowana i naszpikowana lekami, wreszcie bezpieczna, w towarzystwie prawdziwych agentów FBI, którzy wylegitymowali się, potwierdzając swoją tożsamość. Agent specjalny Anthony Harrison oraz agent specjalny Gregor Kavicka. Rana w barku okazała się niezbyt głęboka, wystarczyło znieczulenie miejscowe oraz leki przeciwbólowe, żeby mogła rozmawiać z przedstawicielami prawa. Obaj agenci specjalni zajęli miejsca na krzesłach w nogach łóżka, obaj byli ubrani w ciemne garnitury dopełnione pasiastymi krawatami, obaj mieli krótko przycięte włosy.

Victoria, nadal w podartym bolerku, usiadła bliżej. Na policzku miała rozcięcie opatrzone plastrem.

– Niech mi ktoś wyjaśni, co się stało. – Jill z trudem mówiła przez obolałe gardło.  
– Co z Rahulem, kto to Donator i gdzie jest Cohz?

– A ja chciałabym jeszcze wiedzieć – odezwała się Victoria – czy tata rzeczywiście został zamordowany i co ma wspólnego z tym wszystkim Brian, jeżeli faktycznie ma. Czy naprawdę jest agentem FBI, czy tamci dwaj kłamali?

– Powoli, spokojnie. – Agent specjalny Harrison uniósł dłoń. – Po kolei, jedno pytanie naraz.

Był wysokim i szczupłym mężczyzną o niezbyt dużych piwnych oczach okolonych głębokimi kurzymi łapkami, miał pokaźny dołek w brodzie i ponury wyraz twarzy.

– Proszę pani – zwrócił się do Jill. – Dzwoniliśmy do przychodni z żądaniem informacji, dowie się pani, co z pacjentem, jak tylko do nas oddzwonią. Jeżeli chodzi o wyjaśnienia, odpowiem na te pytania, na które mogę odpowiedzieć w tej chwili, biorąc pod uwagę dobro śledztwa.

– Chcemy wiedzieć wszystko – nastroszyła się Jill. – Omal nie zginęłyśmy.

– Muszą panie pozwolić nam dokończyć wykonanie zadania, potem będziemy mogli wyjaśniać. Zostały panie wmieszane w śledztwo federalne. Godziny dzielą nas od szeroko zakrojonej akcji aresztowań i sformułowania zarzutów, więc oczywiście nie możemy narażać akcji na niepowodzenie. Dochodzenie prowadzone na tak ogromną skalę i o tym stopniu ważności wymaga ogromnych nakładów energii i pracy, a przy tym koszty również są niebagatelne.

Jill nie powiedziała mu, że prawie to samo usłyszała od fałszywych agentów.

– Na razie – ciągnął Harrison – możemy udzielić jedynie najbardziej podstawowych informacji, a i te proszę traktować jako poufne. Nie mogą wyjść poza nasze grono, nie wolno paniom rozmawiać o tych sprawach z przyjaciółmi czy sąsiadami. Jeśli chodzi o obrażenia, będą panie informowały swoje otoczenie, że zdarzył się wypadek samochodowy. Pani narzeczony – zwrócił się do Jill – będzie zobowiązany do przestrzegania tych samych reguł.

Jill pokiwała głową. Jeszcze nie rozmawiała z Samem, najwyraźniej jednak FBI ją wyręczyło.

– Co się dzieje z Brianem? – zapytała Victoria. – Czy operacja się skończyła? W jakim jest stanie? I czy naprawdę jest agentem?

– Brian rzeczywiście pracuje dla nas. – Agent specjalny Harrison odchrząknął, jakby jednoznaczna informacja nie chciała mu przejść przez gardło. – Odzyskał przytomność, spodziewamy się pełnego powrotu do zdrowia.

– Całe szczęście! – Victoria się rozpromieniła. – A kim jest w rzeczywistości? Czy w ogóle jest prawnikiem?

– Na te pytania jeszcze nie mogę odpowiedzieć.

Jill wróciła myślami do pogotowia i fałszywych agentów.

– Cohz i Donator wiedzieli, że Brian pracuje dla FBI. Skąd wiedzieli?

– Na razie nie mogę udzielić odpowiedzi.

– Kim oni są i dlaczego chcieli nas zabić?

– W chwili obecnej na to pytanie również nie mogę odpowiedzieć.

– Nie powinniśmy tego wiedzieć? – Jill usiłowała zachować spokój, co nie było łatwe.

– Może agent Cohz czy jak mu tam wróci, żeby dokończyć dzieła?

Harrison milczał przez chwilę.

– Szanowna pani – odezwał się wreszcie. – Mężczyzna, który przedstawił się jako agent specjalny Cohz, nie żyje.

– Co? Jak to? – Jill była wstrząśnięta nie na żarty. – Przecież nie zabił go zastrzyk, nawet w tętnicę. To tylko epinefryna.

– Najwyraźniej miał słabe serce, ponieważ na skutek zastrzyku dostał zawału i zmarł.

– Och... – Jill stanęła przed oczami scena w samochodzie. – Taki młody... Nie chciałam go zabić.

– Rozmawialiśmy już o tym z miejscową policją i ustaliliśmy, że nie wysunie się przeciw pani zarzutów. Przeciw obu paniom. Mieliśmy do czynienia z ewidentną samoobroną.

Jill na moment zaniemówiła.

– Jestem lekarzem – odezwała się po chwili.

– Gdyby pani go nie wykluczyła z gry, zabiłby was obie bez skrępowań.

– Możliwe, jednak dla mnie to niewiele zmienia. Składałam przysięgę. – Czuli się winni.

Victoria wzięła ją za rękę.

– Ja też dzisiaj zabiłam człowieka.

– Ocaliłaś mi życie.

– A ty uratowałaś mnie. – Dziewczyna ścisnęła jej palce. – Razem damy radę, sama tak mówiłaś. Najważniejsze to trzymać się razem. – Przeniosła spojrzenie na agenta Harrisona.

– Czy tata został zamordowany?

Agent zacisnął wargi.

– Przykro mi, ale na to pytanie również nie mogę odpowiedzieć.

– Do diabła z tą służbową dyskrecją! – warknęła Victoria. – Muszę wiedzieć, czy tata został zamordowany. I moja siostra też musi to wiedzieć. Bo to był nasz ojciec.

– Niestety, w chwili obecnej nie mogę się dzielić takimi informacjami. Gdy będzie po wszystkim, zrozumie pani dlaczego.

– Na razie nie rozumiem nic – rozzłościła się dziewczyna. – Po co tacie była druga tożsamość? Dlaczego Brian pracował pod przykrywką? Czy poznaliśmy się ze względu na tatę? Czy udawał mojego przyjaciela?

– Może pani omówić te sprawy z Brianem osobiście, tyle że nie dzisiaj. Najpierw my musimy go przesłuchać.

Victoria nagle obróciła się do Jill.

– O rany, nie zadzwoniłam do Abby. Pewnie trzeba by ją ściągnąć do domu.

– Jeszcze za wcześnie – wtrącił się Harrison niepytany. – Jest bezpieczniejsza, gdy znajduje się poza obszarem zdarzeń, a przy tym i tak nie mają panie prawa o niczym jej informować, póki nie zakończymy aresztowań.

Jill zaniepokoiła się o Megan.

– Czy moja córka jest w niebezpieczeństwie? W tej chwili czeka na mnie u mojej przyjaciółki.

– Wiemy, gdzie jest, nic jej nie grozi. Pod domem państwa Feehanów stacjonuje patrol.

– Skąd wiecie, gdzie jest? – Raptem coś sobie uświadomiła. – Śledziliście mnie? To wy jeździliście za mną czarnym suvem?

Harrison pokręcił głową. Usta zacisnął w wąską linię.

– Znowu muszę odmówić udzielenia odpowiedzi. Gdy akcja się zakończy, sprawa przestanie być tajemnicą i odpowiemy na wszystkie pytania.

Jill jednak nie zamierzała popuścić. Nie po takim dniu.

– Czy Nina rzeczywiście zginęła z rąk męża? Czy też zabili ją Cohz i Donator?

– Powtórzę, że po wniesieniu oskarżenia będziemy mogli wszystko wyjaśnić.

Jill miała serdecznie dosyć.

– Czy doprowadziłam ich do Niny? Tyle chyba może pan zdradzić? Czy przeze mnie ona i jej mąż stracili życie?

– Niestety, nie mogę odpowiedzieć.

Miała zbyt wiele pytań, które nie mogły czekać.

– Zróbmy wobec tego inaczej – zaproponowała. – Ja panom opowiem, jak to wygląda moim zdaniem, a panowie zaprzeczą lub potwierdzą. – Zebrała myśli. – Mój były mąż, William Skyler, znany również jako Neil Straub, pozyskiwał od Niny D’Orive poufne informacje na temat ewentualności wycofywania z rynku leków produkowanych przez firmę Pharmcen i sprzedawał je Joemu Zeptienowi, który na ich podstawie dokonywał na giełdzie transakcji krótkiej sprzedaży i zarabiał krocie. – Zerknęła na Victorię, która wyraźnie była mocno zbita z tropu. – Zrobili tak przy okazji deferralu i riparinu, mieli zamiar powtórzyć schemat i zarobić fortunę na memorilu. Coś jednak poszło nie tak. Dlaczego? Po co ktokolwiek miał kogokolwiek zabijać? I jak?

– Nie będę ani zaprzeczał, ani potwierdzał. Na razie nie musi pani niczego wiedzieć.

– Wszystko jest w laptopie... A, no właśnie. – Jill potarła czoło zatroskana. – Laptop został w bagażniku mojego samochodu.

– Proszę się tym nie przejmować, już go odzyskaliśmy. Fachowcy są zdania, że uda się go uruchomić.

– To dobrze... ale i tak mało ważne – oceniła w zamyśleniu, po czym zwróciła się ponownie do agenta Harrisona. – Może pan przynajmniej powiedzieć nam, czy William został zamordowany, a jeśli tak, to kto go zabił i dlaczego? Dla pana to tylko kolejny przypadek, ale Victorii ta informacja jest naprawdę bardzo potrzebna, w jakimś stopniu stanowi o sensie jej życia. – Uświadomiła sobie, że mówi także w swoim imieniu. – Nie od dzisiaj zastanawia się, kim naprawdę był jej ojciec. To element procesu wychodzenia z żałoby. Jeżeli nie pozna prawdy, nigdy do końca nie stanie na nogi. Może mi pan wierzyć, znam to z autopsji.

Agent specjalny Harrison dłuższą chwilę milczał w zamyśleniu.

– Mogę obiecać, że natychmiast po zakończeniu sprawy wszystko paniom objaśnię

– odezwał się w końcu nieco cieplejszym tonem. Spojrzał na Victorię. – Straciła pani ojca, to trudne, jednak mamy do czynienia także z innymi ofiarami oraz ciągle istniejącym potencjalnym zagrożeniem. Proszę wziąć pod uwagę chociażby to, co się stało dzisiaj. Proszę nam pozwolić skończyć pracę, potem będziemy do dyspozycji.

– Dobrze – zgodziła się Victoria po namyśle.

Jill też się poddała, choć wyjątkowo niechętnie.

– A co z naszym bezpieczeństwem? – spytała. – Czy nas ktoś chroni?

- Oczywiście. Przed pani domem mamy agentów.
  - Skąd będziemy wiedzieli, że są na miejscu? Jak ich rozpoznamy?
  - Nie będą państwo wiedzieli i w żaden sposób ich nie rozpoznają, jeżeli agenci wykonują swoje obowiązki należycie. Proszę mi wierzyć, są państwo bezpieczni.
- Nagle rozległo się pukanie do drzwi i do salki wetknął głowę młody agent FBI.
- Przepraszam, że przeszkadzam.
  - Co tam? – spytał Harrison.
  - Chciał pan wiedzieć, kiedy przyjdzie informacja o pacjencie doktor Farrow, Rahulu Choudhurym. – Agent trzymał w ręku komórkę. – Właśnie w tej sprawie jest telefon.
  - Ja porozmawiam, dobrze? – poprosiła Jill z sercem w gardle.

## Rozdział 67

- Z przychodni? – spytała, wyciągając drżącą rękę po aparat.
- Nie, jakaś kobieta prywatnie – odparł agent. – Płacze i mówi z silnym hinduskim akcentem, trudno ją zrozumieć.
- Boże, Boże...!
- Proszę dać mi telefon.
- Podać? – Młody agent czekał na pozwolenie Harrisona.
- Ten w końcu z irytacją kiwnął głową.
- Proszę przekazać pani aparat. To właściwie telefon do niej. – Wstał i przeszedł do drzwi, agent Kavicka ruszył za nim. – Zostawimy panie same.
- Victoria podniosła wzrok na Jill.
- Ja też mam wyjść?
- Nie ma potrzeby. – Jill wzięła aparat do ręki. – Doktor Farrow, słucham.
- Pani doktor, och, pani doktor! – odezwał się kobiecy głos drżący od łez.
- Kto mówi? – spytała Jill. – Z kim rozmawiam?
- Pani doktor, ja nazywam się Arami, jestem ciocią Rahula. Pani doktor! – Przerwał jej szloch.
- Jill przygotowała się na najgorsze.
- Proszę mi powiedzieć, co się stało z Rahulem. Słucham.
- Maluszek trafił do szpitala! Pani doktor kochana! Padma nie wsiadła do samolotu i nie polecili! – Arami znów się rozszlochała, łzy szczęścia nie dały jej mówić. – Nic mu nie będzie – odezwała się wreszcie. – Wyzdrowieje! Będzie żył!
- Bogu dzięki... – odetchnęła Jill.
- Wraz z krwią rozchodziła się jej po całym ciele ulga i radość – przypadek nieznanym medycynie.
- Tak, tak, no właśnie! Padma jest razem z nim, właśnie dzwoniła. I moja siostra też ma się dobrze, jej matka. W Bombaju.
- Czy to dziadek Rahula dodzwonił się do Padmy?
- Nie, nie, nikt nie mógł się do niej dodzwonić, bo wyłączyła telefon na podróż.
- Arami powoli się uspokajała, mówiła wolniej i wyraźniej. – Padma już wsiadła na pokład, z Rahulem, oczywiście z Rahulem i z resztą chłopców. Mieli wszyscy lecieć!
- Kto ich zatrzymał?
- Pewna pani przyjechała na lotnisko specjalnie, z ich powodu. I zatrzymała ją policja za przekroczenie szybkości, miała dostać mandat, a w końcu dostała eskortę. Policyjną eskortę! Powiedzieli Padmie, że musi wysiąść z samolotu i zabrać małego, i to wszystko tuż przed startem.
- Kto to był? Kto tego dokonał?
- Jakaś... kierowniczką przychodni? Pani... Sheryl.
- Sheryl?! – Jill zdębiała.
- Wspaniała kobieta z tej pani Sheryl – rozplęwała się Arami. – Najcudowniejsza kobieta pod słońcem.
- Tak? – Jill ugryzła się w język. – Tak, rzeczywiście.
- Muszę skończyć tę rozmowę – stwierdziła Arami. – Jeszcze porozmawiamy. Bardzo

dziękuję, wszyscy jesteśmy wdzięczni!

– A ja dziękuję za telefon. Proszę powtórzyć Padmie, żeby śmiało dzwoniła w razie potrzeby.

Zakończyła rozmowę akurat w momencie, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

## Rozdział 68

– Kochanie, jak się czujesz?

Sam zamknął Jill w objęciach i ona jego uściskała serdecznie, z oczami pełnymi łez i sercem wezbranym miłością.

– Jakoś daję radę.

– Nie płacz. Jestem przy tobie, już wszystko w porządku. – Kołysał ją w ramionach.

Za nim stał Steven, skóra zdjęta z ojca, tak samo gęste włosy, bystre niebieskie oczy za szklami okularów w rogowej oprawie. Nawet w spodniach tej samej firmy, którą lubił ojciec.

– Cieszę się, że wróciłeś. – Jill otarła łzy.

Sam przyglądał jej się z niekłamanym współczuciem.

– Co oni ci zrobili... Dobry Boże, cała jesteś pokiereszowana...

– Nie jest tak źle.

– Nawet nie ma w co cię pocałować.

– Usta mnie wcale nie bolą – rzuciła buńczucznie.

Jeszcze te słowa nie wybrzmiały do końca, gdy Sam złożył na jej wargach delikatny, czuły pocałunek.

– Kocham cię – powiedział cicho.

– Ja ciebie też kocham. – W tej samej chwili uświadomiła sobie, że Steven nie zna Victorii. – Victorio – odezwała się – to jest Steven Becker. Stevenie, Victoria Skyler. Moja była pasierbica, mój przyszły pasierb... Och, dobrze, mniejsza o szczegóły. Dzieci kochane, poznajcie się.

– Nie jestem już byłą pasierbicą, ale znów pasierbicą po prostu – powiedziała Victoria z uśmiechem.

– I nie jesteśmy już dziećmi – zauważył Steven.

– Dla nas jesteście – stwierdził Sam. – I zawsze będziecie. – Odwrócił się do Jill, pocałował ją znowu. – Wracajmy do domu.

– O tak. – Najwspanialsze słowa świata. – Wracajmy do domu.

– Victorio? – Sam spojrzał na dziewczynę ciepło. – Mam nadzieję, że pójdziesz z nami. Zjemy razem kolację i postaramy się odzyskać spokój. Megan się na pewno ucieszy na twój widok.

Jill łzy wezbrały pod powiekami. Doceniała gest Sama, jednak doświadczenie życiowe podpowiadało jej wyraźnie, że nadal są w impasie. Czekają ich trudne ustalenia na temat nowej rodziny. Jeśli nie dojdą do porozumienia, ślubu nie będzie. Już wiedziała, że miłość nie przynosi odpowiedzi na pytanie, czy powinni się pobrać, jedynie sprawia, że należy je postawić. Miłość nie jest zakończeniem, lecz początkiem.

Victoria obdarzyła Sama promiennym uśmiechem.

– Bardzo mi miło, niestety, mam wykłady. Jutro dzień jak co dzień.

– Coś mi się zdaje, że możesz liczyć na zwolnienie lekarskie. – Sam uśmiechnął się do niej porozumiewawczo i przeniósł spojrzenie na Jill.

– Załatwione – stwierdziła pani doktor Farrow bez oporów.

Najbardziej na świecie chciała uściskać Megan i zgromadzić wszystkich, których kochała, których uważała za rodzinę, pod jednym dachem.



Pod wspólnym dachem.

## Rozdział 69

Jill sprzątała po pizzy kupionej z dostawą, w kuchni prócz niej byli Sam, Steven i Victoria, a wszyscy czekali na Megan, którą Katie właśnie odwoziła do domu. Za oknami lało, rozpętała się kolejna wiosenna burza, pioruny waliły raz za razem, aż Pulpet na swoim posłaniu podrygiwał niespokojnie. Victoria zdążyła wziąć prysznic i przebrać się w stary T-shirt oraz spodnie od dresu należące do Megan, a Jill włożyła różowy sweterek i dżinsy. Pomijając siniaki, opatrunki i leki przeciwbólowe, czuła się całkiem normalnie, jak zwykła mama.

– Mamo? – rozległo się od wejścia i zaraz w progu kuchni pojawiła się Megan w żółtym dresie.

Na widok Jill skamieniała.

– Co ci się stało? – szepnęła. – I oko, i czoło... Mamo!

– Moje kochanie! – Jill otworzyła ramiona. – Wszystko w porządku, tylko kiepsko wyglądam.

Córka wpadła jej w objęcia, wtuliła się w znajome ciepło.

– Co się stało? Katie powiedziała, że nie jest źle, a ty wyglądasz okropnie. I co z Victorią?

– Obie jesteśmy w naprawdę przyzwoitym stanie. Mamy za sobą bardzo męczący dzień, ale już wszystko w porządku.

– Jaką masz śliczną buźkę! – wykrzyknęła Katie na widok przyjaciółki. Jednym spojrzeniem powiedziała jej, że kocha ją całym sercem.

– Ty lepiej w lustro popatrz – odparowała Jill.

Wcześniej, przez telefon, zdążyła jej opowiedzieć wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Nawet najsurowsze zakazy FBI nie zdołają zamknąć ust najlepszym przyjaciółkom.

– To ja lecę – odmeldowała się Katie. – Czas na mnie. Ściskam was, trzymajcie się, kochani.

– Serdeczne dzięki. Pa, pa. – Jill pomachała przyjaciółce, po czym cmoknęła Megan w czubek głowy. – Chcesz pizzy? Mogę odgrzać w mikrofali.

– Nie, musiu, dzięki, Katie mnie nakarmiła. – Dziewczynka nadal przyglądała się matce wyraźnie wstrząśnięta. – Nic ci się nie stanie, prawda?

– Nic. Obiecuję. – Doskonale rozumiała strach córki. – Kocham cię.

– Ja ciebie też. Opowiesz mi, co się stało? Strasznie dziwne to wszystko! Normalnie czyste wariactwo.

– Chodź, usiądź. – Jill poprowadziła Megan do jej ulubionego stołka przy wyspie.

Dziewczynka odłożyła telefon na blat. Sam i Steven stali tuż obok, a Victoria usadowiła się przy Megan i objęła ją za ramiona.

– Cieszę się, że cię widzę. Stęskniłam się za tobą.

– Ja za tobą też. – Megan uśmiechnęła się nieśmiało. – Boli cię głowa? Założyli ci szwy? Rany, ja normalnie nie czaję...!

– Nic mi nie jest. Obie wyszliśmy z tej awantury właściwie cało.

– Mamo? – Megan odwróciła się do Jill i w tym samym momencie ćwierknął jej telefon. Zignorowała go. – Opowiedz mi wszystko, bo nie ogarniam.

– Z grubsza biorąc, Victoria i ja natrafiłyśmy na dwóch przestępców i w efekcie trochę ucierpiałyśmy, ale szybko dojdziemy do siebie.

- Jakich przestępców? Chcieli coś ukraść? Kieszonkowcy?
  - Niezupełnie. Byli związani z Williamem, natomiast w jaki sposób, jeszcze nie mamy pewności. – Nalała córce szklankę wody, postawiła ją na blacie. – Policja wie wszystko, a my zyskamy pełny obraz za kilka dni.
  - Czy naprawdę ktoś zabił Williama? – spytała Megan. Znieruchomiała, przygotowana na każdą ewentualność.
  - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Dowiemy się od policji.
  - A gdzie jest Abby? Dlaczego nie ma jej w domu? Czy ona coś wie?
  - Raczej nie, a do domu wróci niedługo.
  - O rany... – Megan obróciła się do Victorii i dotknęła jej ramienia. – Wiem, że ci smutno po śmierci taty. Strasznie mi przykro.
  - Nie gniewaj się, że na was naskoczyłam w czasie uroczystości żałobnej. Wiem, że ty też go kochałaś. Razem damy radę.
  - Kocham cię, Vic.
  - A ja ciebie, Mega.
- Jill przyglądała im się ze wzruszeniem.
- Jeszcze jedno, Megan – powiedziała w końcu, z westchnieniem wracając do nieubłaganej rzeczywistości. – Musimy zachować dyskrecję. Nie wolno nam mówić o niczym, co się wiąże z ostatnimi zdarzeniami. Gdyby ktokolwiek pytał, mamy odpowiadać, że zdarzył się wypadek samochodowy, w którym ucierpiałam, jak widać. Nie pójdziesz jutro do szkoły, napiszę ci usprawiedliwienie.
  - Mam w weekend zawody. W sobotę. Ale chyba faktycznie lepiej będzie, jak nie pójdę. – Megan zachmurzyła się raptownie.
- Jej reakcja wydała się Jill dziwnie przesadzona.
- Jak to? Nie ma problemu. Możemy iść. Nie chcesz startować? Nie opuściłaś zawodów ani razu.
  - Mamo... – Megan wyraźnie biła się z myślami. – Muszę ci coś powiedzieć
  - sapnęła w końcu. Jej telefon zaćwierkał po raz trzeci, ale nawet na niego nie spojrzała.
  - Tylko mi obiecaj, że nic nie zrobisz, bo jeszcze pogorszysz sprawę.
  - Dobrze – przyrzekła Jill, kompletnie zaskoczona. – Mów, śmiało.
  - Ten chłopak z klubu, ten, który mi się spodobał, pamiętasz? Jake. Poprosił mnie o zdjęcie. Żeby pokazać chłopakom w szkole i powiedzieć im, że ma dziewczynę. Rozumiesz? Że ja jestem jego dziewczyną. – Upiła łyk wody. – Wysłałam mu takie zwykłe zdjęcie, które zrobiła mi Courtney. A on je obrobił tak, żeby wyglądało, że jestem bez ubrania. Że ja mu takie zdjęcie posłałam.
- Jill zapłonęła gniewem, jednak tego nie pokazała.
- Jak to zrobił?
  - Wyciął moją głowę i wkleił w inne zdjęcie, a potem rozesłał to do chłopaków z klubu, no i oczywiście widziały to też dziewczyny i teraz wszyscy z basenu uważają, że jestem łatwa.
  - Nieprawda, kochanie – zaprotestowała Jill. – Ludzie mają swój rozum. Wiedzą, jaka jesteś naprawdę.
  - Co za debilizm! – Victoria złapała się za głowę.
  - No nie? – przytaknęła jej Megan. – Sama widzisz. Wiem, że twój tata umarł i w ogóle, ale nie mogę przestać myśleć o tym zdjęciu. Rozumiesz? Jestem taka głupia...
  - Spokojnie. Nie jesteś głupia. – Victoria pogładziła ją po włosach. – Po prostu nie do wiary, że on jest takim kretyńcem. Nie jesteś sama, razem damy radę, pamiętasz?

Megan przeniosła spojrzenie z powrotem na Jill.

– Mamo, nie pójdę na zawody, bo wszyscy wiedzą. Okropnie się wstydę. W ogóle już nie wrócę do drużyny. Chociaż jestem potrzebna, beze mnie nie wygrają.

Jill starała się poskładać fakty w całość.

– Czekaj, kiedy to się zdarzyło?

– W niedzielę, tuż przed zawodami. Chyba dlatego dostałam napadu paniki, tylko nie chciałam ci mówić. Na pewno byś zadzwoniła do jego rodziców albo do trenera Stacha, a wtedy by było jeszcze gorzej. Przepraszam, wiem, że się o mnie martwiłaś.

Jill spuściła wzrok. Przyjęła, że niedzielny napad paniki był skutkiem wiadomości o śmierci Williama, zniknięcia Abby i jej nieobecności przy córce, a tu proszę, rzeczywiste przyczyny wyglądały zgoła inaczej.

– Mamo, nie bardzo wiem, co robić. Nie mogę iść na zawody i nie mogę nie iść.

– Nadal nie chcesz, żebym porozmawiała z trenerem Stachem?

– Nie, nie, chybabym się spaliła ze wstydu. Wiesz, im więcej zrobisz, tym bardziej rozdmuchasz sprawę i będzie większe halo. A moje zdjęcie obejrzą już w ogóle wszyscy i cała szkoła będzie mnie miała za szmatę.

Jill skuliła się w sobie.

– A gdybym zadzwoniła do jego szkoły...

– Nie! Wyszłabym na kompletną idiotkę, nie rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedziała Jill, bo rzeczywiście zrozumiała. Sytuacja była bez wyjścia.

– Muszę dać sobie radę sama. Jestem wściekła na siebie, że się chowałam i uciekałam. Szlag by to! Jestem najlepszą zawodniczką w drużynie, a mało się nie utopiłam, bo jestem głupia! Nie chcę być taka!

– Nie jesteś taka, kochanie.

– Właśnie że jestem!

Nagle Megan skoczyła na równe nogi, omal nie przewracając stołka, i zanim ktokolwiek zareagował, wypadła z kuchni.

Pulpet uniósł łeb.

Jill poderwała się, żeby biec za córką, ale Victoria ją zatrzymała.

– Wiesz co – odezwała się cicho – lepiej pójdę ja. Nie obraż się, ale czasem człowiek musi pogadać z kimś innym, nie z matką. Na przykład z przyjaciółką.

– Masz rację. Idź.

Victoria szybkim krokiem wspięła się na piętro.

Sam podszedł do Jill i objął ją czule.

– Wszystko minie – szepnął jej do ucha.

Jill właśnie miała odpowiedzieć, gdy z zewnątrz usłyszała wołanie. Choć przygłuszone odgłosami burzy, wyraźnie rozbrzmiało jej imię. Podniosła wzrok na Sama.

– Ty też to słyszysz?

– Co takiego?

Pulpet już mknął do drzwi wejściowych. Ślizgając się na parkiecie, pędził witać gościa.

Jill wybiegła z kuchni akurat w momencie, gdy odezwał się dzwonek. Sam i Steven byli tuż za nią.

Otworzyła drzwi szeroko.

Na ganku stała Abby w towarzystwie agenta specjalnego Harrisona, który trzymał w ręku transporter dla kota.

– Abby! – krzyknęła Jill, zamykając dziewczynę w serdecznym uścisku.

## Rozdział 70

Jill, Victoria i Megan ścisnęły Abby z całej siły, Pulpet biegał w kółko, merdając ogonem, w holu zapanowały gwar i rwetes. Sam i Steven, obaj szeroko uśmiechnięci, rozsądnie trzymali się nieco z boku, razem z agentem specjalnym Harrisonem.

– Jak ja się cieszę, że was widzę! – powiedziała Abby ze łzami w oczach. – Strasznie się za wami tęskniłam!

– My też za tobą tęskniliśmy. – Jill była jednak nieco zdezorientowana. – Dlaczego przyszedł z agentem Harrisonem? Złapał cię na lotnisku?

– Nie, skąd. Jesteśmy zaprzyjaźnieni. Tak samo jak z Tellą, Leonard i Palumbo.

– Abby wyliczyła trzy osoby na palcach. – Przez tydzień mieszkałam z FBI.

– Z prawdziwymi agentami FBI? – upewniała się zdumiona Megan. – Jak w telewizji?

– Lepiej! Bo to kobiety! W wolnych chwilach dziergają dla rozrywki. Nazwały się „Spluwa i szydelko”. Spotykają się w każdy poniedziałek. I co, fajnie, nie?

– Co? Jak? – Victoria wyraźnie się pogubiła.

– Proszę pani – zwrócił się do Jill agent specjalny Harrison – usunęliśmy Abby Skyler ze sceny zdarzeń dla jej bezpieczeństwa. Zamieszkała w nam tylko znanym domu z naszymi agentkami. – Harrison zerknął na Megan. – Może w tej chwili nie jest najlepszy moment na dzielenie się szczegółami, ale już możemy odpowiadać na pytania.

– Pewnie się o mnie martwiłaś – powiedziała Abby do Victorii. – Strasznie mi przykro.

– Oczywiście, że się martwiłam. – Victoria miała łzy w oczach. – Kocham cię, ty idiotko.

Jill z wolna zaczynała dochodzić do siebie.

– Abby, zaraz, chwileczkę. Czy to oznacza, że nie byłaś w Los Angeles? I nie ma żadnego Brandona?

– Aha. Nie byłam w Los Angeles i nie ma żadnego Brandona. Ale uwierzyłaś mi, co?

– Tak – odparła Jill i w skrytości ducha odetchnęła z ulgą. – Uwierzyłam.

– Ja też – przyznała Victoria.

Abby wyduła wargi.

– Wiedziałam, czego się po mnie spodziewacie, więc to powiedziałam. I wiecie co? Zrozumiałam, że nie chcę być taka, jak byłam niedawno.

– Mmm... Moja kochana siostrzyczka! – Victoria znów uściskała Abby.

Jill przytuliła Megan.

– Wiecie, co postanowiłam? – podjęła Abby, uwolniona z uścisku. – Wracam do college'u i będę studiować kryminologię. Nieziemsko mi się spodobały te agentki. Na dodatek, chociaż to może dziwnie zabrzmieć, uważam, że się do tego nadaję, bo już jestem w tym dobra.

– Kochanie, cudownie! – ucieszyła się Jill szczerze, choć w beczcze miodu doskonale wyczuwała łyżkę dziegciu, ponieważ nazbyt dobrze знаła przyczyny takiej decyzji. – Jestem z ciebie dumna.

Sam podszedł bliżej, objął Abby ramieniem.

– Doskonały pomysł. Jeżeli będziesz potrzebowała naszej pomocy w czymkolwiek, daj

znać. Zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby ci pomóc.

– Dziękuję. Jesteście kochani. Myślę, że dam sobie radę.

– Na pewno – stwierdziła Victoria z przekonaniem. – Tak zostało postanowione.

Razem zawsze damy radę.

– Słusznie – przytaknęła Jill. – Rodzina jest najważniejsza. A czymże byłaby rodzina bez domowych zwierząt? – Wskazała transportera. – Założę się, że wreszcie poznam osobiście niejakiego Korniszona. Od razu wydało mi się dziwne, że o nim nie wspomniałaś.

– O rany! Mało nie zapomniałam! – Abby pochyliła się i otworzyła druciane drzwiczki.

Z transportera wyskoczył przecudnej urody szczeniak corgi. Puścił się pędem wokół holu jak chyży królik. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Pulpet natychmiast rzucił się w pogoń, poszczekując groźnie.

– Zaraz! Czy ja przypadkiem nie znam tego szczeniaka? – zorientowała się Jill. – Czy to nie jest suczka Niny D’Orive?

– Owszem, to ona – odezwał się agent Harrison. – Byliśmy tamtej nocy na miejscu zdarzenia. Miejscowa policja chciała zabrać szczeniaka do schroniska, uznałem jednak, że psiak spodoba się mojej żonie. I spodobał się. – Agent pokiwał głową. – Niestety, mój syn ma na niego alergię.

Abby uśmiechnęła się współczująco, chociaż w oczach błyszczały jej wesołe iskierki.

– Nazwałam ją Hobo, od Hoboken. Na pamiątkę po Ninie.

– Kochana z ciebie dziewczyna. – Jill pogładziła Abby po plecach, szczerze wzruszona.

– Dzięki. Aha, a jeśli chodzi o Korniszona... – Abby znów schyliła się do transportera i gdzieś z jego głębin wydobyła rudego kociaka.

Zdezorientowane stworzenie potoczyło wokół zde gustowanym spojrzeniem, miauknęło głośno i na powrót zasyło się w transporterze.

– No jasne. – Abby wcale nie była zdziwiona jego zachowaniem. – Do zobaczenia przy innej okazji, drogi kocie.

– Szanowna pani – zwrócił się do Victorii agent specjalny Harrison. – Obiecałem pani, że odpowiem na wszelkie pytania, a ja zawsze dotrzymuję słowa.

– Racja. – Uśmiech spelzł z warg dziewczyny. – Możemy rozmawiać.

– Przejdźmy do salonu.

## Rozdział 71

Za oknami szalała burza, a Jill, Sam, Victoria, Abby i Steven siedzieli w ciepłym salonie, może nie do końca szczęśliwi, lecz przynajmniej razem. Wraz z agentem specjalnym Harrisonem oglądali wiadomości o dwudziestej trzeciej. Na ekranie pokazywano zakutych w kajdanki mężczyzn w eleganckich garniturach, wyprowadzanych z jednego z biurów przy Wall Street.

Głos spoza kadru komentował:

„Dzisiaj późnym popołudniem FBI dokonało aresztowań w efekcie operacji »Sekator«, mającej na celu ukrócenie procederu polegającego na dokonywaniu transakcji papierami wartościowymi przez osoby mające dostęp do informacji niejawnych oraz defraudacji, jakich dopuścił się jeden z największych funduszy hedgingowych na Wall Street, Piper, Flanagan. Departament Sprawiedliwości stwierdza, iż formułowane w tej sprawie zarzuty stanowią początek akcji uwalniania rynku finansowego od zachowań niezgodnych z prawem, podobnych jak w przypadku Galleon Group. Działaniom władz towarzyszą protesty organizacji Okupuj Wall Street. Tyle ze świata finansów”...

– No dobrze, widzieliśmy to dwa razy. – Jill wymierzyła pilotem w odbiornik i wyłączyła telewizor. Objęła za ramiona Megan, która z Victorią i Abby siedziała obok na kanapie. – Czy może pan wyjaśnić, o co chodzi?

– Oczywiście. – Agent specjalny Harrison usiadł prosto. – Zanim się zagłębię w szczegółowe wyjaśnienia, chciałbym jedną rzecz załatwić od ręki. Prosiła mnie pani w szpitalu, żebym potwierdził pani domysły lub im zaprzeczył. Teraz mogę to zrobić, mogę je potwierdzić. Nie miała pani pełnego obrazu, a mimo to wyciągnęła logiczne wnioski. Jak na lekarza, osobę spoza branży, spisała się pani znakomicie. Gratuluję.

– Wiem, co dobre – mruknął Sam, puszczając oko.

– Jill jest jak doktor Watson – stwierdziła Abby.

Megan podniosła wzrok na matkę.

– No...!

Jill zbyła pochwały niedbałym gestem dłoni. Nie do końca miała nastrój na świętowanie. Za dużo śmierci było dookoła.

– Operacja „Sekator” – podjął agent Harrison – rozpoczęła się przed kilku laty, gdy Amerykańska Komisja Papierów Wartościowych i Giełd zawiadomiła nas, że zaobserwowano podejrzaną prawidłowość w transakcjach krótkiej sprzedaży, przeprowadzanych przez fundusz hedgingowy Piper, Flanagan. Chodziło o dwa produkty firmy Pharmcen: deferral i riparin. Rozpoczęliśmy śledztwo mające na celu wyjaśnienie, czy nastąpiło w tych wypadkach nieuprawnione wykorzystanie informacji niejawnych, i doszliśmy do wniosku, że transakcje takie przeprowadzał osobiście sam prezes zarządu funduszu, Skip Priam, który dzisiaj usłyszał zarzuty. Zebraliśmy dostateczną liczbę dowodów, by dowieść, iż Priam zarabiał na informacjach kupowanych od Joego Zeptiena.

– Czy Zeptien był przedstawicielem firm farmaceutycznych?

– Nie. To były makler. – Harrison odwrócił się do Victorii. – Połączyliśmy Zeptiena z pani ojcem dzięki nadzorowi kamer w domu tego pana oraz elektronicznemu podsłuchowi w jego telefonie komórkowym. Udało nam się dowiedzieć, że Zeptien kupował informacje niejawne od pani ojca, którego z początku znał jako Neila Strauba. Płacił mu pieniędzmi

od Skipa Priama.

Tylko Abby zachowała spokój, bo już знаła prawdę. Victorii oczy błyszczały jak w gorączce, Megan siedziała dziwnie cicha i przyciskała wargi do aparatu ortodontycznego. Prawdopodobnie rozumiała niewiele poza tym, że nowiny źle świadczą o Williamie.

– Naprawdę tata był zamieszany w takie sprawy? – Victoria pokręciła głową.  
– Trudno uwierzyć.

– Rzeczywiście. Może pani zadawać sobie pytanie, dlaczego sam nie wykorzystywał posiadanych informacji do gry na giełdzie, a odpowiedź kryje się w wyjaśnieniu, iż w takim wypadku zarobiłby znacznie mniejsze sumy, ponieważ nie dysponował odpowiednim kapitałem. Z funduszem hedgingowym nie mógł się w ogóle równać. Poza tym szalenie trudno byłoby mu ukryć te transakcje przed urzędem podatkowym. Co więcej, sama sprzedaż informacji nie była, technicznie biorąc, pogwałceniem federalnego prawa finansowego, ponieważ krótka sprzedaż stanowi naruszenie prawa jedynie wówczas, gdy osoba dokonująca transakcji otrzymała informacje z pierwotnego źródła. Klasycznym przykładem jest tutaj sytuacja, o jakiej z pewnością miała pani okazję usłyszeć na którymś z wykładów, gdy ktoś uzyska wskazówki, podsłuchując w łazience. Może je następnie wykorzystać i nie łamie prawa.

Victoria pokiwała głową, Jill także.

Agent specjalny Harrison poprawił się w fotelu.

– Nie mieliśmy jednak pewności, w jaki sposób ojciec pani pozyskiwał wiadome informacje, ponieważ jeszcze nie wzięliśmy pod obserwację jego nowojorskiego mieszkania. Musieliśmy dowiedzieć się więcej, dlatego umieściliśmy Briana w świecie papierów wartościowych, w kancelarii prawnej Creed & Whitstone, która reprezentuje fundusz Piper, Flanagan. W ramach polecenia służbowego znalazł się konkretnego wieczoru w barze, by panią poznać.

Victoria wyglądała jak rażona gromem. Kurczowo zacisnęła dłonie.

– Dlaczego ja? Przecież ja nie mieszkalam z tatą. Dlaczego nie Abby?  
– Siostra pani miała wtedy chłopaka. Pani przedstawiła Briana ojcu, zaczęli się widywać bez pani wiedzy, nawiązała się znajomość.  
– Dlaczego tata to robił? – spytała Victoria, wolno kręcąc głową.  
– Pani ojciec chciał zarabiać więcej. Powiedział Brianowi, że chce znaleźć inne fundusze hedgingowe, skłonne kupować informacje o kolejnych producentach leków. – Złagodził ton, wiedząc, że porusza sprawy emocjonalnie trudne do przyswojenia. – A jednocześnie nie chciał być zbyt mocno uzależniony od Zeptiena. Ci dwaj panowie nie przepadali za sobą, o czym wiemy, ponieważ Zeptien nie ukrywał tego przed Priamem. Powiedział mu, że pani ojciec zamierza znaleźć innego pośrednika i inne fundusze.  
– To też wiadomo z podsłuchu Zeptiena? – spytała Victoria.  
– Tak. Właśnie dlatego Brian zaoferował swoje usługi w roli łącznika i przekonał pani ojca o swoich rozległych kontaktach w odpowiednich funduszach oraz bankowości inwestycyjnej.

Jill z łatwością sobie wyobraziła, do jakiego stopnia kusząca była dla Williama taka perspektywa. Uświadomiła też sobie, że nie był złem wcielonym. Raczej zyskał zbyt wielką władzę, obdarzono go zbyt dużym zaufaniem. Ostatecznie był zaledwie koniunkturalistą i nie dostrzegał zła, które powstawało w wyniku jego działań.

– Takie plany wykluczyłyby z gry Joego Zeptiena – podjął agent Harrison.  
– Podejrzewamy, że się o nich dowiedział lub może brak porozumienia między obydwoma panami osiągnął stan krytyczny. Zeptien bał się utraty kontroli nad pani ojcem, w czym widział potencjalne źródło kłopotów. Naszym zdaniem to on go zamordował.



Gdy umilkł, w salonie zapadła martwa cisza.

– Niestety, nie możemy mu tego udowodnić – podjął po chwili – dlatego też nie zawarliśmy tego zarzutu w akcie oskarżenia. Nie prowadziliśmy stałej obserwacji domu pani ojca w Filadelfii. Pan Skyler bardzo zręcznie rozdzielał swoje dwie tożsamości. O ile nam wiadomo, przez długi czas nawet Joe Zeptien nie znał go jako Williama Skylera. Dowiedział się o nim dopiero jakiś rok temu, a dzięki niemu i my poznaliśmy prawdę.

– Jak to możliwe, że się nie połapaliście? – zdumiała się Victoria. – Jill rozszyfrowała to w tydzień.

– Żeby poznać odpowiedź na to pytanie, musi pani zrozumieć, na czym polega praca FBI. Podobnie jak w każdej innej rządowej agencji dostajemy zadanie do wykonania, w tym wypadku było to śledztwo dotyczące funduszu hedgingowego z Wall Street. Mamy określone środki i siły na wykonanie tego zadania, ani jedno, ani drugie nie jest niewyczerpane. Przeciwnie, są mocno ograniczone, zwłaszcza teraz, przy spowolnieniu gospodarczym i konieczności zapewnienia bezpieczeństwa publicznego, gdyż mnożą się akty terroryzmu. W tym wypadku naszym priorytetem był fundusz Piper, Flanagan i od tego zaczęliśmy. Ustanowiliśmy stały nadzór nad biurem Skipa Priama oraz jego domami w Hamptons i w Greenwich w Connecticut, a także nad biurem Joego Zeptiena w Nowym Jorku i jego domami w północnym i południowym Jersey.

Jill doskonale go rozumiała. FBI nie mogło być wszędzie jednocześnie. Jednak wytłumaczyć to Victorii nie było łatwo.

– Innymi słowy mój tata został spisany na straty – oburzyła się dziewczyna.  
– A Zeptienowi morderstwo ujdzie na sucho.

– Nie. W żadnym razie. Joe Zeptien pójdzie do więzienia na długie lata. Nasze oskarżenie o nielegalny obrót papierami wartościowymi oraz niepłacenie podatków jest nie do obalenia. Proszę mi wierzyć, zostanie należycie ukarany. Nie ma potrzeby zawierania z nim ugody, więc po prostu pójdzie siedzieć.

Abby pokręciła głową.

– Pan ma rację – zwróciła się do siostry. – Zeptien zgnije w więzieniu, a za co, to już mniejsza. Chciałabym wiedzieć, jak zamordował tatę, ale wiem, że więcej nie da się zrobić. Widziałam na własne oczy, jak ciężko FBI pracuje.

– To zupełnie jak z mafią – powiedział Sam. – Tak mi się to kojarzy. Rząd nie oskarżył gangsterów o zabójstwa, lecz o unikanie płacenia podatków. Tak czy inaczej wyładowali za kratkami na długie lata.

– Owszem, właśnie tak to wygląda. – Agent Harrison zwrócił się ponownie do Victorii.  
– Na dodatek trzeba widzieć całość w odpowiednich ramach czasowych. Pani ojciec został zamordowany tydzień temu. Zaledwie. Nie znam przypadku morderstwa, który zostałby w tak krótkim czasie postawiony przed sądem. Mało tego, jeśli mam być uczciwy, muszę stwierdzić, że policja filadelfijska nadal nie wierzy, że śmierć pani ojca nastąpiła wskutek morderstwa.

Victoria chwilę myślała nad słowami agenta.

– Dobrze – odezwała się w końcu. – Rozumiem.

Jill miała podobne odczucia, nie była do końca usatysfakcjonowana, jednak postanowiła się z tym nie ujawniać.

– Mam pytanie z innej beczki – odezwała się. – Czy to Zeptien zabił Ninę i jej męża, czy też mąż Niny rzeczywiście okazał się do tego stopnia człowiekiem gwałtownym?

– Ani jedno, ani drugie – odparł agent Harrison. – Naszym zdaniem Zeptien i Skip Priam wynajęli do tej roboty fachowców, konkretnie Richarda Deyaza i Johna Hutchesona. Deyaz i Hutcheson przedstawili się paniom jako agenci specjalni Donator i Cohz.

Victoria zerknęła na Jill, ale nie odezwała się słowem, oczywiście ze względu na Megan.

– Czy to ja ich doprowadziłam do Niny? – spytała Jill.

– Nie – oznajmił stanowczo agent Harrison. – Już od jakiegoś czasu podejrzewali, że właśnie ona stanowi źródło informacji. My także w tamtym momencie już o tym wiedzieliśmy, chociaż ustalenie tego faktu zajęło nam nieco czasu, ponieważ pani były mąż jako Neil Straub spotykał się z większą liczbą kobiet, a pani D’Orive dokładała wszelkich starań, by ukryć swoją z nim znajomość.

To miało sens.

– Czy Zeptien i Priam odpowiedzą za morderstwo?

– Nie. W ich przypadku oskarżenie musiałoby dotyczyć nakłaniania do pozbawienia życia, ponieważ sami nie brali udziału w morderstwie. Dlatego chcę podkreślić raz jeszcze, że naszym najważniejszym celem było sformułowanie aktu oskarżenia o przeprowadzanie transakcji giełdowych przy wykorzystaniu informacji niejawnych. Zwłaszcza że Deyaz i Hutcheson nie żyją.

– Kto mnie śledził?

– Deyaz i Hutcheson oraz my. Dlatego wszyscy znaleźliśmy się dzisiaj w Parkertowne. Deyaz jeździł za panią czarnym suvem do momentu, gdy wypatrzyła go pani na Manhattanie, po tym incydencie zmienił samochód.

Jill zadrżała.

– Dlaczego w ogóle mnie śledzili?

– Według naszej teorii Zeptien zorientował się, że Abby zadaje pytania na temat śmierci ojca. Najprawdopodobniej doszli do wniosku, iż należałoby uregulować kwestię tego niedopatrzenia, dlatego wynajęli Deyaza i Hutchesona, każąc im ją śledzić. Skoro zjawiała się w tym domu, doprowadziła ich do pani, zaczęli śledzić także panią. Byli razem w srebrnym sedanie, to oni usiłovali zepchnąć panią z drogi.

Jill spokojnie przetrwała uzyskane informacje.

– Deyaz i Hutcheson – odezwała się w końcu – powiedzieli nam, że Brian jest tajnym agentem. Skąd o tym wiedzieli?

– Widzieli go. Brian zdradził się, by panią ratować. Między innymi dlatego musieliśmy szybko rozpocząć aresztowania, zanim w funduszu Piper, Flanagan zaczęliby kasować zawartość komputerów i niszczyć dokumenty. Biuro reaguje dość wolno, tak to już jest w rządowych agencjach. My w naszym oddziale filadelfijskim nazywamy to „czasem departamentu wschodniego”. – Agent Harrison uśmiechnął się, lecz zaraz spoważniał.

– Mieliśmy zamiar przejąć komputer pana Skylera, zabierając Abby, niestety, zdążyła dać go pani. Muszę przyznać, że nam pani pomogła, choć równocześnie wystawiła siebie na ogromne ryzyko.

Megan wtuliła się w matkę, a ona pogładziła ją uspokajająco.

– Fundusz Piper, Flanagan zarobił na krótkiej sprzedaży akcji firmy Pharmcen siedemdziesiąt pięć milionów dolarów w ciągu trzech lat. Jeżeli Skip Priam zdecyduje się z nami współpracować, a mamy podstawy sądzić, że do tego dojdzie, najprawdopodobniej postawimy w stan oskarżenia także inne grube ryby z zarządu. – Agent Harrison wyraźnie zmierzał do konkluzji. – Staramy się oczyścić Wall Street, pomóc w uzdrowieniu krajowej gospodarki i zachęcić do ponownego inwestowania. Taki był i jest pierwotny i najważniejszy powód przeprowadzenia operacji „Sekator”.

Victoria podniosła rękę jak w klasie.

– Mam pytanie. Czy Brian udawał mojego przyjaciela na polecenie agencji?

Ze względu na mojego tatę? Czy na tym polegała jego praca?

Agent specjalny Harrison cmoknął kącikiem ust.

– Brian miał za zadanie znaleźć się w kręgu bliskich znajomych pani ojca, natomiast jego uczucie do pani było szczere. Przeszkadzało mu, że nie może wyjawić prawdy, sam to pani wyjaśni. Jeżeli ma pani takie życzenie, może go pani jutro odwiedzić w szpitalu.

– A kim on właściwie jest? Czy w ogóle jest prawnikiem?

– Tak, jest prawnikiem, jego pomoc związaną z wiedzą z tej dziedziny trudno nam przecenić. W rzeczywistości nazywa się Brian Prendergast. Zwykle wybieramy agentom nazwiska podobne do prawdziwych, na wypadek jakiegoś nieprzewidzianego spotkania, choćby na ulicy.

Abby popatrzyła na Victorię z przebiegłym uśmiechem.

– Coś ci powiem. On wcale nie ma dziewczyny w Paryżu. Tak zostało ustalone w agencji, bo nie wolno mu było chodzić z tobą w czasie akcji.

– Och, chyba się rozplączę ze szczęścia. – Victoria przewróciła oczami. – Brian co prawda jest kłamcą, ale za to singlem. Fantastycznie. – Przeniosła spojrzenie na agenta Harrisona. – Po co mojemu tacie była podwójna tożsamość?

– Myślę, że to jedna z niewielu dobrych wiadomości w całej tej sprawie. O ile nam wiadomo, jedyną przyczyną stworzenia drugiej tożsamości była chęć chronienia pani i siostry. Chciał, żebyście obie znajdowały się całkowicie poza areną zdarzeń. Kochał was i robił wszystko, byście nie były narażone na niebezpieczeństwo.

Victoria spuściła głowę, a Jill coś ścisnęło za gardło. Nie miała pojęcia, czy domysły FBI są słuszne, jednak zrobiło jej się smutno. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał, wszyscy myśleli o Williamie, każdy na swój sposób. Megan bezwiednie bawiła się palcami, Victoria siedziała bez ruchu, tylko łzy napłynęły jej do oczu.

Ciszę przerwał Sam.

– Damy radę – powiedział zwyczajnie. – Jesteśmy razem. Jak to w rodzinie. Tyle mogę wam obiecać.

## Rozdział 72

Jill w koszuli nocnej stała pod uchylonymi drzwiami sypialni i z niepokojem wyglądała na korytarz. Megan zamknęła się u siebie z Victorią i Abby, wystawiły nos z pokoju tylko raz, żeby wpuścić Pulpeta. Jill wiele by dała, żeby wiedzieć, co się tam dzieje.

– Kochanie, wszystko jest w porządku. – Sam leżał w łóżku, okulary do czytania zsunął na czubek nosa.

– Co one tam robią?

– Pewnie omawiają wszystko po kolei. Muszą się oswoić z tym, co zaszło, sporo tego było.

– Faktycznie, mamy za sobą wariacki tydzień. Zwłaszcza Megan. – Jill nie ruszyła się spod drzwi. – Marna ze mnie matka – westchnęła.

– Megan wie, że ją kochasz.

– Trzeba się nią zająć. – Sama czuła się nie najlepiej, posiniaczona, obolała, zmordowana do nieprzytomności. – Nie mieści mi się w głowie, że do tego stopnia pomyliłam się w ocenie przyczyn jej napadu paniki... Zawaliłam na całej linii.

– Nieprawda. Przeoczyłaś tylko jeden element, o którym nie miałaś pojęcia. A na jej stan z pewnością złożyły się wszystkie czynniki, które wzięłaś pod uwagę. Pamiętaj, to przerobione zdjęcie było tylko jednym z nich. Wcale nie takim znowu ważnym.

– Dla trzynastolatki ważnym.

– Chodź się położyć. Chodź, kochanie. Tobie też należy się odpoczynek.

Sam zdjął okulary, odłożył je na nocny stolik, a Jill w końcu zamknęła drzwi sypialni. Podeszła do łóżka, nie bez trudu usiadła i w końcu się położyła na mniej obolałym boku. Sam delikatnie pogładził ją po rękę.

– Jak się czujesz? Bardzo boli?

– Trochę. – Przechyliła się do Sama, ucałowała go w usta, po czym poprawiła się na zdrowej ręce i pocałowała go dłużej, czule, serdecznie. – Kocham cię.

– Ja ciebie też kocham – powiedział Sam. – Bardzo. I chcę ci powiedzieć coś ważnego. – Z powagą zajrzał jej w oczy.

Zrozumiała, że nastał czas rozrachunku.

– Zdaje się, że musimy to i owo poukładać, co?

– Tak – przyznał Sam. – Jedno z nas ma to już za sobą.

– Dobrze, zamieniam się w słuch. – Starła się nie denerwować.

– Przepraszam cię, że się zachowywałem jak głupiec. Nie jest prawdą, że nie chcę mieć więcej do czynienia z dziećmi. W rzeczywistości chodziło mi o to, że chcę mieć jak najwięcej ciebie dla siebie. Rozumiesz różnicę?

– Tak. – Jill była szczerze wzruszona. – Ja też chcę cię przeprosić. Powinna była więcej z tobą rozmawiać. Uzgadniać różne sprawy, a nie decydować sama. I wcale nie chcę zajmować się dziećmi dwadzieścia cztery godziny na dobę. Naprawdę. Mam na to dowód.

– Machnęła zdrową ręką w stronę drzwi. – Na przykład nie podsłuchuję w tej chwili pod drzwiami Megan, prawda? To byłaby przesada.

– Słuszny argument. – Sam się zaśmiał. – Robisz postępy.

– No właśnie. Przecież widzisz. – Jill uśmiechnęła się, ale zaraz westchnęła. – Co zrobimy z Abby i Victorią? Bo mnie się podoba tak, jak jest teraz. Obie z nami, w jednym

domu i jeszcze przez ścianę ze Stevenem. Tak mi jest dobrze. Wszyscy pod jednym dachem. Jeżeli miałyby być po mojemu, to tak by się zdarzało od czasu do czasu. Co ty na to? Jak się z tym czujesz?

– A wiesz, całkiem nieźle.

Jill przekrzywiła głowę.

– Daj spokój. Pytam serio.

– Serio odpowiadam. – Sam rzeczywiście wyglądał na poważnego. Co więcej, wydawał się szczęśliwy. – Dobrze mi z tym. A poza tym jestem naukowcem, otwartym na wiedzę i nowe doświadczenia.

– Dlaczego zmieniłeś zdanie?

– Z kilku powodów. Po pierwsze, uświadomiłem sobie, że cię tracę. Wtedy się przestraszyłem nie na żarty. Zyskałem dystans i zobaczyłem wszystko z innej perspektywy. Nasze nieporozumienia, kłótnie... to zwyczajne głupoty. Życie jest krótkie. Stanowczo zbyt krótkie. – Dotknął jej policzka. – A po drugie i ważniejsze, w końcu zrozumiałem, co mówiłaś o Abby.

– To znaczy?

– Pamiętasz? Pytałaś, jak moim zdaniem powinnaś się zachować, gdyby mi się coś stało, a Steven potrzebowałby twojej pomocy.

– Tak.

– Otóż nie dałem się przekonać, póki ten schemat był czysto hipotetyczny. Tymczasem przemyślałem tę kwestię na podstawie wydarzeń. Życie pokazało mi na przykładzie, co miałaś na myśli. Gdyby coś ci się stało, nie przestałbym się czuć ojcem Megan. Kocham ją i nigdy jej nie opuszczę. Niezależnie od dalszych własnych i jej losów. W ten sposób dotarło do mnie, co czujesz do Abby i Victorii.

Jill miała ochotę rozplakać się ze szczęścia.

– Sam, jesteś niesamowity.

– Ty mnie tego nauczyłaś. Oczywiście w tym celu o mało nie dałaś się zabić, ale to już drobiazg. Ważne, że w końcu do mnie dotarło. – Poglądził ją po policzku. – W tej sytuacji spytam jeszcze raz: wyjdiesz za mnie?

– Tak. Chętnie. – Pocałowała go.

– Świetnie. Dzięki Bogu, mamy to już ustalone. Zaczynam oddychać. Powinnaś mnie zobaczyć w Cleveland... Sfabrykowałem najgorsze opracowanie w swoim długim życiu.

– Daj spokój.

– Poważnie. Lee prawie siłą wsadził mnie do samolotu. Na pewno odetchnął z ulgą, kiedy maszyna oderwała się od ziemi.

Jill zaśmiała się, szczerze ubawiona.

– To co? – mruknął Sam. – Idziemy spać? Należy nam się trochę odpoczynku.

Na pewno jesteś wykończona.

– Mhm...

– Już gaszę.

Sięgnął do lampy, wyłączył światło i sypialnia pogrążyła się w ciemności.

Tylko księżyc, odświeżony po burzy, zaglądał przez otwarte okna, a chłodny wietrzyk trzącał firanki. Świat narodził się na nowo, obmyty deszczem, pachnący słodyczą, przyjazny.

– Jak miło – mruknęła Jill.

– Mhm. Najważniejsze, że nam się udało. Przetrwaliśmy.

– Aha. I już po wszystkim.

– Na szczęście – zgodził się Sam i po chwili spał jak zabity.

Jill nie mogła zasnąć. Głowa jej pękała, krtań mocno dawała się we znaki, bark dokładał swoje, a z powodu opatrunków trudno było się ułożyć. Wierciła się na wszystkie strony, jednak nic nie pomagało. Na dodatek myśli kłębiły jej się w głowie, nie dawały spokoju. Wiele się wydarzyło w bardzo krótkim czasie, miała wrażenie, że mózg przypomina komputer pracujący na najwyższych obrotach. W ciągu jednego dnia dwa razy wylądowała na ostrym dyżurze, i to jako pacjent, nie lekarz. Rzuciła pracę w Medycynie Rodzinnej Pembey...

Nie żałowała tej decyzji. Nie wróci do pracy w Medycynie Rodzinnej Pembey, nawet jeśli będą ją tam chcieli z powrotem. Miała zamiar spróbować sił tam, gdzie zawsze ją ciągnęło: na pogotowiu. W szpitalu dziecięcym. Tam jej opiekuńczy charakter powinien okazać się ogromnym atutem. Mogłaby podjąć pracę w pełnym wymiarze czasu, w końcu Megan nie jest już małym dzieckiem. Może następny rozdział życia nie okaże się taki znowu zły? Przyszłość ma szansę okazać się lepsza niż przeszłość. Może „na zawsze” jednak istniało?

Po raz kolejny zmieniła pozycję, lecz nadal nie mogła zasnąć. W końcu wstała i zeszła na dół. Dom był ciemny i cichy, tylko świerszcze grały w żywopłocie. Zapaliła światło w kuchni, usiadła przy swoim laptopie i poruszyła myszą, żeby go wytrącić ze stanu uśpienia. Na ekranie w dalszym ciągu widniał dokument, nad którym pracowała, notatki z laptopa Williama. Była na tyle przewidująca, że skopiowała wszystkie pliki z jego komputera.

„Jak na lekarza, osobę spoza branży, spisała się pani znakomicie”, przypomniała sobie pochwałę agenta specjalnego Harrisona.

Mimo wszystko jakoś nie czuła zadowolenia. Może dlatego, że miała za sobą bardzo ciężki dzień. Najbardziej współczuła dziewczętom. Victoria będzie potrzebowała czasu, by zrozumieć postępowanie ojca, Abby czekał niemały wysiłek związany z powrotem do szkoły. A Megan? Na myśl o niej poczuła wyrzuty sumienia. Będą musiały jeszcze długo rozmawiać, zanim córka w pełni zrozumie, co się stało. W dodatku Jill trudno było pogodzić się z faktem, iż popełniła wielki błąd, oceniając możliwe przyczyny napadu paniki. Postawiła typową diagnozę z rozpędu, w przypadku własnej córki!

Siedziała i rozmyślała nad wydarzeniami minionych dni. Jedynym jasnym punktem w szarej mgle przykrych zdarzeń był Rahul. W jego przypadku diagnoza nie była łatwa, dziękować Bogu, że nie przestała pytać, szukać i dowieść, o co chodzi z nawracającymi infekcjami. Jakie są ich przyczyny. Gdzie leży prawda. Gdzie jest ukryta.

Zatrzymała spojrzenie na ekranie laptopa, bezwiednie błędziła wzrokiem po folderach utworzonych przez Williama, zawierających informacje na temat setek, a może i tysięcy leków. Zarobił na tych informacjach fortunę, a chciał jeszcze więcej i to go zabiło.

Spojrzała na ekran przytomniej. Coś tu się nie zgadzało. Tylko co?

Siedziała, patrzyła na ekran i myślała intensywnie.

O co tu naprawdę chodzi?

## Rozdział 73

- Sam, obudź się – szepnęła.
- Cmoknęła go w szorstki policzek. Zdążyła już wziąć szybki prysznic, ubrała się w pośpiechu i zaparzyła kawę. Kuszący zapach drażnił nozdrza.
- Obudź się – powtórzyła. – Muszę ci coś powiedzieć.
- Co takiego? – zapytał Sam nie do końca przytomny. – Co się dzieje? Dlaczego nie śpisz? – Spojrzał na błyszczące w półmroku cyfry zegarka. – Kochanie, jest piąta rano!
- Wiem, wiem. – Jill pogładziła go po plecach. – Trzeba się śpieszyć. Jedziemy. Chociaż noc jeszcze nie zamierzała ustępować, czasu było mało.
- Dobrze, dobrze... – Sam usiadł na brzegu łóżka, obciągnął koszulkę, przygładził zmierzwione włosy. – Co się dzieje?
- Coś do mnie dotarło. Mamy do czynienia z niewłaściwą diagnozą.
- Włączyła lampę, Sam zmrużył oczy i osłonił je dłonią.
- A tak konkretnie to o czym mówimy?
- Przestaliśmy pytać, zastanawiać się, o co właściwie chodzi. Uznaliśmy pierwszą pasującą odpowiedź za jedyną właściwą.
- Jaka diagnoza? Jaka odpowiedź? O czym ty mówisz?
- Pij i słuchaj.
- Wetknęła mu kubek w dłoń i zaczęła wyjaśniać, czego się domyśliła, co zrozumiała minionej nocy. Skończyła akurat, gdy dopił kawę.
- Skoro znam prawdę – podsumowała – muszę coś z tym zrobić. Od razu. Dzisiaj. Teraz. Jesteś ze mną?
- Naprawdę chcesz to zrobić?
- Tak. Stanowczo tak.
- Wobec tego jestem z tobą. Jak najbardziej. – Z uśmiechem pokręcił głową.
- Myślałem, że już po wszystkim. No tak, tak. Ja myślę, ty robisz.
- Na co czekamy? – spytała pogodnie. – Do roboty.
- Sam odrzucił koldrę i dziarsko wstał.

## Rozdział 74

Jill podeszła do budynku firmy Pharmcen, minęła szklane drzwi wejściowe i podążyła od razu do granitowej lady recepcji, wyposażonej w telefony i komputery, mijając po drodze biurko ochrony. Za ladą zastała tę samą śliczną młodą kobietę co poprzedniego dnia. Recepcjonistka poznała ją od razu. Odłożyła słuchawkę.

– W czym mogę pomóc? – spytała, trochę usztywniona.

– Dzień dobry. Nie mam wyznaczonego spotkania, ale przyniosłam dokumenty dla pana Elliotta Hortona. – Uniosła żółtą kopertę zawierającą wydruki kilku e-maili, jakie William wysłał do samego siebie, bez informacji identyfikacyjnych. – Zechce pani mu to przekazać możliwie najszybciej.

– Oczywiście. – Recepcjonistka zerknęła nad jej ramieniem.

Jill obróciła się i zobaczyła ochroniarza, z którym zetknęła się poprzedniego dnia.

– Cześć, Barry – powiedziała.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał z rezerwą.

– Będę wdzięczna, jeśli ktoś zanieś te dokumenty panu Elliottowi Hortonowi.

– Dokumenty – powtórzył ochroniarz, mierząc kopertę nieufnym spojrzeniem. – A co to za dokumenty?

– Zwykłe kartki papieru. Pan Horton będzie chciał rzucić na nie okiem. – Wyjęła z koperty wydruki. – Nic groźnego, prawda?

– W porządku. – Ochroniarz skinął głową, recepcjonistka wyciągnęła rękę nad ladą i Jill podała jej przesyłkę.

– Bardzo dziękuję. Proszę to przekazać panu Elliottowi jak najszybciej. Do widzenia.

Ruszyła do wyjścia. Ochroniarz deptał jej po piętach, aż opuściła budynek. Wtedy stanął przy drzwiach i obserwował ją, jak wsiada do lexusa i odjeżdża.

Jeszcze nie minęła pierwszych świateł na Weehawk Boulevard, gdy odezwał się telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Nieznany numer.

– Cześć, Elliott – rzuciła do aparatu.

Zaczęło się.



## Rozdział 75

Siedziała na drewnianej ławce w korporacyjnym parku za budynkiem Pharmcenu. Torebkę i blackberry położyła obok.

Park był piękny, przystosowany do urządzania pikników i rozgrywek softballu. Otaczał go rząd wierzb i żywopłot. Po lewej znajdował się sztuczny staw, na którym od czasu do czasu lądowały kaczki, szeroko rozkładając skrzydła, a wtedy można było podziwiać jaskrawoniebieskie pióra. Poza Jill w parku była tylko para młodych ludzi, wyraźnie zajętych własnymi sprawami.

Dostrzegła Elliotta Hortona. Minął ogrodzenie i długim krokiem ruszył w jej stronę przez trawnik. Głowę miał pochyloną, bardzo jasne blond włosy chwytały promienie słońca. Wyglądał na czterdziestkę z okładem, był wysoki, chudy, miał na sobie białą koszulę i ciemnoniebieskie spodnie, a na twarzy gniewny grymas. Jeszcze nie stanął przed Jill, a już zaczął ją zasypywać pytaniami, wyraźnie rozeźlony.

– Czy to ma być jakiś żart? – mówił z nienaganną dykcją, głos miał dość wysoki.

– Kim pani jest i skąd pani ma te informacje?

– Proszę usiąść, wszystko wyjaśnię.

Elliott nie posłuchał.

– Te dane są poufne, stanowią własność Pharmcenu. Wykorzystywanie ich jest równoznaczne z łamaniem prawa.

– Rzeczywiście – zgodziła się bez oporu. – A jednak... – dodała po chwili

– przyszedłeś spotkać się ze mną sam, chociaż to na pewno nie było łatwe, skoro Pharmcen jest we wszystkich mediach. Wczoraj wieczorem doszło na Wall Street do aresztowań na niespotykaną dotąd skalę. Zarzuty dotyczą przeprowadzania nieuprawnionych transakcji przy wykorzystaniu informacji poufnych, a wszystko to razem łączy się z akcjami Pharmcenu i wycofywaniem z rynku produktów tej firmy. Z pewnością wiele osób ma mnóstwo pytań...

– Przekrzywiła głowę. – Jakim sposobem ciebie to ominęło?

– Sprawą kontaktów z mediami zajmuje się u nas odpowiedni dział. A jeśli chodzi o mnie, nie szykuję się na żadne rozmowy, tylko wyskoczyłem na chwilę, nie zamierzam poświęcić pani dużo czasu. Kim pani jest i jak pani weszła w posiadanie tych informacji?

– Och, widzę, że się pomyliłam. Sądziłam, że szefostwo, a może i ktoś z ochrony to i owo ci o mnie powiedzieli i właśnie oni wysłali cię na spotkanie ze mną, żebyś się wywiedział, czego chcę.

– Nic podobnego. – Miał niebieskie oczy. I bladą skórę, jak u laboratoryjnego szczura. – Teraz proszę odpowiedzieć na moje pytania: kim pani jest i skąd pani ma te informacje?

– Nazywam się Jill Farrow i jestem byłą żoną Williama Skylera, kochanka Niny D'Orive. Informacje uzyskałam z laptopa mojego byłego męża. Ty mnie nie znasz, ale twoi przełożeni doskonale wiedzą, kim jestem. Byłam w Pharmcencie dwukrotnie w tym tygodniu, za każdym razem rozmawiałam z tym samym ochroniarzem, Barrym... jak mu tam, tym z kępką zarostu pod dolną wargą. – Spojrzała Elliottowi prosto w oczy. – Twoi zwierzchnicy nie są wobec ciebie uczciwi. Wykorzystują cię. Oni doskonale wiedzą, kim jestem. Ty jeden tego nie wiesz, a najzabawniejsze w tym wszystkim, że akurat tylko ja jestem po twojej stronie.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. – Elliott w końcu usiadł, kościste palce splótł

na kolanach.

– Cóż, ujmując w skrócie, ktoś będzie musiał ponieść konsekwencje ostatnich zdarzeń. Biedna Nina wynosiła poza firmę cenne informacje, a ty jesteś jej szefem. Nawet ją awansowałeś. – Położyła zabandażowaną rękę na oparciu ławki. – Wiem, to nie w porządku obwiniać cię o wszystko. W końcu nadzorujesz pięćdziesięciu pracowników z wydziału Pharmacovigilance, nie możesz brać odpowiedzialności za każdego.

– Skąd pani to wszystko wie?

– Wykończą cię, Elliotcie. Nie w najbliższej przyszłości, bo na razie jeszcze jesteś im potrzebny, ale niedługo potem zostaniesz zwolniony i będzie ci bardzo trudno znaleźć jakąkolwiek inną pracę, bo zostaniesz symbolem skandalu. Wiem, jak to jest, uwierz mi, znam to z autopsji.

– Czego pani chce?

Jill widziała, że Elliott Horton bardzo ostrożnie dobiera słowa.

– Po pierwsze, chcę ci powiedzieć, jak doszłam do tego, co się naprawdę dzieje. Słuchaj uważnie. Mój były mąż zaczął swoją intratną działalność mniej więcej trzy lata temu. Zainteresował się deferralem. Przy okazji... jak się ten lek sprzedawał, zanim został wycofany?

– Nie pani interes.

– No dobrze, to ja ci powiem. Sprzedawał się bardzo dobrze. Sprawdziłam w sieci. Używały go dwa miliony alergików w samych tylko Stanach Zjednoczonych. Mój były mąż sprzedawał także informacje dotyczące riparinu, leku moczopędnego, który wchodził w interakcję z enzymami układu trawiennego. Jak wyglądała jego sprzedaż? Podobnie?

– Zrobiła pauzę tylko dla efektu, nie spodziewała się otrzymać potwierdzenia. – Deferral i riparin miały podobną liczbę doniesień o szkodliwych skutkach ubocznych i dlatego zostały wycofane.

– Skąd pani to wie? – Elliott przeczesał palcami rzadziejące włosy. – Liczba doniesień dotycząca konkretnego leku nie jest informacją dostępną publicznie.

– Aha, zdaję sobie z tego sprawę. Mój były mąż uzyskiwał je od Niny. Sporo tego było. Pokazuję ci tylko czubek góry lodowej, w ramach przystawki, na zaostrenie apetytu.

– To niemożliwe. – Elliott Horton pokręcił głową, jasne pasma błysnęły w słońcu.

– Ależ owszem. Zwróciłeś może uwagę, że żadne spośród danych, jakie ci przekazałam, nie znalazły się w federalnym akcie oskarżenia? Rząd jeszcze ich nie zna. Właśnie dlatego powiedziałam, że jestem po twojej stronie. – Przynęła się nieco do Elliotta. – A teraz informuję cię, że następny lek szykowany do wycofania to memoril, chociaż jest w tym pewien haczyk.

– Jaki haczyk?

– Popraw mnie, jeśli się mylę, bo korzystałam tylko z internetu. Memoril jest nowym lekiem na alzheimera, a na tę chorobę cierpi w samych tylko Stanach Zjednoczonych około pięciu milionów osób. Inne powszechne schorzenia, takie jak udar mózgu czy nowotwór piersi, rak prostaty, a nawet AIDS, powoli obejmują coraz mniejszy procent populacji. W przypadku alzheimera sytuacja wygląda odwrotnie.

– Tak, wiem, że alzheimer to żyła złota.

Jill skrzywiła się na dowód takiej znieczulicy, ale nie była zaskoczona.

– Memoril został zaakceptowany przed rokiem i potencjalnie ma przed sobą świetlaną przyszłość, ponieważ na rynku niewiele jest leków tego rodzaju. Sama znam z praktyki lekarskiej pewną osobę, która przyjmuje memoril z bardzo dobrymi rezultatami.

– O co pani chodzi?

– Zapoznałam się dokładnie z danymi, które Nina dostarczała mojemu byłemu mężowi,

i zorientowałam się, że proporcje doniesień na memoril są takie same jak w przypadku deferralu i riparinu. Co więcej, aresztowani niedawno finansisci z Wall Street czekali na wycofanie memorilu z obrotu. Tyle że lek nie został wycofany... a ja wiem dlaczego.

– Spokojnie patrzyła mu w oczy. – Pharmcen nie przekazuje doniesień do Agencji Żywności i Leków. Są one skutecznie ukrywane lub niszczone. Firma fałszuje dokumenty, żeby nie zabić złotonośnej kury, żeby utrzymać na rynku lek przynoszący krociowe zyski.

Elliott zamrugnął gwałtownie.

– To nieprawda.

– Daj spokój. Pamiętaj, że jestem po twojej stronie. Zdaniem rządu mój były mąż zginął na polecenie grubych ryb z Wall Street, ponieważ chciał nawiązać kontakt z następnymi pośrednikami i rozszerzyć swoją działalność, ale ja doszłam do wniosku, że tu chodzi o coś więcej. – Umilkła na chwilę, żeby zebrać myśli. – Doniesienia na memoril wpływały do firmy, ale tu ich żywot się kończył. To robiłeś ty, oczywiście na polecenie zwierzchników. Nikt na twoim stanowisku nie podejmuje takich decyzji samodzielnie. Dlatego mówię, że cię wykorzystali. Mój były mąż zorientował się w sytuacji, ponieważ dysponował pierwotnymi, niezafałszowanymi danymi. Zapewne próbował cię szantażować. A ty go zabiłeś.

Elliott zdrygnął się, lecz nie odezwał słowem.

– Mam rację? – naciskała Jill.

– Pani powinna się leczyć.

Nagle Elliott chwycił za sweter Jill pod szyją i pociągnął gwałtownie.

Ona zaledwie uniosła ręce w uspokajającym geście.

– Daj spokój. Nie mam podsłuchu. Śmiało, przeszukaj mnie.

– Nie wiesz, co robisz. – Elliott rzeczywiście starannie ją obszukał.

W pewnym momencie jego wzrok spod ściągniętych brwi padł na bandaż na dłoni Jill.

– Pokaż rękę – zażądał.

– Czekaj, sama rozwinę. – Po chwili pokazała mu czerwone rozcięcie i ponownie założyła opatrunek. – Zadowolony?

Chwycił jej torebkę, przeszukał, rzucił na bok.

– To niedorzeczne. – Podniósł się. – Dosyć tego.

– Na twoim miejscu bym się tak nie śpieszyła. Jeszcze ci nie powiedziałam, dlaczego jestem po twojej stronie. Słuchaj, bo prędzej, niż ci się wydaje, zostaniesz bez pracy, bez pieniędzy i bez przyszłości. Albo będziesz martwy. Tak czy inaczej na dobre ci wyjdzie, jeśli zostaniesz i posłuchasz.

Elliott po chwili namysłu wrócił na ławkę.

– Twoi zwierzchnicy są gorsi, niż ci się wydaje. Policja na razie jest przekonana, że zabójców, którzy zamordowali Ninę i jej męża, wynajęli cwaniacy z Wall Street, ale moim zdaniem zrobili to twoi szefowie.

– Nic podobnego. – Elliott wyraźnie pobladł. – Ninę zabił mąż. Porywczy był z niego człowiek, wszyscy o tym wiedzieliśmy.

– Naprawdę to kupujesz? – zdumiała się Jill. – Chyba rzeczywiście... Otóż nie, mój drogi. To twoi zwierzchnicy zlecili zabójstwo Niny i jej męża, jego pewnie dla zatarcia śladów. Domyślałam się, że nie bez przyczyny ukryli to przed tobą... – Przyjrzała mu się badawczo.

– Już rozumiem. Lubieś Ninę. No tak. To wiele wyjaśnia. Cóż, szkoda. Tym gorzej dla ciebie. Po śmierci Niny ja zaczęłam twoim szefom przeszkadzać, więc nasłali morderców na mnie.

A wracając do tematu: skoro zostałeś tutaj przysłany na rozmowę ze mną, to oznacza, że chcą wiedzieć, co mam i czego się spodziewam. Nie będę owijać w bawełnę. Chcę pieniędzy.

Właśnie rzuciłam pracę, przyda mi się trochę gotówki.

- A co ja będę z tego miał?
- Mój drogi, ten budynek kryje w sobie prawdziwą fortunę. Wystarczy dla nas obojga, zwłaszcza że nie jesteśmy tacy chciwi jak oni. Powiesz im, że chcę pieniędzy, a ja się z tobą podzielę. Będziesz pilnował naszych interesów w firmie. Ustalmy kwotę. Ile? Pięćset tysięcy? Sześćset? – Umilkła, żeby dać mu się zastanowić. – Niech nam płacą, niech płacą. My się podzielimy. Ty będziesz odbierał od nich gotówkę, połowę przyniesiesz mi. Trzysta dla ciebie, trzysta dla mnie. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Tylko ty i ja. Ja potrzebuję pieniędzy. Jeśli je dostanę, nie pisnę słowa na temat tego nieszczęsnego leku.
- Memoril jest wspaniałym osiągnięciem – zaprotestował Elliott, nagle ożywiony. Jasne brwi powędrowały w górę, policzki zaróżowiły mu się od emocji.
- A skąd tyle skarg na to wspaniałe osiągnięcie?
- Nic nie wiesz o memorilu. Ledwo liźnęłaś wiedzy, poczytałaś o nim na naszej stronie. – Prychnął z pogardą. – Nie masz pojęcia, ile badań, pracy, ile energii włożono w jego doskonalenie, ile czasu, pieniędzy i prób laboratoryjnych kosztowało jego stworzenie, jak fenomenalne wynalazki z zakresu chemii wdrożono przy jego produkcji... To trwało dziewięć lat!
- I wszystko na nic. Memoril jest złym lekiem. Musisz to w końcu przyznać. Musisz się z tym pogodzić. Memoril nie działa.
- Działa. Sama powiedziałaś, że pomaga jakiejś twojej znajomej.
- A tak, tak, pomaga. I będzie pomagał, póki jej nie zabije. Skoro musisz oszukiwać, żeby utrzymać lek w sprzedaży, to chyba jednak nie jest taki cudowny, jak ci się wydaje?
- Nie oszukuję! – Elliott poczerwieniał na twarzy. – Prawo nie nakłada na mnie obowiązku raportowania o doniesieniach do Agencji Żywności i Leków, dopóki nie dotyczą one zagrożeń życia albo skutków nieprzewidzianych wcześniej. Doniesienia wymagają interpretacji i ja je interpretuję. Na tym polega moja praca.
- Błagam, litości! Niczego nie interpretujesz. Szukasz furtki w przepisach prawnych, żeby utrzymać na rynku swój niewydarzony produkt. Falszujesz dane. Oszukujesz. – Widać było, że Elliott Horton jest pełen uwielbienia dla memorilu, gotów bronić go jak matka własnego dziecka. Albo jak dziecko ukochanego psa, jak Megan, która nie lubi, jeśli ktoś mówi o Pulpecie, że jest gruby. W tym momencie Jill zrozumiała, jak do niego dotrzeć. – Lek jest zły i plan też fatalny. Farmaceuci mogą donosić o niepożądanych skutkach ubocznych bezpośrednio do Agencji Żywności i Leków. Podobnie jak każdy pacjent, który ma prawo zgłosić swoją opinię online. To tylko kwestia czasu, zanim świat się dowie, że memoril jest trucizną.
- Mylisz się! – Elliott zeszywniał. – Jeżeli my nie będziemy przesyłali raportów, ostateczne wyniki okażą się znacznie niższe, a to zmieni całą postać rzeczy.
- Przecież to nie urząd podatkowy! – Jill zmusiła się do pobłażliwego uśmiechu.
- Agencja Żywności i Leków bada rodzaj i wagę niekorzystnych efektów ubocznych. Deferral i riparin miały zaledwie klasę trzecią doniesień, a mimo to zostały wycofane z rynku. Memoril wpływa na procesy chemiczne zachodzące w mózgu, więc zapewne powoduje udary, nawet przypadki śmiertelne.
- Nikt nie jest w stanie ocenić, czy dany zgon nastąpił na skutek zażywania memorilu, zwłaszcza u pacjentów geriatrycznych. Są do tego stopnia zniedołężniali, że i tak by umarli z tysiąca innych przyczyn. – Okrutny uśmiech wykrzywił mu usta.
- Jill dostała gęsiej skórki.
- Nie możesz ukrywać tych doniesień wiecznie.
- Mogę. Mogę i robię to od dawna. – Elliott wyzywająco uniósł brodę. – Memoril

więcej osób leczy, niż zabija. Jest niezaprzeczalnym dowodem postępów prawdziwej nauki.

Właśnie się odsłonił i przyznał do winy, jednak Jill nie potrafiła odpuścić.

– Popelniasz ogromny błąd. Ostrzegam cię, że jeśli nie zapewnisz mi dopływu pieniędzy, pójdę do mediów i opowiem wszystko, co wiem. O tym, co robisz, i o samym memorilu.

– Nie ważysz się! – Elliott skoczył na równe nogi. Pochylił się nad nią z twarzą wykrzywioną gniewem. – Jesteś taka sama jak twój były. Wydaje ci się, że wszystkie rozумы pozjadałaś. On też miał się za wszystkowiedzącego. I co? Jak się teraz miewa?

– Nie zastraszysz mnie i nie powstrzymasz. – Widziała, że Elliott jest o krok od wybuchu, więc go prowokowała. – Dostanę pieniądze, jeśli nie od ciebie, to innym sposobem. A twój lek wykończę!

– Ja wykończę ciebie, jeśli chociaż kiwniesz palcem na szkodę memorilu! I niech ci się nie wydaje, że to czeze pogrożki! – Oczy mu błyszczały szaleństwem. – Zabiłem twójego byłego, zabiję i ciebie! Jakież z niego był głupiec! Uwierzył, że mu zapłacimy, powiedziałem, że przychodzę negocjować umowę. Przekonałem go, że jest trudnym przeciwnikiem, i muszę się napić! Sekundę mi zajęło wspanie próbki do drinka. Uważasz, że nie wiem, jak przyrządzić rozczyń? Czym zamaskować smak? Jestem chemikiem!

Nie wiedziała, co powiedzieć. Ale już nie musiała się nad tym zastanawiać. Ani ciągnąć Elliotta za język.

– FBI, ręce do góry! – rozległo się głośne wołanie.

Od linii drzew biegł ku nim oddział FBI w ciemnych wiatrówkach, na czele agent Harrison.

– Nie strzelać! – Elliott podniósł ręce w górę i zamarł bez ruchu.

Agenci rzucili go na ziemię i skuli.

Jill przy pierwszym okrzyku agentów uciekła, tak jak jej nakazano, a mężczyzna i kobieta siedzący niedaleko na ławce zasłonili ją własnymi ciałami.

– Doskonała robota, proszę pani! – pochwaliła ją agentka. Wyciągnęła rękę.

– Poproszę dowody.

– Proszę bardzo. – Jill podała jej blackberry, który posłużył za dyktafon. – Dziękuję za ochronę.

– Jill! – zawołał Sam.

Biegł do niej co sił, sportowa marynarka łopotąła za nim jak żagiel.

Krzepiący widok. Pobiegnęła do ukochanego mężczyzny.

– Przyznał się, wiesz? Naprawdę!

Wpadli sobie w ramiona.

– Świetnie się spisałaś, kochanie. Mają gotowe oskarżenie o morderstwo, a potem wezmą się do Pharmcenu. – Z czułym uśmiechem pełnym miłości zajrzał jej w oczy. – Mam nadzieję, że to już naprawdę koniec.

– Ja też – przyznała Jill. – Dziewczynki potrzebują spokoju.

## Rozdział 76

Zanim dotarli do szpitala Shood Memorial, zdążyło się ściemnić. Jill i Sam od czasu do czasu popatrywali na siebie, idąc długim lśniącem korytarzem, za to Megan i Abby, które podążały za nimi, usta się nie zamykały, podobnie zresztą jak Stevenowi. Tylko Victoria szła ze spuszczoną głową, pogrążona w myślach. Znaleźli się w szpitalu, bo Jill uznała, że dobrze byłoby odwiedzić Briana, a Sam się z nią zgodził, lecz żadne z nich nie miało pojęcia, jak będzie wyglądało spotkanie Victorii z przyjacielem. Dziewczyna zwierzyła się Jill, że jest zdenerwowana, lecz mimo to chce się z nim zobaczyć. W efekcie Jill wprowadziła całą grupkę do szpitalnej salki z mocnym drżeniem serca.

– Witaj, agencie specjalny – rzuciła żartobliwie od progu.

Z niemałą ulgą stwierdziła, że chłopak jest w bardzo przyzwoitym stanie, starcza mu sił, by siedzieć na łóżku. Czytał jakiś magazyn sportowy. Głowę miał owiniętą bandażem, ciemne włosy sterczały spod opatrunku na wszystkie strony, a nieco sfatygowane okulary zaczeplił o gazę nad uszami.

– Dzień dobry, miło mi panią widzieć. – Brian uśmiechnął się szeroko. – Witajcie wszyscy. – Odłożył magazyn.

Na twarzy miał zdrowe rumieńce, chociaż skórę znaczyło kilka rozcięć i parę siniaków. W niebieskich oczach znać było znużenie, jednak na widok Victorii wyraźnie się ożywił.

– Vick, cieszę się, że przysłaś.

– To nie był mój pomysł – odparła Victoria, stając u stóp łóżka.

W tej sytuacji Jill wzięła sprawy w swoje ręce.

– Brian, poznaj mojego narzeczonego, Sama Beckera. A to jego syn, Steven Becker. I moja córka, Megan.

Sam podał Brianowi rękę.

– Miło mi cię poznać.

– Mnie także. – Do pozostałych przedstawionych Brian uśmiechnął się szeroko.

– Cześć wszystkim. Miło was poznać. Jak się masz, Abby.

– Cześć. – Abby podeszła bliżej. – Jak się czujesz?

– Przeżyję, dzięki. Wszystkie kości całe. Poszczęściło mi się.

Jill ścisnęła go w gardle, ale co musiała powiedzieć, to musiała.

– Brian, chcę ci podziękować za uratowanie życia. Brakuje mi słów w tak niesamowitej sprawie, więc pozwól, że powiem tylko: jestem ci niewymownie wdzięczna.

– Udało jej się nie rozplakać. – Dziękuję ci z całego serca.

– Nie ma o czym mówić – odparł Brian skromnie. – Taka praca.

– Może i tak, ale ryzykowałeś własne życie... – Stała jej przed oczami tablica pamięci na posterunku w Nowym Jorku z nazwiskami funkcjonariuszy, którzy stracili życie jedenastego września 2001. – Moim zdaniem zasługujesz nie tylko na podziękowanie, ale także na medal czy wyróżnienie... Dla mnie jesteś bohaterem.

– Podpisuję się pod tym – powiedział Sam.

– Aha – odezwała się Abby – ja też.

Megan pokiwała głową, wpatrzona w Briana jak w bożyszcze.

– No to... bardzo mi miło – powiedział Brian. – Słyszałem, że pani dzisiaj też działała jako agentka. I podobno spisała się pani na medal. Gratuluję. Pierwsze koty za płoty.

Jill spiekła raka, nadal zbyt mocno wzruszona, by się śmiać, natomiast Sam zachichotał.  
– Będę miał za żonę agentkę zero zero siedem. Żałuj, żeś jej nie widział. Ciągnęła go za język jak stara fachura.

– Bez przesady – sprzeciwiła się Jill. – Pamiętaj, że rozmawiasz z zawodowcem. Uratował mi życie. Ścigał się z przestępcami jakieś tysiąc na godzinę. W życiu nie prowadziłam tak szybko...

– I byłoby dobrze, gdyby nie drzewo – rzekł Brian ze śmiechem.

Zawtórowali mu wszyscy prócz Victorii.

– Twardy z pani orzech do zgryzienia – ocenił Brian. – Pamięta pani moje ostrzeżenie? Zagroziłem pani sądem, zakazem zbliżania się do obu sióstr.

– Co mi tylko dodało skrzydeł.

Pokręcił głową.

– Nie będzie się pan nudził – zwrócił się do Sama. – Zdrowia życzę!

– Tak coś podejrzewam!

– Jak żyć z tymi kobietami?

– O, żaden problem. Wystarczy wypełniać rozkazy. Byle szybko.

I znowu wszyscy się roześmieli, tylko Victoria została poważna.

Nastąpiła niezręczna cisza. Po jakimś czasie Brian spojrzął na Victorię niepewnie.

– Vick, przepraszam, że cię okłamywałem. Jest mi naprawdę bardzo przykro. Tego wymagało moje zajęcie. Muszę przyznać bez bicia, to najgorsza strona mojej pracy.

– Gratuluję, wykonałeś ją wzorcowo – odparła Victoria tonem ociekającym sarkazmem.

– Świetnie poszło. Operacja „Sekator” zakończyła się sukcesem.

– Śmiało, masz pełne prawo na mnie nawrzeszczyć. – Brian spuścił głowę.

– Zasłużyłem sobie.

– Tak? O, bardzo uprzejmie ci dziękuję. I miej świadomość, że gdybyś już nie był w szpitalu, zadbałabym, żebyś w nim wylądował.

Jill skrzywiła się, lecz nie odezwała słowem.

– Victorio, naprawdę bardzo mi przykro.

– Zacząłeś znajomość ze mną, żeby poznać mojego ojca.

– Ale potem zaprzyjaźniliśmy się naprawdę. Czas, który spędzaliśmy razem, należał do nas. Jesteśmy przyjaciółmi.

– Już nie.

Jill zeszywniała. Źle się czuła, słuchając tej wymiany zdań, jednak postanowiła się nie wtrącać. Znała swoje miejsce, sama kiedyś została oszukana, wiedziała, jak to jest. Rozumiała reakcję Victorii. Z drugiej strony współczuła Brianowi, który przecież musiał wykonać swoją pracę, a najwyraźniej zakochał się w Victorii całkowicie niezależnie od poleceń służbowych.

Abby położyła dłoń na poręczu łóżka, jej młodzieńką twarz poznały zbyt wczesne ślady troski.

– Brian, ja nie jestem na ciebie zła. Poznałam kilkoro agentów FBI i rozumiem, dlaczego tak a nie inaczej zachowywałeś się w stosunku do mojej siostry. Nawet jeśli chodzi o tatę, też rozumiem. Kocham go i zawsze będę kochała, ale wiem, że to on postępował źle, nie ty.

– Dzięki. Na pewno nie jest ci łatwo. Obie macie za sobą trudne przejścia. Chciałbym wam powiedzieć, że tata mówił o was prawie bez przerwy. Bardzo was kochał. Vick, jeszcze raz najserdeczniej cię przepraszam. Jest mi bardzo przykro, że cię oszukiwałem. Musisz o tym wiedzieć, bez względu na to, czy pozostaniemy przyjaciółmi, czy nie.

– Znamy się rok, a ty mnie okłamywałeś bez przerwy, dzień w dzień. – Pokręciła

głową. – Oszukiwałeś mnie, kiedy mówiłeś, co robisz, dokąd idziesz, a nawet kim jesteś. Jak mam się w tym znaleźć?

– Musiałem wykonać zadanie. Wykonałem je. Teraz mogę jedynie przeprosić cię z całego serca. Naprawdę mi przykro.

– Tak... – Victoria westchnęła ciężko. Gniew jej nie opuszczał, a w dodatku była zraniona. – Oszukałeś mnie we wszystkim. Nawet w kwestii nazwiska.

– W jednej sprawie mówiłem prawdę. Rzeczywiście jesteś dla mnie ważna.

– A skąd mam o tym wiedzieć?

– Mówię ci o tym.

– I teraz akurat nie kłamiesz? – Zaciśnęła wargi. – A co z tą twoją przyjaciółką w Paryżu?

– Musiałem ją zmyślić, to była część mojej roli tajnego agenta. Co mogę zrobić, żeby cię do siebie przekonać?

– Nie wiem. To twój problem.

– A gdybym się oświadczył?

Victorii na chwilę odebrało głos.

– Co? – wykrztusiła w końcu.

Brian uśmiechnął się znów, tym razem jednak inaczej, ciepło i z czułością.

– Czy wyjdiesz za mnie, Victorio? Kocham cię, co do tego przecież nie masz wątpliwości.

– Co? – powtórzyła Victoria w najwyższym zdumieniu.

– Wyjdź za mnie, proszę. Nie mam pierścionka i nie mogę teraz przed tobą klęknąć, ale kocham cię od dawna. – W jego głos wkradła się chrypka. – Kiedy uświadomiłem sobie, wtedy w samochodzie, że mogę zginąć, ostatnią myślą byłem przy tobie. Nikt i nic nie było ważniejsze od ciebie. I nie jest, i nigdy nie będzie. Dlatego proszę cię o rękę. Wyjdź za mnie. Jeżeli mnie kochasz, zostań moją żoną.

Victoria stała z otwartymi ustami. W oczach miała łzy. Milczała.

Wszyscy wstrzymali oddech, jednakowo zaskoczeni. Sam i Steven wymienili spojrzenia. Jill walczyła ze łzami. Megan oczy błyszczały z podniecenia.

– Tak! – krzyknęła Abby. – Tak, tak! Ona cię kocha, oszalała na twoim punkcie, chyba z milion razy mówiła mi, że chce zostać twoją żoną! Poważnie!

Victoria wybuchnęła śmiechem, a łzy popłynęły po jej policzkach strumieniami.

– Abby, zamknij się, błagam, daj mi pomyśleć.

– Ej, no weź, zgódź się, przecież chcesz!

– Abby, bardzo cię proszę. Mój ślub, moja sprawa. Nie wtykaj nosa w nie swoje...

– Siostró ty moja! Powiedz mu! No, powiedz! Zobacz! Siedzi, czeka.

Jill stanęła między nimi. Niemożliwe te dziewczyny.

– Przestańcie się kłócić, bardzo proszę. Abby, nie krzycz. Victorio, masz głos.

– Dziękuję.

Victoria potrzebowała chwili, żeby wziąć się w garść. Oczy miała pełne łez, kilka razy otworzyła usta, jednak nie wydobyło się z nich żadne słowo.

Brian nie mógł oderwać od niej oczu. Jeszcze ciągle miał nadzieję, lecz mina zaczęła mu rzednąć.

Victoria uśmiechnęła się ciepło, dolna warga lekko jej drżała.

– Chciałabym, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Bardzo mi miło, że się oświadczyłeś. Ale czy nie powinniśmy pójść chociaż na jedną randkę, zanim się zaręczymy?

– Jasne. Może być po twojemu. Strasznie to konwencjonalne, mimo wszystko zgoda.



Victoria uśmiechnęła się łaskawie. Oczy jej rozbłysły, wreszcie podeszła do łóżka.

– Jedno mogę ci powiedzieć na pewno: ja ciebie też kocham.

– Poważnie? – Brian się rozpromienił.

– Tak. Bardzo.

Pochyliła się i pocałowała go. Raz, potem drugi.

Sam i Steven zaczęli klaskać, Jill wybuchnęła radosnym śmiechem, dumna z Victorii jak nigdy.

Abby piszczała ze szczęścia, a Megan zaczęła podśpiewywać:

– Victoria i Brian, zakochana para! Victoria i Brian, zakochana para!

Victoria wyprostowała się, jej twarz rozjaśniał uśmiech szczęścia. Promieniała.

– Mała – zwróciła się do Megan – zaczekasz trochę, zanim wybierzemy się kupować suknię ślubną?

– Tak, tak, tak! Zaczekam! – pisnęła Megan rozradowana, podbiegła do Victorii i uścisnęła ją z całej siły. – Tak!

## Rozdział 77

Zawody pływackie rozgrywane w sobotnie popołudnia zawsze przyciągały najwięcej widzów. Zjawiali się rodzice, którzy w ciągu tygodnia nie mogli przyjść ze względu na pracę, przyprowadzali rodzeństwo zawodników, które w dni powszednie było w szkole, i w efekcie widownia pękała w szwach, panował hałas oraz radosne podniecenie.

Tym razem spotkanie miało miejsce w Sequanic High, gdzie poprzednio Megan dostała napadu paniki. Jill modliła się gorąco, by tego dnia nie nastąpiła powtórka z rozrywki. We dwoje z Samem torowali sobie drogę wzdłuż rzędu kibiców, by dotrzeć do Victorii, Abby oraz Stevena, którzy przyjechali wcześniej i przywieźli Megan.

Przywitali się po drodze z Cohenami, McGrathami oraz Billem Roche'em i Jenny Zeleny, po czym usiedli na twardej drewnianej ławie.

– Jak Megan wypadła na rozgrzewce? – spytała Jill Victorię.  
– Całkiem niezłe. Wspieraliśmy ją na całe gardło.  
– Na pewno trudno jej było znowu spotkać się z tym chłopakiem.  
– Da sobie radę. Zdopingowałyśmy ją po drodze, w samochodzie.  
– Aha, a ja siedziałem za kierownicą i udawałem, że nic nie słyszę – dodał Steven.  
– Bardzo dobrze, dziewczyny kochane – ucieszyła się Jill. Jej wzrok powędrował w stronę grupki chłopców stojących na przeciwnym brzegu basenu, pod rozświetlonym oknem. – Który to?

– Ten blondas na przedzie.

Jill przyjrzała się chuchru o blond loczkach i mało nie zaczęła powarkić.

– Czy jego matka jest gdzieś tutaj? Mogę ją wdeptać w glebę?  
– Tylko spokój może nas uratować. – Victoria się zaśmiała. – Megan jest silniejsza, niż ci się wydaje. Nieodrodna córka swojej matki.

Jill doceniła komplement. Popatrzyła na stadko żółtych kostiumów kąpielowych zwieńczonych żółtymi czepkami, zbite tuż za słupkami startowymi, obok trenera Stacha. Bez błędnie wyodrębniła swoje ukochane kurczątko, swoje słoneczko. Megan stała na skraju grupy. Patrzyła na widownię, jak to miała w zwyczaju. Jill uniosła zdrową rękę.

– Tutaj, kochanie!

Megan odpowiedziała szerokim uśmiechem.

– Cześć, mam! – krzyknęła głośno, czego wcześniej nie robiła.  
– Wygląda na szczęśliwą – ocenił Sam, także machając ręką.  
– Bo jest szczęśliwa – powiedziała Jill ze szczerą ulgą.  
– Jill! – zawołał ktoś z tego samego rzędu. – Jill!  
Wychyliła się i zobaczyła, że woła ją Rita.  
– O co chodzi?  
– Słyszeliśmy, że miałaś wypadek. Victoria i Steven mówili, że w New Jersey.  
– Wskazała bandaż na ręku Jill. – Jak się czujesz?  
– W porządku, dzięki.  
– Słyszałam też, co ten młody kretyn zrobił Megan. Jak ona się trzyma?  
– Bardzo to przeżyła – przyznała Jill.

Miała pewność, że incydent był omawiany wśród „basenowych mam”, i z równą pewnością wiedziała, że wszystkie staną po stronie jej córki.

– Jest w świetnej formie, zobaczysz – powiedziała Victoria, uśmiechając się tajemniczo.

Jill obróciła się do niej zaskoczona.

– Coś się szykuje?

– Tak. I to jest pomysł Megan. Patrz. Teraz, patrz.

Jill i Sam wyciągnęli szyje, by poznać przyczynę zamieszania, jakie nagle powstało przy basenie. Trener Stach odszedł razem ze swoją podkładką na notatki, a Megan i pozostałe dziewczęta ruszyły niczym rój os na drużynę chłopców. Megan chwyciła blondasa za jedną rękę, Courtney za drugą.

– Co one wyprawiają? – zdziwiła się Jill.

Sam i Steven przyglądali się z niekłamaną ciekawością, Victoria i Abby były wyraźnie uszczęśliwione. Coraz więcej głów odwracało się ku drużynie dziewczęcej, która bezlitośnie popychała chłopaka ku krawędzi basenu, aż w końcu gorący młodzian, zdominowany przez dziewczęta zjednoczone wspólnym celem, został z wielkim pluskiem rzucony na głęboką wodę.

– Hura! – krzyknęła Megan.

– Hura! – zawtórowała jej Courtney.

Wszystkie zawodniczki śmiały się głośno, krzyczały radośnie i klaskały w dłonie.

Koledzy blondasa, zgięci w pół, ryczeli ze śmiechu, wytykając go palcami.

Victoria, Abby i Steven przyłączyli się do okrzyków radości, a rodzice kibicujący klubowi Valley West zgotowali dziewczynkom owacje na stojąco. W czasie gdy blondynek jak niepyszny wyczołgiwał się z basenu, dziewczęta zgromadzone wokół Megan podskakiwały z radości i ścisnęły ją serdecznie.

– Piękna sprawa! – zawołał Sam.

– Dobrze pomyślane! – przytaknęła Jill entuzjastycznie.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło, gdy uświadomiła sobie, że jej córka dorasta, właśnie teraz, na jej oczach.

I był to piękny widok.

## Podziękowania

Napisałam osiemnaście powieści i w każdej stawiałam sobie za cel pokazanie szczerzej prawdy. Nie oznacza to, że przedstawiane w nich wydarzenia są prawdziwe dosłownie, wyjęte z życia. Nie. Są prawdziwe pod względem emocji. Powieść się nie klei, jeżeli nie oddaje rzeczywistych przeżyć. Natomiast jeżeli jest pod tym względem rzetelna, gdy się klei, wtedy wywiera na czytelnika magiczny wpływ.

By napisać powieść emocjonalnie szczerą, muszę się znaleźć w jej nurcie. Bo żeby sięgnąć do czyjegoś serca, trzeba otworzyć swoje. Pisząc *Wracajmy do domu*, czerpałam pełnymi garściami z własnego doświadczenia, ponieważ w czasie drugiego małżeństwa byłam macochą dla trzech dziewczynek, a także mam rodzoną córkę.

A teraz pewne istotne zastrzeżenie: żadna z dziewcząt przedstawionych w powieści nie jest moją prawdziwą pasierbicą ani nawet nie jest na żadnej z nich wzorowana. Bohaterki książki są postaciami całkowicie fikcyjnymi, to samo dotyczy drugiego męża Jill. Natomiast emocje związane z rolą macochy i byłej macochy są jak najbardziej prawdziwe. Znam je doskonale. Przeżyłam ten stan, więc mogę o nim rzetelnie pisać i mam nadzieję, że dzięki temu powieść w warstwie uczuć jest realistyczna.

Z drugiej strony nie trzeba być macochą czy matką, by poznać odczucia wiążące się z tą rolą czy poczuć je w sercu, ponieważ ze szczerą prawdą tak to właśnie jest, że oddziałuje na każdego.

Muszę serdecznie podziękować moim byłym pasierbicom za wspólnie spędzone lata i za to, że pozwoliły mi zająć miejsce w swoim życiu. Kocham Was i będę kochała zawsze.

Teraz czas na podziękowania dla ekspertów i fachowców, którzy pomogli mi w pisaniu, oraz na wyraźne podkreślenie, że wszelkie ewentualne błędy w tekście powstały wyłącznie z mojej winy. Co niniejszym czynię.

Chciałam zrozumieć sposób myślenia i zasady pracy pediatrów – za pomoc w tej kwestii winna jestem wdzięczność doktor Carol Actor z praktyką prywatną w Phoenixville w Pensylwanii oraz doktor Eileen Evely ze szpitala dziecięcego w Filadelfii. Obie panie poświęciły swój cenny czas, by odpowiedzieć na moje pytania. Jestem im ogromnie wdzięczna za uprzejmość, fachowe opinie i wskazówki, a co ważniejsze, za wszystko, co na co dzień robią dla dobra dzieci.

Jeśli chodzi o zawilości, jakich pod dostatkiem w FBI, zwróciłam się do mojej serdecznej przyjaciółki, a jednocześnie byłej agentki specjalnej Federalnego Biura Śledczego, Lindy Vizi, i w tym miejscu dziękuję jej za pomoc. Jestem jej niewymownie wdzięczna za poświęcony mi czas i za rady nie do przecenienia, a przy tej okazji chciałabym też podkreślić ogromne znaczenie jej wieloletniej służby w FBI, w firmie, która troszczy się o nas wszystkich. I jeszcze jedno: tak, rzeczywiście istnieje klub agentek FBI „Spluwa i szydełko”, a ja jestem dumną posiadaczką uszytego przez jego członkinie patchworku, który wisi u mnie w domu na honorowym miejscu.

Dziękuję funkcjonariuszom policji z Szóstego Okręgu w Filadelfii, a także policjantom z Szóstego Okręgu (czysty przypadek) w Nowym Jorku – za pomoc i przy tej okazji także, podobnie jak w przypadku FBI, za pracę na rzecz nas wszystkich, społeczeństwa, obywateli. Odrębne podziękowania i serdeczne uściski należą się detektywowi Kennethowi Bakerowi z nowojorskiej policji za informacje, jakich mi nie skąpił w odpowiedzi na moje pytania.

Dziękuję Tomowi Melwinowi, genialnemu bilansierze, który pomógł mi w opisaniu detali związanych z finansami, zwłaszcza że matematyka nie jest moją najmocniejszą stroną. Dziękuję też Mary McMahan, fantastycznej mamie pływającego w klubie dziecka, oraz Danielle Bersch, Elaine Gondek i Verice Mendinie.

Dziękuję załodze wydawnictwa St. Martin's Press, przede wszystkim wspaniałemu Johnowi Sargentowi, po którym wymieniam jednym tchem kolejne ważne dla mnie osoby, a są to: Brian Napack, Sally Richardson, Matthew Shear, Matt Baldacci, Jeanne-Marie Hudson, Brian Heller, Jeff Capshew, Nancy Trypuc, Kim Ludlam, John Murphy, John Karle i Sara Goodman oraz wszyscy rewelacyjni przedstawiciele handlowi. Wielkie dzięki Michaelowi Storringsowi za wspaniałą projekt okładki. Serdeczności i buziaki dla Mary Beth Roche i Laury Wilson oraz innych fantastycznych ludzi od wersji audio. Kocham Was i podziwiam Waszą pracę.

W szczególny sposób chcę podziękować mojemu wydawcy, Jennifer Enderlin, której tę książkę zadedykowałam. Przyszłam do Jen w momencie, gdy moje zwyczaje pisarskie były już bardzo solidnie zakorzenione, żeby nie powiedzieć: skostniałe, a znajomość z nią, jej sugestie oraz obserwacja jej podejścia do mojej pracy otworzyły mi na nowo i oczy, i serce, i to na wiele sposobów. Dobry wydawca ma talent i moc pozwalające wydobyć z pisarza to, co w nim najlepsze. Mam poczucie, że Jen właśnie to dla mnie zrobiła, zachęcając mnie, dodając odwagi, bym zanurzała się głębiej, szukała prawdziwszej formy – z każdą książką, a na dobrą sprawę wręcz z każdym zdaniem. Jen, brak mi słów, żeby wyrazić swoją wdzięczność.

Dziękuję i z całych sił ściskam moją niesamowitą agentkę i przyjaciółkę, Molly Friedrich, która od dawna wspiera mnie swoimi opiniami, błyskotliwymi uwagami, poczuciem humoru i serdecznością. Dziękuję także zdumiewającym dwóm kobietom, Lucy Carson i Molly Schulman, za nieocenione komentarze do rękopisu. Kolejne podziękowania i serdeczne uściski przesyłam cudownej asystentce i wspaniałej przyjaciółce, Laurze Leonard. Jest niezastąpiona pod wieloma względami już od dwudziestu lat.

Dziękuję też moim najbliższym przyjaciółkom, a są to: Nan Daley, Rachel Kull, Paula Menghetti i Franca Palubo. Wszystkie mamy córki, o nich ciągle rozmawiamy i tak będzie do końca świata. Dzięki, Drogie Panie, za to, że jesteście sobą, i za codzienną pomoc.

Długo mogłabym dziękować swojej córce Francesce, olśniewającej i zdumiewającej, wspaniałej pisarce, a także mojej matce Mary i zmarłemu ojcu. Kocham Was, moi najmiłsi, to Wy nauczyliście mnie wszystkiego o wszystkim.

Będę Wam wdzięczna do końca świata.

## Pytania do dyskusji

1. *Wracajmy do domu* jest w swojej istocie opowieścią o rodzinie, a zwłaszcza o zmianach w niej zachodzących, o rozwodzie i ponownym wstępowaniu w związek małżeński. Jak wygląda pod tym kątem wasza rodzina? Jakie jest, twoim zdaniem, największe wyzwanie, gdy ludzie pobierają się ponownie, łącząc w ten sposób dwie rozbite rodziny?
2. Jednym z głównych wątków powieści jest kwestia opuszczania domu, a z drugiej strony powrotu w rodzinne progi. W jaki sposób każda z głównych bohaterek (Jill, Abby, Megan, Victoria) odchodzi z domu i jak do niego wraca?
3. Czy rozumiesz reakcję Jill na pierwsze po kilku latach spotkanie z Abby? Dlaczego tak lub dlaczego nie?
4. Opisz stosunek Sama do relacji łączącej Abby i Jill. Czy zgadzasz się z jego postawą? Czy jego reakcja wzbudza w tobie refleksje? Czy twoim zdaniem zachowywał się właściwie?
5. Czy zdarzyło ci się kiedyś znaleźć w sytuacji, gdy zabroniono ci kontaktów z osobą, na której ci zależało?
6. Jak, twoim zdaniem, wpłynęło na Abby i Victorię oddzielenie od Jill? Co Jill mogła zrobić inaczej, biorąc pod uwagę okoliczności?
7. Jak można opisać Williama? Dlaczego, twoim zdaniem, z taką łatwością oszukał Jill?
8. Jakie prawa powinna mieć osoba wychowująca dziecko? Co byłoby korzystne dla dziecka? W jaki sposób system prawny powinien uwzględniać tę kwestię, jeśli wziąć pod uwagę rosnącą liczbę powtórnych małżeństw?
9. Często zdarza się, że rodzic musi poświęcać większą część swojej uwagi dziecku, które tego bardziej potrzebuje. Czy masz wrażenie, że Jill zaniedbywała Megan, żeby pomagać Abby? Co ty byś zrobiła na miejscu Jill?
10. A teraz pół żartem, pół serio: czy pomogłabyś rozwiązać sprawę morderstwa swojego byłego męża? Popuść wodze wyobraźni. Przynajmniej do czasu, gdy podadzą drugi kieliszek wina.